

DANIELLE STEEL



JEDEN DZIEŃ
NA JEDEN RAZ



STEEL DANIELLE

JEDEN DZIEŃ NA JEDEN RAZ

Zaskakująca opowieść o matce, jej dwóch córkach i uczuciach, których nie sposób kontrolować. Owdowiała Florence, sławna autorka bestsellerów, właśnie rozpoczęła potajemny romans z kimś młodszym od siebie o dwadzieścia pięć lat. Jane, jej starsza córka, producentka filmowa, żyje w związku, o jakim też nie każdemu chciałaby opowiadać. A Coco, siostra Jane, uważana w rodzinie za czarną owcę, poznaje gwiazdora Hollywood, uciekającego przed szaloną narzeczoną...

ROZDZIAŁ

PIERWSZY

Zapowiadał się przepiękny czerwcowy dzień. Słońce właśnie wschodziło, a Coco Barrington patrzyła na Bolinas z wysokości swojego tarasu. Popijając świeżo zaparzoną chińską herbatę, obserwowała różowopomarańczową zorzę na niebie, wyciągnięta na starym, spłowiałym ogrodowym leżaku kupionym na osiedlowej aukcji. Nosząca ślady upływu czasu figura bogini Kuan Jing towarzyszyła jej swą milczącą obecnością. Kuan Jing to bóstwo współczucia, a jej posążek był dla Coco bezcenną pamiątką. Pod dobrotliwym spojrzeniem Kuan Jing piękna młoda kobieta wygrzewała się w złotych promieniach porannego słońca, w którego świetle jej długie do pasa falujące włosy lśniły czystą miedzią. Miała na sobie dość spraną nocną koszulę, z trudem można było rozpoznać na niej wzorek w kształcie serc. Jej stopy były bosc. Dom, w którym mieszkała, stał na wzniesieniu nad małą nadmorską miejsciną. Z tarasu widać było ocean i wąski pas plaży. Coco nie zamieniłaby tego miejsca na żadne inne. Mieszkała tu od czterech lat. Ten mały, wiejski dom, oddalony mniej niż o godzinę drogi od San Francisco, wydawał się najzupełniej odpowiedni dla dwudziestoosmioletniej dziewczyny.

Nazwać go jednak domem można było jedynie z pewną przesadą. To raczej wiejska chata, a matka i siostra Coco określały go jako rudę, w przystępie zaś łaskawości jako budę. Żadna z nich nie mogła zrozumieć, dlaczego Coco upiera się tak mieszkać. Nie wyobrażały sobie, jak w ogóle można znosić podobne warunki. Jej sposób życia był spełnieniem ich najgorszych obaw z nią związanych, sama musiała to przyznać. Matka usiłowała prośbą, groźbą i przekupstwem ściągnąć ją z powrotem do świata, który określała jako cywilizowany, czyli do Los Angeles. Ale nic, co dotyczyło matki albo wychowania, jakie od niej otrzymała, nie kojarzyło się Coco z „cywilizacją”. Według niej wszystko to było świadectwem hipokryzji. Ludzie, ich styl życia, cele, do jakich dążyli, domy, w których mieszkali, nawet operacje plastyczne, przez które przechodziły kolejno wszystkie znajome kobiety. Całe ich życie wydawało się Coco szczytem sztuczności. A jej własne, to, które prowadziła w Bolinas, było przynajmniej proste i prawdziwe. Nieskomplikowane, szczere jak ona sama. Nie znosiła fałszu. Nie powiedziałyby wprost, że jej matka jest „fałszywa”. Była kobietą nienagannie elegancką i dbałą o własny wizerunek, od ponad trzydziestu lat znaną autorką bestsellerów. Wydawała swoje powieści pod pseudonimem Florence Flowers, wykorzystując panięskie nazwisko swojej matki, i osiągała fantastyczne sukcesy. Miała sześćdziesiąt dwa lata i za sobą życie jak żywcem wyjęte z powieści. Wyszła za mąż za Bernarda Buzza Barringtona, zwanego „Rewolwerem”, najsłynniejszego agenta literackiego w Los Angeles, który zmarł cztery lata temu. Był od niej starszy o szesnaście lat, ale wciąż jeszcze znajdował się w pełni sił, kiedy nagle dosięgnął go udar. Należał do najbardziej wpływowych ludzi w swojej branży, a żonę rozpieszczał jak dziecko i opiekował się nią przez całe trzydzieści sześć lat

ich małżeństwa. Zachęcał ją do pracy i dbał o karierę. Coco miała wątpliwości, czy matka osiągnęłaby taki sukces bez jego pomocy. Lecz ona sama chyba nigdy nie zadawała sobie tego pytania i ani przez chwilę nie wątpiła we własne zasługi, podobnie jak w słuszność którejkolwiek ze swoich niezliczonych ocen i życiowych prawd. Nie ukrywała, że Coco ją rozczarowała, wybierając taki styl życia. Nie odmawiała sobie nawet nazwania jej wyrzutkiem społeczeństwa albo hipiską.

Odnosząca coraz to nowe sukcesy siostra Coco Jane miała swoje zdanie na jej temat i wyrażała je w sposób nieco bardziej uprzejmy, choć równie nieprzychylny. Określała ją jako „osobę notorycznie osiagającą wyniki poniżej swoich możliwości”. Zarzucała młodszej siostrze, że mając od urodzenia wszelkie dane na to, by osiągnąć w życiu powodzenie, z rozmysłem odrzuciła swoją szansę. Powtarzała jej raz po raz, że nie jest jeszcze za późno, by zawrócić z obranego kursu. Ale nic z tego nie wyjdzie, jeśli Coco będzie dalej wylegiwała się na leżaku w Bolinas - w ten sposób do reszty zmarnuje sobie życie.

Coco ani przez chwilę nie przyszło do głowy, że marnuje sobie życie. Zarabiała na własne utrzymanie, zachowywała się przyzwoicie wobec innych ludzi, nigdy nie miała do czynienia z narkotykami, jeśli pominąć jakiegoś papierosa z marihuaną, którego zdarzało jej się wypalić raz czy drugi z przyjaciółmi na imprezie jeszcze w college'u. Nie każdy w jej wieku mógłby to o sobie powiedzieć. Nie była ciężarem dla rodziny, nie zalegała z opłatami, nie miała tłumy kochanków, nie zaszła w ciążę, nie wchodziła w konflikty z prawem. Nie krytykowała stylu życia Jane i nawet nie miała na to ochoty. Nigdy też nie przyszło jej do głowy zwrócić matce uwagę, że ubiera się zbyt młodzieżowo, ani że po ostatniej operacji plastycznej jej rysy całkiem zeszyw-

nialy. Wszystko, czego chciała Coco, to pozostać sobą i żyć na własne konto, robiąc to, z czym się najlepiej czuła. Nigdy nie odpowiadał jej styl życia własnej rodziny, mieszkającej w luksusowej dzielnicy Bel-Air w Los Angeles. Nie lubiła być wytykana palcami jako córka sławnych rodziców, a w ostatnich latach także jako młodsza siostra Jane. Otóż to: nie chciała żyć ich życiem, tylko własnym. Jej bunt przeciwko rodzinie rozpoczął się, gdy tylko skończyła z wyróżnieniem college w Princeton i dostała się na wydział prawa na Uniwersytecie Stanforda, po czym, w dwa lata później, porzuciła studia. Od tamtej pory minęły kolejne trzy lata.

Kiedyś obiecała ojcu, że podejmie studia prawnicze. Zapewniał ją, że czeka na nią miejsce w jego agencji. Uważał, że szanujący się agent musi być wykształconym prawnikiem. Ale rzecz w tym, że studia prawnicze jej nie interesowały i praca z ojcem także nie była jej marzeniem. Nie miała ochoty reprezentować interesów wziętych pisarzy, scenarzystów, a zwłaszcza rozkapryszonych gwiazd ekranu, które były oczkiem w głowie ojca, jego codzienną pasją, największą w życiu. Każda ze sławnych postaci Hollywoodu przewinęła się przez ich dom, gdy Coco była dzieckiem. Ale nie wyobrażała sobie, że zgodzi się spędzić w tym towarzystwie resztę życia, tak jak ojciec. Skrycie sądziła, że to właśnie stres go zabił, stres związany z prowadzeniem przez ponad pięćdziesiąt lat spraw wszystkich tych ludzi, zdemoralizowanych, szalonych, czasem niepohamowanie egoistycznych. Gdyby tak miało wyglądać jej życie, uznałaby to za wyrok śmierci.

Ojciec umarł, kiedy była na pierwszym roku studiów. Wytrwała jeszcze przez rok, zanim zrezygnowała. Matka rozpacziała z tego powodu przez długie miesiące, nieustannie robiąc jej wyrzuty. Twierdziła, że w swojej budzie w Bolinas żyje jak bezdomna. Matka była u niej w Bolinas tylko raz, lecz zawsze wplatała tę nazwę w swoje tyrady. Po porzuceniu uniwersytetu Coco zdecydowała, że pozostanie tam, gdzie mieszka, w okolicach San Francisco. Północna Kalifornia podobała jej się bardziej niż Los Angeles. Jej starsza siostra przeprowadziła się tam już trzy lata

wcześniej, chociaż w związku ze swoją pracą filmowca musiała do Los Angeles często dojeżdżać. Matka była wściekła, że obie córki wyjechały na północ, opuszczając rodzinne miasto, choć Jane odwiedzała ją bardzo często. Za to Coco przyjeżdżała do domu najrzadziej jak tylko mogła. Jane miała trzydzieści dziewięć lat. Około trzydziestki należała już do grona najważniejszych producentów filmowych w Hollywood. Zrobiła w tej branży olśniewającą karierę, miała za sobą jedenaście kasowych szlagierów. Na tle jej sukcesów dokonania Coco prezentowały się jeszcze marniej. „Rewolwer” ubóstwiał żonę i rozpieszczał córki. Czasem Coco chciała się ludziom wytłumaczyć sens swoich życiowych decyzji, ale w rzeczywistości to także nie było możliwe. Ojciec nie rozumiałby jej ani trochę lepiej niż matka i siostra. Byłby zakłopotany i rozczarowany, gdyby się dowiedział, jakie życie obecnie prowadzi jego córka. Czuł się szczęśliwy, kiedy zaczęła studia w Stanford i miał nadzieję, że uczelnia wyleczy ją z nazbyt liberalnego podejścia do życia. W jego opinii można było być wrażliwym na sprawy bliźnich i los świata, pod warunkiem, że nie będzie się przesadzać. W jej czasach szkolnych „Rewolwer” uważał, że Coco przebiera miarę, lecz jednocześnie zapewniał żonę, że właściwe studia wyprowadzą ich córkę na prostą drogę. Ale najwyraźniej nie było jej to pisane. Po prostu rzuciła studia. Ojciec zostawił jej więcej pieniędzy niż potrzebowała, ale Coco ich nie tknęła. Wydawała tylko tyle, ile potrafiła

zarobić. Często też przekazywała datki na różne cele, które uważała za ważne. Na działania ekologów i na akcje pomocy dzieciom w krajach trzeciego świata. Jane nazywała to „miękkim serduszkim”. Ale to dlatego Coco tak lubiła posązek Kuan Jing. Bogini współczucia była postacią bardzo jej bliską. Prawość Coco była nieskazitelna, a w jej sercu nie brakowało miejsca dla innych ludzi, co jej zdaniem nie było ani błędem, ani zbrodnią.

Jane narobiła w rodzinie zamętu dawno temu, jeszcze jako nastolatka. Gdy miała lat siedemnaście wyznała rodzicom, że jest lesbijką. Coco była wówczas sześcioletnim dzieckiem. Jane ogłosiła tę rewelację w ostatniej klasie liceum, po czym została aktywistką organizacji walczącej o prawa homoseksualistów w szkole filmowej na Uniwersytecie Kalifornijskim, gdzie rozpoczęła studia. Odmówiła wzięcia udziału w ekskluzywnym Balu Debiutantek, łamiąc tym serce matce. Powiedziała, że z dwojga złego woli umrzeć. Ale mimo odmiennych preferencji seksualnych

1 wojowniczego nastawienia, realizowała te same życiowe cele co jej rodzice. Ojciec wszystko jej wybaczył, gdy zaczęła osiągać sukcesy. A gdy już stała się sławna, żyli w najlepszej zgodzie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Jane mieszkała ze znaną scenarzystką, która była miłą osobą, a przy tym zdolną i osiągającą sukcesy zawodowe na własne konto. Przeprowadziły się do San Francisco ze względu na tamtejsze środowiska gejowsko-lesbijskie. Ich filmy były oglądane i podziwiane na całym świecie. Jane miała już cztery nominacje do Oscara, ale jak dotąd nie dostała go ani razu. Matce nie przeszkadzało, że Jane mieszka z Elisabeth i prowadzi z nią od tak dawna wspólne życie. To Coco była przyczyną trosk całej trójki. Martwiły się o nią bez pamięci, załamywały ręce nad jej beznadziejnymi pomysłami, nad luzackim trybem życia, nad obojętnością na

wszystko, co ich zdaniem jest w życiu ważne. Jane miała jej za złe, że matka przez nią płacze.

O decyzje Coco obwiniały raczej mężczyznę, z którym była związana w tamtym czasie, gdy postanowiła rzucić studia, niż presję, jaką rodzina wywierała na nią przez całe życie. Byli razem przez cały drugi, czyli ostatni rok jej studiów. Parę lat wcześniej on także opuścił wydział prawa bez dyplomu, Ian White reprezentował wszystko to, czego rodzina nie życzyłaby sobie dla Coco. On także, choć inteligentny i zdolny, przy tym bardzo starannie wychowany, był, jak to określała Jane, „osobą notorycznie osiagającą wyniki poniżej swoich możliwości”. Rzuciwszy studia na którymś z australijskich uniwersytetów, przybył do San Francisco i otworzył tam szkołę nurkowania i surfingu. Był błyskotliwy, ciepły, zabawny, wyrozumiały i Coco go uwielbiała. Wartościowy, choć bez olśniewających ambicji, był jak nieoszlifowany diament, przy tym prawdziwie niezależny, robił tylko to, na co miał ochotę. W dniu, kiedy spotkała go po raz pierwszy, wiedziała już, że to będzie miłość na całe życie. Po paru miesiącach zamieszkali razem. Miała wówczas dwadzieścia cztery lata. Dwa lata później Ian White już nie żył. Te dwa wspólne lata to był najlepszy okres w jej życiu, Ian miał wypadek na lotni, poryw wiatru rzucił nim o skałę. Zabił się, spadając na ziemię. Wszystko to stało się w ciągu paru chwil. Jeśli czegokolwiek w życiu żałowała, to tylko tego, że go utraciła. Że ich wspólne życie trwało tak krótko. Ta śmierć przekreśliła wszystkie jej nadzieje. Jego piankowe kombinezony i sprzęt nurka wciąż jeszcze leżały w garażu. Razem kupowali ten domek w Bolinas, a po jego śmierci własność przeszła na nią. Pierwszy rok po tej stracie był dla niej bardzo trudny. Matka i siostra okazywały jej z początku wiele współczucia, ale ich współczucie wkrótce się wyczerpało. Uważały,

że skoro Ianowi nic już nie przywróci życia, Coco powinna jak najszybciej stanąć na nogi, jakoś ułożyć swoje sprawy, otrząsnąć się. Otrząsnęła się, ale nie w taki sposób, jak to sobie wyobrażały. Był to dla nich kolejny kamień obrazy.

Coco sama rozumiała, że nie można kurczowo trzymać się wspomnień, że życie musi toczyć się dalej. W ciągu ostatniego roku była na kilku randkach, ale nikt nie mógł się równać z Ianem. Nie знаła drugiego człowieka tak pełnego życia, energii, ciepła i uroku. Był wyjątkowy. Ale wciąż jeszcze miała nadzieję, że kiedyś pojawi się ktoś podobny do niego. Jak dotąd nikogo takiego jednak nie poznała, Ian nie życzyłby sobie przecież, żeby została sama na całe życie. Ale ona się nie śpieszyła. Cieszyła się życiem w Bolinas, witając na tarasie co rano nowy dzień. Nie robiła kariery. Nie miała potrzeby szukać potwierdzenia swojej wartości, jak to czyniła cała jej rodzina. Nie pragnęła żyć w pięknym domu w Bel-Air i nie tęskniła za niczym oprócz wspólnego życia z Ianem, oprócz tych pięknych, szczęśliwych dni i nocy pełnych miłości. Wspomnienia były niezniszczalne. Nie zastanawiała się nad tym, jak dalej potoczy się jej życie, ani przy którym boku będzie je kiedyś prowadzić. Każdy dzień był dobry sam w sobie. Jej życie z Ianem wydawało się czymś najwspanialszym na świecie, nie mogła pragnąć niczego lepszego. Ale w ciągu dwóch lat, które minęły od jego śmierci, zdążyła odzyskać wewnętrzną równowagę. Tęskniła za nim nadal, choć pogodziła się już z jego odejściem. Nie myślała gorączkowo o małżeństwie, o dzieciach, o zawieraniu znajomości. Życie z dnia na dzień w Bolinas angażowało jej siły w wystarczającym stopniu.

Z początku miejsce to wydawało się im obojgu trochę dziwne. Była to osobliwa mała społeczność. Mieszkańcy przed laty zdecydowali nie tylko nie wyróżniać się, ale rze-

czywiście zniknąć świata z oczu, jak ci z legendy o szkockim miasteczku Brigadoon, które co sto lat pojawia się na świecie na jeden dzień. Żadne tablice drogowe nie wskazywały, jak dojechać do Bolinas, żadne nie informowały, że tak się to miejsce nazywa. Trzeba je było odnaleźć na własną rękę. W Bolinas czuli się oboje mniej więcej tak, jakby odbyli podróż w czasie. To ich bawiło i śmieszyło. W latach sześćdziesiątych miasteczko było pełne hipisów, a wielu z nich osiedliło się tu na zawsze. Tylko że teraz byli już sterani życiem, mieli zmarszczki na twarzach i siwe włosy. Pięćdziesięciolatekowie, nawet sześćdziesięciolatekowie. Spotykało się ich, jak szli w kierunku plaży z deską do surfowania pod pachą. Jedyne publiczne miejsca to sklep z ciuchami, wciąż jeszcze oferujący modne w tamtych czasach kwieciste hawajskie koszule i podkoszulki ufarbowane po zawiązaniu w węzeł, pub pełen podstarzałych, szpakowatych amatorów surfingu, sklep spożywczy, speq'alizujący się w zdrowej żywności, oraz sklepik z używkami i przyborami niezbędnymi do ich zażywania, zwłaszcza z lufkami wszystkich rozmiarów, kształtów i kolorów. Miasteczko wznosiło się na skarpie ponad wąskim pasem plaży, a mała zatoczka oddzielała je od znacznie obszerniejszego i ludniejszego Stinson Beach, gdzie domy były o wiele droższe. W Bolinas też było trochę pięknych domów, ale zamieszkiwały je zazwyczaj rodziny podstarzałych amatorów surfingu albo ludzie mający najrozmaitsze powody, by zaszyć się w głuszy, z dala od społeczeństwa. W pewnym sensie było to najbardziej elitarne towarzystwo na świecie. Absolutne przeciwieństwo środowiska, w jakim Coco się wychowała, a także wpływowej rodziny lana, od której uciekł, opuszczając Sydney i Australię. Pod tym względem byli do siebie bardzo podobni. On odszedł, ale ona pozostała i wcale nie myślała o tym, żeby stąd wyjechać. W każdym razie

nie w bliskiej przyszłości. Może nigdy. Niezależnie od tego, jak usilnie matka z siostrą ją do tego namawiały. Tera-peutka, z którą spotykała się po śmierci lana dość regularnie, twierdziła, że w wieku dwudziestu ośmiu lat Coco nie wydobyła się jeszcze z okresu młodzieńczego buntu. Może tak było, ale zdaniem Coco wychodziło jej to na zdrowie. I jedyna rzecz, której była naprawdę pewna, to ta, że nigdy, przenigdy nie wróci do Los Angeles.

Kiedy słońce stanęło wyżej, Coco weszła do domu, by dolać sobie herbaty, a owczarek australijski lana, suczka Sallie, wygramoliła się z jej łóżka i statecznym krokiem maszerowała na taras. Dyskretnie pomachała ogonem, po czym ruszyła na poranną przechadzkę po plaży. Z natury była całkowicie niezależna, a przy tym potrafiła pomagać Coco w jej pracy, łan mówił jej kiedyś, że owczarki australijskie świetnie się sprawdzają jako psy ratownicze, poza tym, z natury są psami pasterskimi. Ale Sallie chodziła własnymi drogami. Choć była do Coco bardzo przywiązana, nigdy się jej nie narzucała i zawsze miała własne plany. Odebrała od lana doskonale wychowanie, rozumiała każde polecenie.

Sallie pobiegła przed siebie, gdy Coco nalewała herbatę do filiżanki. Popatrzyła na zegarek. Już po siódmej, trzeba było wziąć prysznic i jechać do pracy. Zamierzała przed ósmą być przy moście Golden Gate, a pod pierwszym z adresów, które miała na swojej liście, o ósmej trzydzieści. Zawsze zjawiała się punktualnie i klienci cenili jej niezwykłą rzetelność. Zwyczajem, których nauczył ją nastawiony na sukces dom rodzinny, w tej pracy bardzo się przydawały. Jej firma była maleńka, ale jej działalność okazała się zaskakująco opłacalna. Na usługi, które świadczyła Coco, zapotrzebowanie było ogromne. Zajmowała się tym już od trzech lat. To łan właściwie pomógł jej wszystko zorgani-

zować. W ciągu dwóch lat, które minęły od jego śmierci, dostawała coraz więcej propozycji, choć wcale nie szukała nowych klientów. Lubiła wracać z pracy do domu o czwartej po południu, żeby wybrać się na spacer z Sallie przed zmrokiem.

Sąsiadką Coco była po jednej stronie specjalistka od akupunktury, po drugiej masażystka. Obie pracowały na miejscu. Masażystka mieszkała ze strażakiem z remizy w Stinson Beach, a specjalistka od akupunktury była żoną nauczyciela z miejscowej szkoły. Wszyscy ci ludzie byli mili, otwarci, pracowali uczciwie i pomagali sobie nawzajem. Sąsiedzi bardzo ją wspierali po śmierci Iana. I nawet umówiła się raz czy drugi z jednym z kolegów nauczyciela, ale te spotkania nie poruszyły niczego w jej sercu. Sąsiedzi przedstawiali jej swoich przyjaciół, którzy stawali się i jej przyjaciółmi. Jej rodzina prawdopodobnie wszystkich ich wrzuciłaby do szufladki z napisem „hipisi”. Jej matka mówiła o nich ironicznie „zmęczeni życiem”, choć do nikogo z nich nie pasowała taka etykieta. Coco dobrze się czuła także w samotności. I znaczną część czasu spędzała z dala od sąsiadów.

O siódmej trzydzięci, po gorącym prysznicu w kłębach pary, wsiadła do swojej starej furgonetki, Ian znalazł dla niej ten samochód u pośrednika w sąsiedniej miejscowości i odtąd codziennie jeździła nim do miasta. Ten obdrapany samochód w zupełności jej wystarczał. Był niezawodny mimo trzystu tysięcy kilometrów na liczniku. Prowadziło się go z przyjemnością, choć brzydki był jak noc. Zostały na nim już tylko resztki lakieru. Ale silnik wciąż pozostawał w doskonałym stanie, Ian miał motocykl, na którym jeździli w weekendy po okolicznych wzgórzach, chyba że akurat wypłynęli jachtem. Nauczył ją także nurkować. Motocykla nie prowadziła od czasu jego śmierci. Tkwił nadal

w garażu za domem. Nie umiała się z nim rozstać, choć sprzedała już jacht. Szkoła pływaczek została zamknięta, bo nie było prowadzącego. Coco za mało umiała, żeby uczyć nurkowania. Zresztą miała swoje własne zajęcia.

Otworzyła tylne drzwi i Sallie wskoczyła do samochodu z zaaferowanym wyrazem pyska. Dobudziła się, biegnąc po plaży, i była już gotowa do pracy, tak samo jak Coco. Coco uśmiechnęła się do tego przyjaznego psa w biało-czarne łaty. Ci, którzy nie znali się na psich rasach, brali Sallie za zwykłego kundla, ale miała nieskazitelny rodowód i błękitne oczy. Coco zatrzasnęła drzwi, usiadła za kierownicą, pomachała sąsiadowi, który wracał z nocnego dyżuru w remizie. Miasteczko było spokojne i chyba nikomu nie chciało się zamykać domu na noc.

Jechała krętą szosą, poprowadzoną nad krawędzią urwiska. Z szosy widać było ocean. W oddali migotały w słońcu wieżowce San Francisco. Dzień zapowiadał się piękny, a w piękny dzień jej praca była znacznie łatwiejsza. Tak jak zamierzała, o ósmej minęła most Golden Gate.

Wiedziała, że do pierwszego z klientów zdąży na czas, choć nic by się nie stało, gdyby się trochę spóźniła. A mimo to nie spóźniała się nigdy. Nie była wcale taką ofiarą losu, jaką próbowała z niej zrobić jej rodzina.

Tylko tyle, że wybrała odmienny sposób życia.

Skreśliła w stronę Pacific Heights i jechała dalej na południe, ku stromemu wzgórzu Divisadero. Mijała właśnie jego wierzchołek, kiedy zadzwonił telefon komórkowy. To była Jane, jej siostra.

- Gdzie jesteś? - spytała krótko. Głos Jane zawsze brzmiał tak, jakby dzwoniła w stanie najwyższej konieczności. Jakby cały kraj znalazł się w niebezpieczeństwie, a do jej domu właśnie wdzierali się uzbrojeni terroryści. Żyła bowiem w nieustającym stresie. W jej branży stres to

rzecz nieunikniona, a przy tym osobowościowo pasował do niej jak ulał. Elizabeth, jej partnerka, miała w sobie znacznie więcej luzu i swoją obecnością nieco łagodziła nieustającą gorączkę Jane. Coco lubiła ją. Elizabeth, zwana Liz, miała czterdzieści trzy lata. Zdolnościami i błyskotliwością nie ustępowała Jane, ale zachowywała się o wiele spokojniej. Skończyła z wyróżnieniem studia na Harvardzie, zrobiła dyplom z literatury angielskiej. Zanim zaczęła pisać scenariusze dla Hollywoodu, zdążyła wydać dość ponurą, lecz interesującą powieść. Od tamtej pory napisała tych scenariuszy pokaźną liczbę i dwukrotnie nagrodzono ją Oscarami. Poznała Jane wiele lat temu, gdy wspólnie pracowały nad filmem. Od tamtej pory się nie rozstawały. Ich związek był trwały, stabilny, każda z nich znajdowała oparcie w drugiej. Obie uważały, że to związek na całe życie.

- Na Divisadero. Czemu pytasz? - spytała Coco ze znużeniem w głosie. Nie lubiła takich telefonów. Jane nigdy nie spytała, co u niej słyszeć. Bez wstępów mówiła, czego od niej chce. Tak wyglądały ich stosunki od czasu dzieciństwa Coco. Przez całe swoje życie była dla Jane dziewczynką na posyłki. Wiele godzin spędziła, opowiadając o tym swojej terapeutce. Trudno było to zmienić, lecz wciąż próbowała. Sallie zajmowała przednie miejsce pasażera. Odwróciwszy w jej stronę pysk, patrzyła z uwagą, jakby wyczuła napięcie Coco i próbowała zgadnąć, co się dzieje.

- W porządku. Musisz zaraz do mnie przyjechać - powiedziała Jane, a spod ulgi, jaka brzmiała w jej słowach, nadal przebijało zdenerwowanie. Coco pamiętała, że Liz

1 Jane miały niedługo wyjechać do Nowego Yorku na plan filmu, który zamierzały tam kręcić.

- Do czego będę ci potrzebna? - spytała nieufnie, a pies przekrzywił głowę.

- Odchodzę od zmysłów. Gospoia mi wymówiła bez uprzedzenia. A za godzinę mam samolot - odpowiedziała Jane z rozpaczą.

- Myślałam, że ten wyjazd masz w planie dopiero za tydzień - powiedziała podejrzliwie Coco, przecinając Broadway, ulicę, przy której mieszkała jej siostra, i to zaledwie kilka przecznic dalej, w ekskluzywnym domu z widokiem na zatokę. Dzielnicę tę nazywano Złotym Wybrzeżem. Zabudowana była przepięknymi budynkami. I nie sposób zaprzeczyć, że dom Jane należał do najpiękniejszych, choć nie był w guście Coco, tak jak jej domek w Bolinas nie był w guście Jane. Siostry różniły się tak bardzo, jakby nie wychowały się w jednej rodzinie, ale na dwóch planetach.

- Mamy strajk na planie. Strajkują operatorzy dźwięku. Liz wyjechała już wczoraj. Muszę zdążyć na miejsce dziś przed wieczorem, na spotkanie ze związkiem zawodowym, i nie mam z kim zostawić Jacka. Mojej gospoia właśnie umarła matka. Jedzie do Seattle i zostanie tam na stałe, bo musi zająć się ojcem. Przed chwilą dzwoniła do mnie, zwalając mi ten kłopot na głowę akurat w chwili, kiedy muszę już prawie wychodzić z domu. Coco słuchała ze ściągniętymi brwiami. Wcale nie było jej śpieszno, żeby wyciągnąć oczekiwany praktyczny wniosek z tego, co właśnie usłyszała. Nie po raz pierwszy zdarzyło się coś takiego. Jakoś tak się składało, że zawsze to ona musiała ratować sytuację, kiedy w życiu Jane coś nie wypaliło. A to dlatego, bo Jane wyobrażała sobie, że jej siostra nie ma własnego życia. Spodziewała się, że w takim razie Coco może w każdej chwili zjawić się u niej, by wyciągnąć ją z kłopotu. A ona nigdy nie odmówiła siostrze pomocy, nie ośmieliła się jej zawieść ani razu przez całe życie. Jane za to nie miała żadnego problemu z odmawianiem. Ta umiejętność była zresztą częścią jej zawodowego

sukcesu. Ale Coco jakoś nie potrafiła znaleźć słowa „nie” w swoich zasobach. Jane wiedziała o tym bardzo dobrze i korzystała z tego przy każdej okazji.

- Mogę przyjść po Jacka i wyprowadzić go na spacer, jeśli chcesz - zaproponowała z wahaniem.

- Dobrze wiesz, że to nie wystarczy - odparła Jane, nieco zirytowana. - Popada w depresję, kiedy zostaje na noc sam. Będzie wył bez przerwy, sąsiedzi oszaleją. A poza tym ktoś musi pilnować mieszkania.

Jack był ogromnym psem, ledwie by się pomieścił w zwanym budą domku w Bolinas, ale Coco mogłaby w ostateczności zabrać go do siebie.

- Chcesz, żeby był u mnie, póki nie znajdziesz kogoś innego do pomocy?

- Nie - powiedziała Jane zdecydowanie. - Chcę, żebyś ty się do mnie przeprowadziła.

„Chcę, żebyś ty...” - Coco słyszała to od niej chyba milion razy. Nie:

„Proszę cię...” ani: „Czy mogłabyś...”, ani: „Bardzo mi zależy”, ani:

„Bądź tak dobra...”. Zawsze tylko: „Chcę”. Niech to diabli. Nadarzyła się kolejna okazja, żeby skorzystać z prawa do odmowy. Coco otworzyła usta, żeby wypowiedzieć owo trudne słówko, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Popatrzyła na Sallie, która nie spuszczała z niej wzroku, zdumiona.

- Nie patrz tak na mnie - mruknęła Coco.

- Co? Do kogo mówisz?

- Nieważne. Dlaczego nie chcesz, żebym zabrała Jacka do siebie?

- Lubi być u siebie i spać we własnym łóżku - wyjaśniła Jane tonem nieznoszącym sprzeciwu, a Coco z wrażenia niemal tchu zabrakło. Od domu klienta dzieliła ją już tylko jedna przecznica i nie zamierzała się spóźnić, lecz coś jej mówiło, że tak się właśnie stanie. Siostra miała nad nią

jakaś niepojętą władzę, trochę jak księżyc, od którego zależą przyływy i odpływy, i Coco nie potrafiła się spod tej władzy wyzwolić.

- Ja też lubię sypiać we własnym łóżku - powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało w miarę stanowczo. Ale nikogo by na to nie nabrała, a już na pewno nie siostrę. Jane i Elizabeth miały spędzić w Nowym Jorku pięć miesięcy. -Nie będę pilnować ci domu przez pięć miesięcy - dodała Coco z uporem. Zresztą kręcenie filmu często się przedłuża. Trzeba się było liczyć nawet z sześcioma, siedmioma miesiącami ich nieobecności.

- No, pięknie. Znajdę kogoś innego - powiedziała Jane z dezaprobatą, jakby Coco była nieposłusznym dzieckiem. Coco pamiętała, że zawsze pozwalała się traktować w ten sposób, choćby w kółko i na okrągło powtarzała sobie, że przecież jest już dorosła. - Ale nie teraz, przed samym wyjazdem. Zajmę się tym, kiedy już będę w Nowym Jorku. Mój Boże, myślałby kto, że każę ci się wprowadzić do jakiejś rudery w Tenderloin. To przecież nic strasznego pomieszkać u mnie przez pięć, sześć miesięcy. To by ci mogło nawet dobrze zrobić. I nie musiałabyś dojeżdżać do pracy.

Jane była zawzięta jak namolny domokrażca, ale Coco nie zamierzała kupić jej pomysłu. Nie znosiła domu siostry. Pięknego, doskonale utrzymanego i zimnego. Choć kolorowe magazyny chętnie zamieszczały fotografie tych wnętrz, Coco źle się w nich czuła. Nie było przytulnego miejsca, w którym by mogła zwinąć się w kłębek, a nocą czuła się tam nieswojo. I było tak nieskazitelnie czysto, że bała się nawet oddychać, cóż dopiero jeść. Nie była taką pedantką jak siostra i Elisabeth. Obie szalały na punkcie porządku. Tymczasem ona wołała przyjazny lekki bałagan, i nie przeszkadzało jej też z lekka nieuporządkowane życie. Lubiła to, co doprowadzało Jane do szału.

- Dobrze, wprowadzę się na parę dni, najwyżej na tydzień. Ale pod warunkiem że naprawdę poszukasz kogoś innego. Nie chcę tkwić u ciebie bez końca. - Coco usiłowała postawić jakąś granicę i łudziła się, że pozostała nieugięta.

- Zgoda. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Ale teraz ty zrób to dla mnie. Jak szybko możesz przyjechać po klucze? Muszę też pokazać ci, jak działa system alarmowy, bo trochę się w nim zmieniło i teraz jest nieco bardziej skomplikowany. Nie chcę, żebyś go wyłączała. Będziesz sprowadzać żarcie dla Jacka z firmy Canine Cuisine, przynoszą je dwa razy na tydzień, w poniedziałki i czwartki. I nie zapomnij, że zmieniliśmy weterynarza. Teraz chodzimy do doktora Yamamoto z Sacramento Street. W przyszłym tygodniu Jack ma dostać szczepionkę.

- Dobrze, że przynajmniej nie masz dzieci - odparła Coco sucho, kiedy zawracała furgonetkę. Wiedziała, że już nie zdąży do pracy na czas, ale trudno. Siostra nie ustąpi ani na chwilę, jeśli nie przyjedzie od razu. - Nie dałabyś mi spokoju.

Bullmastif Jack zastępował w tym domu dziecko i żyło mu się lepiej niż większości ludzi. Jadał specjalnie przyrządzone mięso, korzystał z usług trenera i psiego fryzjera, który go kąpał i przycinał pazury, nie mówiąc już o tym, że jego życiu emocjonalnemu poświęcano więcej uwagi, niż wielu rodziców ma dla własnych dzieci.

Coco zatrzymała się przed domem siostry, gdzie czekała już taksówka, żeby zabrać Jane na lotnisko. Wyjęła kluczyk ze stacyjki i wyskoczyła z samochodu, zostawiając w nim Sallie, która patrzyła w ślad za nią przez okno. Czekwały ją wspaniałe zabawy z Jackiem przez kilka następnych dni. Bullmastif był od niej trzykrotnie większy. Pewnie coś zniszczył w mieszkaniu Jane podczas tych zabaw, ganiając

się jak szaleni. Może wpuści ich do basenu. Jediną rzeczą, którą Coco lubiła w tym domu, był sprzęt projekcyjny i ogromny ekran zainstalowany w sypialni, na którym mogła oglądać filmy, leżąc w łóżku. Sypialnia była bardzo duża, a ekran zajmował całą ścianę. Coco zadzwoniła do drzwi, a Jane otworzyła je z telefonem komórkowym przy uchu. Wymyślała komuś od ostatnich, rozmowa dotyczyła chyba związku zawodowego operatorów dźwięku. Na chwilę umilkła i spojrzała na Coco. Siostry były do siebie zaskakująco podobne. Obie dość wysokie, szczupłe, o pięknych twarzach. Obydwie jako nastolatki pracowały w charakterze modelek. Jediną rzucającą się w oczy różnica to ta, że Jane miała ostrzejsze rysy, a jasne włosy ściągała w koński ogon, podczas gdy Coco nosiła rozpuszczone kasztanowe loki, a łagodne rysy dodawały ciepła jej spojrzeniu, w którym zawsze był choćby cień uśmiechu. Wszystko w postaci Jane zdradzało stres, w jakim nieustannie żyła. Zawsze stawiała sprawy na ostrzu noża, nawet w dzieciństwie, ale ci, którzy znali ją bliżej, wiedzieli, że mimo złośliwego języka była osobą z natury dobrą i uczciwą. Choć nikt nie mógł zaprzeczyć, że był z niej również kawał cholery. Coco wiedziała o tym najlepiej. Jane ubrana była w dżinsy, biały T-shirt i czarną skórzaną kurtkę. W uszach miała kolczyki z diamentami. Coco miała na sobie biały T-shirt i dżinsowe ogrodniczki, podkreślające smukłość jej pięknych nóg, oraz buty do biegania, które najlepiej sprawdzały się w jej pracy, a na ramiona zarzuciła stary sweter. I trudno było nie zauważyć, że Coco wygląda o wiele młodziej. Jane była starsza, a wyszukany styl dodatkowo ją postarzał. Ale obie były pięknymi kobietami i wszędzie zwracały na siebie uwagę, podobnie jak ich sławny ojciec. Matka była nieco niższa i okrąglejsza. Była blondynką jak Jane. Rdzawy odcień włosów Coco

musiała odziedziczyć po poprzednich pokoleniach, bo „Rewolwer” Barrington miał włosy czarne jak smoła.

- Dzięki Bogu, jesteś! - powiedziała Jane.

Jej ogromny bullmastiff podbiegł do nich i wspiał się na tylne łapy, przednie opierając na ramionach Coco. Wiedział, co oznacza jej obecność: resztki ze stołu, których nigdy by nie dostał od swojej pani, oraz spanie na królewskim łożu w sypialni, do której Jane go nie wpuszczala. Chociaż bardzo kochała Jacka, przestrzeganie zasad było dla niej świętością. Tymczasem nawet Jack wiedział o tym, że Coco nie jest zbyt twarda i korzystał z tego, wpychając się do łóżka. Teraz zaś machał ogonem i lizał ją po twarzy, co było powitaniem o wiele przyjaźniejszym niż to, na jakie zdobyła się jej siostra. W tej parze Elisabeth miała w sobie znacznie więcej ciepła, ale ona była w Nowym Jorku już od wczoraj. Stosunki między Coco i Jane zawsze były tak samo napięte. Choć intencje Jane były dobre, a jej troska o młodszą siostrę wynikała z miłości, słowa i zachowanie tego nie odzwierciedlały.

Jane wręczyła Coco pęk kluczy i instrukcję do nowego urządzenia alarmowego. Przypomniła jej o weterynarzu, o szczepieniu, o wyszukanych psich daniach z Canine Cuisine, oraz udzieliła siostrze jeszcze piętnastu pouczeń i dobrych rad, strzelając w nią słowami w tempie karabinu maszynowego.

- I dzwoń do nas zawsze, jeśli Jack będzie miał jakiegokolwiek problemy - zakończyła.

Coco chciała zapytać, co powinna zrobić, gdyby sama je miała, ale ten żart nie rozśmieszyłby Jane.

- Będziemy się starały wrócić do domu na weekend od czasu do czasu, żeby dać ci wolne, ale na razie nie wiem, kiedy zdołamy się urwać, zwłaszcza że mamy kłopoty ze związkowcami.

Była udęczona i wyczerpana na samą myśl o tych kłopotach, zanim jeszcze wyjechała, ale Coco wiedziała, że Jane ze wszystkim radzi sobie doskonale.

- Poczekaj - powiedziała Coco, pod którą ugięły się kolana. - Przecież obiecałaś, że nie będę tu mieszkać dłużej niż przez kilka dni, prawda? Najwyżej przez tydzień. Nie chcę tkwić u was bez końca - powtórzyła z naciskiem, mając nadzieję, że dobrze się zrozumiąły. Nie życzyła sobie żadnych nieporozumień w tej kwestii.

- Wiem, wiem. Ale za to będziesz mogła pomieszkać sobie w takim pięknym domu - zamiast gorących podziękowań Jane spiorunowała ją spojrzeniem.

- Ten piękny dom to twój dom - odparła ostro Coco. -A mój dom jest w Bolinas.

Choć powiedziała to z godnością, Jane ją całkowicie zignorowała.

- Mniejsza o to - rzuciła z wymownym spojrzeniem, a potem uśmiechnęła się do niej nie bez przymusu. - Dzięki za poratowanie, dziecinko.

Doceniłam to. Taką pożyteczną siostrzyczkę każdy chciałby mieć.

Ten uśmiech, wyrażający aprobatę, był w ich stosunkach największą rzadkością, i to dla niego Coco przez całe życie starała się zadowolić Jane. Ale żeby ją zadowolić, trzeba było spełniać wszystkie jej życzenia. Coco najchętniej spytałaby, co takiego czyni ją pożyteczną siostrzyczką. Czy to, że zdaniem Jane nie prowadzi własnego życia? Ale nie spytała, tylko kiwnęła głową, wściekła na siebie za to, że zbyt łatwo zgodziła się na przeprowadzkę. Jak zwykle poddała się prawie bez walki. Dlaczego? Dlaczego Jane musiała zawsze wygrywać? Dlaczego nadal była starszą siostrą, z którą Coco przegrywała każdą grę? Starszą siostrą, której nigdy nie odważyła się sprzeciwić,

i której zawsze bała się najbardziej ze wszystkich, bardziej niż rodziców.

- Nie każ mi siedzieć tu zbyt długo - odezwała się błagalnie.

- Będziemy w kontakcie - odparła enigmatycznie Jane, i rzuciła się biegiem do telefonu, który zadzwonił w sąsiednim pokoju. W tej samej chwili zadzwonił drugi. Jane miała w domu dwie linie. Po chwili rozdzwoniła się komórka.

- Dziękuję ci jeszcze raz - rzuciła przez ramię, a Coco westchnęła, poklepała psa po grzbiecie i skierowała się do wyjścia. Do swojego pierwszego klienta była już spóźniona dwadzieścia minut.

- Cześć, Jack - powiedziała łagodnie i zamknęła za sobą drzwi.

Odjeżdżała z okropnym przeczuciem, że w końcu Jane zmusi ją, żeby pilnowała jej domu przez długie miesiące. Zbyt dobrze znała swoją siostrę.

Pięć minut później była już u pierwszego klienta. Ze schowka samochodowego wyjęła małą skrzynkę otwieraną szyfrem, wybrała kombinację cyfr i wyjęła komplet kluczy oznaczony tabliczką z kodem. Trzymała tam klucze od mieszkań wszystkich swoich klientów. Mieli do niej absolutne zaufanie. Dom, przy którym zaparkowała, był dość dużym wiktoriańskim budynkiem z czerwonej cegły. Otaczał go starannie przystrzyżony żywopłot. Coco podeszła do tylnego wejścia, wyłączyła alarm, otworzyła drzwi i głośno zagwizdała. W ciągu zaledwie paru sekund wyskoczył skądś ogromny srebrzystoszary dog niemiecki, na jej widok machając ogonem z szalonej radości.

- Cześć, Henry, jak się masz?

Założyła mu smycz, zamknęła drzwi i zaprowadziła psa do samochodu, w którym Sallie nie mogła się już doczekać

kolegi. Oba psy się rozszczękały dobrodusznie na cały regulator, po czym na powitanie zaczęły się kotłować w tylnej części furgonetki. Coco zatrzymała się jeszcze przed pięcioma innymi domami w okolicy. Z jednego wyprowadziła zdumiewająco grzecznego dobermana, z innego wyszła z posokowcem rodezyjskim, potem pojawił się w furgonetce wilk irlandzki i dalmatyńczyk, wszystkie z tak samo zamożnie wyglądających domów. Na pierwszy spacer w ciągu dnia zawsze brała te olbrzymy. Potrzebowały najwięcej ruchu. Jechała w stronę Ocean Beach, bo tam mogła je wszystkie spuścić ze smyczy i biegać z nimi dowolnie długo. Czasami zabierała je do parku przy moście Golden Gate. A jeśli było trzeba, Sallie pomagała jej potem zapędzić je z powrotem do samochodu. Od trzech lat zajmowała się zawodowo wyprowadzaniem na spacerów psów bogatych mieszkańców dzielnicy Pacific Heights i nigdy nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego, żaden pies nie został pogryziony i żaden się nie zgubił. Cieszyła się więc znakomitą reputacją w swojej branży. A choć zdaniem matki zajęcie to było tragicznym marnowaniem czasu i zdolności, pozwalało jej przebywać godzinami na świeżym powietrzu. Poza tym lubiła psy. I bardzo dobrze zarabiała. Nie zamierzała, co prawda, zajmować się tym do końca życia, ale na razie nie pragnęła niczego więcej.

Komórka zadzwoniła znowu, gdy odstawiła do domu ostatniego wielkiego psa z pierwszej tury. Miała też grupę psów średnich, które wyprowadzała na spacer w następnej kolejności, a małe psy zostawiała sobie na koniec, bo ich właściciele na ogół wychodzili z nimi przed pójściem do pracy. Po obiedzie jeszcze raz wyprowadzała te największe, potem wracała do domu. Komórka wyświetliła numer Jane. Była już w samolocie i mówiła bardzo szybko, bo przed startem trzeba wyłączyć telefon.

- Przed wyjściem sprawdziłam jeszcze w kalendarzu, że Jack ma dostać tę szczepionkę nie w przyszłym tygodniu, tylko w następnym.

Coco nie mogła się nadziwić, jak Jane to robi, że głowa jej nie pęka od tych wszystkich drobiazgów, których nigdy nie zaniedbuje. Nic nie było na tyle mało ważne, by zniknąć z jej pola widzenia. Nieustannie zarządzała wszystkimi, z którymi miała do czynienia, w tym również psem.

- Nie martw się o nic. Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Coco zrelaksowanym tonem. Bieg po plaży dobrze jej zrobił, tak samo jak psom. -1 baw się dobrze w Nowym Jorku.

- Raczej nie będę się zbyt dobrze bawić, bo mam na karku ten strajk. Głos Jane zabrzmiał jak struna, która za chwilę pęknie. Ale Coco wiedziała, że Liz zdoła ją uspokoić. Zawsze miała na nią kojący wpływ. Były dobraną parą, świetnie się uzupełniały.

- Tak czy owak, nie dawaj się. Ale nie zapomnij poszukać kogoś na moje miejsce najszybciej jak tylko się da -przypomniała jeszcze raz. I mówiła na serio. Czy się to Jane podobało, czy nie.

- Wiem, wiem... - powiedziała Jane, wzdychając. - Miło z twojej strony, że mnie poratowałaś. To wiele dla mnie znaczy, kiedy wiem, że zostawiam dom i Jacka w dobrych rękach.

Teraz jej głos brzmiał przyjemniej niż rano. Ich wzajemne stosunki mogły się wydawać nieco dziwne, ale przecież mimo wszystko były siostrami.

- W porządku - powiedziała Coco z niewyraźnym uśmiechem, zastanawiając się, dlaczego tak jej zależy na wdzięczności Jane i dlaczego tak bardzo ją to boli, kiedy Jane ma do niej żal. Wiedziała, że to się powinno skończyć.

Ze będzie trzeba zdobyć się wreszcie na odwagę i zacząć odmawiać. Ale jeszcze nie była na to gotowa.

Coco rozumiała, że w oczach Jane i matki jako opiekunka do psów jest po prostu nikim. Dla autorki bestsellerów i dla znanej producentki filmowej kilkakrotnie nominowanej do Oscara, dobrze prosperująca malutka firma Coco mogła być co najwyżej przyczyną zażenowania. W ich oczach było to mniej więcej tak samo, jakby Coco w ogóle nic nie robiła. I Coco także była przecież świadoma, że jej wyniki na skali uzdolnień Richtera sugerowałyby znacznie więcej ambicji. Potrzeba tu było czegoś, co wyrwie ją z letargu, w jaki zapadła, prowadząc swoją firmę. Ale niezależnie od tego, czy rodzinie podobało się jej zajęcie, ona ceniła łatwe, przyjemne i proste życie, jakim mogła się dzięki niemu cieszyć. I na razie wystarczyło jej to w zupełności.

ROZDZIAŁ DRUGI

Około szóstej po południu Coco znowu wyruszyła do miasta. Zdążyła wrócić do domu, spakowała trochę swetrów, dżinsów, kilka par butów do biegania, zapas czystej bielizny i parę ulubionych filmów na płytach DVD, które zamierzała obejrzeć na wielkim ekranie w sypialni siostry. Minęła rogatki, gdy komórka znowu zaczęła dzwonić. To była znowu Jane. Właśnie weszła do mieszkania, które razem z Elisabeth wynajęły w Nowym Jorku na pół roku.

- Wszystko w porządku? - spytała. Wydawała się niespokojna.

- Jestem w drodze do twojego domu - zapewniła ją Coco. - Zjem z Jackiem kolację przy świecach, a Sallie obejrzy swój ulubiony program w telewizji.

Coco nie chciała wracać myślą do wspomnień o posiłkach przygotowywanych wspólnie z Ianem, o nocnych spacerach po plaży, o łowieniu ryb z pokładu jego jachtu w weekendy. Do tamtych czasów, kiedy żyła swoim własnym życiem. Teraz przyszło jej podgrzewać wytworne psie jedzenie dla bullmastiffa jej siostry. Nie było sensu uzalać się nad sobą. Przeszłość nie wróci.

Zamierzali się pobrać tamtego lata, kiedy Ian zginął.

Chciał, żeby ich ślub odbył się na jachcie. A potem przyjęcie pod gołym niebem z przyjaciółmi. Nie zdążyła jeszcze nawet powiedzieć o tym pomysłu matce, która oczywiście dostałaby szału. Mieli w planach wyjazd do Australii, gdzie chcieli otworzyć szkołę dla nurków, Jan zdobył w czasach szkolnych mistrzostwo kraju w surfboardingu. Nie mogła teraz myśleć o tym bez smutku.

Liz włączyła się do rozmowy i podziękowała wylewnie Coco za pomoc w opiece nad domem i psem. Jej ton był ciepły, a słowa zupełnie inne niż te, na jakie stać było Jane.

- W porządku, cieszę się, że mogłam wam pomóc, ale mam nadzieję, że to nie potrwa długo. - Coco chciała, żeby Liz także wiedziała o jej warunku.

- Znajdziemy kogoś, obiecuję - powiedziała Liz, której wdzięczność była szczerą. Inaczej niż Jane, nigdy nie uważała, że cokolwiek im się należy od Coco.

- Dzięki - powiedziała Coco z ulgą. - Jak tam w Nowym Jorku?

- Będzie nieźle, jeśli poradzimy sobie ze strajkiem. Mam nadzieję, że dziś wieczorem dojdziemy do porozumienia ze związkowcami.

Była optymistką. To ona w tej parze była od dogadywania się z ludźmi. Jane za to potrafiła walczyć.

Gdy Coco na koniec życzyła im sukcesów, była już prawie przed ich domem. Czasem zazdrościła im życia rodzinnego. Ich związek był tym, czym powinno być małżeństwo, choć rzadko bywa. Od dziecka wiedziała, że jej siostra jest lesbijką i akceptowała jej sposób życia bez zastrzeżeń, choć dostrzegała, że niektórzy ludzie przyjmowali to ze zdumieniem. W charakterze Jane niepokoiło ją zupełnie co innego: skłonność do zmuszania innych, by spełniali każde jej żądanie. Elisabeth była jedyną osobą zdolną narzucić jej hamulce i ucywilizować, choć i to nie

zawsze się udawało. Rozpuszczona przez rodziców jako małe dziecko, przyzwyczajona do niekończących się zachwyty nad jej osiągnięciami, Jane uważała, że należy jej się wszystko, czego zapragnie. A Coco zawsze żyła w jej cieniu, na drugim planie. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Jedyny czas, kiedy czuła się inaczej, to te dwa lata spędzone z Ianem. Być może dlatego, że wówczas mniej się troszczyła o to, co pomyśli siostra. A może po prostu sama jego obecność roztaczała wokół niej jakąś magiczną, niewidzialną barierę. Podobał jej się pomysł wspólnego wyjazdu do Australii. A teraz co? Stała przed domem siostry, w którym czekał na nią stęskniony pies Jack. Gdyby Ian nie zginął, gdyby miała własne życie... Jane musiałaby wtedy poszukać kogoś innego do pomocy. Nie mogłaby liczyć na to, że młodsza siostrzyczka, ktoś w rodzaju Kopciuszka, poświęci się dla niej w każdej kryzysowej sytuacji. Ale jak czułaby się Coco, gdyby odmówiła? Jak młodsza siostra, która wreszcie stała się dorosła, czy jak niegrzeczna dziewczynka, którą była w oczach Jane zawsze wtedy, kiedy nie dość pilnie spełniała jej życzenia? Ciekawe pytanie, na które nadal nie знаła odpowiedzi. Może dlatego, że nie bardzo chciała poznać. Łatwiej było spełniać oczekiwania, zwłaszcza teraz, kiedy obecność Iana już jej nie chroniła.

Coco nakarmiła oba psy i włączyła telewizję. Usadowiła się wygodnie na obitej białą tkaniną kanapie i położyła nogi na białym, lakierowanym stoliczku do kawy. Dywan także był biały, utkano go z sierści jakiegoś rzadkiego zwierzęcia żyjącego w Ameryce Południowej, nieco mgliście przypominała sobie Coco. Jane i Elisabeth zatrudniły sławnego architekta z Meksyku. Dom był rzeczywiście piękny, ale nadawał się tylko dla ludzi, którzy zawsze mieli czyste ręce, lśniące nowością buty i starannie wyszczotkowane włosy. Coco bała się, że na wszystkim, czego dotknie,
zo-

stawi odciski palców, które nie ujdą uwagi siostry. Kiedy u niej mieszkała, zawsze czuła się niepewnie, poza tym nie było tu tak przytulnie jak w „budzie” w Bolinas.

Poszła do kuchni, żeby poszukać w lodówce czegoś do jedzenia.

Ponieważ gospodynie wyjechały wcześniej, niż to było zaplanowane, ani Jane, ani Liz nie miały czasu zrobić zapasów. Znalazła więc tylko główkę sałaty, dwie cytryny i butelkę białego wina. W szafce był makaron i oliwa, więc Coco przyrządziła potężną porcję sałaty i popijając białe wino, czekała, aż ugotuje się makaron. Gdy przyprawiała sałatę, oba psy zaczęły nagle szczekać jak szalone przy oknie. Stały przy parapecie, opierając na nim przednie łapy. Wyrzała, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zobaczyła dwa szopy uganiające się po trawniku. Minęło jeszcze piętnaście minut, zanim szopy uciekły. Dopiero wtedy zdołała uspokoić psy. Wtedy też poczuła zapach spalenizny. Podobny trochę do odoru tłących się kabli elektrycznych. Szybko obeszła cały dom, szukając źródła tego zapachu, ale nic nie znalazła. Na końcu zajrzała do kuchni. Woda w garnku z makaronem całkiem się wygotowała, a do dna przywarła czarna skorupa. Jeden z uchwytów się przypalił i to on tak okropnie śmierdział.

Cholera - mruknęła Coco, wrzucając garnek do zlewu i zalewając go zimną wodą. Gdzieś odezwał się alarm. Dym uruchomił instalację przeciwpożarową. Najpierw usłyszała syrenę, potem zobaczyła dwa strażackie wozy przed domem. Trochę sennie tłumaczyła strażakom, co się stało, podczas gdy komórka uparcie dzwoniła, a psy ujadły na niespodziewanych gości. Wreszcie odebrała telefon. To Jane.

- Co się tam dzieje? Właśnie miałam telefon z firmy, która monitoruje moje alarmy. To prawda, że wybuchł pożar? - zapytała przerażona.

- Nic się nie stało - odparła Coco. Podziękowała straża-

kom, którzy wrócili do swoich wozów, i zamknęła frontowe drzwi. Musiała na nowo włączyć urządzenia alarmowe i nie była pewna, czy pamięta, jak się to robi, ale nie miała ochoty przyznać się do tego przed Jane. - Naprawdę nic wielkiego. Przypaliłam makaron. W ogrodzie były dwa szopy. Psy oszalały. Dlatego zapomniałam o makaronie.

- Mój Boże, mogłaś puścić z dymem cały dom! - W Nowym Jorku było już po północy, związkowcy odstąpili od strajku, Jane wydawała się kompletnie wykończona.

- Mogę wrócić do Bolinas - zaproponowała Coco.

- Już dobrze. Po prostu rób, co możesz, żeby nie zginąć w płomieniach. Jane przypomniała, jak włączyć alarm, a chwilę później Coco siedziała już w nieskazitelnej kuchni wyłożonej czarnym marmurem i jadła sałatę. Była głodna, zmęczona i stęskniona za własnym domem.

Wstawiła naczynia do zmywarki, wyrzuciła do śmieci garnek ze spalonym uchwytem, zgasiła światło, udała się do sypialni na piętrze w towarzystwie obu psów, i dopiero kiedy była już w łazience, zorientowała się, że do podeszwy jej sportowego buta przywarł liść sałaty. Usiadła na podłodze bez sił. W tym domu czuła się jak słoń w składzie porcelany, jak zawsze, kiedy wchodziła na orbitę swojej siostry. Nie należała do tego miejsca, była tu obcym ciałem. W końcu jednak wstała, zdjęła buty i położyła się do łóżka. Ledwie to uczyniła, do łóżka wskoczyły za nią oba psy. Jane byłaby wściekła, ale na szczęście tego nie widziała, więc Coco pozwoliła psom wylegiwać się w łóżku, jak zawsze.

Włożyła do odtwarzacza płytę DVD i leżąc z dwoma psami, oglądała na wielkim ekranie jeden z ulubionych filmów. W całym domu unosił się wciąż jeszcze piekielnie mocny odór spalenizny. Trzeba będzie kupić nowy gar-

nek, pomyślała, i w połowie filmu zasnęła z obrazem lana i domku w Bolinas pod powiekami. Spała twardo, obudziła się rano i od razu wyskoczyła z pościeli. Wzięła prysznic i ubrała się. Była już gotowa jechać do pierwszego klienta. Mijając kuchnię, zrezygnowała z herbaty. Zabrała obydwie psy ze sobą. Telefon milczał, Jane jak na razie łaskawie zostawiła ją w spokoju.

Zawiozła psy na spacer do parku Golden Gate i na Kris-sy Field.

Wróciwszy do domu na Broadwayu około czwartej po południu, zaległa w wannie z hydromasażem. Postanowiła nie gotować dziś nic na kolację, i szykując się do oglądania innego ze swoich filmów, zamówiła przez telefon coś z kuchni azjatyckiej. Kiedy skończywszy sajgonkę zabrała się do ostro przyprawionej wołowiny, z Los Angeles zadzwoniła jej matka. Jack siedział obok kuchennego stołu z Sallie u boku. Nie spuszczał oka z tego, co stało na blacie, z pyska kapała mu ślina.

- Cześć, mamó - powiedziała Coco z pełnymi ustami, gdy tylko zobaczyła na wyświetlaczu numer telefonu. - Co słychać?

- Wszystko w porządku. Jestem spokojniejsza, kiedy wiem, że mieszkasz w prawdziwym domu, a nie w tej łatwopalnej budzie w Bolinas.

Powinnaś być szczęśliwa, że siostra pozwoliła ci się tam wprowadzić.

- Moja siostra powinna być szczęśliwa, że zgodziłam się do niej wprowadzić, chociaż poprosiła mnie o to w ostatniej chwili - bez zastanowienia odbiła piłeczkę Coco. Jack porwał ze stołu drugą sajgonkę i Coco zabrała talerz, podczas gdy on żarłocznie pożerał swój łup. Jane chyba by ją zabiła, gdyby to widziała.

- Nie opowiadaj głupstw - zbesztła ją matka. - I tak nie masz nic lepszego do roboty. I wielkie szczęście, że mogłaś u niej zamieszkać. To taki piękny dom! - Trudno

zaprzeczyć. Ale żyło się w nim jak na planie zdjęciowym. -Powinnaś rozejrzeć się za jakimś porządnym mieszkankiem w San Francisco. Za uczciwą pracą, za odpowiednim mężczyzną. I wrócić na wydział prawa. Wszystko to Coco słyszała już wiele razy. Matka i siostra miały dla niej mnóstwo podobnych propozycji i nic nie mogło ich powstrzymać od wyrażania własnych opinii na temat jej życia. To one były sędziami. Zawsze wiedziały, co jest właściwe, a co nie. A Coco popełniała błąd za błędem.

- Jak się masz, mamó? U ciebie wszystko w porządku? -Rozmowa stawała się łatwiejsza, jeśli udało się nakłonić matkę do mówienia o sobie. Była tym o wiele bardziej zainteresowana i miała znacznie więcej do powiedzenia.

- Zaczynam właśnie nową powieść - powiedziała, uszczęśliwiona i przejęta. - Wspaniały pomysł. Bohaterami są generał wojsk Północy i kobieta z Południa podczas Wojny Domowej. Zakochają się w sobie, ale zostaną rozdzieleni, ona tymczasem straci męża, a zaufany czarny niewolnik pomoże jej uciec na Północ, gdzie bohaterka będzie poszukiwać ukochanego, choć nie ma już pieniędzy. Generał też szuka jej ze wszystkich sił, bez powodzenia. Ale bohaterka znajdzie żonę dla Murzyna. To dwie historie w jednej, i świetnie się przy tym bawię - dodała uradowana, a Coco się uśmiechnęła. Przez całe życie wysłuchiwała podobnych opowieści. Lubiła książki matki i była z niej dumna, chociaż jako mała dziewczynka nieraz odczuwała zakłopotanie jej popularnością. W tamtym czasie marzyła o zwyczajnej matce, takiej, która piecze ciasteczka i podwozi autem szkolne koleżanki. Nie podobała jej się ta sława. Z czasem się do wszystkiego przyzwyczaiła, ale zawsze snuła marzenia, w których matka po prostu prowadziła dom. Lecz jej matka była od tego tak daleka, jak to tylko

możliwe. Zawsze była zajęta albo pisaniem, albo udzielaniem wywiadów. I Coco mogła tylko zazdrościć koleżankom, które nie miały sławnych rodziców.

- Widziałam, że twoja ostatnia książka wciąż trzyma się na pierwszym miejscu listy bestsellerów - powiedziała z podziwem. - Udaje ci się wszystko, za co się bierzesz, prawda, mamo?

Zabrzmiało to trochę smutno, ale Coco tak się właśnie czuła.

- Staram się o to, kochanie. Bardzo lubię słodki smak sukcesu - roześmiała się matka.

Cała rodzina kochała smak sukcesu, nie tylko matka, lecz także ojciec i Jane. Coco nieraz próbowała sobie wyobrazić życie, jakie byłoby jej udziałem, gdyby dorastała w „normalnej” rodzinie - na przykład prawników albo lekarzy. Albo gdyby jej ojciec był agentem ubezpieczeniowym. W Los Angeles niewiele miała koleżanek z takich domów. Większość jej koleżanek i kolegów była dziećmi sławnych rodziców. Rodzice byli producentami filmowymi, reżyserami, aktorami, dyrektorami wytwórni filmowych. Coco chodziła do szkoły Harvard-Westlake, jednej z najlepszych w mieście, i wiele osób z jej dawnej klasy także zdobyło już sławę. Żyła wśród samych legend, którym trudno sprostać. Większość była nastawiona na sukces, podobnie jak jej siostra Jane. Choć byli i tacy, którzy zdążyli już paść ofiarą narkotyków, szybkiej jazdy samochodem po pijanemu, albo popełnić samobójstwo. Wszystko to zdarzało się również wśród ludzi niezamożnych, ale wyglądało na to, że sławnym i bogatym niebezpieczeństwa te zagrażały w o wiele większym stopniu. Ci żyli bowiem bardziej intensywnie i za swój styl życia płacili wyższą cenę. Kiedy dorastała, jej rodzicom nie przyszłoby do głowy, że Coco po prostu wycofa się z wyścigu, odmówi

udziału w tej grze. Z ich punktu widzenia byłaby to skrajna głupota. Ale ona myślała inaczej.

- Może teraz, kiedy i tak jesteś w mieście ze względu na dom Jane, mogłabyś zapisać się na jakieś lekcje? Może warto pomyśleć o przeprowadzce na stałe? I o powrocie na uczelnię.

- Na jakie lekcje, mamó? - spytała Coco, a w jej głosie momentalnie pojawiło się rozdrażnienie. - Gry na fortepianie? Na gitarze? Kursy tkactwa, gotowania albo układania kwiatów? Wystarczy mi to, czym się zajmuję.

- Jak będziesz wyglądała po pięćdziesiątce, zajmując się dalej wprowadzaniem cudzych psów na spacer? - odparła spokojnie matka. - Nie wyszłaś za męża, nie masz dzieci. Czym chcesz sobie wypełnić życie? Musisz mieć coś sensownego do roboty. Może coś związanego ze sztuką. Kiedyś się tym interesowałaś.

To było żałosne. Dlaczego nie mogły po prostu zostawić jej w spokoju i pozwolić, by robiła, co chce? I dlaczego ktoś obcy miałby jej zastąpić... Ale tej myśli też nie chciała ciągnąć.

- Nie jestem tak utalentowana jak ty, mamó. Albo jak Jane. Nie umiem pisać powieści ani kręcić filmów. Ale może kiedyś założę rodzinę i urodzę dzieci. A tymczasem pracuję uczciwie i robię to, co mi sprawia przyjemność.

- Nie jesteś zmuszona „pracować uczciwie”. I nie-spodziewaj się, że dzieci nadadzą sens twojemu życiu. Dzieci dorastają i odchodzą. To tylko chwilowy wypełniacz czasu. A mąż może cię opuścić albo umrzeć. Musisz zacząć robić coś sensownego na własne konto, Coco. Będziesz o wiele szczęśliwsza, jeśli znajdziesz coś takiego.

- Jestem szczęśliwa i bez tego. Dlatego mieszkam tam, gdzie mieszkam. Byłabym nieszczęśliwa, gdybym musiała brać udział w wyścigu szczurów w wielkim mieście.

Matka westchnęła. To było tak, jakby próbowały się porozumieć, szepcząc do siebie z dwóch przeciwnych krawędzi Wielkiego Kanionu w Colorado - ani nie mogły usłyszeć jedna drugiej, ani nawet nie chciały. To po prostu śmieszne, że zajęcie Coco - wyprowadzanie psów na spacer - do tego stopnia odbierało spokój matce i siostrze. Coco nie odczuwała żadnego niepokoju w związku z tym, czym się zajmowała. Dlatego czasami zwyczajnie im współczuła.

Rozmowy z matką zawsze ją przygnębiały. Zostawało jej po nich poczucie, że nie dorównuje innym i nigdy nie dorówna. Nie bardzo jej na tym zależało, ale jednak było przykro. Kiedy się rozłączyły, myślała o tym jeszcze chwilę, a potem zjadła następną sajonkę. W Bolinas żywiła się głównie sałatą i świeżymi rybami, kupowanymi na miejscowym targu. Była zbyt leniwa, żeby chodzić do supermarketów w San Francisco, a kuchnia jej siostry, utrzymana w stylu high-tech, wyglądająca trochę jak wnętrze pojazdu kosmicznego, onieśmiała ją. Łatwiej było zamówić coś gotowego. Wciąż jeszcze myślała o rozmowie z matką, kiedy poszła na górę do sypialni i włączyła sobie film. Jack wdrapał się na łóżko z uszczęśliwioną miną, nie czekając na zaproszenie, i położył łeb na poduszce. Sallie, sapiąc z zadowolenia, ułożyła się w nogach. Ledwie film się zaczął, oba psy już chrapały w najlepsze, a Coco, leżąc wygodnie, oglądała komedię romantyczną ze swoim ulubionym aktorem. Widziała ten film przynajmniej z pięć razy, ale wcale jej się nie znudził.

Dopiero po obejrzeniu filmu zauważyła, że dostała esemesa. Od Jane. Pomyślała, że to będzie znowu coś na temat psa. W ciągu ostatnich dwóch dni dostała już kilka esemesów od Jane, a to w sprawie psa, a to na temat ogrodnika albo sprzątaczkę, były też instrukcje dotyczące obsługi

systemu alarmowego. Coco wiedziała, że kiedy Jane zajmie się wreszcie swoim filmem, nie będzie miała czasu na wysyłanie co chwilę nowej wiadomości. Ale ta była od pozostałych ważniejsza. Chodziło o zaprzyjaźnioną z nimi osobę, która miała przyjechać na weekend. Coco zastanawiała się przez chwilę, czy może poprosić tę osobę o zaopiekowanie się psem, żeby ona sama mogła wyskoczyć na weekend do Bolinas. Miała przeczucie, że Jane byłaby bardzo niezadowolona, gdyby się dowiedziała, że siostra narzuciła gościowi domowe obowiązki i uciekła.

Był to esemes następującej treści: „Leslie ukrywa się przed swoją byłą dziewczyną, psychotyczką i niedoszlą samobójczynią. Zjawi się prawdopodobnie jutro albo w sobotę i zostanie przez kilka dni. Wie, gdzie są klucze i zna kod alarmu. Dziękujemy. Jane i Elisabeth". Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek spotkała ich przyjaciółkę imieniem Leslie, i przypuszczała, że nie jest to żadna ich znajoma z Los Angeles. Ktoś taki wydawał się postacią egzotyczną, ciekawszą niż większość ich znajomych, inteligentnych i twórczych, lecz należących prawie wyłącznie do grupy kobiet w wieku średnim, z których wiele żyło w trwałych związkach, tak jak one. Takie osoby nie były narażone na prześladowanie przez psychotyczne kochanki o skłonnościach samobójczych. Skoro ta ukrywająca się Leslie znała kod alarmu i wiedziała, gdzie jest klucz, Coco nie musiała się o nią martwić. Włożyła więc do odtwarzacza następną płytę DVD i zasnęła dopiero o trzeciej nad ranem. Nazajutrz miała wyprowadzić na spacer tylko dwa psy, i to dopiero w południe, więc mogła spać do późna.

Kiedy się obudziła, była już dziesiąta rano, przepiękny słoneczny dzień. Wyjrzała przez okno i zobaczyła flotyllę jachtów na wodach zatoki. Przygotowywały się do regat.

Zapraagnęła być teraz w Bolinas. Pomyślała o psach, które trzeba będzie zabrać na spacer po plaży.

Wypuściła oba psy do ogrodu, zostawiając uchylone drzwi, żeby mogły wrócić, i wyciągnęła się leniwie na kanapie. Potem poszła do kuchni coś zjeść. Przez dwa dni, które spędziła tu do tej pory, nie miała czasu zrobić zakupów. Do wyboru były więc azjatyckie resztki z wczorajszego wieczoru albo gofry, które leżały w zamrażarce. Okazało się, że zapomniała schować wczorajsze resztki do lodówki. Pojemniki z azjatyckim jedzeniem nadal stały w zlewie. Zdecydowała się więc na gofry i włożyła je do kuchenki mikrofalowej. W lodówce znalazła butelkę syropu klonowego, a kiedy się obróciła, żeby postawić ją na stole, zobaczyła, że Jack stoi przy zlewie, opierając obie łapy o krawędź, i wyjada azjatyckie resztki, bez wątpienia uszczęśliwiony. Zanim to spostrzegła, zdążył pożreć prawie wszystko. Miała przeczucie, że wołowina na ostro mu nie posłuży, więc odpędziła go od zlewu. Zaszczekał i usiadł obok kuchennego stołu, nie spuszczać z niej oka, kiedy jadła. Sallie przycupnęła u jego boku, wyraźnie w nadziei, że skapnie jej jakiś kasek.

- Wiecie co? Zachowujecie się jak prosięta - zwróciła się do obojga Coco. Długie włosy miedzianej barwy opadały jej na plecy. Miała na sobie ulubioną koszulę nocną w serduszka i różowe wełniane skarpetki, bo nocą zawsze marzły jej nogi. Wyglądała jak dziewczynka, kiedy siedziała przy stole naprzeciwko obu psów, wpatrzonych w gofry, które tymczasem znikwały w jej ustach.

- Pycha! - powiedziała, przekomarzając się z Jackiem. Roześmiała się, gdy obracał głowę to w prawo, to w lewo, śledząc gofra w jej ręce. - Co? Jeszcze głodny? Zobaczysz, w końcu rozboli cię brzuch - ostrzegła go.

Skończyła gofra i podeszła do lodówki, żeby odstawić syrop klonowy. Kropla syropu zawisała na zewnętrznej krawędzi butelki i Coco pomyślała, że trzeba to wytrzeć. Jane na pewno by tak zrobiła. Ale ona uznała, że równie dobrze można odłożyć to na następny raz. Jane była za daleko, żeby zjawić się nagle i sprawdzić, czy w domu jest porządek. Coco chciała wziąć prysznic a potem pojechać do dwóch klientów, którzy byli w jej grafiku na dziś. Już miała odstawić do lodówki lepką butelkę syropu, niestety, jego zapach okazał się zbyt wielką pokusą dla Jacka. Pies skoczył dziko w jej stronę i pyskiem wytrącił butelkę z rąk. Upadła na granitową posadzkę, potłukła się, a słodki, pachnący syrop rozbryztał się po całej kuchni. Zanim zdążyła zatrzymać Jacka, rzucił się do kałuży syropu i zaczął zlizywać go, nie zważając na rozbite szkło. Coco usiłowała go odciągnąć, w Sallie nagle odezwał się instykt psa pasterckiego, więc zaczęła biegać wokół Jacka, głośno szczekając. Kiedy Coco ciągnęła Jacka za obrozę, pośliznęła się na rozlanym syropie, a Jack szarpnął i przewrócił ją. Siedziała w samym środku lepkiej kałuży, ale na szczęście się nie pokaleczyła. Jack szczekał na nią jak potępieniec, domagając się syropu, a ona musiała trzymać go jak najdalej od potłuczonego szkła. Nocna koszula i skarpetki nasiąkły syropem i nawet włosy były posklejane w jakiś nieodgadniony sposób. Wreszcie zdołała się podnieść i wypchnąć z kuchni szczekającego wniebogłosy bullmastiffa. Kiedy się wreszcie pozbierała, nagle zauważyła, że w kącie stoi jakiś mężczyzna i spokojnie się jej przygląda. W zamieszaniu nawet psy, otumanione zapachem syropu klonowego, nie wyczuły, że ktoś wszedł do domu. Teraz więc zaczęły ujadać ze wszystkich sił, jakby się chciały zrehabilitować, a nieznajomy cofnął się o krok. Coco próbowała je tymczasem uci-

szyć. Był to obraz absolutnego chaosu. Nieznajomy miał taką minę, jakby się czegoś przestraszył. Albo ujadających psów, albo miotającej się Coco. - Co pan tu robi? - spytała ostro i jednocześnie uważnie mu się przyjrzała. Nosił dżinsy, sweter z golfem i czarną skórzaną kurtkę. Nie wyglądał na włamywacza. Ale nie mogła zrozumieć, skąd się tu wziął.

Stała wciąż w kałuży klonowego syropu i patrzyła na niego pytająco, on zaś starał się nie śmiać z godnego cyrkowej areny zdarzenia, którego świadkiem był przed chwilą. Dziewczyna z rozwianymi kasztanowymi włosami odegrała rolę pogromczyni lwów, jej skarpety i nocna koszula były poplamione syropem, a wielki pies szamotał się w jej objęciach z dzikim skowytem, gdy ten mniejszy biegał wokół gorączkowo i szczełał. Przybysz mógł poczuć zapach syropu klonowego i zobaczyć go nawet w jej włosach, gdzie krople lśniły jak szklane paciorki. Nie mógł nie zauważyć, że jest piękna. Nie wyglądała na więcej niż osiemnaście lat.

- Stoczyłaś z psami walkę o pokarm? - spytał z wesołym błyskiem w oku. - Żałuję, że przyszedłem za późno. Uwielbiam takie rzeczy. Myślałem, że Jane uprzedziła cię o moim przyjeździe. Jestem czymś w rodzaju uchodźcy, zostanę tu przez parę dni.

Pokazał jej klucz, żeby udowodnić, że nie wszedł bez pozwolenia, a Coco wstrzymała oddech. To niemożliwe. Przecież Jane zapowiedziała kobietę. O nim nawet się nie zająknęła. Czyżby ta kobieta, znajoma Liz i Jane, podała mu kod? I nagle uprzytomniła sobie, że mówił z brytyjskim akcentem. Spojrzała na niego jeszcze raz i omal nie krzyknęła. To niemożliwe... To nie może być prawda. Chyba to sen. Przez ostatnie dwie noce oglądała go na wielkim ekranie w sypialni swojej siostry.

- O cholera... o mój Boże... To nie on... - *wyjąkała*. Ale teraz już nawet imię się zgadzało. Leslie. Leslie, ale rodzaju męskiego. Światowej sławy aktor Leslie Baxter, łamacz niewieścich serc i gwiazdor kina. Jak Jane mogła nie zawiadomić jej, że to on ma się u nich zjawić? Oblała się intensywnym rumieńcem i nie mogła od niego oderwać wzroku, kiedy uśmiechał się do niej tak samo jak na ekranie. Ze sto razy oglądała jego filmy, a teraz oto stał przed nią.

- Tak, obawiam się, że to ja - powiedział przeproszającym tonem i rozejrzał się wokół. Otaczało ją pobjowisko. - Chyba musimy coś z tym wszystkim zrobić.

Tylko kiwnęła głową, jakby na chwilę odebrało jej mowę, i znowu na niego patrzyła.

- Czy zechciałbyś zabrać psy na dwór? - spytała w końcu, machnąwszy w kierunku ogrodu. - Muszę tu posprzątać.

- Spróbuję - odparł z wahaniem. - Ale tak naprawdę to strasznie się boję psów. Jeśli weźmiesz to na siebie, znajdę hoovera i sam posprzątam. W tym, co powiedział, rozśmieszył ją raczej sam pomysł, niż to, że odkurzacz nazywał hooverem. Leslie był Brytyjczykiem, łan także nazywał odkurzacz hooverem. Ale żaden, nawet najlepszy odkurzacz próżniowy nie wciągnie lepkiego syropu.

- Lepiej nie - powiedziała i przywołała psy. Poszły za nią z ociąganiem, a on zamarł, kiedy go mijaly. Po chwili Coco była z powrotem - bez psów. Papierowymi ręcznikami zebrała szkło z podłogi. Zdjęła skarpetki, żeby się znowu nie przewrócić. Prawdziwy cud, że nikt się nie pokaleczył. Potem wytarła lepkie plamy nieskazitelnymi, śnieżnobiałymi, wydawałoby się, że fabrycznie nowymi ścierkami kuchennymi, w czym Leslie jej pomagał. Ubrudził trochę swoje solidne brązowe buty, za to ona była wy-

smarowana jak nieboskie stworzenie, co go rozbawiło, choć znowu starał się powstrzymać śmiech.

- Nie nadawałabyś się chyba na gosposię - zauważył przyjaźnie, gdy zrobili już spory kawał roboty i rósł stos zabrudzonych ścierek. - Jesteś koleżanką Jane i Elisabeth?

Rozmawiał z Jane, lecz nie wspomniała, że w domu ktoś będzie. Ale i Coco nie wyglądała na włamywaczkę. Wzięłyby ją raczej za Złotowłosą z bajki o trzech niedźwiedziach. Albo za przypadkowego, nieproszonego gościa. Może wyspała się tu wygodnie w tej śmiesznej nocnej koszuli w serduszka, a rano postanowiła zjeść solidne śniadanie, zanim przetrząśnie dom.

- Jane zleciła mi opiekę nad psem - wyjaśniła Coco. Gdy próbował jej pomóc zetrzeć krople lepkiego płynu z włosów, posklejały się jeszcze mocniej. Nie mógł przeoczyć jej niezwyklej urody, ale nie pokazał po sobie, że zrobiła na nim wrażenie. Sprana nocna koszula kleiła się do jej ciała, co wyglądało nadzwyczaj pociągająco.

- Uprzedziła mnie esemesem, że przyjedzie Leslie. Ale nie wspomniała, że to będziesz ty. Więc myślałam, że chodzi o którąś z jej przyjaciółek lesbijek. Zrozumiałam, że ukrywa się przed swoją niezrównoważoną byłą dziewczyną, niedoszlą samobójczynią. - Spojrzała na niego z nagłym zakłopotaniem, bo wiedziała już, że wymknęło jej się o jedno słowo za dużo, i tym razem zauważyła sporego siniaka na jego policzku. - Przepraszam cię... Nie powinnam była tego mówić. Po prostu myślałam, że ta Leslie to kobieta.

- Mnie nie wspomniała ani słowem, że ktoś tu będzie. - Teraz i on miał syrop we włosach. Włosy miał ciemnobrązowe, prawie czarne, a oczy bardzo niebieskie. Zdażył już zauważyć, że ona ma oczy zielone. - No, dobrze. To po części prawda. Ukrywam się przed byłą dziewczyną, niedoszlą samobójczynią. Tyle tylko, że nie jestem żadną

z lesbijek zaprzyjaźnionych z Elisabeth i Jane. - Znowu rzucił jej przepaszające spojrzenie. Po czym przyjrzał jej się z uwagą i zanim się powstrzymał, z ust wyrwało mu się pytanie: - A ty?

- Czy się przed kimś ukrywam? Nie. Przecież mówiłam ci już, jestem tu ze względu na psa. - Ale zorientowała się, że pytał o co innego. - Nie, nie należę do ich przyjaciółek lesbijek. Jestem siostrą Jane.

Ledwie to powiedziała, rzuciło mu się w oczy podobieństwo, choć styl Coco był tak bardzo odmienny, że nie zorientował się od razu. Jej widok go zadziwił, zwłaszcza kiedy ślizgała się w kałuży syropu klonowego w śmiesznej starej nocnej koszuli między dwoma rozszalałymi psami. Jej obecnością był oszołomiony tak samo jak ujadaniem psów. Niczego takiego się nie spodziewał, kiedy Jane powiedziała mu, że może spędzić parę dni w jej domu w San Francisco, który stoi pusty. Widocznie inaczej niż on rozumiała słowo „pusty”. W najmniejszym stopniu nie odpowiadało ono sytuacji, jaką tu zastał.

- Czym sobie zasłużyłaś na to, że powierzyły ci opiekę nad psem?

Był nią naprawdę zaintrygowany. Kuchnia wyglądała już znacznie lepiej, choć jego buty wciąż kleiły się do podłogi.

- W naszej rodzinie odgrywam rolę czarnej owcy - wyjaśniła z trochę zawstydzoną miną. Roześmiał się. Wydawała się bardzo młoda. I była wyjątkowo piękna. Starał się nie gapić za bardzo na oblepiającą jej ciało nocną koszulę.

- A co czarna owca ma na sumieniu? Za dużo pije? Zażywa koks? Zadaje się z niewłaściwymi facetami? Wyleciała ze szkoły?

Wyglądała na końcówkę liceum, ale jego zdaniem mogła być młodsza.

- Gorzej. Rzuciłam studia prawnicze, a to najcięższe wykroczenie. Zostałam zawodową opiekunką do psów. Mieszkam w małym miasteczku na wybrzeżu. W rodzinie uważają mnie za hipiskę, wyrzutka społeczeństwa i „osobę notorycznie osiagającą wyniki poniżej swoich możliwości”.

Uśmiechnęła się, kiedy to mówiła, bo po serii jego pytań, zadanych z humorem, nagle poczuła, że może powiedzieć mu prawdę. I nawet zrobiła to z ochotą.

- To jeszcze nic strasznego. Studia prawnicze są okropnie drętwe. Opiekunka do psów to niesłychany pomysł. Gratuluję odwagi. Ja też jestem w swojej rodzinie czarną owcą. Rzuciłem college, żeby pójść do szkoły aktorskiej. Mój ojciec był wściekły. Ale teraz zarabiam o wiele więcej forsy, niż gdybym pracował w banku, więc w końcu mi wybaczył. Musisz ich po prostu przetrzymać, to trochę potrwa. Może by pomogło, gdybyś ich postraszyła, że napiszesz o nich książkę i rozgłosisz wszystkie tajemnice. Albo sprzedasz prasie zdjęcia, jakie zrobiłaś im w kłopotliwych okolicznościach. Mały szantaż czasem pomaga. Nie widzę, co może być złego w tym, że mieszkasz w małym miasteczku nad oceanem. Ludzie płacą fortuny za domy w Malibu, i to uchodzi za oznakę prestiżu, wszyscy im zazdroszczą. Nie jesteś zbyt przekonywająca w roli czarnej owcy, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- W ich oczach jak najbardziej - zapewniła go.

- Co do hipiski... Trudno ocenić, czy to nieprawda - wskazał palcem nocną koszulę, i dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że trykot przykleił się do ciała, uwydatniając kształty, jakby nic nie miała na sobie. - Może powinnaś to zdjąć i włożyć coś, w czym spacerujesz z psami - zasugerował dyskretnie. - A ja tymczasem wezmę mopa i zmyję z podłogi to świństwo.

Zaczął otwierać szafki i w jednej z nich znalazł mopa.

Odwróciła się do niego z uśmiechem. Miał sympatyczne poczucie humoru, a kiedy na nią patrzył, wydawał się nawet trochę nieśmiały. Nie był podobny do tych wszystkich gwiazdorów filmowych, których przypadkiem poznała.

- Zjesz śniadanie? - spytała uprzejmie. Roześmiał się.

- Jeśli masz w domu cokolwiek, czego się nie polewa syropem. Zdaje się, że właśnie skończyłaś jeść. A co jadłaś, jeśli wolno spytać?

- Gofry - rzuciła przez ramię już w progu.

- Szkoda, że się nie załapałem.

- W lodówce znajdziesz pół główki sałaty. Znowu się roześmiał.

- Nie ma co się z tym śpieszyć. Zjem później. Najpierw zrobię zakupy.

Przyniosę ci więcej tego syropu.

- Będę ci wdzięczna - odparła, gdy nalewał wodę do wiadra.

Czmychnęła na górę, znacząc drogę do sypialni lepkimi śladami stóp.

Kiedy po paru minutach wróciła, miała na sobie T-shirt, dżinsy i buty do biegania. Włosy były teraz mokre, bo umyła je pod prysznicem. On zdążył już zaparzyć sobie kawę, którą jej także zaproponował, ale nie chciała.

- Piję tylko herbatę - oświadczyła.

- Żadnej herbaty tu nie znalazłem.

Usiadł przy stole. Wydawał się zmęczony. Wyglądał, jakby miał za sobą ciężkie chwile, a siniak na jego policzku był całkiem świeży.

- Nie mamy już w ogóle nic. Zrobię zakupy w drodze powrotnej. Teraz jadę do pracy. Ale w soboty mam tylko dwa psy do wyprowadzenia.

Patrzył na nią zafascynowany, kiedy powiedziała mu, że pracuje tak samo, jak zaklinacze węży.

- Zostałaś kiedyś ukąszona? - spytał z respektem.
 - Przez trzy lata tylko raz, przez rozwścieczonego chi-chuahua. Duże psy są z reguły łagodne.
 - Nie wiem nawet, jak masz na imię. Twoja siostra powinna była mnie zapowiedzieć.
 - Matka dała nam imiona swoich dwóch ulubionych pisarek. Moja siostra ma imię po Jane Austen. A ja po Colette, ale nikt tak do mnie nie mówi. Wszyscy nazywają mnie Coco.
- Wyciągnęła do niego rękę, którą uścisnął, oczarowany. Była uroczą dziewczyną.
- To imię pasuje do ciebie.
 - Lubię twoje filmy.
- Powiedziała to cicho, i od razu pomyślała, że to strasznie głupio brzmi. W swoim życiu poznała parę setek sławnych ludzi, wśród nich wielu aktorów, nawet gwiazdy pierwszej wielkości, ale kiedy siedziała z nim przy kuchennym stole, czuła się onieśmielona i niepewna siebie, właśnie dlatego, że tak często oglądała jego filmy i tak bardzo je lubiła. Był jej ulubionym aktorem, miała do niego słabość już od dawna. Zachowałaby się jak idiotka, gdyby przy jakiejś publicznej okazji zaczęła mu o tym opowiadać. Ale siedzieli przy stole w domu jej siostry i to było zupełnie co innego. Teraz mogła traktować go jak żywego człowieka, nie jak kogoś, kogo ogląda się tylko na ekranie.
- Dziękuję - odrzekł uprzejmie. - Bardzo mi miło. Niektóre z moich filmów są okropne, ale jest też kilka całkiem przyzwoitych. Nigdy ich nie oglądam. Czułbym się strasznie zażenowany. Zawsze wydaje mi się, że głupio wyglądam, a to, co mówię, brzmi kiepsko.
 - Po tym się właśnie poznaje wielkich aktorów - odparła z przekonaniem.
 - Tak uważał mój ojciec. Lawrence Olivier też nigdy nie był z siebie zadowolony.

- Zawsze to jakieś pocieszenie.

Popatrzył na nią zmieszany znad filiżanki kawy. Po kilku bezsennych nocach, które zawdzięczał swojej eksnarze-czonej, był zupełnie wykończony i teraz marzył tylko o tym, żeby położyć się do łóżka i zasnąć, ale nie chciał być niemiły. - Znałaś go?

- Był zaprzyjaźniony z moim ojcem.

Wiedział, kim był jej ojciec. Musiał też wiedzieć, kim jest matka, skoro znał Jane. I mógł sobie wyobrazić, jak bardzo nie podobała się jej rodzinie ta praca w charakterze opiekunki do psów oraz adres w małym miasteczku zamieszkiwanym przez hipisów. Ale mógł także bez trudu zrozumieć, co ją popchnęło do takiego wyboru. Jej rodzina to ludzie, którym trudno dorównać. Lubił Jane, ale ona była twardą babą. A ta dziewczyna o kasztanowych włosach i zielonych oczach wydawała się ulepiona z zupełnie innej gliny. Była łagodniejsza z natury. Widział to w jej spojrzeniu, poznawał po zachowaniu.

Coco zauważyła, jak bardzo jest zmęczony, więc zaproponowała, że zaprowadzi go do jego pokoju. Przyjął to z wdzięcznością. Weszli razem na piętro, gdzie otworzyła mu najlepszy pokój gościnny, właściwie apartament. Elisabeth sypiała tu czasem, kiedy do późna pracowała nad jakimś scenariuszem. Pokój był duży i piękny, z cudownym widokiem na zatokę, ale Leslie widział tylko łóżko, nic innego go nie nęciło. Marzył o prysznicu, a potem chciał spać choćby sto lat, i nawet powiedział jej coś w tym rodzaju.

- Wracając, zrobię zakupy, żebyś miał co jeść, kiedy wstaniesz - powiedziała.

- Dzięki. A więc teraz pod prysznic i spać. Cześć. Pomachała mu na pożegnanie i zbiegła ze schodów. Zanim wyszła, wpuściła do domu psy, po czym zamknęła

drzwi za sobą i wskoczyła do starej furgonetki. Patrzył na to przez okno, uśmiechając się do siebie. Jakaż z niej była miła, wesoła, bezpretensjonalna dziewczyna. I jak dobrze było spotkać kogoś takiego po tym koszmarze, który dopiero co przeżył. Była jak ożywczy powiew świeżego powietrza.

ROZDZIAŁ TRZECI

Coco pojechała po psy, które wyprowadzała na spacer w soboty - po pudła i pekińczyka. Po spacerze wstąpiła do supermarketu i zrobiła większe zakupy, żeby w domu niczego nie brakowało. Mogła przeżyć na sałacie i chińskim jedzeniu zamawianym przez telefon. Często się tak żywiła przez ostatnie dwa lata, ale obecność tego faceta, gościa siostry, nakładała na nią obowiązek zadbania o nieco solidniejszy jadłospis. Sądziła, że właśnie tego oczekuje od niej Jane. Tym bardziej że Leslie Baxter okazał się miłym człowiekiem. Wciąż jeszcze nie mogła się przyzwyczaić do myśli, że przez kilka dni będą mieszkali pod jednym dachem, i żałowała, że Jane nie uprzedziła jej, kogo naprawdę ma na myśli, kiedy zapowiadała anonimową osobę ukrywającą się przed nią dziewczyną. Skąd Coco miała wiedzieć, kto to będzie? Ale Leslie ożywi atmosferę tego domu przynajmniej przez kilka dni swojego pobytu, choć z drugiej strony, ze względu na jego fobię na punkcie psów, nie będzie mogła zostawić Jacka pod jego opieką, żeby wyskoczyć do Bolinas. Było około trzeciej, kiedy wróciła z zakupami, weekendowym wydaniem gazety i paroma tygodnikami specjal-

nie dla niego. Czuła się w obowiązku zachowywać jak gospodyni, nie jak gosposia, choć jego wizyta rozpoczęła się dość kłopotliwie od rozlanego syropu i potłuczonego szkła. Była zaskoczona tym, jak dobrze jej się z nim rozmawiało i jak chętnie pomagał w sprzątaniu.

Dom był dziwnie cichy, kiedy weszła. Przypuszczała, że on jeszcze się nie obudził, a psy najwyraźniej zaszyły się gdzieś i też śpią. Spokojnie rozpakowała w kuchni zakupy i aż podskoczyła, kiedy wszedł. Miał na sobie czysty biały T-shirt i dżinsy, a do tego bardzo eleganckie, niesłychanie brytyjskie brązowe zamszowe buty. I miał tylko dwie pary - markowe sandały i buty do biegania. Nie potrzebował niczego więcej. Wszystko, co robił, działo się na świeżym powietrzu, a ona brała w tym udział razem z nim. Jej matka nosiła wyłącznie pantofle na dziesięciocentymetro-wym obcasie. I Coco dałaby głowę, że te obcasy są z roku na rok wyższe.

- Już wstałeś? - spytała, kończąc chować zakupy, i spojrzała na niego z uśmiechem.

- W ogóle nie spałem - odparł ponuro. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Coś się stało?

- Ktoś mnie wyrzucił z pokoju.

Poprosił ją, żeby z nim poszła, więc ruszyła schodami na piętro do jego pokoju, trochę zaniepokojona. Czyżby Jane, nie uprzedzając jej, zaprosiła jeszcze kogoś, i ten ktoś zajął pokój Leslie'ego? Ale roześmiała się, gdy tylko zajrzała do pokoju gościnnego. To Jack rozwalił się na łóżku, kiedy Leslie był pod prysznicem. Łeb położył na poduszce, wyciągnął się niemal na całą długość i smacznie chrapał. Sallie nie było nigdzie w zasięgu wzroku, a Jack rozpanoszył się, jakby był u siebie.

- Nie miałem ochoty z nim dyskutować. Wycofałem się.

Zajrzałem z ciekawości do twojego pokoju, a tam w łóżku spał drugi pies.

- To moja suka - wyjaśniła z uśmiechem Coco. - A on jest panem tej rezydencji. Nazywa się Jack. Moja siostra nie pozwala mu sypiać w łóżkach. Jack śpi tu tylko wtedy, kiedy ja z nim jestem.

Podeszła szybko do łóżka, obudziła wielkie bydlę klepieniem w zad i bez ceregieli wyciągnęła z pościeli. Jack miał bardzo nieszczęśliwą minę. Nie podobało mu się, że w taki sposób przzerwano mu miłą drzemkę. Jak niepyszny opuścił pokój i poszedł do sypialni swojej pani, żeby położyć się obok Sallie.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Wiem, że padasz z nóg.

- Zdrzemnąłem się przez chwilę na kanapie. Ale kanapa oczywiście nie jest wygodnym legowiskiem. Ostatniej nocy spałem w samochodzie. A przedwczoraj ukrywałem się u kolegi. W Los Angeles zrobiło się za ciasno dla nas obojga, dla mnie i dla niej. Ona świruje - dodał, bezwiednie dotknąwszy siniaka na policzku. - Jest wielką gwiazdą. I dysponuje piekielnie silnym prostym. Gra w filmach akcji. - Coco wiedziała z kolorowej prasy, o kogo chodzi, ale doceniła delikatność, z jaką przemilczał nazwisko kobiety. Był prawdziwym dżentelmenem. - Pół roku temu wynająłem komuś mój dom. Na rok. Zamieszkałem z nią. Teraz muszę poszukać sobie mieszkania. Jak tylko się pozbieram. Jeszcze nigdy w życiu nie wpakowałem się w coś tak szalonego.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Pierwszy raz załatwiła mnie kobieta. Omal mnie nie zabiła. Rzuciła we mnie suszarką do włosów. A kiedy na dodatek zagroziła mi bronią, zrozumiałem, że trzeba zwijać żagle. Nie należy dyskutować z wariatką, która trzyma

palec na spuście. Przynajmniej ja staram się tego nigdy nie robić.

Wydawał się bardzo poruszony, kiedy o tym opowiadał. Uśmiechnęła się.

- Co ją tak wkurzyło? - spytała ostrożnie. Wszystko, co słyszała, było bardziej emocjonujące niż jej własne życie, w dodatku trudne do wyobrażenia, Ian był najłagodniejszym człowiekiem świata, i nawet kiedy się kłócili, oboje pozostawali uprzejmi. Utarczki były nieszkodliwe i szybko się kończyły. Przeszła przez kilka związków, zanim go poznała, ale i one nie kończyły się totalną katastrofą. Słyszała jednak od ojca o niezliczonych okropnych historiach, jakie przydarzyły się jego sławnym klientom, nękanym przez natrętów i psychopatów.

- Sam tego nie rozumiem - odparł Leslie. - Chciała wiedzieć, z którymi aktorkami z moich filmów umawiałem się poza planem, a potem zaczęła szaleć z zazdrości, choć mówiłem jej, że te wszystkie historie już dawno się skończyły. Oskarżała mnie, że tylko czekam, żeby wdać się w następną historię z nową partnerką z planu, i w końcu zaczęła się zachowywać, jakby była niespełna rozumu. Ona lubi zaglądać do kieliszka. I trochę za dużo wypija. Zadzwoiła na moją komórkę i powiedziała, że zamierza mnie zabić. Uwierzyłem jej. Dlatego wyjechałem.

- Może będzie lepiej, jeśli zostaniesz tu na dłużej niż tylko przez weekend - powiedziała Coco z przejęciem, choć to, co opowiedział, wyglądało na dość typowy przypadek hollywoodzkiego szaleństwa, które zawsze wydawało jej się odrażające. Nie zniosłaby takiego życia. Cena, jaką płacono za sławę, była dla niej stanowczo zbyt wysoka. - Broń źle się komponuje z alkoholem - dodała.

Kiwnął głową. Na razie nie miał jeszcze pojęcia, co dalej robić.

Zadzwoił do Jane, żeby powiedzieć jej o swoich

kłopotach, dlatego że Jane знаła tę kobietę i kiedyś z nią pracowała. Pytał Jane o jej opinię na temat swojej byłej narzeczonej - do jakiego stopnia może być szalona albo niebezpieczna. Jane poradziła mu, żeby zostawił swojego dodge'a w Los Angeles i przyleciał do San Francisco. Pomysł mu się spodobał. Leslie nie chciał spotkać tej kobiety nawet przypadkiem, a w Los Angeles było o to nietrudno. Zdaniem Jane, mogła być groźniejsza, niż się obawiał.

- Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego - powiedział zawstydzony. - Moje wcześniejsze związki kończyły się bez awantur. Żyję w przyjaźni z tymi kobietami. Żadna z nich nie miała zamiaru zrobić mi krzywdy, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo - dorzucił niepewnym tonem.

- Zawiadomiłeś policję? Potrząsnął głową.

- Nie mogę. Jeśli to zrobię, sprawa trafi do tabloidów, a to tylko pogorszy sytuację.

- Mojemu ojcu groził kiedyś śmiercią jeden z jego klientów, szaleniec. Byłam wtedy małą dziewczynką. Zawiadomił policję i dostał ochronę. Pilnowali go dzień i noc przez jakiś czas. Strasznie się bałam, że ten człowiek go zabije. Śniło mi się to po nocach przez długie lata.

- No tak, ale prawdopodobnie nie była to dla niego bliska osoba. A takie historie jak moja tabloidy po prostu uwielbiają. Nie chcę być w nic takiego wrabiany. Jej także nie chcę wrabiać. Teraz akurat mam przerwę między dwoma filmami. Więc mogę wyjechać na jakiś czas. Na przykład do Nowego Jorku, nawet na parę miesięcy. Mam wolne aż do października.

- Ale w Nowym Jorku ona może cię odnaleźć bez trudu. A moja siostra wraca najwcześniej za pół roku. Zostań tu tak długo, jak chcesz. A ta kobieta tymczasem się uspokoi.

- Obawiam się, że bez lóbotomii to niemożliwe. Jedyna

nadzieja, że przerzuci swoje obsesje na kogoś innego. Zamierzam zadekować się w miejscu, którego by nie wymyśliła. Nie byłem w San Francisco od dwudziestu lat. Z Jane zawsze spotykałem się w Los Angeles. Kiedyś kręciliśmy razem film.

O tym Coco wiedziała, choć nigdy go nie spotkała u Jane. Pamiętała jednak, że od dawna byli przyjaciółmi.

- Tu jesteś bezpieczny. Wyrzuciliśmy Jacka z łóżka, więc się prześpij - powiedziała z uśmiechem. Jego sytuacja była naprawdę nieprzyjemna. Bardzo się nią przejęła.

Leslie podziękował jej za pomoc. Zamknął drzwi. Ona zamknęła swoje. Oba psy chrapały w najlepsze w jej łóżku. Włączyła telewizję, ścisząc dźwięk. Zdrzemnęła się, a około ósmej zeszła na dół, żeby przygotować coś na kolację. Wyjęła z lodówki gotową porcję sushi i przyrządziła sałatę. Jadła, przeglądając weekendowe wydanie gazety, gdy Leslie wszedł do kuchni, zaspany, ale wyraźnie bardziej wypoczęty niż przed paroma godzinami. Ziewnął i rozsiadł się przy stole. Byli jak dwoje rozbitków na bezludnej wyspie. W domu panował spokój. Życie było tu łatwe i przyjemne. Zaczynał się sobotni wieczór, na które żadne z nich nie miało planów.

- Chcesz to samo? - wskazała swój talerz, a kiedy kiwnął głową, wstała, by wyjąć dla niego z lodówki drugą porcję sushi. Zerwał się natychmiast, żeby jej pomóc.

- Mną nie zawracaj sobie głowy, ja tu jestem intruzem. Miło z twojej strony, że zrobiłaś zakupy. Następnym razem moja kolej.

Rozmawiali jak dwoje dobrze wychowanych lokatorów wspólnie wynajmowanego mieszkania. Był Anglikiem w każdym calu, dobre maniery leżały w jego naturze. Sam wyjął swoją porcję sushi, Coco podała mu talerz, na który nałożyła porcję sałaty, za co uprzejmie podziękował.

- Z jakiego hrabstwa pochodzisz? - spytała podczas kolacji.
Jack nie spuszczał z nich zaintrygowanego spojrzenia. Sallie wyczuła zapach ryby. Nie lubiła ryb, więc wróciła do łóżka.

- Z małego miasteczka pod Londynem. Pierwszy raz pojechałem do Londynu jako dwunastolatek. Mój ojciec był pocztowcem, a mama pielęgniarką. Byłem wychowywany jak inne dzieci z klasy średniej, miałem całkiem zwyczajne życie. Rodzice byli wstrząśnięci, kiedy się dowiedzieli, że zamierzam zostać aktorem. Naprawdę się tego wstydzieli, przynajmniej na początku. Ojciec chciał, żebym został nauczycielem, bankowcem albo lekarzem. Ale mdlałem na widok krwi. A praca w szkole wydawała mi się strasznie nudna. Więc wziąłem kilka lekcji. Zacząłem od ćwiczeń z Szekspira. Wychodziło mi to okropnie - uśmiechnął się. - Dobra ta sałata. Nie mamy czasem syropu? - zażartował.

- Owszem, mamy. Kupiłam. I gofry też.

- Wspaniale. Jutro przygotuję śniadanie. A ty? Kim chciałaś zostać, kiedy dorośniesz? - spytał i zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nigdy tego nie wiedziałam. Wiedziałam tylko tyle, że nie chcę żyć tak jak moi rodzice. I nie chciałam pracować dla filmu, jak moja siostra. To było jej marzenie. Ona zawsze osiąga to, czego pragnie, ale mnie to nie pociągało, nie widziałam w tym nic ciekawego. Nigdy też nie lubiłam pisać. Może kiedyś przez pięć minut chciałam zostać plastyczką. Ale chyba nie wystarczyłoby mi talentu. Trochę malowałam akwarelami, nic szczególnego. Sceny z życia wybrzeża, martwe natury. W college'u miałam w programie historię sztuki. Może powinnam wybrać takie studia. Odpowiadałaby mi praca w szkole albo na uczelni. Ojciec

zmusił mnie jednak, żebym zaczęła studia prawnicze. Uważał, że to najlepszy punkt wyjścia do wszystkiego, cokolwiek chciałabym potem robić. Ale zamierzał po prostu wciągnąć mnie do swojej branży jako agentkę filmową. Nie miałam na to najmniejszej ochoty. I nie znosiłam studiów prawniczych. Wykładowcy nie mieli dla nikogo czasu a studenci byli złośliwi, nastawieni na rywalizację i znerwicowani. Trwała tam walka na śmierć i życie. Przez całe dwa lata byłam tym przerażona i bez przerwy płakałam. Tak przerażona, że chciałam uciekać. Wtedy umarł ojciec. Po jego śmierci uciekłam naprawdę.

- A potem?

- Od razu poczułam się lepiej - posłała mu uśmiech nad stołem. - Byłam wtedy z chłopakiem. Moi rodzice go nie akceptowali. On też porzucił studia prawnicze, tyle że w Australii. Lubił sport i życie na świeżym powietrzu. Otworzył szkołę dla płetwonurków. Przeprowadziliśmy się na wybrzeże. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa jak wtedy. Przyszedł mi do głowy pomysł na tę psią firmę, żeby czymś się zająć, a teraz, po trzech latach, robię to nadal. Ta praca dobrze mi idzie. Mieszkam więc na wybrzeżu i robię to, na co mam ochotę. Cały mój dom jest mniejszy niż ta kuchnia. Moja matka nazywa go budą. A ja go bardzo lubię.

- A co z tym Australijczykiem od szkoły płetwonurków? - zapytał Leslie. Skończył jeść sałatę i czekał na odpowiedź, odchylony do tyłu, patrząc jej w oczy. Wyglądała na szczęśliwą kobietę, może z wyjątkiem tych chwil, kiedy przypominały jej się studia prawnicze. - Dalej z nim jesteś?

- Nie - powoli pokręciła głową.

- No to szkoda. Bo oczy ci się świeciły, kiedy o nim mówiłaś.

- Był wspaniałym facetem. Mieszkaliśmy razem przez dwa lata. Miał wypadek. Nie żyje.

Leslie popatrzył na nią uważniej. Posmutniała, ale nie wydawała się załamana. Wydawało mu się, że zdążyła się już z tym pogodzić.

Zaskoczyła go tym i wzbudziła jego współczucie. Ale ona się nad sobą nie rozczulała.

- Wypadek drogowy?

- Zginął na lotni. Poryw wiatru rzucił go na skały. Spadł na ziemię z dużej wysokości. To się stało ponad dwa lata temu. Z początku było mi bardzo ciężko. Ale takie rzeczy się zdarzają. Po prostu nie mieliśmy szczęścia. Zamierzaliśmy się pobrać i wyjechać na stałe do Australii. Myślę, że podobałoby mi się tam.

- Pewnie tak - przytaknął Leslie. - Sydney to nie San Francisco.

- On mówił to samo. Pochodził z Sydney. Ale nigdy tam nie pojechaliśmy. Widocznie nie było nam pisane.

Zabrzmiał w tych słowach filozoficzny spokój. Podziwiał ją za to. Nie było w tej dziewczynie nawet cienia ckliwości.

- A potem? Był jeszcze ktoś? - Nie mógł się powstrzymać od tego pytania. Znowu uśmiechnęła się do niego nad stołem - był to przecież Leslie Baxter we własnej osobie w kuchni jej siostry Jane. Sytuacja tak dziwna, że aż śmieszna. Leslie Baxter wypytujący o jej życie uczuciowe. Kto by pomyślał?

- Kilka randek zaaranżowanych przez moich przyjaciół. Z dość nudnymi facetami. Jakiś rok temu spróbowałam raz i drugi, żeby rodzina i przyjaciele przestali mi wiercić dziurę w brzuchu. Chyba nie było warto. A może wtedy jeszcze do tego nie dojrzałam. Przez ostatnie pół roku dałam sobie z tym spokój. Trudno jest zaczynać od początku z kimś innym. Bo naprawdę pasowaliśmy do siebie idealnie.

- Nie wyglądasz na osobę, do której trudno się dopasować - zauważył rzeczowo. - Chodziłem kiedyś z dziewczyną, która miała tę samą zaletę. Była fantastyczna.

Przez chwile jego wzrok był rozmarzony.

- Co się z nią stało?

- Byłem za młody i za głupi. Moja kariera dopiero się rozkręcała.

Zamierzałem wyjechać na jakiś czas do Hollywood, żeby zagrać w filmie. Ona została w Anglii. Chciała, żebyśmy założyli rodzinę i mieli dużo dzieci. Zanim zrozumiałem, że miała słuszość, rzuciła mnie i wyszła za kogoś innego. Ale przedtem czekała cierpliwie przez ponad trzy lata, dłużej, niż na to wtedy zasługiwałem. Ma teraz piątkę dzieci, mieszka w Sussex. Bardzo ją lubię. Była jeszcze jedna wspaniała dziewczyna w moim życiu. Nie ożeniłem się z nią, ale mamy córeczkę. Monica zaszła w ciążę w okresie, kiedy ten związek nam spowszedniał i nie było w nim już energii. Zdecydowała się urodzić dziecko. Odniosłem się do tego z rezerwą. Ale to ona miała rację. Związek padł, ale to, że jest na świecie Chloe, moja córka, to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała w życiu.

- Gdzie mieszkają?

Coco była zaskoczona. Żył życiem prawdziwego hollywoodzkiego gwiazdora, z narzeczoną, która go chciała zastrzelić, z mnóstwem romansów, miał nieślubne dziecko, a przy tym wydawał się absolutnie normalnym facetem, chodzącym twardo po ziemi. Choć może tylko grał takiego? Poznała wielu szalonych aktorów, z którymi pracował ojciec. Niektórzy nawet sprawiali wrażenie normalnych, lecz wcale tacy nie byli. Zawsze w końcu okazywali się narcystycznymi szaleńcami, takimi samymi jak cała reszta. Ojciec ostrzegał ją, że nie warto umawiać się na randki z aktorami. Ale Leslie był inny. Zachowywał się jak żywy człowiek i przynajmniej na razie nie dostrzegła w nim ani

śladu egotyzmu czy arogancji. Potrafił przyznać się do własnych błędów, nikogo nie oskarżał, jeśli pominąć tę ostatnią historię, ale tu wina chyba nie leżała po jego stronie. Wariatek nie brakuje, zwłaszcza w świecie, w którym się obracał.

- Chloe mieszka z matką w Nowym Jorku - wyjaśnił. - Jej matka jest aktorką w liczącym się teatrze na Broadwayu. I jako matka sprawdza się zaskakująco dobrze. Trzyma Chloe z daleka od świateł rampy.

Spotykamy się dwa, trzy razy w roku. Przyjeżdżam do Nowego Jorku, gdy mam trochę luzu. Mała ma sześć lat i jest najbardziej uroczym stworzeniem na świecie. - Pękał z dumy, kiedy mówił o dziecku. - Jej matka i ja nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Czasem się zastanawiam, czy byłoby tak, gdybyśmy się pobrali. Obawiam się, że nie. Ona zawsze jest taka poważna i jakby trochę smutna. Po naszym rozstaniu miała romans z żonatym politykiem. Wszyscy o tym wiedzieli, choć oni się nie afiszowali. A potem przewinęło się przez jej życie kilku bardzo bogatych i wpływowych facetów. Pewnie byłem dla niej zbyt nudny. I może nie dość dojrzały. Mam czterdzieści jeden lat, i myślę, że już najwyższy czas dorosnąć. Wstyd przyznać, ale obawiam się, że należę do tak zwanych wiecznych chłopców. Aktorzy z reguły są właśnie tacy. Trochę zepsuci.

Była poruszona otwartością, z jaką to wyznał.

- Mam dwadzieścia osiem lat - powiedziała z zażenowaniem - i nigdy jeszcze się nie zastanawiałam, kim bym chciała zostać. Jako dziecko zamierzałam być hinduską księżniczką. Ale kiedy do mnie dotarło, że to niemożliwe, nie wpadłam już na żaden inny, równie pociągający pomysł. - Miała tak zawiedzioną minę, że mimo woli się roześmiał. - Więc cieszę się takim życiem, jakie mam. Na razie odpowiada mi wyprowadzanie psów na spacer. I na-

wet jeśli to oburza moją rodzinę, jestem całkiem zadowolona ze swojego życia.

- Tylko to się liczy - odpowiedział łagodnie. - Czy rodzina próbuje cię do czegoś zmusić?

Znał Jane i wiedział coś niecoś o ich matce, więc zaczął się domyślać, że tak właśnie jest. Roześmiała się głośno.

- Żartujesz? Dla nich jestem totalnym niewypałem, katastrofą. Obie mają wielkie osiągnięcia w swoich zawodach. Kiedy Jane była w moim wieku mogła się już pochwalić nominacją do Oscara. Odkąd przekroczyła trzydziestkę jej filmy biją rekordy sukcesów kasowych. Mój ojciec zaczął od zera i stworzył agencję, która reprezentowała wszystkich najważniejszych aktorów Hollywoodu. A ja sobie spaceruję z psami. Wyobraź sobie, czym to jest dla matki i Jane. Matka wyszła za męża, mając dwadzieścia dwa lata. Jane związała się z Elisabeth kiedy miała dwadzieścia dziewięć. A ja się ciągle czuję, jakbym miała piętnaście lat i chodziła do średniej szkoły. Nie zależy mi nawet na zaproszeniach na szkolne bale. Wystarcza mi życie w domku na wybrzeżu w towarzystwie psa.

Pomyślał, że wyszłaby za męża, gdyby Australijczyk nie zginął, Lecz nic nie powiedział. Ale Coco też o tym pamiętała.

- Pochodzę z rodziny ludzi sukcesu. Ale wygląda na to, że zaraz po urodzeniu podmienili mnie w szpitalu. W jakiejś małej miejscinie na wybrzeżu żyje miła, spokojna rodzina, która byłaby ze mnie zadowolona i uważałaby, że spacerowanie z psami są w porządku. I nic by sobie nie robiła z tego, że nie wyszłam za męża. Ci ludzie musieli się męczyć z dziewczynką, która chciała zostać neurochirurgiem albo hollywoodzką agentką filmową, i pewnie nie mogli pojąć, dlaczego to spadło akurat na nich. A ja, wychowując

się w mojej rodzinie, zadawałam sobie takie samo pytanie: dlaczego to spadło akurat na mnie.

Było to najbardziej osobiste wyznanie, na jakie kiedykolwiek się zdobyła, jeśli pominąć jej rozmowy z Ianem. Tym dziwniejsze, że dopiero wczoraj poznała Leslie'ego, a w dodatku tym był zaprzyjaźniony z Jane, co trochę ją niepokoiło. Dostrzegł ten niepokój w jej oczach.

- Nie bój się, na pewno nie powtórzę nic Jane. Możesz być spokojna - zupełnie jakby potrafił czytać w jej myślach.

- Jesteśmy tak różne - powiedziała Coco ze łzami w oczach, strasznie nimi zakłopotana i zawstydzona. - Wychodzą mi już uszami jej ciągłe pouczenia. Wszystko robię źle i nie jestem taka, jak być powinnam. To jej i mamie w jakiś dziwny sposób poprawia nastrój. Czują się wtedy ważniejsze. Moja siostra lubi wziąć pod lupę całe moje życie. Bo miałam własne życie, choć nie chcą mi tego przyznać. Jane jest porządnym człowiekiem i kocham ją, ale potrafi być bardzo gruboskórna.

Pokiwał głową.

- Wiem o tym. Być może powinnaś zacząć używać słowa „nie” - powiedział, a Coco znowu się roześmiała i ręką T-shirta otarła oczy. Starał się nie patrzeć na różowy stanik, który miała pod spodem. Nie miała pojęcia, że go odsłoniła i dlatego uśmiechnął się do siebie. W pewnym sensie naprawdę była dzieckiem. To w niej bardzo polubił. Była tak prostolinijna i prawdomówna, tak łagodna i uprzejma.

- Przez całe życie usiłuję się tego nauczyć. Dlatego mieszkam w Bolinas. Teraz nieco łatwiej się porozumieć. Ale kiedy przychodzi co do czego, spójrz, kto pilnuje jej domu i psa.

- Pewnego dnia zaskoczysz sama siebie i narzucisz im

respekt - powiedział. - Stanie się to, kiedy nadejdzie czas. A Jane jest uparta i mnie też nie przychodzi łatwo sobie z nią poradzić. Jest bardzo silną osobowością i kobietą trudną na wiele sposobów. Bardzo ją lubię i cenię jej talent. Elisabeth też jest utalentowana, ale ma o wiele więcej łagodności, wpływa łagodząco na charakter Jane... Przynajmniej próbuje. - Jane jest bardzo podobna do naszego ojca. Jest bezceremonialna i bezpośrednia jak on. Matka chętniej ucieka się do manipulacji. Na przykład zaczyna płakać. - I znowu rzuciła mu zawstydzone spojrzenie ponad stołem. - Zdaje się, że mnie też się to zdarza... Przepraszam. Nie powinnam cię zasypywać swoimi ponurymi historiami o ucieczce od sławnej hollywoodzkiej rodziny do budy w Bolinas. Nie miałam trudnego życia.

- Twoje historie nie są ponure - odparł - oprócz tej jednej, która dotyczy twojego Australijczyka. Ta rzeczywiście jest smutna. Ale jesteś młoda, masz przed sobą całe długie życie, więc jeszcze zdążysz odkryć, co naprawdę chcesz robić i zdążysz spotkać właściwego człowieka.

Wygląda na to, że tymczasem całkiem dobrze się bawisz. To godne pozazdroszczenia, jeśli chcesz znać moje zdanie. Uważam, że postępujesz bardzo rozsądnie. No, ale im to się nie podoba. Moi rodzice też są ze mnie wciąż niezadowoleni. Martwią się, że nie założyłem rodziny i pewnie mają sporo racji. Kochają Chloe, ale chcieliby, żebym się ożenił. Żebym miał czwórkę dzieci i zamieszkał w Anglii razem z nimi, bo tam jest, ich zdaniem, moje miejsce. To ich pomysł, nie mój. Za te hollywoodzkie sprawy płaci się bardzo drogo. I w którymś momencie zauważamy, że oddaliśmy to, co najważniejsze. Tak właśnie myślę o sobie.

- Przecież nie jest jeszcze za późno. Jeszcze się możesz ożenić i mieć choćby dziesięcioro dzieci, i może tak właś-

nie będzie. Żadna reguła nie określa, w jakim wieku należy zakładać rodzinę.

- To się komplikuje, jeśli jesteś kimś sławnym. Bo wtedy najlepsze dziewczyny traktują cię nieufnie, wyobrażają sobie, że musisz być jakimś świrem, a przynajmniej kabotynem. Te, co zlatują się jak ćmy do światła, same są stuknięte i często niebezpieczne, tak jak osoba, przed którą się ukrywam. Jeśli jesteś kimś sławnym, tkwisz w pustce wystawiony na ich spojrzenia jak przynęta na haczyku. Ale właśnie przed takimi uciekam, gdzie pieprz rośnie. Na tej ostatniej, niestety, się nie poznałem. Rozegrała to bardzo dobrze. Z początku udawała zwykłą miłą dziewczynę. Sądziłem, że będzie łatwiej się porozumieć, skoro i ona jest sławną aktorką. Wielki błąd. Okazała się zupełnie kim innym, niż myślałem.

- Więc szukaj dalej - powiedziała Coco i uśmiechnęła się do niego, po czym zaczęła sprzątać ze stołu. Zaproponowała mu lody, co przyjął z entuzjazmem, więc wyciągnęła z zamrażalnika spory pojemnik. Po południu kupiła z myślą o nim duży zapas lodów w różnych smakach, bo nie wiedziała, jakie lubi. Byli zupełnie obcymi ludźmi, a jednocześnie dzielili się najskrytszymi tajemnicami, smutkiem i obawami, i oboje dobrze się z tym czuli.

- Czasem bywam już strasznie zmęczony tym szukaniem - przyznał, z policzkiem umazanym lodami, co podkreśliło jego chłopięcy wdzięk.

- Ja też się tak czułam, kiedy wszyscy koniecznie chcieli mnie wyswatać. Dlatego przez długi czas z nikim się nie spotykałam. Pomyślałam, że jeśli mam kogoś poznać, to poznam i tak. A jeśli nic takiego mnie nie czeka, wystarczy mi życie, jakie prowadzę.

Roześmiał się.

- Panno Barrington - odezwał się ceremonialnie - śpie-

szyć panią zapewnić, że w wieku dwudziestu ośmiu lat ma pani przyszłość przed sobą i nie grozi pani samotność. To może trochę potrwać, zanim znajdzie pani właściwą osobę. Ale każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, gdyby został przez panią wybrany. I obiecuję pani, że ten właściwy na pewno się zjawi. Proszę tylko dać mu trochę czasu. Ona także się uśmiechnęła.

- Mogę panu złożyć analogiczną obietnicę, panie Baxter. Właściwa kobieta na pewno się pojawi. Jest pan uroczym facetem, a jeśli będzie się pan wystrzegał wariatek, ta miła dziewczyna sama pana odnajdzie. Obiecuję to panu.

Z wdziękiem wyciągnęła nad stołem dłoń, którą uścisnęła. Oboje poczuli się lepiej dzięki tej rozmowie. Ich przypadkowe spotkanie w domu Jane okazało się dobroczynne dla obojga. Każdemu z nich wydawało się, że to początek nowej przyjaźni.

- Co się w tym mieście robi w sobotę wieczorem? - zapytał Leslie. Roześmiała się.

- Nie ma wielkiego wyboru. Wychodzi się do restauracji, a o dziesiątej wszyscy spacerują po głównej ulicy. To nie jest wielkie miasto, nie jest to Nowy Jork ani Los Angeles.

- W twoim wieku powinno się spędzać sobotni wieczór wśród ludzi, a nie marnować go w kuchni na rozmowę z takim starym nudziarzem jak ja - zganił ją, a ona znowu zaczęła się śmiać.

- Żartujesz sobie ze mnie? Rozmawiam w tej kuchni z największym aktorem filmowym naszych czasów. Każda kobieta w tym kraju dałaby się pokroić na plasterki, żeby tylko móc spędzić w ten sposób sobotni wieczór - powiedziała z przejęciem. Bo także dla niej był najbardziej pożądanym facetem na świecie. Od bardzo dawna już nie obracała się w kręgu towarzyskim swoich rodziców i sio-

stry. - Nie warto nawet wspominać o tym, czym jest sobotni wieczór u nas w Bolinas. W najlepszym razie tuzin podstarzałych hipisów zażywa rozrywki w miejscowym pubie. Reszta kładzie się spać, ja także. A przedtem oglądam któryś z twoich filmów.

Teraz roześmieli się oboje. Pomógł jej włożyć naczynia i sztuce do zmywarki, wyłączył wszystkie światła na parterze i powoli wszedł w ślad za nią na górę, a psy nie zostały w tyle. Leslie wciąż jeszcze czuł się niepewnie w obecności bullmastiffa. Sallie była mniejsza i nie zachowywała się tak władczo. Jack rzeczywiście mógłby go znokautować w parę chwil. Ale Coco wiedziała, że tego nie zrobi. Był łagodniejszy nawet od Sallie. Choć ważył znacznie więcej.

Rozstali się na podeście, przy którym znajdowały się ich sypialnie, życząc sobie dobrej nocy. Leslie spytał jeszcze, co będzie robiła nazajutrz. Powiedziała mu, że nie ma na razie żadnych planów. W niedzielę nie pracowała. Ale już od paru dni myślała o tym, żeby pojechać do domu.

- Jeśli to ci nie sprawi kłopotu, chętnie odwiedziłbym to zabawne małe miasteczko, w którym mieszkasz - powiedział z nadzieją w głosie. - Czy to daleko?

- Mniej niż godzina drogi - odparła z uśmiechem. Miała wielką ochotę go tam zabrać.

- Obejrzałbym z ochotą tę twoją „budę” i pospacerowałbym po plaży. Kiedyś przez krótki czas miałem dom w Malibu. Sprzedałem go, a potem bardzo tego żałowałem. Może moglibyśmy jutro pojechać razem do Bolinas? - powiedział, dyskretnie broniąc się przed impulsem ziewania. Dopiero teraz, kiedy się trochę odprężył, poczuł, jak bardzo jest wyczerpany. - Jutro, kiedy wstaniesz, będą na ciebie czekały gofry - obiecał. I pocałował ją w policzek. - Dziękuję, że wysłuchałaś mnie tak cierpliwie.

Naprawdę ją polubił. Była taka uczciwa i szczerą, i niczego od niego nie chciała. Nie interesowały jej jego sława, pieniądze, sukcesy. Nie oczekiwała nawet zaproszenia na kolację. Czuł się przy niej zaskakująco swobodnie, co było tym dziwniejsze, że znali się tak krótko. Po prostu ufał jej instynktownie i czuł, że ona także mu ufa.

Ledwie wszedł do pokoju gościnnego, odezwał się jego telefon. Numer, z którego ktoś do niego dzwonił, był zastrzeżony, ale miał niemal całkowitą pewność, że to ta wariatka, jego eksnarzeczona usiłuje go dopaść.

Poczekał, aż włączy się poczta głosowa i po minucie dostał od niej wiadomość tekstową z pogroźkami. Usunął ją, nie odpowiadając. Zamknął drzwi, rozebrał się i położył do łóżka. Myślał o Coco i o tym, co sobie nawzajem powiedzieli. Lubił w niej otwartość i odwagę. Starał się odpłacić jej tym samym, i to mu się w zasadzie udało. Pozwoliwszy swoim myślom błądzić, zgasił lampkę, ale nie mógł zasnąć.

Po godzinie zdecydował się zejść do kuchni i wypić szklanek mleka.

Wtedy zauważył, że w jej sypialni też jeszcze pali się światło. Delikatnie zapukał, żeby spytać, czy wszystko w porządku, a ona zaprosiła go do środka. Ubrana w nieco spraną flanelową piżamę leżała w łóżku w towarzystwie psów i oglądała film. Spojrzał na ekran, zobaczył własną twarz. Tak, jakby zajrzał w powiększające lustro. Patrzył w osłupieniu, a Coco wydawała się zakłopotana tym, na czym ją przyłapał.

- Przepraszam - powiedziała zmieszana. I dodała jak mała dziewczynka: - To mój ulubiony film.

Uśmiechnął się. Przyjemnie było to usłyszeć z ust kobiety, którą zdążył tak szybko polubić. Nie raczyła go pochlebstwami. O tym, że ogląda jego film, dowiedział się właściwie przypadkiem.

- Lubiłem ten film, chociaż zawsze mi się wydawało, że

zagrałem w nim okropnie - przyznał. - Idę do kuchni. Przynieść ci coś?
- Nie, dziękuję.

To miło z jego strony, że zapytał. W tym niesłychanie eleganckim domu Jane czuli się ze sobą jak dwoje dzieci na piżamowej party. Coco zostawiła swoje ciuchy rozrzucone na podłodze. To pomagało jej poczuć się w tej sypialni bardziej swojsko. Kiedy mieszkała tu Jane, wszystko było tak pedantycznie uporządkowane. Zdaniem Coco lekki bałagan nadawał sterylneму wnętrzu ludzki rys. Choć jej siostra na pewno by się z tym nie zgodziła.

- No to do jutra. Życzę dobrej zabawy - powiedział Leslie, zamknął drzwi i zszedł do kuchni na szklanekę mleka, jak zamierzał. Zjadł też jeszcze jedną porcję lodów. Miał trochę nadziei, że Coco zejdzie i dołączy do niego, ale chyba była zbyt zapatrzona w ekran. Więc wrócił na górę. Tym razem zasnął jak kamień, ledwie przyłożył głowę do poduszki, i spał aż do rana. Czuł się tak, jakby wszystkie swoje zmartwienia zostawił w Los Angeles, a w San Francisco zastał same przyjemne rzeczy. Dom, w którym nic mu nie groziło, w którym nie mógł go osiągnąć żaden wróg. A w tym spokojnym domu znalazł coś jeszcze rzadszego: kobietę, z którą był bezpieczny. Nie zaznał takiego szczęścia odkąd opuścił Anglię i przyjechał do Hollywood. I wiedział, że póki siedzi zaszyty w tym domu w San Francisco z miłą dziewczyną i dwoma psami, włos mu z głowy nie spadnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wstał kolejny cudowny letni dzień. Było ciepło, niebo miało kolor intensywnie niebieski. Leslie wstał pierwszy, gdy Coco jeszcze spała, i zdążył nawet podsmażyć boczki do gofrów. Nalał sobie szklanek soku pomarańczowego i nastawił w imbryku wodę na herbatę dla nich obojga. Właśnie rozlewał ją do dwóch kubków, gdy Coco zjawiała się w kuchni. Już wypuściła psy do ogrodu. Miała zamiar zabrać je po śniadaniu na długi spacer.

- Pachnie wspaniale - powiedziała, sięgając po kubek zielonej herbaty, którą znalazł w szafce. Dla siebie zaparzył czarną herbatę angielską, którą pił bez mleka i cukru. Po chwili wyciągnął z piekarnika gofry i postawił je przed nią na stole. Syrop klonowy wyjął z lodówki już wcześniej. Oboje roześmieli się na wspomnienie kompletnego chaosu, jaki zastał w tej samej kuchni zaledwie wczoraj.

- Dziękuję za śniadanie - powiedziała, gdy usiadł naprzeciwko i nałożył sobie na talerz gofra z boczkiem.

- Miałem wątpliwości, czy można ci powierzyć sprawy kuchenne - przekomarzał się z nią.

Spojrzał w ogromne okno. Na zatoce halsowało już kilka jachtów biorących udział w regatach. Na falach trwał nieustający ruch i flotyllę żaglówek nigdy nie zniknęły.

- Jedziesz dziś na wybrzeże? - dodał.

- Nie masz nic przeciwko temu? - spytała ostrożnie. - Mogę pojechać sama, jeśli ci się nie chce. Muszę przywieźć sobie trochę rzeczy i zajrzeć do skrzynki na listy.

- A ty nie masz nic przeciwko temu, żebym pojechał z tobą? - Nie chciał naruszać granic jej terytorium, obawiał się wyjść na natręta.

Przypuszczał, że tam na miejscu będzie czymś zajęta, a może po prostu chciałaby mieć święty spokój we własnym domu. A może zamierza spotkać się z przyjaciółmi.

- Bardzo bym chciała - powiedziała bez ogródek. Jak bolesna może się okazać obecność Leslie Baxtera w Bolinas? - Chętnie pokażę ci to miejsce. To bardzo mała miejscina, trochę zwariowana, ale śliczna. I powiedziała mu, że tej nazwy nie ma nawet na drogowskazach, więc nikt ich tam nie znajdzie.

Godzinę później, w dżinsach, T-shirtach i klapkach wsiedli do jej furgonetki razem z dwoma psami. Uprzedziła go, że może się ochłodzić, jeśli nadciągną chmury. Zabrali więc także swetry. Ale kiedy jechali przez Divisadero w stronę Lombardu i skręcali na północ do mostu Golden Gate, nie było ani jednej chmurki na pogodnym, błękitnym niebie. Rozmawiali przez cały czas. Opowiadał jej o swoim dzieciństwie w Anglii i wyznał, że często za nim tęskni. Ale powiedział też, że niedawno pojechał do domu i zauważył, że wokół wszystko się zmieniło. Nawet ludzie odnosili się do niego inaczej niż kiedyś. Sprawiała to jego sława. Robił co mógł, żeby ich przekonać, że jest tym samym chłopakiem, którego znali, gdy dorastał, ale niezależnie od tego, jak bardzo się starał i jak bardzo czuł się podobny do nich, traktowali go po trosze jak obcego.

- Opowiedz mi o Chloe - poprosiła Coco, kiedy prze-

jeźdzali przez most i przez wzgórze, by wjechać do tęczowego tunelu.

- Jest słodka - powiedział Leslie i twarz mu się rozjaśniła. - Żałuję, że nie spotykamy się częściej. Jest bardzo mądra i pełna wdzięku. Bardzo podobna do swojej matki -dodał z wyrazem czułości w oczach, nie tylko wobec dziecka, lecz i wobec kobiety, która była z nim dawno temu.

-Kiedy przyjedziemy na miejsce, pokażę ci jej zdjęcia. - Zawsze nosił plik zdjęć w portfelu. - Chce w przyszłości zostać baletnicą albo kierowcą ciężarówki. Widać, że ma sprecyzowane plany, interesują ją dwa uzupełniające się, atrakcyjne zawody. Mówi, że kierowcy ciężarówek rozrzucają różne rzeczy na drodze, co wydaje jej się szalenie zabawne. Uczy się mnóstwa najróżniejszych rzeczy: francuskiego, obsługi komputera, gry na fortepianie, chodzi też na lekcje baletu. - Kiedy opowiadał o córeczce, był pełen dumy. Twierdził, że jego stosunki z obydwoma, z matką i dziewczynką, są nieskomplikowane i prostolinijne. I że zawsze takie były. - Jej matka miała przez pewien czas kogoś na serio. Myślałem, że się pobiorą. To mnie trochę niepokoiło. On był Włochem. Sądziłem, że jeśli zabierze je obie do swojego kraju, to jeszcze trudniej będzie mi do nich przyjechać, niż kiedy mieszkały w Nowym Jorku. Poczuliśmy ulgę, kiedy ze sobą zerwali, choć Monica zasługuje przecież na to, żeby ułożyć sobie z kimś życie. Prawdę mówiąc, byłem też zazdrosny o Chloe. Bo on mógł z nią spędzać dużo więcej czasu niż ja. Ale wydaje mi się, że jej matka teraz się z nikim nie spotyka - powiedział, gdy skręciwszy w stronę Stinson Beach, jechali przez Mili Valley.

- Wrócisz do niej ze względu na Chloe? - spytała Coco. Potrząsnął głową.

- Nie mógłbym. Ona też by nie chciała. Uczucia dawno wygasły. Zbyt wiele wody już upłynęło. Rozstaliśmy się na

dobre, zanim urodziła się Chloe. To był cudowny przypadek, najlepsze, co nas oboje spotkało w życiu. To dzięki Chloe wszystko nabiera sensu.

- Nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym mieć dziecko - powiedziała Coco. - Przynajmniej w tej chwili. - Za życia lana wydawało się jej, że nie dojrzała jeszcze do tego, żeby mieć dzieci, nawet z nim. - Może po trzydziestce - rzuciła ogólnikowo, nie odrywając wzroku od drogi.

Podziwiał jej pewną rękę, kiedy prowadziła tę starą furgonetkę. Silnik od czasu do czasu wydawał niepokojące odgłosy, ale auto jakoś jechało.

Leslie wspomniał, że lubi grzebać w samochodach. Była to jego pasja, z której nigdy nie wyrósł. Był pełen zachwytu dla wprawy, z jaką brała ostre zakręty nad klifem przybrzeżnym. Wydawała się spokojna, odpowiedzialna i zdolna do kierowania własnym życiem, niezależnie od tego, co myślały o niej matka i siostra. A im bliżej byli celu podróży, tym Coco robiła się weselsza.

- Mam nadzieję, że nie cierpisz na chorobę lokomocyjną - powiedziała, zerknąwszy na niego z troską.

- Na razie jest dobrze. Powiem ci, jeśli będzie źle.

Pogoda była wspaniała, a okolica przepiękna. Psy usnęły w tylnej części pojazdu. Po dwudziestu minutach jazdy serpentynami, droga zaczęła opadać ku Stinson Beach. Po jej obu stronach wyrastały jeden przy drugim jakieś sklepy. Galeria sztuki, księgarnia, dwie restauracje, sklep spożywczy i z pamiątkami.

- To na pewno jeden z zaginionych cudów świata - powiedział Leslie, patrząc z rozbawieniem na niezwykle miasteczko - jeśli w ogóle można było określić je tym słowem. Były to dwie ulice na krzyż, które zakreślały, przecinając jakieś wąziutkie zaułki, zabudowane wałącymi się ruderami.

- Tam jest strzeżone osiedle - machnęła ręką w stronę

laguny - a po prawej stronie rezerwat ptaków. - I uśmiechnęła się szeroko.
- Ale to wszystko nic w porównaniu z Bolinas. Tam dopiero poczujesz się, jakby czas stanął w miejscu. Dzisiejsza cywilizacja jeszcze do nas nie dotarła.

Podobała mu się prostota i prymitywizm tego miejsca, które wyglądało, jakby w promieniu tysiąca mil nie było żadnej wielkiej metropolii. Mógł sobie wyobrazić, dlaczego chciała tu mieszkać. Kiedy jechali tą nieoznakowaną drogą, towarzyszyło mu poczucie spokoju i swobody. Tak jakby jego kłopoty zostały unieważnione dzięki temu, że się tu znalazł. I nawet sama jazda, choć męcząca z powodu jego choroby lokomocyjnej, jakoś go odprężyła.

Coco skręciła w nieoznakowaną boczną drogę po lewej i wyjechali na niewielki płaskowyż. Tutaj domy bardziej przypominały stare farmy. Rosły wśród nich wysokie drzewa. Był też mały kościółek.

- Najpierw pokażę ci miasteczko - powiedziała i zaśmiała się. - Chociaż to przesadne określenie. Jest mniejsze nawet niż Stinson Beach. Nasza plaża jest gorsza od tamtej, taka raczej wiejska, ale dzięki temu nie zalewają nas turyści. Zresztą trudno do nas trafić.

Przejeżdżali akurat obok rozpadającego się pubu, minęli sklep spożywczy i z użytkami, oraz sklep z ubraniami z innej epoki, eksponujący w witrynach podkoszulki ufarbowane po zawiązaniu ich w węzeł. Leslie rozglądał się, ubawiony.

- To już wszystko? - uśmiechnął się wesoło.

Sklepiki były malutkie i przedpotopowe, ale wokół było czysto, a trawniki przystrzyżone i zadbane. Przejechali pod starymi drzewami na wzniesieniu ponad plażą. Wyglądało to raczej jak wieś zabita deskami niż jak nadmorska miejscowość.

- Wszystko - potwierdziła Coco. - A jeśli potrzebne ci

kadzidełko albo lufka do palenia trawy, korzystaj z okazji -dodała, wskazując sklepik. Leslie zachichotał.

- Myślę, że jeden dzień jakoś wytrzymam bez tych rzeczy.

Minęli sklepiki, dalej pojawiły się wokół drogi staromodne skrzynki na listy, parkany, płoty i od czasu do czasu brama z kutego żelaza.

- Jest tu kilka naprawdę pięknych budynków, ale nie chwalimy się nimi, trzymamy to w tajemnicy. Większość to zwykłe wiejskie domy i stare szopy. W dawnych czasach hipisi mieszkali we wrakach autobusów, porzuconych tam obok plaży. Teraz wygląda tu lepiej, ale nie o wiele - powiedziała z wyrazem bezgranicznego spokoju na twarzy. Lubiła wracać do domu.

Zaparkowała furgonetkę przed domem i wypuściła psy, które razem z nimi weszły przez wysmaganą wiatrem i deszczem drewnianą furtkę. Zrobił ją łań. Otworzyła drzwi frontowe i weszła do środka, a Leslie podążał za nią krok w krok, rozglądając się uważnie. Z okien pokoju dziennego roztaczał się piękny widok na ocean, choć okna te były stare i nie bardzo duże, zupełnie inne niż wysokie od podłogi do sufitu okna w domu Jane w San Francisco. Tutaj nie budowano na pokaz, był to po prostu przytulny mały domek, i Leslie też to zauważył. Trochę jak domek dla lalki, pomyślał. Książki leżały w stosach na podłodze, stare tygodniki na stole. Jedna z jej akwarel stała na sztaludze w kącie pokoju. Róg firanki był nadpruty. Ale mimo lekkiego, przyjaznego bałaganu, który towarzyszył jej samotnemu życiu, domek sprawiał miłe wrażenie i widać było, że dobrze się w nim mieszka. Kominiek był w użyciu co wieczór.

- Nie jest to nic wielkiego, ale lubię tu być - powie-

działa Coco uszczęśliwiona. Na ścianach wisiały inne akwarele, oprawione w ramki, a jej zdjęcia z Ianem stały na kominku i na przepelnionych książkami półkach. Kuchnia była otwarta.

Uporzędkowana bez pedanterii, ale czysta, a za pokojem dziennym mieściła się mała sypialnia z łóżkiem przykrytym grubą pierzyną i wypłowiałym starym kocem w kratę, który znalazła na osiedlowej wyprzedaży.

- Pięknie mieszkasz - przyznał Leslie. Oczy mu błyszcząły. - To nie żadna buda. To przecież prawdziwy dom.

Sto razy cieplejszy od eleganckiej willi jej siostry na Broadwayu w San Francisco. Nie dziwiło go, że Coco woli mieszkać tutaj. Rzucił okiem na fotografię, na której siedziała z Ianem na żagłówce, oboje w mokrych ubraniach, młodzi i szczęśliwi. A potem wyszedł za nią na taras. Stąd miała najwspanialszy widok na ocean, na plażę i miasteczko na drugim planie.

- Gdybym tu mieszkał, nigdzie bym nie wyjeżdżał - powiedział z przekonaniem.

- Ja też wyjeżdżam tylko do pracy - uśmiechnęła się.

To był inny świat niż rezydencja w Bel-Air, gdzie się wychowała, ale teraz nie potrzebowała niczego więcej. Nie musiała mu tego tłumaczyć. Rozumiał. Przyglądał jej się z lekkim uśmiechem. Kiedy pokazała mu mały ogródek, czuł się, jakby odsłoniła przed nim najskrytsze tajemnice. Zobaczyć ten dom to tak jak wejrzeć głęboko w jej duszę.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś - powiedział miękko. - To dla mnie zaszczyt.

W tej samej chwili przybiegły psy i zaczęły koło nich skakać, już utyłane w miejscowym kurzu, a Jackowi nawet wczepiła się w obrozę cała gałąź z liśćmi. Wielkie psisko było wniebowzięte, zresztą Sallie także. Coco się uśmiechnęła.

- Dziękuję, że zrozumiałeś, czym jest dla mnie ten dom.

Kiedy tu zamieszkałam, moja rodzina uznała, że postradałam rozum. Trudno coś wytłumaczyć ludziom takim jak oni.

Leslie złapał się na rozważaniu, czy mieszkałaby tu nadal, gdyby Ian nie zginął. Może byłaby teraz gdzieś w Australii? Raczej tak. Coco najwyraźniej próbowała zawzięcie odciąć się od swoich korzeni, od wartości, które uznała za fałszywe, od wszelkich pułapek świata, w którym wyrosła. Wprowadzając się tu, manifestacyjnie odrzuciła wszystko to, co wypełniało życie jej bliskich: obsesję posiadania, rywalizacji, pogoń za karierą i obłudę w relacjach.

- Napijesz się herbaty? - zapytała, gdy usadowił się na jednym z dwóch podniszczonych ogrodowych leżaków.

- Wspaniała rzecz - wskazał posążek Kuan Jing, który dostała od Iana. - To bogini współczucia - dodał, gdy postawiła przed nim kubek herbaty i usiadła na drugim leżaku. - Przypomina mi ciebie. Jesteś współczującą kobietą, Coco, dobrą i szlachetną. Spojrzałem na fotografię twojego chłopaka. Wygląda na niej na bardzo porządnego faceta.

Ian był szczupłym, wysokim blondynem. Na fotografii uśmiechał się bez troski, szczęśliwie. W tamtej chwili, oglądając zdjęcia na kominku, Leslie poczuł, że im zazdrości. Pomyślał, że nigdy nie zaznał życia, jakie dzieliło ze sobą tych dwoje.

- Tak, był porządnym facetem - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w falach oceanu. Po chwili odwróciła się do niego. - Wszystko, czego mi w życiu potrzeba, jest tutaj. Ocean, plaża, spokój i cisza, taras, z którego co rano oglądam wschód słońca, i kominek, w którym wieczorem rozpalam ogień. Mój pies, moje książki. Ludzie, których lubię, mieszkają w sąsiednich domach. Niczego więcej nie chcę. To mi wystarcza. Może kiedyś okaże się, że to za mało, ale na razie tak jest dobrze.

- Nie myślałaś o tym, żeby wrócić do prawdziwego świata? A właściwie... do nieprawdziwego. Do tego, w którym żyłaś kiedyś...

- Ani trochę - odparła stanowczo. - Po co? Już w dzieciństwie wydawał mi się pozbawiony sensu.

Przymknęła powieki i zwróciła twarz ku słońcu. Leslie nie spuszczał z niej oka. Jej włosy lśniły jak pięknie wypolerowana miedź. U stóp spały obydwaj psy. Do takiego życia można się bardzo przywiązać, nie ma w nim żadnych zbędnych komplikacji, żadnej sztuczności. Ale pomyślał, że może być bardzo samotne. Przez większość czasu obywatela się bez ludzi. Z nikim nie była teraz szczególnie mocno związana. Ale czy jego życie było lepsze? Ukrywał się przed kobietą, która groziła, że go zabije. Samotność Coco bez wątpienia była bardziej sensowna. Leslie zachwycił się wszystkim, co tu zobaczył, choć nie był pewien, czy potrafiłby żyć w ten sposób. Choć młodsza od niego o trzynaście lat, Coco sprawiała wrażenie, że już odnalazła siebie, podczas gdy on wciąż jeszcze szukał. I może nawet był coraz bliżej odkrycia, czego mu naprawdę potrzeba. W tym także Coco go wyprzedziła.

- Muszę przyznać, że nie umiem sobie wyobrazić twojej siostry w tym otoczeniu - zachichotał, gdy Coco otworzyła oczy i znów na niego spojrzała. Wszystko w niej było samą rzetelnością, spokojem i równowagą. Była jak szklanka czystej wody z górskiego źródła. Coco także zachichotała.

- Nienawidzi tego domu. Liz lubi go trochę bardziej, ale to nie ich miejsce. Obie są kobietami wielkomiejskimi. W oczach Jane nawet San Francisco to dziura. Obie czują się lepiej w Los Angeles, ale kochają swój dom i Liz uważa, że w tym mieście lepiej jej się pisze. Jest mniej rozrywek.

Leslie się uśmiechał.

- Pamiętam, jak poznałem Jane. Pomyślałem, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w swoim życiu. Była przed trzydziestką. Jej uroda po prostu zwała z nóg. Zresztą nadal jest piękna. Kochałem się w niej do szaleństwa przez ponad rok. Zabierałem ją wieczorem to tu, to tam, ale wciąż traktowała mnie jak kumpla. Nie mogłem zrozumieć, gdzie popełniam błąd. W końcu zupełnie się pogubiłem i pocałowałem ją któregoś wieczoru po wspólnej koloacji. Spojrzała na mnie zdumiona i wyjaśniła, że jest lesbijką. Powiedziała, że zrobiła już wszystko co mogła, żeby dać mi to do zrozumienia, nie wyłączając przebierania się od czasu do czasu w męskie ciuchy, kiedy wychodziliśmy razem. A ja myślałem, że to tylko jej ekstrawagancja. Poczulem się jak skończony idiota, ale od tamtej pory zawsze już byliśmy dobrymi przyjaciółmi. I bardzo lubię Elisabeth. Są świetnie dobraną parą. Obecność Elisabeth dobrze wpłynęła na Jane. Bardzo złagodniała przez te dziesięć lat.

- Przykro to powiedzieć - odezwała się Coco - ale Jane nadal bywa niesłychanie gruboskórna. Przynajmniej wobec mnie. Nie umiem sobie z nią radzić. I pewnie nigdy się nie nauczę.

Rzecz w tym, żeby przestać próbować. Ale Coco wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że to dla niej jeszcze za trudne rozwiązanie. Wciąż wyskakiwała ze skóry, żeby zyskać uznanie Jane, nawet gdy już mieszkała w Bolinas.

- Bez wątpienia życzy ci jak najlepiej i na swój sposób się o ciebie martwi - zauważył Leslie, sięgając po kubek z herbatą.

Coco czuła się bardzo dobrze, kiedy siedzieli obok siebie, patrzyli na ocean i rozmawiali o życiu.

- Być może. Ale nie wszyscy muszą być tacy jak ona. Jeśli o mnie chodzi, nawet nie próbuję. Wprost przeciwnie.

Uciekam od tego, czym ona żyje. Moja matka też mnie nie rozumie. Jestem inna od nich i to wszystko. Zawsze byłam inna.

- To bardzo dobrze - skwitował spokojnie, wyciągnięty wygodnie na leżaku, odprężony.

- Też tak sędzę. Ale mój sposób życia niepokoi wielu ludzi. Uważają, że powinni być tacy jak wszyscy. Dlatego przyjmują cudze postawy i wartości za swoje. Nawet jako dziecko nie umiałam się przystosować do ogółu.

- Chloe jest podobna - powiedział z namysłem. - Nie zamierza zostać aktorką, jak jej matka i ja. Interesuje ją prowadzenie ciężarówek. Musi sama odnaleźć swoją drogę, nie będzie szła przetartym szlakiem. Trzeba to uszanować.

- Moi rodzice nie umieli tego uszanować. Ignorowali to i mieli nadzieję, że samo minie. Więc jesteś w te klocki o wiele lepszy, jeśli stać cię na szacunek wobec sześciolatniego dziecka - uśmiechnęła się na samą myśl, że to możliwe. - Matka upierała się, żeby wprowadzić nas do wielkiego świata jako dobrze wychowane panny. Jane właśnie przyznała się do swojej orientacji seksualnej i zajęła się walką o prawa lesbijek. Matka była przerażona, kiedy Jane pokazała się na balu debutantek w smokingu zamiast wieczorowej sukni. Moja siostra była wtedy o wiele bardziej zbuntowana niż potem ja w tym samym wieku. Wolałabym wskoczyć przez okno, niż wystąpić na tym balu. Uważałam, że taki elitaryzm jest nie do przyjęcia. To powrót do innej epoki, kiedy jedynym celem dziewczyny było wydanie się za mąż. Gdy przyszła moja kolej, w dniu tego balu byłam w Południowej Afryce, gdzie jako wolon-tariuszka pomagałam budować system nawadniania pól w pewnej wiosce. Bawiłam się tam pewnie o wiele lepiej niż na balu. Matka dostała ataku hysterii. Nie odzywała się do mnie przez pół roku. Mój ojciec zniósł to znacznie le-

piej. Ale wściekł się, kiedy myślałam o tym, żeby rzucić studia. Każde z nich miało w związku z nami swoje własne oczekiwania. Jane też ich nie spełniła, ale jej wybaczyli, bo odniosła sukces, a sukces był tym najważniejszym wymaganiem, od którego w żadnym razie nie mogli odstąpić. Ja nie przejęłam od nich tego systemu wartości i nigdy go nie przejmę - zakończyła z przekonaniem, które wzbudziło jego sympatię.

- Rodzina przywyknie i do tego - powiedział spokojnie Leslie, choć opierając się na tym, co mu o nich mówiła do tej pory, nie powinien być taki pewny. Coco nie należała do ludzi, którzy spełniają cudze oczekiwania, jeśli nie widzą w nich sensu. Była całkowicie uczciwa wobec samej siebie i tego, w co wierzyła, i nie oglądała się na koszty swej niezależności. Bardzo ją za to szanował.

- Nawiasem mówiąc, podoba mi się ta akwarela na sztaludze. Jest w niej ogromny spokój.

- Teraz już nie maluję - powiedziała. - Rozdaję swoje obrazki ludziom. To nic wielkiego, ale działają na nich od-prężająco.

Zauważył, że jest utalentowana w różnych kierunkach i robienie wielu rzeczy sprawia jej przyjemność, nawet jeśli nie wie, do czego by to miało prowadzić. Trochę zazdrościł jej możliwości przymierzania się do różnych pomysłów. Czasami miał po dziurki w nosie grania w filmach i całego szaleństwa, które się z tym wiąże.

Potem milczeli oboje, zatopieni we własnych myślach, i w końcu Leslie zasnął. Zaniósł do kuchni kubki po herbacie i zapakowała trochę rzeczy, które zamierzała zabrać do San Francisco. A kiedy wróciła na taras, obudził się.

- Czy nikt tu nie pływa w morzu? - spytał, rozespany i rozleniwiony słońcem.

- Niektórzy pływają - uśmiechnęła się. - Ale czasem

atakują ich rekiny, co zniechęca mniej odważnych. A woda wcale nie jest ciepła. Mogę ci pożyczyć piankowy kombinezon. Chyba twój rozmiar. Ian był mniej więcej tego wzrostu co Leslie, trochę szerszy w ramionach i bardziej muskularny. Jego piankowy kombinezon wciąż jeszcze leżał w garażu, podobnie jak sprzęt do nurkowania. Z początku chciała to komuś oddać, ale nie kiwnęła palcem w tej sprawie. Zresztą lubiła natykać się na jego rzeczy, nie czuła się wtedy taka samotna, a on wydawał się mniej nieobecny. Wszystko to czekało tu na niego, tak jakby mógł jeszcze wrócić.

- Atakujące czasami rekiny to dla mnie chyba za mocna rzecz - parsknął śmiechem. - Jestem zdeklarowanym, zatwardziałym tchórzem. Kiedyś musiałem na planie spotkać się pod wodą z rekinem. Ten rekin był pewnie specjalnie wytresowany i przysposobiony z pomocą środków uspokajających. Nalegałem na udział kaskadera chyba we wszystkich scenach oprócz scen miłosnych. Bo do tych sam byłem odpowiednio wytresowany i przysposobiony.

Roześmiała się.

- Ja też nie jestem specjalnie odważna - powiedziała nieśmiało, ale od razu zaprotestował.

- Mówisz poważnie? Moim zdaniem jesteś odważna jak mało kto. Zwłaszcza w najważniejszych sprawach. Zerwałaś z tradycjami swojej rodziny, przeciwstawiłaś się konwencjom. Zrobiłaś to odważnie i z gracją. Niezależnie od presji, jaką wywierali twoi bliscy, robiłaś to, co sama uznałaś za właściwe, to, w co wierzyłaś. Kochałaś mężczyznę i straciłaś go, ale nie użalałaś się nad sobą, twoje życie toczy się dalej. I zostałaś w tym domu. Nie boisz się samotności. Stworzyłaś dla siebie zajęcie, które ci odpowiada, i nie przejmujesz się tym, że twoi bliscy go nie szanują. To wszystko wymaga odwagi. Trzeba dużo odwagi, Coco, by

być inną niż wszyscy. A ty jesteś sobą, i wszystko to robisz ze spokojem i godnością. Jestem dla ciebie pełen uznania.

Miło było tego słuchać i była mu wdzięczna za to, że ją docenił. Że nie krytykował tego, co robiła. Pochwalał decyzje, które podjęła, i życie, jakie wybrała. I uśmiechał się do niej tak ciepło.

- Dziękuję. Ja też cię podziwiam, Leslie. Nie boisz się przyznać do błędu i wziąć na siebie odpowiedzialność. Jesteś cudownie skromny, jeśli wziąć pod uwagę twoją sławę i wszystko, co osiągnąłeś, a także świat, w jakim się obracasz. Mogłoby ci się od tego przewrócić w głowie, ale tak się nie stało. Mimo wszystko pozostałeś normalnym facetem.

- Rodzina by się mnie wyparła, gdyby było inaczej -powiedział. - Może właśnie to pomaga mi być uczciwym wobec siebie. Muszę tak żyć, żeby móc im spojrzeć w oczy. I samemu sobie. Fajnie jest być gwiazdą kina, ludzie wyskakują ze skóry, żeby spełnić każdy twój kaprys. Ale kiedy dzień się kończy, znowu jesteś tylko człowiekiem, złym albo dobrym. W tym zawodzie niektórzy zaczynają zachowywać się jak szaleńcy. Takich jest wielu i przykro na to patrzeć. A kiedy spoglądam na siebie samego, to przeważnie widzę, co zrobiłem źle. Rzadko zauważam coś dobrego. I może dlatego - spojrzał na nią z powagą - być niepewnym siebie jest na dłuższą metę całkiem nieźle.

Roześmieli się oboje.

- I jestem pod wrażeniem, bo ty wcale nie wyglądasz na kogoś, kto jest niepewny siebie - dorzucił.

- Nie widać tego, bo jestem bardzo uparta - westchnęła. - Zawsze zadaję sobie pytanie, kim jestem i czego chcę. Jak to osiągnąć i po co. I nie mogę sobie wyobrazić, dokąd bym miała stąd wyjechać. Nie wiadomo, może kiedyś tego zapragnę. Ale, póki co, nie podjęłam takiej decyzji.

- To przyjdzie z czasem. Na razie wszystko się jeszcze może zdarzyć. Wszystkie rozwiązania są otwarte.

- Jestem zadowolona z decyzji, jakie podjęłam do tej pory. Ale nie mam pomysłu, co dalej.

- Każdy czasami tak się czuje. Wydaje nam się, że inni znają wszystkie odpowiedzi. Ale może tylko udają. Nie wiedzą nic więcej od nas. Albo starają się zawęzić swój świat do zupełnego minimum. Wtedy łatwiej sobie z nim poradzić. Jeśli twój świat jest szeroki, to życie może być znacznie bardziej ekscytujące. Ale bywa przerażające jak wszyscy diabli.

- Powiedział to z właściwą sobie skromnością, nie obawiając się przyznać do lęków i do niepewności.

- Masz słuszność - odparła. - Bywa przerażające. A co będzie z tobą? Co chcesz zrobić? Wrócić do Los Angeles i wynająć mieszkanie?

I zacząć wszystko od początku? Z nową kobietą? Nie zadała mu tego pytania, ale zawisło nad nimi. Zdumiewało ją, jak wiele razy ludzie potrafią zaczynać od początku, szukać i wiązać się z kimś nowym, dawać losowi szansę, podejmować ryzyko, by w końcu doznać rozczarowania i po raz kolejny zostać na lodzie. Aż w końcu przychodzi starość. Mając za sobą dwa cudowne lata spędzone z Ianem, nie umiała zdobyć się na odwagę, żeby spróbować jeszcze raz. Zastanawiała się, czy to dlatego, że ich wspólne życie było tak wspaniałe. Ale jeśli ktoś za każdym razem trafia na niewłaściwą kobietę, to czy w końcu się nie zniechęci? Mogła sobie bez trudu wyobrazić, ile ciągnęło się za nim nieudanych romansów. W wieku czterdziestu jeden lat zaczynanie wciąż od początku musiało mu się wydawać starą i bardzo, bardzo nudną grą. I właśnie o tym myślał, kiedy usłyszał jej pytanie.

- Tak, chyba wynajmę jakieś tymczasowe locum. Za

sześć miesięcy odzyskam swój dom, a już za cztery zaczynam nowy film. Będziemy go kręcili w Wenecji. Zanim wrócę, lokator się wyprowadzi. Mógłbym teraz zamieszkać w hotelu, ale tam jest zbyt mało prywatności. A poza tym w hotelu ta wariatka, moja była, bez trudu może mnie namierzyć, jeśli w ogóle będzie mnie jeszcze pamiętać. Myślę raczej, że znacznie wcześniej znajdzie sobie następną ofiarę. Ona nie należy do kobiet, które potrafią długo obywać się bez mężczyzny. A po tym wszystkim, co się stało - odpowiadał na pytanie, którego Coco nie ośmieliłaby się zadać - nie mam ochoty na nowe romanse. Potrzebuję chwili przerwy. To był dla mnie szok, że tak bardzo się pomyliłem i do tego stopnia się na niej nie poznałem. - Mówiąc to, znowu nieświadomie dotknął siniaka na policzku. Telefon komórkowy zostawił w domu Jane w San Francisco, żeby nie odbierać jej esemesów. Nie chciał już nigdy więcej z nią rozmawiać, ale wiedział, że w świecie filmu ich drogi nieraz się przetną. Ta myśl nie sprawiała mu przyjemności. - Nie pragnę romansu. W każdym razie nie w tej chwili. Zaczynam rozumieć, że potrzeba mi stałego związku, czegoś prawdziwego. Albo to, albo w ogóle nic. Te krótkotrwałe miłości są nieekonomiczne, inwestujesz w nie wszystkie siły, a potem zawsze kończy się to strasznym życiowym bałaganem. Dostajesz pięć minut szczęścia, po których trzeba sprzątać tygodniami. To gorsze niż ta katastrofa z syropem klonowym. Uśmiechnęła się.

- Po nieudanym romansie - dodał - sprzątanie nie jest tak przyjemne. Ani tak łatwe.

Jego eksnarzeczona zapowiedziała mu, że spali i zniszczy wszystko to, co u niej zostawił. W kolejnym esemesie informowała, że już to uczyniła. Każdą z tych rzeczy da się bez trudu zastąpić. Ale to kłopot i straszna przykrość.

Następna myśl go rozśmieszyła.

- Wygląda na to, że zostałem bezdomnym. To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Rzadko decydowałem się zamieszkać z kobietą, a jeśli już, to nie u niej. Tym razem zachowałem się bardzo nieostrożnie. Ale na początku bardzo dobrze zagrała. Okazuje się, że jest o wiele lepszą aktorką, niż myślałem. Za tamte nasze trzy miesiące powinna dostać Oscara. Tak, dostałem niezłą lekcję w wieku czterdziestu jeden lat. Człowiek może okazać się głupcem w każdym wieku.

- Bardzo mi przykro, że to się tak skończyło - powiedziała ze współczuciem. Naprawdę było jej go żal. Nigdy nie przeszła przez takie doświadczenie. I miała nadzieję, że los jej tego oszczędzi. Ze względu na to, kim był, w Hollywood na takie historie był narażony nieustająco, to oczywiste. Pamiętała niezliczone opowieści ojca o dramatach, jakie przeżywali jego klienci. Rozwody, wyzwiska, szarpaniny, intrygi, oszczerstwa skryte i jawne, próby samobójcze. Wszystko to należało do świata, w którym nie chciała żyć, od którego uciekła. W zwyczajnym świecie też się zdarzały ludziom takie rzeczy, ale nie były tak częste i nie wystawiano ich na widok publiczny. Ktoś taki jak Leslie Baxter tylko cudem mógłby się przed tym uchronić. Romanse gwiazd filmowych były nietrwałe, efemeryczne, wybuchały przed oczami publiczności jak fajerwerki, po czym kończyły się w zamięcie i cierpieniu. Nie zazdrościła mu takiego życia. I jeśli sam to na siebie ściągnął, wybierając nieodpowiednie kobiety, tym bardziej musiał być tym udęczony. Jak na to, w co się wpakował, nie było jeszcze tak źle. Skończyło się na siniaku.

- Mnie też przykro - powiedział spokojnie Leslie. - Przykro mi, że byłem taki głupi. Współczuję ci. Wiem, co

to znaczy, że twój chłopak nie żyje. Wyglądasz na bardzo szczęśliwą na tych fotografiach.

- Byłam szczęśliwa. Ale najlepsze rzeczy też się kiedyś kończą. Taki los. Był to najzdrowszy sposób myślenia o nieszczęściu, i za to też ją podziwiał. Była wspaniałą kobietą. Cieszył się, że znalazł schronienie w domu Jane, bo inaczej może nigdy by jej nie poznał, choćby dlatego, że, jak mu sama powiedziała, była w swojej rodzinie czarną owcą. Jane chyba nigdy mu o niej nie wspomniała przez wszystkie lata ich znajomości. Była o wiele bardziej zainteresowana sama sobą. Coco wydawała mu się małym, łagodnym białym gołąbkim w rodzinie orłów. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak trudne było jej dorastanie pod bokiem tych drapieżników. Ale Coco sprawiała wrażenie, jakby wyszła z tego bez szwanku. Nie była rozgoryczona tym, że musiała żyć wśród nich, tylko jakby zdziwiona. I przecież w końcu uciekła. Nadal łączą ją z nimi mocne więzy, choć stają się chyba z każdym rokiem luźniejsze. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie. I musiało w nim być coś prawdziwego, mimo że dała się wrobić w pilnowanie domu Jane. A z tego Leslie był szczególnie zadowolony, bo poznał ją właśnie tam.

Przez całe popołudnie wylegiwali się na tarasie, grzejąc się w promieniach słońca, a od czasu do czasu wracali do przerwanej rozmowy. Potem Leslie znowu zasnął, a Coco skończyła czytać książkę. Zrobili sobie kanapki z tym, co znaleźli w jej lodówce, a resztę zapakowali, żeby nic się nie zepsuło. Potem zamknęli dom. Coco zawiozła Leslie'ego na plażę publiczną w Stinson, żeby pokazać mu miejscową atrakcję - drobniutki biały piasek. Ta plaża ciągnęła się kilometrami, a piasek był wszędzie tak samo biały i wszędzie leżały wyrzucone przez morze muszle. Mewy latały

nad głowami i kapały się w pianie na falach przyboju, były też ciekawe małe kamyki, które Coco podnosiła i wkładała do kieszeni, bo zawsze tak robiła. Spacerowali wzdłuż tej plaży, a potem usiedli na cyplu i długo patrzyli w miejsce, gdzie ocean łączył się z laguną. Dokładnie naprzeciwko, nad wąską zatoczką widzieli Bolinas. Potem ruszyli z powrotem do furgonetki, a psy raz po raz wybiegały daleko i wracały. Dwa razy minęli ich galopem jeźdźcy na wierzchowcach. Ale na plaży było niewielu ludzi. Leslie bardzo się zdziwił, kiedy mu powiedziała, że tak jest prawie zawsze. Garstka ludzi rozproszonych na ogromnym terenie. Tylko w czasie największych upałów bywa inaczej. Był to bardzo przyjemny wypad i gdy znowu jechali krętą drogą nad klifem, Leslie czuł się wypoczęty jak po tygodniowych wakacjach. Słońce właśnie zachodziło. Mieli za sobą wspaniały dzień.

- Z całego serca to pochwalam - powiedział, gdy Coco znowu wprawnie pokonywała zakręty, tym razem jadąc przy zewnętrznej krawędzi drogi, co robiło na nim jeszcze większe wrażenie. Z powodzeniem omijała wyboje i dziury w jezdni. Jej zły stan był jedną z przyczyn, dla których nie przyjeżdżały tu tłumy. Było tu pięknie, ale stan szosy daleko odbiegał od ideału.

- Co pochwalasz? - spytała Coco. Psy spały głębokim snem z tyłu samochodu, nieprzytomnie zmęczone bieganiem po plaży, gdy goniły za końmi. Sallie, która miała instynkt pasterski, desperacko usiłowała spędzić konie w stado, ale one były szybsze. Musiała więc zadowolić się gonitwą za ptakami, Jack dotrzymywał jej kroku nieco ociężale. Był tak wykończony, że kiedy wracali, ledwie powłóczył łapami, a teraz chrapał na cały regulator. Z jego kąta dochodził stały, cichy pomruk.

- Pochwalam to, że mieszkasz w Bolinas - wyjaśnił. -

Jeśli potrzebowałaś, żeby ktoś ci to powiedział. Właściwie zazdroszczę ci tego.

Uśmiechnęła się. Miło było to usłyszeć.

- Dziękuję.

Ucieszyła się, że docenił piękno tych miejsc i przyjemności życia, jakie prowadziła. Nie uznał jej za hipiszkę ani za wariatkę, nie uważał, że jej dom jest do niczego. Gdy go oglądał, zrobiło mu się ciepło koło serca.

Podobała mu się ta strona jej osobowości. Właściwie podobała mu się każda strona jej osobowości, jaką tylko dostrzegał. Coco była tak diametralnie inna niż Jane, że rodzina nie potrafiła jej zaakceptować.

Wszyscy oni byli z tej samej gliny, ale Coco z innej. W jego mniemaniu - z lepszej.

Jechali niezbyt szybko przez Mili Valley i na moście Golden Gate włączyli się w wieczorny strumień aut powracających do miasta po weekendzie. Za mostem zjechali w estakadę, kierując się na Pacific Heights i po drodze Coco spytała, czy chciałby się zatrzymać, żeby kupić coś do jedzenia na kolację. Nie chciał, nie był głodny. Nasycił się przyjemnym dniem i dobrymi uczuciami, odprężył go długi spacer po plaży. W samochodzie zdrzemnął się nawet na chwilę. Mimo że był tym, kim był - a teraz, po dwóch dniach, nie robiło to na niej takiego wrażenia jak na początku, kiedy zobaczyła go znienacka w kuchni siostry - czuli się w swoim towarzystwie całkowicie swobodnie. Była przyjemnie zaskoczona tym, że tak interesująco spędza się z nim czas. On też miał podobne spostrzeżenie na jej temat i nawet wspomniał o tym na plaży. Powiedział, że to u niego rzadki stan, bo zazwyczaj wobec obcych zachowuje daleko posuniętą ostrożność. Ale ona nie była już dla niego kimś obcym. Stali się przyjaciółmi, choć znali się dopiero dwa dni.

- Mogę usmażyć omlet. Jestem w tym niezły, jeśli wolno się pochwalić. A ty mogłabyś przygotować którąś z tych

wspaniałych kalifornijskich sałatek - powiedział, przelękając ślinę.
Roześmiała się.

- Nie bardzo umiem gotować - przyznała. - Odżywiam się prawie samymi sałatkami, a od czasu do czasu rybą.

- Znać to po tobie.

To miał być komplement. Wyglądała zdrowo, była silna, wysportowana i bardzo szczupła. W T-shircie i dżinsach widać było, że ma świetną figurę. Jej siostra, starsza o dziesięć lat, była równie zgrabna. Żeby dobrze wyglądać, Leslie musiał się porządnie napracować przed każdym filmem, dzień w dzień ćwicząc na przyrządach i odbywając forsowne indywidualne zajęcia z trenerem. Od tego zależały jego zarobki. I jak dotąd, jakoś szło. Nie wyglądał na swoje lata, a jego figura nie zmieniła się od dziesięciu lat. Ale nie przychodziło mu to łatwo. Upodobanie do lodów było jego przekleństwem.

- Omlet to świetny pomysł - powiedziała, gdy stara furgonetka jechała przez Divisadero. Dotarli już do Broadwayu, a psy dalej spały, nawet wtedy, kiedy wysiedli przed domem.

- Wstajemy, proszę państwa! - zawołała głośno, żeby je obudzić.

Leslie wziął paczkę z jedzeniem, które zabrali z Bolinas. Coco niosła wielką słomianą torbę plażową pełną czystych ubrań. Takich samych jak te, które już wcześniej przywiozła do Jane. Nosiła mniej więcej zawsze to samo, jej ubrania różniły się tylko kolorami. Najczęściej jednak były to dżinsy z białym podkoszulkiem. Miała pełną szafę takich rzeczy. Odkąd zginął Ian nie przywiązywała wagi do strojów. Nie było nikogo, dla kogo miałyby się starać. Zależało jej tylko na tym, żeby ubrania były czyste i odpowiednie do pogody, musiała też mieć dobre buty do biegania. Jej życie

było proste i o wiele łatwiejsze niż jego. Zawsze, kiedy pokazywał się publicznie, musiał wyglądać jak gwiazdor. Wspomniawszy, że musi wymienić całą garderobę. Teraz nie robiło mu różnicy, co ma na sobie, bo nigdzie nie wychodził i nikt go nie oglądał. To wielka ulga, nie troszczyć się o stroje, a zwłaszcza nie mieć na karku paparazzich z Los Angeles. Nikt nie wiedział, że Leslie jest w San Francisco, jeśli nie liczyć Coco, jej siostry i Liz. Dla reszty świata Leslie Baxter po prostu zniknął. To oznaczało dla niego wolność, taką samą, z jakiej korzystała Coco. Wolność i spokój. Jeszcze jedno dobrodziejstwo, którego od niej zaznał. Życie stało się łatwiejsze.

Gdy Coco wyłączyła alarm, Leslie zapalił w domu światła. Zostawiła swoją torbę z ubraniami na pierwszym stopniu schodów i zajęli się odkładaniem żywności do lodówki i szafek. Psy cierpliwie czekały na swój posiłek. Dała im jeść, po czym nakryła stół do kolacji, kładąc na nim nieskazitelne białe serwetki Jane i jej eleganckie srebrne sztucce. Leslie tymczasem wyjął z lodówki wszystko, czego potrzebował, żeby usmażyć omlet. Coco przygotowała sałatkę, o którą prosił i zrobiła do niej sos majonezowy. Pół godziny później zapaliła świece w świecznikach i usiedli do stołu. Omlet był rzeczywiście doskonały.

- Jaki to był cudowny dzień - powiedział uszczęśliwiony, kiedy po kolacji rozmawiali o wszystkim i o niczym.

Ta wycieczka sprawiła przyjemność obojgu. Na deser znów zjedli lody.

- Chciałbyś obejrzeć ze mną film? - spytała, gdy już umyli naczynia.

- Najchętniej popływałbym w basenie. Sprawdziłem wczoraj, woda jest ciepła. W Los Angeles muszę codziennie ćwiczyć, ale dziś wieczorem mi się nie chce.

Jane miała w domu salę do ćwiczeń z profesjonalnym

sprzętem i codziennie ćwiczyła z trenerem. Coco nie korzystała z tych urządzeń, podobnie jak Elizabeth, która zawsze narzekała na kilkukilogramową nadwagę, ale nic z tym nigdy nie robiła. Jane była perfekcjonistką w każdej sprawie, nie wyłączając kondycji fizycznej.

- Codzienne bieganie z psami zastępuje mi wszystkie ćwiczenia.

- Nabrałem dziś fantazji żeby popływać, bo napatrzyłem się na ocean.

Uśmiechnęła się. Od czasu do czasu coś w nim przypominało jej lana.

Zwłaszcza jego charakterystyczne brytyjskie powiedzonka były podobne do australijskich, jakich używał lan. Brzmiały znajomo i swojsko i budziły w niej nieokreśloną tęsknotę.

- Mam nadzieję, że w tym basenie nie zaatakują mnie rekiny? - upewnił się.

- Od dawna ich tu nie widziano - uspokoiła go.

Zaczął ją namawiać, żeby się do niego przyłączyła. Nigdy nie chciało jej się pływać w tym basenie, ale z nim to co innego.

- Dobrze - zgodziła się.

Opuścili kuchnię, poszli do swoich pokoi, a pięć minut później spotkali się obok basenu. Coco włączyła oświetlenie. Basen był kryty, bo w San Francisco nieczęsto zdarzały się ciepłe dni. Jane pływała codziennie, a Elisabeth od czasu do czasu.

Pływali razem przez blisko godzinę. Coco zaczęła płynąć kraulem. Leslie najpierw jej się przyglądał, a potem zaczął płynąć kraulem obok niej, z ledwością wytrzymując jej tempo. Dostał zadyszki, ale to dlatego, że ona była od niego młodsza i bardziej wysportowana.

- Wielki Boże, masz wytrzymałość olimpijskiej zawodniczki! - powiedział z podziwem.

- W Princeton byłam kapitanem ekipy pływackiej.
- A ja w szkole byłem wiosłarzem, ale czuję, że gdybym teraz musiał wiosłować tak jak wtedy, to by mnie zabiło.
- Ja też przez rok wiosłowałam. Na drugim roku studiów. Nie bardzo to lubiłam. Wolę pływanie.

Kiedy wyszli z basenu, oboje byli mile zmęczeni. Leslie miał na sobie niebieskie spodenki, a Coco czarne bikini, które uwydatniało jej doskonałą figurę. Choć była piękną i zgrabną dziewczyną, przecież z nim nawet nie flirtowała. Cieszyła się, że ma w nim nowego przyjaciela.

Włożyli płaszcze kąpielowe, które wisiały obok basenu, i zostawiając mokre ślady stóp na dywanach wrócili do swoich pokojów, żeby wziąć prysznic. Parę chwil później Leslie zapukał do niej. Był już pod prysznicem i zdążył się wytrzeć, ale znowu narzucił płaszcz kąpielowy. Ubrana we flanelową piżamę, Coco włączyła już odtwarzacz DVD. Tym razem to nie był jego film, nie chciała, żeby znowu poczuł się zakłopotany. Wiedziała od wczoraj, że nie lubi oglądać siebie na ekranie.

- Chcesz oglądać? To komedia romantyczna. Jestem ma-niaczką komedii romantycznych.

Był to bardzo znany film, Leslie widział go kilka razy i bardzo lubił. Ale nie przyznał się, że już go zna. Coco posunęła się i zrobiła mu miejsce obok siebie. Jack był zbyt zmęczony, by wdrapać się na łóżko. Padł jak nieżywy na podłogę obok Sallie. Psy były wykończone po tej całodziennym wycieczce, co Leslie uznał za szczyt szczęścia. Bo kiedy były rozbrykane, zawsze czuł się przy nich trochę niepewnie. Obawiał się zwłaszcza bullmastiffa, choć Coco zapewniała o jego łagodności. Było to przecież prawie stukilogramowe zwierzę.

Korzystając z zaproszenia, Leslie usadowił się obok niej i oglądał film. Potem na chwilę zniknął i wrócił z miską

popcornu. Coco zachichotała. To było trochę jak powrót do dzieciństwa. Ale gdy tylko zajął swoje miejsce przed ekranem, zadzwonił telefon. Jane. Leslie słyszał tylko połowę rozmowy, czyli to, co mówiła Coco. Tak, wszystko w porządku, zapewniła. Udzieliła wszechstronnych informacji na temat samopoczucia Jacka. Zapewniła, że się nie narzuca, i Leslie zrozumiał, że teraz mówią o nim. Zaintrygowało go, że przemilczała ich wycieczkę do Bolinas i nie wspomniała o tym, że właśnie siedział obok, oparty o poduszki, i oglądał razem z nią film. Rozmowa była krótka, trochę przypominała przesłuchanie. Nie było w tym ciepła ani intymności, jakiej można by oczekiwać między siostrami. Coco powiedziała „dobrze” około sześć razy z rzędu, najwyraźniej przyjmując do wiadomości polecenia, po czym rozłączyła się i spojrzała na niego.

- Chciała się upewnić, czy nie zawracam ci głowy. Więc jeśli będę to robić, powiedz mi - poprosiła, zmieszana, a Leslie pochylił się ku niej i złożył niewinny pocałunek na jej policzku, żeby ją uspokoić, że wszystko jest w porządku.

- To były dwa najpiękniejsze dni, jakie zdarzyły mi się od lat i przeżyłem je dzięki tobie. Jeśli ktoś się tu komuś narzuca, to raczej ja się narzucam tobie. A ten film bardzo mi się podoba - powiedział i uśmiechnął się. - Jako aktor zazwyczaj jestem skazany na seks i przemoc. To ulga móc popatrzeć na parę zakochanych. Czy na końcu będzie ślub? Coco uśmiechnęła się do niego.

- Nie powiem ci. Sam zobaczysz.

Zgasiła światło. Oglądali film na wielkim ekranie i mogło im się wydawać, że siedzą w kinie, tyle że w piżamach, z poduszką za plecami, z miską popcornu, do której sięgali raz po raz.

Film skończył się tak, jak można było sobie życzyć,

o czym Coco dobrze wiedziała. Oglądała go często. Nigdy jej się nie znudził. A szczęśliwe zakończenie zawsze podnosiło ją na duchu. Takie filmy lubiła najbardziej.

- Dlaczego w życiu nie może być tak samo? - westchnął Leslie i oparł się o poduszki, zamyślony. - W filmie wszystko znajduje proste, sensowne rozwiązanie. Wystarczy rozsypać intrygę, rozstrzygnąć kilka dylematów, i to wcale nie z tych największych. Każdy z widzów wie, co bohaterowie powinni zrobić. Nie działają jak krety, nie są wobec siebie nawzajem złośliwi, nikt nie ma charakteru spaczony przez urazy dzieciństwa, nikt nie nastaje na życie drugiego, lubią się, zakochują, a potem żyją długo

i szczęśliwie. Dlaczego tak cholernie rzadko zdarza się to w życiu?

- Bo ludzie są skomplikowani - odparła. - Ale czasami coś takiego się pewnie zdarza. Mnie się to prawie zdarzyło. I wiem, że to nie jest niemożliwe. Po prostu trzeba być przytomnym, mieć oczy otwarte, poważnie traktować uczucia, być uczciwym wobec siebie i tej drugiej osoby.

- To nigdy nie bywa takie proste - powiedział markotnie. - Na pewno nie w świecie, w którym się obracam. Tam mało kto jest uczciwy wobec siebie i kogokolwiek. Panuje powszechna obsesja walki. A jeśli jedno wygra, przegrywają oboje.

Kiwnęła głową.

- Zdarzają się uczciwe związki, Ian i ja byliśmy dla siebie dobrzy.

- Byliście młodymi, a przy tym, jak sędzę, bardzo porządnymi ludźmi.

Ale stała się straszna rzecz. To nie my marnujemy sobie życie. To los nam je marnuje.

- Nie zawsze. Znam wiele szczęśliwych par, które mieszkają w Bolinas.

Ich życie nie jest skomplikowane. Myślę, że w tym jest cała tajemnica. W świecie, w którym żyjesz

i który znam, wszystko jest skomplikowane i ludzie rzadko bywają uczciwi, zwłaszcza wobec siebie samych.

- Lubię to w tobie, Coco. Jesteś prostolinijna. Wszystko w tobie jest takie czyste. Masz tyle dobrej woli. To jest wypisane na twoim czole.

Uśmiechnął się.

- Ty też masz uczciwość wypisaną na czole - powiedziała.

- Jestem uczciwy, ale robię z siebie durnia, wiążąc się z dziwnymi kobietami. To mi się przytrafiło z tą ostatnią, przed którą muszę się ukrywać. Może zauważyłbym od razu, że lepiej trzymać się od niej z daleka, ale sam chciałem się oszukiwać. Łatwo było zamknąć oczy, ale dużo trudniej nigdy ich nie otwierać. A teraz widzę, w co się wpakowałem. Ukrywam się przed nią w innym mieście, a ona wrzuca do ognia moją garderobę.

To ich rozśmieszyło. Nie wyglądał na nieszczęśliwego w tej kryjówce w San Francisco. Przeciwnie, wydawał się zrelaksowany i spokojny. Był już zupełnie innym człowiekiem niż ten śmiertelnie wyczerpany i przerażony Leslie, który zjawił się wczoraj rano. Wyprawa do Bolinas bardzo dobrze mu zrobiła. Coco też od razu poczuła się tam lepiej. Wspaniale było znaleźć się we własnym domu, chociaż na parę godzin, i to w jego towarzystwie. Tym bardziej że wszystko mu się tam podobało.

- Po prostu musisz być ostrożniejszy na przyszłość - powiedziała spokojnie. - Nie obwiniaj się o to, co się stało. Czegoś się przecież nauczyłeś. Zawsze się czegoś uczymy.

- Czego się nauczyłaś przy swoim Australijczyku?

- Że wszystko jest możliwe. Jeśli masz szczęście, znajdziesz miłość, albo ona znajdzie ciebie. I to wystarczy.

- Chciałbym też tak mocno w to wierzyć - powiedział, wpatrując się w nią uważnie.

- Może powinieneś oglądać więcej komedii romantycznych - poradziła mu z poważną miną, ale nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. - To najlepsze lekarstwo, jakie istnieje.

- Chyba nie - powiedział cicho, nie odrywając od niej spojrzenia. - Znalazłem lepsze.

- Jakie? - spytała niewinnie, nawet nie podejrzewając, co mu chodziło po głowie, kiedy tak na nią patrzył.

- To ty. Ty jesteś tym najlepszym lekarstwem. Najmilszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Powiedziawszy to, pochylił się, objął ją i pocałował w usta. Była tym tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co robić. Ale on już jej nie puścił, i nagle zdała sobie z tego sprawę, że go całuje, obejmuje tak mocno, jakby od tego zależało jej zbawienie. To nie było zamierzone przez nikogo, żadne z nich nie przewidziało, że coś podobnego może im się zdarzyć. Kiedy Leslie zobaczył ją w bikini, obiecał sobie, że nie będzie się do niej przystawiał. Lubił ją i szanował, potrzebował jej przyjaźni, ale teraz nagle poczuł, że chce czegoś więcej, znacznie więcej. I pragnął nie tylko brać, lecz i dawać. Chciał dać jej wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła, bo była tak cudowną osobą i tak bardzo na to zasługiwała. Po raz pierwszy w życiu czuł, że on także zasługuje na szczęście. Nie było w tym nic niestosownego czy niemoralnego, i nieważne, że znał ją dopiero od dwóch dni. Oszalał z miłości do niej, a ona popatrzyła na niego oszołomiona, kiedy przestali się całować. Nie chciała, żeby to, co zaczynało się dziać między nimi, obróciło się po prostu w seks. Ale jeszcze nigdy nikogo w swoim życiu nie pragnęła tak bardzo jak jego. Leslie Baxter znalazł się w jej łóżku i całował ją, lecz w tym momencie nie był już dla niej gwiazdorem filmowym, był po prostu mężczyzną, a siła przyciągająca ich do siebie stała się tak ogromna, że nie sposób się było jej oprzeć.

- Och - westchnęła tylko, gdy zaczął ją znowu całować. Zanim zdali sobie sprawę z tego, co robią, pozbyli się ubrań i leżeli nago, kochając się namiętnie. Wcześniej nawet o tym nie pomyśleli, lecz żadne z nich nie było w stanie się zatrzymać. Coco nie spała z nikim od dwóch lat, od śmierci lana, a Leslie'emu wydawało się, że jeszcze nigdy w życiu nie był naprawdę zakochany. Wiedział tylko jedno, że jest zakochany tu i teraz - w niej.

Potem leżeli obok siebie bez tchu, a Coco podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Co to było? - szepnęła.

Ale czymkolwiek było to zdarzenie, zapragnęła, żeby wróciło. Takiego doświadczenia nie dzieliła jeszcze z nikim - nawet z łanem. Z łanem czuła się swobodnie i bezpiecznie. Lecz to, co przed chwilą zdarzyło jej się z Leslie'em było jak trzęsienie ziemi. Było tak, jakby razem przeszli przez tornado. Cały świat przewrócił się do góry nogami, w jej uszach huczały dzwony. Uczucia, jakie ich połączyły, były tak silne, jakby oboje porwał jakiś szalony wir.

- Myślę, moja najdroższa Coco, że to miłość - szepnął jej do ucha. - Prawdziwa miłość. Do tej pory jej nie znałem. Nie rozpoznałbym, nawet gdybym się o nią przewrócił. Ale oboje doznaliśmy tego samego, prawda?

Skinęła głową w milczeniu. Chciała, żeby to była miłość. Ale nie była pewna. Tak szybko to się stało.

- I co teraz będzie? - spytała z niepokojem. - Ty jesteś aktorem filmowym. Wrócisz do swojego świata. ^XA ja będę w Bolinas dalej się zajmować niepoważnymi sprawami. W samotności.

Było za wcześnie, żeby się o to martwić, ale jak w Biblii wisały już nad nimi słowa „mane, tekell, fares”, i zauważyłby je, gdyby w porę zastanowił się nad ich sytuacją. Ona się właśnie nad nią zastanawiała.

Minęło dobre pół

roku, zanim poszła do łóżka z Ianem. Z Leslie'em potrzeba jej na to było tylko dwóch dni.

- Jeszcze nigdy życiu nie zrobiłam nic podobnego - powiedziała, a po jej policzku potoczyła się łza. Była poruszona tym, co się stało, ale nie żałowała. Po prostu obawiała się przyszłości.

- Ja też nie, w każdym razie nie tak bezwiednie. -Z wieloma kobietami przespał się już na pierwszej randce, ponieważ tego chciały. Ale nigdy nie było to tak nieoczekiwane, jak przed chwilą. Nigdy tak mocno sytuacja nie chwyciła go za serce, stracił panowanie nad sobą i nie mógł się oprzeć tej sile. To było najmocniejsze doświadczenie w jego życiu. - Nie widzę w tym historii o gwiazdorce filmowym i naiwnej dziewczynie z Bolinas. Nie jesteś przecież biedną sierotką, obcą w świecie filmu. Nie wiemy, jak się ta historia zakończy. Możemy tylko „począkać i zobaczyć”, jak mawiasz. Może to będzie jedna z tych komedii romantycznych, które tak lubisz. Kochanie, mam nadzieję, że tak będzie - powiedział z najgłębszym przekonaniem.

- Owszem, znam świat filmu - przyznała szeptem -i nienawidzę w nim wszystkiego. Oprócz ciebie - dodała ze smutkiem.

- Po co żyć problemami przyszłości? Jeden dzień na jeden raz to aż nadto - powiedział. Ale ona bała się tak bardzo, jakby godziny, które mają dla siebie, były już policzone. Nie chciała się do niego przywiązać, bo obawiała się, że serce jej pęknie, kiedy on wróci do własnego życia, a przecież wiedziała, że prędzej czy później będzie musiał to uczynić. To, co się teraz działo między nimi było jak marzenie, jak sen. Pragnęła tego równie gorąco jak on. I chciała wierzyć, że ten sen okaże się rzeczywistością. Bo przecież raz już nieomal ziściły się jej marzenia. Więc może uda się tym razem. Wierzyłaby w to mocniej, gdyby wszystko

to nie wydarzyło się tak szybko. W dodatku miała świadomość, kim naprawdę był. Po prostu nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Obiecasz mi, że nie będziesz się martwić na zapas, Coco? Że mi zaufasz? Nie chcę cię skrzywdzić. To ostatnia rzecz, do której byłbym zdolny. Zdajmy się na to, co się wydarzy, nie odbierajmy sobie tej szansy. Zobaczymy, dokąd nas ona zaprowadzi. Problemy rozwiążą się we właściwym czasie.

Nie odezwała się, tylko kiwnęła głową jak mała dziewczynka i wtuliła się mocno w jego ramiona. Długo trwali w tym uścisku, a potem wszedł w nią znowu, łagodnie i delikatnie. Lecz po chwili gwałtowne tornado porwało ich oboje i tym razem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Coco obudziła się nazajutrz, pomyślała w pierwszej chwili, że wszystko to jej się przyśniło. Leżała w łóżku sama. Po Lesliem nie było śladu. Gdy tak myślała o nim, patrząc w sufit, wszedł do sypialni przepasany serwetą niczym szef kuchni w eleganckiej restauracji, niosąc tacę ze śniadaniem. W zębach trzymał różę z ogrodu Jane. Usiadła na łóżku i patrzyła na niego w osłupieniu.

- O mój Boże, więc to wszystko prawda! - Bardzo chciała, żeby to była prawda. W nic na świecie nie pragnęła wierzyć mocniej niż w to. - I nawet nie byliśmy pijani.

- To byłoby dość marne usprawiedliwienie - powiedział, stawiając tacę na łóżku obok niej. Przygotował dla niej płatki z mlekiem, sok pomarańczowy i grzankę. Grzanka była posmarowana masłem i dżemem.

- Miałem zamiar zrobić gofry, ale przestraszyłem się, że Jane nas pozabija, jeśli znowu wykręcimy sztuczkę z syropem klonowym. Roześmieli się na wspomnienie tamtej sceny, od której zaczęła się ich znajomość. Syrop klonowy na zawsze już pozostanie częścią ich tajemnego szyfru. Coco ucieszyła się, że jest dopiero siódma rano. Mogła z nim spędzić jesz-

cze całą godzinę przed wyjściem do pracy. Chciała, żeby spędzili ją w łóżku.

- Dziękuję - powiedziała nieco zakłopotana tym, że przygotował dla niej śniadanie i podał je tak elegancko, lecz także tym, co zaszło między nimi wczoraj wieczorem.

Wszystko to wyczytał z jej oczu.

- Chciałbym ci coś powiedzieć, zanim umrzesz z przerażenia. Żadne z nas nie wie, co z tego wyniknie. Wiem tylko, czym bym chciał, żeby to się okazało. Mam nadzieję, że tak będzie, i mimo że znamy się dopiero od dwóch dni, myślę, że wiem kim jesteś. Wiem też, kim byłem dotąd, a kim chciałbym się stać, jeśli mi się uda. Nigdy nie kłamałem umyślnie.

Nikogo nie skrzywdziłem. Bywałem w życiu skończonym durniem, ale nigdy łobuzem. Nie jestem facetem, który chciałby zawrócić ci w głowie, okręcić cię sobie wokół palca, a potem odpłynąć z powrotem do Hollywood, dumny z kolejnej zdobyczy. To mnie nie interesuje. Nie traktuję kobiet w ten sposób, a już na pewno nie potraktowałbym ciebie. Nie jesteś dla mnie łupem. Potrzebuję cię. Kocham cię, Coco. Wiem, że to brzmi dziwnie po dwóch dniach znajomości. Ale wydaje mi się, że czasem to się po prostu czuje. Wiem, że to jest to, i że tym razem naprawdę. Nie czułem tego nigdy przedtem, nigdy niczego nie byłem wcześniej tak pewny.

Chciałbym przeżyć z tobą resztę życia. Dla mnie to brzmi tak samo po wariacku jak dla ciebie. Ale chcę, żebyśmy wykorzystali naszą szansę.

Nie ma powodu wpadać w panikę. To nie jest pożar, który grozi zniszczeniami. Jesteśmy po prostu dwojgiem ludzi, których niespodziewanie połączyła miłość. Więc spróbujmy to przeżyć jak komedię romantyczną. I miejmy nadzieję, że utrzymamy się w rolach. Zgadzasz się spróbować? - spytał, wyciągając do niej rękę. Delikatnie podniósł do ust jej palce i pocałował. A potem pochylił się i pocałował ją

w usta. - Kocham cię, Coco, i nic mnie nie obchodzi, czy jesteś buntowniczką z Bolinas, czy opiekunką do psów, czy córką najślawniejszego agenta filmowego w Hollywood i autorki bestsellerów. Kocham cię i wszystko, czym jesteś. I jeśli będę miał trochę szczęścia, ty też mnie pokochasz.

Usiadł na łóżku obok niej, a ona spojrzała na niego z tym samym bezgranicznym zdumieniem, jakie dostrzegł w jej oczach poprzedniego wieczoru.

- Już cię pokochałam. I nie dlatego, że jesteś sławnym aktorem, lecz mimo tego. Jeśli potrafisz w to uwierzyć.

- Właśnie tego pragnąłem najbardziej. Wszystko inne się jakoś ułoży. Mówiłem ci przecież, jeden dzień na jeden raz - powtórzył, i to zabrzmiało w jego ustach niemal pokornie. Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy.

Podzielili się grzanką. Potem poszli razem pod prysznic. Kiedy wychodziła do pracy, przytulił ją jak kwoka kurczątko. Obiecała, że wróci na obiad. Tego ranka musiał załatwić kilka telefonów. Między innymi do swojego agenta filmowego. Zamierzał wyjaśnić mu, co zaszło między nim a kobietą, która została w Los Angeles i zawiadomić, gdzie przebywa. Musiał uprzedzić człowieka od PR, że być może popełnił kilka głupstw. Należało poza tym zwrócić się do pośrednika wynajmu nieruchomości, żeby poszukał umeblowanego mieszkania i wynajął je dla niego do czasu, kiedy jego dom będzie znowu wolny. Miał mnóstwo spraw do załatwienia, zanim wróci do pracy. Chciał też obejrzeć miasto, zobaczyć, gdzie wylądował. Pomyślał, że wieczorem mogliby zjeść kolację poza domem. Zdążył jej już powiedzieć, że weekend chciałby znowu spędzić w Bolinas. Uśmiechnął się do siebie. Umył się pod prysznicem i ubrał się. Takie życie było bardzo przyjemne. Dlatego, że była w nim Coco.

Tego ranka Coco wciąż jeszcze była oszołomiona, kiedy spacerowała z psami swoich klientów. Podobało jej się wszystko, co od niego usłyszała i wszystko, co robili. Ale w rzadkich chwilach przytomności umysłu wątpiła, czy te cudowne chwile mogą potrwać dłużej, tym bardziej że chodziło o niego. To był przecież Leslie Baxter we własnej osobie. W końcu będzie musiał wrócić do Hollywood, żeby nakręcić kolejny film. Tabloidy rzucają się na jego nowy związek. Pożrą ich oboje. Zaczną go uwodzić sławne aktorki. A gdzie będzie wtedy Coco? Będzie czekała na niego w Bolinas, tęskniąc? Jej powrót do Los Angeles nie wchodził w grę. Tego nie zrobiłaby nawet dla niego. Gdy odwiozła ostatnie psy do ich domów, przypomniała sobie jego powiedzonko. Wzięła głęboki oddech... Jeden dzień na jeden raz. To było dla nich najlepsze rozwiązanie. I tak jak powiedział, jakoś sobie poradzą. Była gotowa na wiele, by nie utracić tej nowej miłości. Niestety, ze względu na obsadę niełatwo będzie dorobić szczęśliwe zakończenie do tej historii.

Kiedy wróciła do domu z gotowymi sandwiczami, które kupiła po drodze, on wciąż jeszcze rozmawiał przez telefon. Rozmawiał właśnie z pośrednikiem o wynajmie domu w Bel-Air na sześć miesięcy. Dom należał do znanej aktorki, która kręciła film w Europie. Coco nasłuchiwała, nieco zaniepokojona, ale Leslie odłożył słuchawkę i roześmiał się.

- Nie obawiaj się, nic złego się nie dzieje - pocieszył ją. - Żądają pięćdziesięciu tysięcy miesięcznie.

Myślał nad tym przez całe rano, jak to wszystko ułożyć, żeby dobrze funkcjonowało na dłuższą metę.

- Wiesz, przyszło mi do głowy, że w ostateczności mógłbym zamieszkać w San Francisco. Zrobili tak Robin Williams i Sean Penn. I są zadowoleni.

Skinęła głową w milczeniu. Jeszcze nie otrząsnęła się

z osłupienia po tym, co im się zdarzyło. Kiedy weszła do domu, właśnie wychodziła sprzątaczką. Zapomnieli o sandwiczach, położyli się do łóżka i kochali się przez cały czas jej przerwy obiadowej. Potem musiała wracać do pracy. Trudno jej było się z nim rozstawać. Gdy wróciła po czwartej, spał w jej łóżku. Jego agent miał przysłać nazajutrz kilka scenariuszy do przejrzenia. Na razie zamierzał zostać z nią w San Francisco. Jane zapewniła go, że może u niej mieszkać, jak długo zechce. Po południu ustalili, że na razie nic jej nie powiedzą. Chcieli jak najdłużej zachować tylko dla siebie cud, który im się zdarzył.

Człowiek od PR-u zadzwonił późnym popołudniem. Aktorka, która prześladowała Leslie'ego złożyła oświadczenie dla prasy, w którym oznajmiła, że wyrzuciła go z domu i w ledwie zawołany sposób zasugerowała, że jest gejem. Leslie odpowiedział, że nic go to nie obchodzi. Było dość dowodów na bzdurność tej sugestii. Powtarzając swoje insynuacje, przypominała lisa z bajki Lafontaine'a, który orzekł, że winogrona są za kwaśne, bo nie mógł ich dosięgnąć. Ale przy okazji powiedziała prasie, że to ona była inicjatorką zerwania, i to go trochę uspokoiło. Widocznie jej wściekłość już zaczęła opadać. Na razie nie był jeszcze całkiem pewny, czy się nie myli. Zanim wróci do Los Angeles, musi jeszcze chwilę odczekać i poobserwować sytuację.

Poprosił Coco, żeby zarezerwowała stolik na własne nazwisko w jakiejś spokojnej restauracji. Wybrała mały lokalik z kuchnią meksykańską w dzielnicy Mission, gdzie nie spodziewała się natknąć na nikogo, kto by go rozpoznał. W każdym razie na pewno go się tam nie spodziewano.

Kochali się pod prysznicem, a potem zdołali się wreszcie ubrać i około ósmej wyszli z domu.

Pomysł, żeby pójść do meksykańskiej restauracji, bardzo

się Leslie'emu spodobał. Był pewny, że nikt tam nie zwróci na nich uwagi, jeśli nie zobaczy jego nazwiska na karcie kredytowej. Co prawda kelnerka trochę dziwnie przyglądała mu się przez cały wieczór. Ale płacił gotówką, więc nie widziała jego karty. Puścił mimo uszu prośbę o autograf, gdy wydawała resztę. Udawał, że nie wie, o co chodzi, gdy ludzie przy innych stolikach zaczęli się do nich odwracać, a kelner coś im wyjaśniał szybko i głośno po hiszpańsku. Autograf potwierdziłby jego tożsamość, więc wyszli i wsiedli do furgonetki.

- Cholera - mruknął, gdy Coco włożyła kluczyk do stacyjki. - Mam nadzieję, że to się nie przedostanie do prasy.

Tego aspektu jego spraw Coco nie znała z własnego doświadczenia. Jego życie było skomplikowane, nie mógł pójść, dokąd chciał, musiał z tym bardzo uważać. Jeśli został tak łatwo rozpoznany w hiszpańskiej dzielnicy, to znaczyło, że nigdzie nie uda mu się wtopić w tłum. Żadne z nich nie życzyło sobie, żeby widziano ich razem w San Francisco. Więc do końca tygodnia siedzieli w domu, najwyżej Leslie chodził z nią na długie spacery po plaży. W sobotę, po wyprowadzeniu psów, pojechali do Bolinas i spędzili tam cały weekend. Tam problem zniknął, nikt się nie gapił na Leslie'ego. Kiedy, wyrzucając śmieci, przypadkiem wpadł na Jeffa, strażaka mieszkającego w sąsiednim domu, ten popatrzył na Leslie'ego i skinął mu głową z szerokim uśmiechem. Podał mu rękę, przedstawił się *i* powiedział, że cieszy go, że Coco nie jest już sama. Spotkali go znowu w sobotę rano na plaży. Jeff był na spacerze z psem. Rozmawiali przez chwilę o pogodzie, ale nie padł żaden komentarz i nic nie wskazywało na to, że Leslie został rozpoznany. W tej społeczności nie było zwyczaju wtykać nosa w cudze sprawy, choć ludzie pomagali sobie nawzajem. Leslie powiedział Jeffowi, że gdy w Anglii poszedł

do college'u, został członkiem ochotniczej straży pożarnej. Rozmawiali więc o sprzęcie strażackim, o pożarach i o życiu w Bolinas. Okazało się, że obaj lubią grzebać się w samochodach i potrafią robić w nich drobne naprawy. Leslie pasował do tego miejsca. Z Jeffem doskonale się dogadywał. Oboje byli szczęśliwi i wypoczęci, kiedy w niedzielę wieczorem wrócili do miasta. Leslie wciąż jeszcze wspominał, jak przyjemnie mu się rozmawiało z jej sąsiadem.

Coco trochę się bała, że pęknie delikatna bańka, w której chcieli się ukryć przed światem, ale jak dotąd nikt ich nie niepokoił. Jane wiedziała, że Leslie nadal u niej mieszka, i wydawało się, że to jej odpowiada.

Regularnie upominała Coco, żeby mu nie przeszkadzała, a Coco zapewniała ją, że pod żadnym pozorem nie zamierza mu się narzucać. Pod koniec kolejnego tygodnia ich wspólnego życia pośrednik wynajmu nieruchomości zawiadomił, że ma do wyboru kilka mieszkań i domów w Los Angeles, które Leslie powinien obejrzeć. Leslie stracił zainteresowanie mieszkaniami, ale postanowił pojechać, żeby przy okazji spotkać się z agentem, a także swoją obecnością w Los Angeles ukrócić plotki, że ukrywa się przed światem z powodu posądzenia o homoseksualizm. Jego eksnarzeczona podtrzymywała je z uporem i tabloidy zamieściły notki na ten temat, nie mniej i nie bardziej wstrząsające od wszystkich innych, jakie regularnie ukazywały się na ich łamach.

- Wybierzesz się tam ze mną w sobotę? - zaproponował. - Moglibyśmy spędzić weekend w hotelu Bel-Air.

Hotel był znany z dyskrecji, poza tym nikt przecież nie wiedział, kim jest Coco.

- Ale co zrobię z psami? - Miała przecież pod opieką oprócz Sallie także psa swojej siostry i wiedziała, że Jane jej nie wybaczy, jeśli zostawi Jacka samego.

- A gdybyśmy poprosili o pomoc twoich sąsiadów w Bolinas? Może zechcą się nimi zaopiekować?

- Jane udusiłaby mnie, gdyby się o tym dowiedziała -odparła Coco z miną winowajczyni. Ale bardzo chciała z nim jechać. - Możemy spróbować.

Zapytam.

Ostatecznie obaj sąsiedzi zgodzili się doglądać psów, karmić je i wyprowadzać na spacer, a jeden z nich nawet obiecał, że odwiezie je do San Francisco w niedzielę wieczorem, bo wybierał się na jakąś imprezę towarzyską. Wszystko było więc załatwione. Tak jak mówił Leslie: jeden dzień na jeden raz. I mogli nadal spędzać czas razem.

Ale gwoli ostrożności polecili do Los Angeles dwoma samolotami, na lotnisku zamówili dwie taksówki i umówili się na spotkanie w hotelu. Na wszelki wypadek. Zachowywali się trochę jak bohaterowie filmu szpiegowskiego. Nikt nie wiedział o ich przyjeździe. Samolot Leslie'ego był wcześniejszy. Zanim przyleciała Coco, zdążył już obejrzeć mieszkania, które proponował mu pośrednik. Żadne mu się nie podobało. Zresztą, odkąd ją poznał, był coraz mniej zainteresowany wynajęciem czegokolwiek w Los Angeles. Na razie dobrze mu się żyło w San Francisco. A Coco od razu poczuła się lepiej, kiedy opowiedział jej o tym wszystkim.

Dostali przepiękny apartament w hotelu Bel-Air. Na obecność Coco nikt nie zwrócił uwagi. Personel był przyzwyczajony do podobnych sytuacji i zachowywał się z absolutną dyskrecją. Poszli na kolację do małej knajpki w zachodnim Hollywood, którą znał ze świetnej regionalnej kuchni francusko-amerykańskiej z okolic Cajun. Wracali do hotelu w doskonałych nastrojach. Była już prawie północ, kiedy, idąc nieśpiesznie przez ogrody, spotkali całującą się parę. Obok po kanałku przecinającym park pływały łabędzie. Coco uśmiechnęła się, gdy zobaczyła tę parę i pomyślała, że już ich gdzieś widziała, ale w Los Angeles z daleka

wszyscy ludzie wydawali się skądś znajomi. Kobieta była postawna, dobrze ubraną blondynką. Wyglądała nadzwyczaj zgrabnie w czarnej wieczorowej sukience i pantoflach na wysokich obcasach, ale była odwrócona plecami. Mężczyzna, młody i przystojny, nosił świetnie skrojony czarny garnitur. Zatrzymywali się raz po raz, żeby się całować. Coco i Leslie byli coraz bliżej i dopiero w ostatniej chwili przed spotkaniem skręcili w alejkę prowadzącą do ich apartamentu. Kiedy to uczynili, kobieta nagle odwróciła twarz. Padło na nią światło reflektorków wpuszczonych w grunt. Spojrzała na mężczyznę, który jej towarzyszył. I wtedy Coco aż się zachłysnęła z wrażenia.

- O mój Boże! - szepnęła, chwytając ramię Leslie'ego.

- Co się stało? Wszystko w porządku?

Potrząsnęła głową twierdząco, ale dalej stała jak wryta. Wiedziała aż za dobrze, kim jest ta kobieta. Nie miała żadnych wątpliwości. Gdy tylko oprzytomniała, ruszyła szybko do ich pokoju, a Leslie podążył za nią ze stropioną miną. Coco sprawiała wrażenie oszołomionej. Rozplakała się, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi apartamentu. Wziął ją w ramiona. Nic z tego nie rozumiał. Po prostu spotkali parę, całującą się obok kanału z łabędziami. Bez wątpienia ludzie ci mieszkali w ich hotelu. Wyglądali na bardzo zakochanych. Ale Coco wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha. Usiadła, lecz nie otrząsnęła się z osłupienia. Była w szoku. Jakby strzelił w nią grom z jasnego nieba.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Leslie, siadając przy niej i obejmując ją ramieniem. - Powiedz. Znasz tego faceta? -Pomyślał, że może to jakaś miłość z dawnych czasów. Ale mówiła mu tylko o łanie.

W odpowiedzi potrząsnęła głową, tym razem przecząco.

- Nie chodzi o niego... Ale ta kobieta... to moja matka

powiedziała, patrząc na Leslie'ego, który był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć.

- Twoja matka? Nigdy jej nie poznałem osobiście. Jest piękną kobietą. Coco nie była do niej podobna, ale była równie piękna na swój własny sposób.

- On jest od niej przynajmniej o połowę młodszy. -Coco nadal nie mogła przyjść do siebie.

- Może nie aż o tyle - próbował ją pocieszyć.

Nie było wątpliwości, mężczyzna był od jej matki znacznie młodszy, a przy tym oboje wyglądali na bardzo zaangażowanych. Z jakim uwielbieniem spojrzała na tego mężczyznę. On także wydawał się nią urzeczony. Wyglądał zresztą bardzo sympatycznie, ubierał się w stylu Hollywood i bez wątpienia u dobrego krawca. Miał dość długie włosy i miłą twarz. Mógł być aktorem albo modelem, lecz nie tylko. W branży rozrywkowej mógł być praktycznie każdym. Przez chwilę Leslie milczał, zmieszany.

- Rozumiem - powiedział wreszcie. - Nie wiedziałaś o jego istnieniu.

- Jasne że nie. Zawsze powtarzała, że po śmierci ojca pragnie być sama.

Więc rozumiesz! - powiedziała z nieoczekiwanym gniewem. - Tutaj wszyscy są cholernie załgani. Udają i kłamią jak najęci, a moja matka nie jest lepsza. Z tym swoim całym świętoszkowatym pieprzeniem o wszystkich sprawach tego świata. Nazywa mnie hipiską i wyrzutkiem społeczeństwa. A ona sama? Kim jest?

Oczywista odpowiedź, jaką sugerował ton Coco, była tak nieprzyjemna, że Leslie się skrzywił.

- Może jest po prostu samotną kobietą? - powiedział łagodnie, próbując ją uspokoić. - W jej wieku jeszcze trudniej znieść samotność.

Wiedział, że matka Coco musi mieć przynajmniej sześć-

dziesiątkę. Ale nie wyglądała na tyle. Kiedy padł na nią strumień światła, dałby jej najwyżej pięćdziesiąt lat. Ten mężczyzna rzeczywiście był młodszy od niej, co Leslie'ego jakoś wcale nie oburzało. Tworzyli ładną parę i wyglądali na szczęśliwych. Jeśli ten związek dawał jej poczucie bezpieczeństwa, to cóż w tym złego? Ale nie powiedział tego Coco, bo nie chciał jej rozgniewać jeszcze bardziej. Musiał też przyznać, że nie ucieszyłby się, gdyby zobaczył własną matkę w podobnej sytuacji. Jego matka była jeszcze starsza i nie trzymała się tak wspaniale, poza tym nadal żyła w małżeństwie z jego ojcem, choć się na siebie nawzajem uskarżali w żartach, tak jak dawniej, jak zawsze, odkąd pamiętał. Matka Coco była młodsza od jego matki, bardziej atrakcyjna, świetnie ubrana, sławna, i była wdową. Nie zrobiła nic złego.

- Ma sześćdziesiąt dwa lata, a na koncie ma więcej operacji plastycznych niż jakaś nieszczęsna ofiara poparzeń. To nie jest w porządku. Jak śmie mnie pouczać, co mam robić w życiu, jeśli po kryjomu zachowuje się w ten sposób? Mój ojciec nigdy by jej tego nie zrobił.

Ale zanim skończyła mówić, wiedziała już, że to nieprawda. Ojciec był przystojnym mężczyzną i lubił flirtować, a młode, atrakcyjne klientki były częstym tematem kłótni między nim i matką. Matka nie spuszczała go z oka, trzymała go na krótkiej smyczy.

- Skąd wiesz? Może twój ojciec na jej miejscu robiłby to samo. Dlaczego miałaby żyć samotnie? Muszę ci to powiedzieć: ona też ma prawo do własnego życia.

- A ten facet? Dlaczego, twoim zdaniem, się w to wdał, o co mu chodzi? O seks? W jej wieku? Raczej zależy mu na pieniądzach, wpływach, znajomościach, na całej tej otoczce jej sławy!

- Być może - odparł spokojnie.

Trochę się uspokoiła, przestała płakać. Ale nadal była poruszona.

Musiałoby to być dla niej przerażające przeżycie - zobaczyć nagle matkę całującą się w świetle księżyca z człowiekiem znacznie młodszym. Świat Coco zdrzął w posadach, i to w najbardziej nieprzyjemny sposób.

- Ale o czymś zapomniałaś - dorzucił cicho. - O miłości. Może kocha tego faceta. I może to być o wiele zdrowsze uczucie, niż się wydaje. Mimo różnicy wieku. Mężczyznom często się to zdarza, zakochują się w kobietach o wiele młodszych od siebie. Jestem od ciebie starszy o trzynaście lat, i na nikim nie zrobiłoby wrażenia, że się z tobą związałem.

Nie trzeba ulegać stereotypom, kiedy myślimy o związkach. Nie wygląda na to, żebyś miała jakiś problem z zaakceptowaniem związku twojej siostry, która żyje z kobietą. Nikt z nas nie ma z tym problemu. Więc dlaczego twoja matka nie może się spotykać z kimś dużo młodszym?

- Nie umiem myśleć o niej w ten sposób. - Coco usiłowała być szczerą wobec siebie i wobec niego. Wydawała się bardzo udęczona.

- Ja też bym pewnie nie umiał - odparł Leslie z taką samą szczerością. - Czemu jej o to nie spytasz i nie posłuchasz, co ci powie?

- Mam spytać? Ja, moją matkę? Chyba żartujesz! Ona nigdy, przenigdy nie mówi prawdy, przynajmniej w sprawach, które dotyczą jej osobiście. Przez lata nie przyznawała się do swoich operacji plastycznych. Najpierw zope-rowała sobie biust. Mój ojciec jeszcze wtedy żył. Potem powieki. Po trzech tygodniach od pogrzebu strzeliła sobie kolejny zabieg, „na pocieszenie”, jak powiedziała. Może już wtedy się spotykała z tym facetem!

- Ale tego nie wiemy. Może pojawił się w jej życiu właśnie dzięki tym operacjom. Uważam, że nie powinnaś osądzać, póki jej nie wysłuchasz. Tak będzie sprawiedliwie.

Facet może być łobuzem, który leci na jej pieniądze i sławę, ale może też być kimś zupełnie innym. Przynajmniej poznaj jej wersję. Naprawdę wyglądali na zakochanych.

- Ona cierpi na jakiś przerost seksualności! - Coco rzuciła mu wściekle spojrzenie.

Roześmiał się.

- Myślę, że to może być dziedziczne. Ale wcale mi nie przeszkadza. Jeśli w jej wieku będziesz miała tyle pary co ona, będę szczęśliwy jak nieboskie stworzenie. I wcale nie musisz robić sobie dla mnie liftingu. Kocham cię taką, jaką jesteś. Ze zmarszczkami czy bez.

Uroda Coco była o wiele bardziej naturalna niż jej matki i być może bardziej odporna na upływ czasu, ale nie sposób zaprzeczyć, że jej matka jak na swój wiek wyglądała świetnie. I jeśli potraktować poważnie stare porzekadło: „Spójrz na matkę swojej ukochanej, zanim się ożenisz” - to Leslie mógł się żenić z miejsca.

Coco nadal była wzburzona, kiedy się kładli do łóżka, i nie przeszło jej to nawet nazajutrz przy śniadaniu. Gdy dotarło do niej, że Leslie miał rację - że nie powinna osądzać Florence - stała się jeszcze bardziej rozdrażniona. Nie mogła nawet opowiedzieć o tym Jane, bo wybrała się z nim do Los Angeles w największej tajemnicy przed siostrą. Gdyby pisnęła Jane chociaż słówko, wydałoby się od razu, że zostawili jej psa pod opieką sąsiadów w Bolinas. A matka by się dowiedziała, że Coco była w Los Angeles i do niej nie zadzwoniła. W tej rodzinie utrzymywano stanowczo zbyt wiele tajemnic. Zwłaszcza ostatnio. I zwłaszcza matka. Bo ona i Leslie nie mieli nic do ukrycia, musieli tylko mieć się na baczności przed jego psychopatyczną eks-narzeczoną i unikać kontaktu z tabloidami tak długo, jak tylko zdołają. To będzie dla mediów niebywała sensacja, kiedy już przestaną się ukrywać. Tymczasem Coco nie mog-

ła pisać nikomu ani słówka i miała związane ręce. Musiała więc zachować dla siebie sensacyjną wiadomość o matce i czuła się tym udęczona.

Powrotny lot do San Francisco, tak jak w tamtą stronę, odbyli dwoma samolotami i każde z nich wróciło do domu osobną taksówką. Ale sprawa Florence była pierwszą rzeczą, o jakiej zaczęli rozmawiać, ledwie Leslie wszedł do holu. Więc zrozumiał, jak ważne było dla niej to zdarzenie.

Była przez matkę tak często krytykowana za swoje decyzje, że trudno jej było zrozumieć to, co zobaczyła w parku, a zwłaszcza nie mogła znieść tego, co sobie wyobraziła. Nie do przyjęcia były te pocałunki, ten romans, a już najbardziej nie do przyjęcia był wiek faceta, z którym ją widziała.

Wieczorem zadzwoniła Jane i zauważyła zmieniony głos Coco.

- Co cię tak rozzłościło? - spytała bez ogródek. Bo głos Coco brzmiał tak, jakby kłóciła się z kimś albo miała taki zamiar, i Jane od razu zrobiła się podejrzliwa.

- Chyba nie ścięłaś się z Lesliem? Nie zapominaj, że Leslie jest moim gościem.

- A kim ja jestem? Oprócz tego, że opiekunką do psa i dozorczynią? - warknęła Coco, aż Jane w Nowym Jorku zaniemówiła z wrażenia.

- No, no... Ale wobec mojego gościa nie pójź walaj sobie na takie zachowanie, Coco. I nie pyskuj, kiedy ze mną rozmawiasz. Leslie zechce pewnie zostać u mnie jeszcze przez jakiś czas, bo musi ukrywać się przed tą wariatką i przed prasą. Będę ci wdzięczna, jeśli do reszty nie zatrujesz mu życia, zachowując się jak rozpuszczony bachor.

Jane zawsze traktowała siostrę jak dziecko. Ale słysząc tę uwagę, Coco z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Postaram się nie zatruć mu życia do reszty - powiedziała z opryskliwością, tym razem udawaną. Musiała prze-

cięż chronić ich wspólną tajemnicę. Teraz nie tylko matka miała coś do ukrycia, choć jej tajemnica była o niebo przy-zwoitsza. Ale ani Coco, ani Leslie nie chcieli, żeby Jane poznała ją przedwcześnie. Zamierzali jak najdłużej chronić swoją miłość przed wścibstwem innych, przed cudzymi opiniami i komentarzami. A kiedy o tym pomyślała, zaczęła się zastanawiać, czy matka postępuje tak samo, i czy kiedykolwiek zamierza im powiedzieć o swoim związku. Jeśli chodziło w nim tylko o seks, to na pewno nie. Ale jeśli traktowała to poważnie, kiedyś będzie musiała wyznać prawdę.

- Prawie go nie widuję - odpowiedziała z naciskiem, żeby zmylić tropy.

- To bardzo dobrze. Leslie potrzebuje spokoju. Ma za sobą ciężkie przejścia. Najpierw chciała go zabić ta kobieta, a teraz rzuciły się na niego tabloidy, które piszą, że jest gejem.

- A jest? - spytała niewinnie Coco, i znowu omal się nie roześmiała. Miała przecież nieustające dowody jego heteroseksualności, i to prawie od dwóch tygodni. Była z tego powodu bezgranicznie szczęśliwa. Razem świetnie się bawili, i w łóżku, i poza nim.

- Jasne że nie - odparła sucho Jane. - Po prostu nie jesteś w jego typie. Podobają mu się kobiety bardzo eleganckie, bardzo wyrafinowane, często jego partnerki filmowe, ale nie tylko. Zdaje się, że zaliczył też niejedną brytyjską czy francuską arystokratkę. Do diabła, przecież to największy żyjący gwiazdor filmu. A gejem nie jest na pewno. Kiedyś nawet mnie próbował podrywać. Ten facet rżnie wszystkie.

Wszystkie oprócz ciebie, brzmiała ukryta sugestia, która nie uszła uwagi młodszej siostry. I Coco była dość przygnębiona po tej rozmowie.

- Powiedziałaś jej o matce? - spytał Leslie. Potrząsnęła przecząco głową.
 - Nie mogłam. Z powodu psa. Powiedziała, że rzniesz wszystkie. Zwłaszcza swoje partnerki filmowe. Gustujesz w kobietach eleganckich, o wiele bardziej wyrafinowanych ode mnie - popatrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jakby ją ktoś przed chwilą spoliczkował albo wymierzył jej klapsa.
 - Tak powiedziała? - Leslie był zdumiony. - Skąd jej to przyszło do głowy?
 - Spytałam ją, czy jesteś gejem, po to, żeby odwrócić jej uwagę.
 - Wspaniale! I tak ci odpowiedziała? To prawda, sypiałem z partnerkami z planu. Ale szybko przestałem. To zabawa bardzo młodych aktorów. Szukałem prawdziwych kobiet. Gwiazdki mnie nie interesowały. A ty jesteś kobietą mojego życia. I na pewno nie jestem gejem.
 - Przekonaj mnie o tym - powiedziała, udając nadąsaną. Roześmiał się.
 - Zgoda, skoro nalegasz - powiedział, porzucając walizkę, którą zamierzał rozpakować. - Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Jeśli trzeba ci to udowodnić, jestem do usług.
- I udowodnił jej to. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz.

ROZDZIAŁ SZOSTY

Przed końcem czerwca eksnarzeczona Leslie'ego skończyła z udzielaniem wywiadów na jego temat do kolorowej prasy i publikowaniem oświadczeń na łamach „Entertainment Tonight”.

Widziano ją nawet na parkiecie pewnego nocnego klubu w Los Angeles razem z pewnym rozchwytywanym muzykiem rockowym. Wyglądało na to, że Leslie zdołał urwać się z haczyka. Nie chciał zapeszyć, ale miał nadzieję, że całkowicie przestała się nim interesować. Musiał udać się do Los Angeles, żeby spotkać się z agentem i omówić z nim różne biznesowe sprawy. Wrócił tam na dwa dni. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Coco wpadła w panikę. Przypomniało jej się, czym był jej świat bez niego. Tak bardzo go kochała, że byłaby zdruzgotana, gdyby ją teraz porzucił, by wrócić do dawnego życia. Obawiała się, że tak wielkie szczęście nie może trwać długo. On był przecież tym, kim był, a ona żyła w innym, odległym świecie. I myślała, że ich wspólny czas jest jak kredyt, który w swoim czasie trzeba będzie zwrócić. Kiedy w końcu przyjechał, była niemal w depresji.

- Co się stało? Ktoś zmarł? - zapytał żartem.

Widział, jak bardzo jest smutna. Nie był pewien, czy to

nadal z powodu matki. Zachowała sekret dla siebie, ale wciąż się tym gryzła. Nie przyszło mu jednak do głowy, że może być smutna z jego powodu.

- Nikt nie umarł. Ale wyjechałeś. I zaczęłam myśleć, co będzie, jeśli odejdiesz.

Był poruszony tym, co mu powiedziała. Rozumiał, co czuła. Myślał bez przerwy o tym, jak urządzić ich wspólną przyszłość. Bo pragnął wspólnej przyszłości bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Nikt ci nie zabroni pojechać do Los Angeles razem ze mną. Dlaczego nie mielibyśmy zamieszkać tam razem?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Matka doprowadziłaby mnie do szaleństwa, paparazzi rozszarpywaliby nas żywcem, ludzie z kolorowych pism przeszukiwaliby nasze śmieci. Dobrze wiem, jak to wszystko wygląda. Pamiętam, co mój ojciec opowiadał o swoich klientach. Nie, nie mogę tak żyć.

- Ja też nie mogę - powiedział, marszcząc brwi. Przeczuwał, że nie zdoła namówić jej do przeprowadzki do Los Angeles, a musiał tam przecież spędzać przynajmniej część czasu.

- Ale ty właśnie żyjesz w ten sposób. Dla ciebie to jest zło konieczne.

- Więc zamieszkamy tu. Będę podróżował tam i z powrotem, kiedy będę musiał. I tak połowę czasu spędzam w plenerach. Możesz jeździć ze mną.

- Na planie filmowym paparazzi też nie dadzą nam spokoju - powiedziała z nieszczęśliwą miną.

- Co zamierzasz mi przez to powiedzieć, Coco? - zapytał, trochę przestraszony. - Nie chcesz dzielić ze mną życia? Paparazzi są tak okropni, że wolisz dać sobie ze mną spokój?

Chwycił ją za rękę, jakby się bał, że Coco mu ucieknie.

- Nie wiem, co robić. Kocham cię. Ale nie chcę, żeby to bagno wchłonęło nasze życie.

- Ja też tego nie chcę. Inni jakoś sobie z tym radzą. Musisz się po prostu postarać i znaleźć własny sposób. Na szczęście nie działasz w tej branży. Więc powinno być łatwiej. A poza tym, teraz nikt nas nie prześladowuje. Więc cieszymy się tą chwilą, póki trwa.

Jak dotąd, mieli przecież sporo szczęścia, ostrożność się opłacała - nikt im nie deptał po piętach. Unikali zakupów w śródmieściu, a do żadnego sklepu nie wracali po raz drugi. Żywność kupowali w hipermarkecie późnym wieczorem. Leslie wkładał wtedy bejsbolówkę i ciemne okulary. Każdy weekend spędzali zaszyci w Bolinas, gdzie cieszyli się długimi spacerami po pustej plaży. Leslie nie mógł sobie pozwolić na robienie publicznego widowiska z własnego życia. To były jego sprawy prywatne. Przybył tu, gdy ukrywał się przed pewną kobietą, i pozostał, ukrywając się razem z inną, z oddaniem chroniąc i osłaniając ich miłość przed wścibstwem żarłocznych mediów. Bez wątplenia było to bardzo trudne zadanie, ale wiedział, jak sobie radzić, i póki nikt się nie zorientował, że przebywa w San Francisco, nie było źle. Oboje jednak wiedzieli, że tak nie będzie zawsze. Prędzej czy później trzeba będzie zmierzyć się ze złymi stronami sławy wielkiego aktora, którego romans interesuje cały świat. Właśnie tego Coco bała się śmiertelnie i tym właśnie się brzydziła, niezależnie od tego, jak bardzo go kochała.

- Nie chcę, żeby to się skończyło - powiedziała ze smutkiem. - Żebyśmy to stracili.

- To prawda, w przyszłości nasze życie będzie wyglądać inaczej, ale przecież uda się nam ochronić prywatność. I nic się nie skończy, jeśli nie będziemy tego chcieli - dodał stanowczo. - Decyzje zależą od nas.

Mówiąc to, pocałował ją i po raz kolejny zapewnił o swojej miłości. Ostatnią rzeczą, której mógłby sobie życzyć, było rozstanie. Chciał zostać z nią na całe życie. Tego był absolutnie pewny. Jak to urządzić - to już osobny problem. Był zdecydowany poradzić sobie za wszelką cenę. Nie szukał już umeblowanego mieszkania w Los Angeles. Zdecydował, że zostanie w San Francisco razem z Coco do połowy września, to znaczy jeszcze przez dwa i pół miesiąca. W październiku zaczynał kręcić następny film. We wrześniu musiał być w Los Angeles przy łamaniu scenariusza i przymiarkach kostiumów. Harmonogram przewidywał dziesięć dni próbnych klapsów w Los Angeles, potem będzie musiał spędzić w Wenecji przynajmniej miesiąc, a zanim wróci, lokator zwolni jego dom. Więc nie potrzebował już wynajętego mieszkania w Los Angeles. Potrzebował tylko obecności Coco. Chciał dzielić z nią życie pod jednym dachem.

Wpadł na pomysł, żeby spędzili w Bolinas weekend, w który wypadło święto 4 Lipca, i spytał, czy nie poszukałaby jakiegoś zastępstwa dla swoich psów, tak żeby mogli spędzić na plaży cały tydzień. Zawiadomiła o tym swoich klientów z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Zastępstwo zaproponowała Erin, jednej z młodych przyjaciółek Jane i Elisabeth. Erin była miła, szukała pracy i przez cały tydzień towarzyszyła Coco na spacerach z psami, żeby się wdrożyć do nowych obowiązków. Dla Coco były to pierwsze tak długie wakacje w ciągu ostatnich lat. I oboje czekali na ten wyjazd z utęsknieniem. Kiedy już byli w Bolinas, Leslie poczuł się tak, jakby mieszkał tam od zawsze. Pożyczył nawet piankowy kombinezon lana i poszedł popływać w morzu, mimo że nadal trochę bał się rekinów. Pogoda była tak piękna i słoneczna, że nie mógł się oprzeć pokusie. Dla Coco to było dziwne przeżycie, patrzeć jak

wychodził z wody w znajomym kombinezonie, łan był od niego szczuplejszy, więc z daleka widać było, że to ktoś inny. Ale póki nie zdjął maski, jej serce mocno biło. A kiedy już widziała twarz Leslie'ego, jego uśmiech, zaczynało bić jeszcze mocniej. Bardzo kochała łana i wiedziała, że zawsze będzie dla niego w jej uczuciach specjalne miejsce. Ale to Leslie był teraz panem jej serca. Godzinami wylegiwali się na piasku albo zbierali muszle i kamyki, łowili ryby, razem gotowali, rozmawiali, śmiali się, grali w karty, czytali i spali.

Leslie poświęcił trochę czasu na przegląd jej furgonetki i ku jej zdumieniu wyregulował silnik tak, że mruczał cicho jak kot. Od czasu do czasu naradzał się przy tym z Jeffem, który wpadał zobaczyć, jak mu idzie robota. Kiedy skończył, jego widok rozśmieszył Coco do łez. Wszedł do kuchni z twarzą umorusaną smarami, ręce miał czarne. Był uradowany jak mały chłopczyk, któremu pozwolono bawić się w błocie przez cały dzień. Wyglądał na szczęśliwego.

Sąsiedzi z domku po drugiej stronie zaprosili ich na przyjęcie ogrodowe z okazji święta 4 Lipca. Leslie chciał do nich pójść.

- A co będzie, jeśli ktoś cię rozpozna? - spytała zaniepokojona. Do tej pory dmuchali na zimne i to się opłacało: żyli w idylli anonimowości, mieli święty spokój.

- Pewnie wszyscy twoi sąsiedzi od dawna wiedzą, kim jestem. Po prostu są dyskretni. - Powiedział to z całkowitą pewnością, trochę zbyt wielką, jak na jej wyczucie.

- Może nie wszyscy są tacy dyskretni.

- Jeśli będzie nieprzyjemnie albo sytuacja wymknie się spod kontroli, zawsze możemy wrócić do domu. Ale byłoby miło dla odmiany wziąć udział w miejscowym przyjęciu.

Więc w końcu się zgodziła. Przyszli dość późno, kiedy

było już ciemno. Wśliznęli się po cichu i sami poczęstowali się piwem. Leslie usiadł i zaczął rozmawiać z chłopcem w wieku Chloe. W końcu matka chłopca przyszła po dziecko i stanęła jak wryta na widok Leslie'ego. Plotka szybko rozniosła się wśród gości. Wszyscy byli poruszeni tym, że Leslie Baxter jest wśród nich i pije piwo jakby nigdy nic, ale nikt nie poprosił o autograf i nikt mu się nie naprzykrzał. Leslie prowadził ciekawą rozmowę z trzema facetami na temat łowienia ryb. Polubiły go wszystkie dzieci obecne na przyjęciu. Miał do dzieci świetne podejście. Jeff mrugnął do Coco, a potem przysiadł się do niej na pogawędkę.

- Polubiłem tego gościa - powiedział szeptem. - Kiedy go pierwszy raz spotkałem przy wyrzucaniu śmieci, byłem trochę zaskoczony. Ale to normalny facet, nie jakiś narcyz zajęty tylko sobą, jak to bywa z aktorami. Wyglądasz na szczęśliwą, Coco, cieszę się.

Jeff cieszył się naprawdę, a ona była zadowolona z jego przyjaźni z Leslie'em, zawiązanej przy przeglądzie furgonetki.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. I nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie była tak szczęśliwa. Tak spokojna, odprężona, pewna siebie, tego co robi i pewna swojego partnera. To było cudowne uczucie, stać się nareszcie dorosłą kobietą, i cieszyła się nim ogromnie.

- Czy teraz nas opuścisz i wyjedziesz do Hollywood? Mam nadzieję, że nie - powiedział Jeff. Potrząsnęła głową.

- Nie. Zostaję tutaj. Mam nadzieję, że on będzie mógł dojeżdżać.

Jeff kiwnął głową - takie rozwiązanie jemu także odpowiadało.

Leslie zaczął już rozmowy w sprawie kupna domu w San Francisco, skoro dogadali się i wiedzieli, czego chcą. Nie

będzie to nic podobnego do domu Jane, obiecał. Raczej coś prostego i ładnego w dobrym starym stylu wiktoriańskim. Najbardziej lubił spędzać czas na plaży w Bolinas, ale z miasta łatwiej się dostać do Los Angeles. Było za wcześnie, żeby podjąć ostateczne decyzje, lecz był otwarty na różne możliwości. Na wszystko, co mogło okazać się dla nich dobre. Gotów był zainwestować w to czas, siły i pieniądze, bo ją kochał. W zamian potrzebował z jej strony tylko odrobiny elastyczności i tolerancji dla swojego życia zawodowego, które miało również złe strony. Kiedy wyjeżdżał do Los Angeles, Coco zawsze była trochę przerażona. Na tym przyjęciu dobrze się czuli do samego końca, a potem codziennie ktoś pozdrawiał ich na plaży, kiedy spacerowali z psami. Nikt nie wlepił w niego oczu, nie robił mu zdjęć i nie zawiadamiał prasy. Leslie po prostu wtopił się w przestrzeń pośród drewnianych domów Bolinas. Gdyby szukał miejsca, w którym można się ukryć, to nie mógłby znaleźć lepszego.

Jane i Liz były już w Nowym Jorku od sześciu tygodni, kiedy Liz musiała wrócić na chwilę do Los Angeles w związku z pracą. Na razie nie znalazły nikogo do pilnowania domu i opieki nad psem. Zresztą Jane więcej o tym nie wspominała i Coco podejrzewała, że nawet nie próbowała poszukać nikogo innego na jej miejsce. Ale była szczęśliwa, bo mieszkał z nią Leslie. Więc ona także już więcej o tym nie myślała. Liz zadzwoniła z Los Angeles, lecz nie miała po co przyjeżdżać do San Francisco, więc się nie pokazała. Wiedziała, że Leslie jeszcze się nie wyprowadził, co nie przeszkadzało ani jej, ani Jane. Dzięki temu Coco miała przynajmniej towarzystwo, zdaniem Liz. O ile w ogóle z nią rozmawiał, w co Jane wątpiła. Sądziła, że Leslie nie zaprzyjaźniłby się z dziewczyną w wieku jej sio-

stry i była całkiem pewna, że Coco nie należała do tych, które mogły być dla niego atrakcyjną zdobyczą.

Liz raz czy drugi wyraziła przeciwną opinię. Przecież byli dwojgiem przystojnych, inteligentnych osób mieszkających pod jednym dachem.

Ale Jane ją wyśmiała.

- To pomysł, który nadaje się tylko do sitcomu - zbeształa ją, ubawiona. - Leslie Baxter na pewno nie zada się z opiekunką do psów, nawet jeśli to moja młodsza siostrzyczka.

Możesz mi wierzyć. Ona zupełnie nie jest w jego typie.

Jane była tego tak nieugięcie pewna, że Elisabeth dała spokój. Chociaż wydało jej się to dziwne, bo eksnarzeczo-na Leslie'ego wdała się już w następny romans z muzykiem rockowym i przestała go dręczyć, a on nadal siedział w ich domu w San Francisco. Poza tym miała na temat Coco znacznie lepsze zdanie niż Jane. Dla Jane Coco wciąż była dzieckiem, i to w dodatku zbuntowanym. Liz domyślała się, co się kryło pod tymi pozorami. Ale Jane nawet nie chciała się nad tym zastanawiać. A może Leslie'emu się chciało? Taka myśl nieraz przeleciała Liz przez głowę.

Jak to czyniła zawsze, będąc w Los Angeles, Elisabeth odwiedziła swoją „teściową”. Uważała to za obowiązek wynikający z szacunku, ale była to także przyjemność, bo lubiła te wizyty. Ucieszyła się, widząc Florence w doskonałej formie, wyglądającą lepiej niż kiedykolwiek. Nie uszło jednak uwagi Elisabeth, że kiedy wchodziła do domu w Bel-Air, właśnie wymykał się z niego przystojny mężczyzna. Uśmiechnął się do niej, kiedy go mijala. Był mniej więcej w wieku Jane. Wsiadł do srebrzystego porsche zaparkowanego przed domem i odjechał. Elisabeth nie miała pojęcia, skąd to przeczucie, ale wydawało jej się, że ten mężczyzna wróci, gdy tylko ona sobie pójdzie. A kiedy weszła do łazienki, zobaczyła męski kaszmirowy swe-

ter wiszący na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi. Zobaczyła też dwie szczoteczki do zębów. Pomyślała, że może jest przesadnie podejrzliwa, ale mimo wszystko spróbowała w żartach podpytać matkę Jane przy kieliszku szampana w ogrodzie, który podczas jej wizyt był rytuałem. Jej nowy lifting twarzy udał się znakomicie i wyglądała na młodszą o piętnaście lat. A figurę zawsze miała doskonałą.

- Czy to twój nowy kawaler, ten pan, który wsiadał do porsche, kiedy przyszedłem? - uśmiechnęła się Elisabeth. Była zaskoczona, gdy Florence zbladła i zakrztusiła się szampanem.

- No... skąd?! Ja... ja... - urwała, nie kończąc. Spojrzała na Elisabeth. Niewinny żarcik wprowadził ją w tak wielkie zmieszanie, że prawie się rozplakała. - Proszę cię, nie mów o tym Jane ani Coco... To była taka miła znajomość. Myślałam, że to coś przelotnego, ale jesteśmy razem już od roku. On wierzy, że mam pięćdziesiąt pięć lat. Powiedziałam mu, że urodziłam Jane, mając lat szesnaście. Pewnie pomyślisz o mnie coś okropnego, ale naprawdę nie wiedziałam, co mu powiedzieć. On ma trzydzieści osiem lat. Wiem, że to straszny wstyd, ale kocham go. Kochałam Buzza przez cały czas naszego małżeństwa. Ale jego już nie ma. A Gabriel jest takim cudownym mężczyzną. I jest bardzo dojrzały jak na swój wiek.

Elisabeth dopiero po chwili przypomniała sobie, że powinna zamknąć usta, które otworzyła ze zdumienia, gdy spojrzała w osłupieniu na teściową. Zawsze była bardziej życzliwa ludziom i łagodniejsza od Jane, więc Florence chętnie jej się zwierzała, lecz jeszcze nigdy nie chodziło o sprawę tego rodzaju.

- Jeśli jesteś z nim szczęśliwa, Florence - zaczęła ostrożnie, nie wiedząc, co powiedzieć. Wiele zależało od tego, jakie powody skłoniły jej ukochanego, żeby związać się

z kobietą o tyle od niego starszą. Liz była nieco zaniepokojona.

Wiedziała, że Jane by się wściekła, gdyby o tym wiedziała, a Coco prawdopodobnie także. - Kim on właściwie jest? Aktorem?

Wyglądał na aktora i był wystarczająco przystojny, co jeszcze wzmogło podejrzliwość Elisabeth.

- Jest reżyserem. Pracuje dla kina niezależnego. Florence wymieniła dwa tytuły, które odniosły spory

sukces. Więc facet przynajmniej nie był żigolakiem, zainteresowanym wyłącznie pieniędzmi.

- Jest nam ze sobą bardzo dobrze. Byłam taka samotna, kiedy Buzz odszedł, a dziewczynki wyjechały. Nie mogę przez cały czas pisać książek albo grać w brydża. Większość moich przyjaciółek ma jeszcze mężów,, i kiedy się spotykamy, to zawsze właśnie ja jestem tą nie do pary.

Elisabeth zrozumiała, że naprawdę było jej ciężko. I wiedziała też, że starsza córka Florence nie chce nic o tym wiedzieć. Florence była jeszcze wciąż dość młoda duchem, by pragnąć bliskości, a może nawet seksu, choć to wydawało się Elisabeth jeszcze bardziej zdumiewające. Mogła zgadnąć, że Jane by tego nie zniosła.

- Powiesz o tym Jane? - spytała Florence z przerażeniem w oczach.

- Jeśli nie chcesz, żebym powiedziała, to nie powiem. Przecież Florence nie popełniła żadnej zbrodni i nikogo

nie skrzywdziła. Nie była chora na umyśle ani nie narażała zdrowia. Po prostu miała romans z o wiele młodszym mężczyzną. W istocie młodszym o dwadzieścia cztery lata. Ale właściwie, pomyślała w końcu Liz, dlaczego u diabła nie? Kto miałby prawo powiedzieć Florence, że postępuje niewłaściwie? Że tego jej nie wolno? Kto miałby prawo ją obwinie? Oczywiście obawiała się, że Jane gotowa to uczynić, bywała naprawdę gruboskórna. Liz kochała Jane, ale była

świadoma jej słabostek, defektów jej charakteru i dziwactw. Poza tym, akceptacja dla mężczyzn nigdy nie była jej mocną stroną.

- Myślę, że powinnaś sama im o tym powiedzieć.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak. Tak uważam - powiedziała Elisabeth bez owijania w bawełnę. - Wtedy, kiedy sama uznasz, że chwila jest odpowiednia. Jeśli to przelotna historia, nic im do tego. Ale jeśli zamierzasz związać się z nim na dobre, to macie prawo czuć się kochani i akceptowani przez twoją rodzinę. Poza tym one na pewno chciałyby wiedzieć, co się zmieniło w twoim życiu.

- Myślę, że Jane dostanie szału - powiedziała Florence z nieszczęśliwą miną.

- Ja też w pierwszej chwili byłam oburzona - przyznała Elisabeth. - Przejdzie jej. Nie ma prawa dyktować ci, jak powinnaś żyć. Będę jej o tym przypominać, jeśli to może coś pomóc.

- Dziękuję ci - powiedziała z wdzięcznością Florence. Elisabeth obroniła ją już wiele razy. Ale obie wiedziały, że tym razem nie pójdzie łatwo.

- O Coco bym się nie martwiła - dodała Elisabeth. - Ma współczującą naturę, nie jest tak krytyczna jak Jane. Zresztą obie chcą przecież, żebyś była szczęśliwa.

- Tylko że wcale sobie nie życzą, żebym miała młodego kochanka. Pieniądze nie mają w tej historii żadnego znaczenia - zapewniła ją Florence, żeby za ewentualnym pośrednictwem Elisabeth uspokoić Jane.

- Mówiłam mu, że powinien się ożenić i mieć dzieci. Ale on jest już po rozwodzie i ma jedno dziecko, dwuletnie. Jesteśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Nie przypuszczam, że się kiedykolwiek pobierzemy - dorzuciła przeproszającym tonem, jakby to było coś złego.

- Gdybyś była mężczyzną - odparła Elisabeth, stając po stronie Florence, zniecierpliwiona niejako w jej imieniu -paradowałabyś na każdym przyjęciu z dziewczyną o połowę młodszą od ciebie, z trzydziestolatką. Pokazywałabyś się z nią na basenie w hotelu Beverly Hills, pyszniłabyś się nią przed swoimi dziećmi, przed sąsiadami, nawet przed fryzjerem. Ożeniłabyś się z nią nawet i spłodziła dziecko. Choćbyś była starsza o dziesięć lat niż jesteś, i choćby jej odjąć jeszcze dziesięć lat, nie byłoby w tym związku nic bulwersującego, a niejeden by ci zazdrościł. I to dopiero jest oburzające. Te podwójne standardy, które każą ci przemykać się chyłkiem, ukrywać się i kłamać, podczas gdy mężczyzna w tym samym położeniu z dumą trąbi o swoim szczęściu na prawo i lewo. Florence, to są twoje sprawy i twoje życie. Jedyne, jakie masz. Więc żyj tak, żebyś była szczęśliwa. Zanim spotkałam Jane, byłam mężatką. I może byłabym nią do końca moich dni. Nie chciałam, żeby ktokolwiek się dowiedział, że jestem lesbijką. Byłam tak zaprzętnięta udawaniem kogoś, kim nie byłam, ale kim powinnam być zdaniem innych, że stałam się przez to naprawdę nieszczęśliwa. Najlepszą rzeczą, na jaką się kiedykolwiek zdecydowałam, był rozwód i przeprowadzka do Jane. Teraz żyję takim życiem, o jakim dawniej mogłam tylko marzyć. I wiesz co? Myślę, że gdyby to Buzz został sam, zrobiłby dokładnie to samo, związałby się z o wiele młodszą kobietą.

Podniosła kieliszek z szampanem, wznosząc toast za szczęście teściowej. Teściowej nie w sensie formalnym, lecz na mocy miłości, która łączyła ją z Jane.

- Za ciebie i Gabriela, Florence. Życie długo i szczęśliwie.

Obie miały łzy w oczach, kiedy to powiedziała. Objęły się i tak siedziały przez dłuższą chwilę. Po chwili Florence

wybrała jego numer i powiedziała mu, że odkryła przed Elisabeth ich tajemnicę. Chciała go nawet przedstawić. Ale Liz uznała, że to nie byłoby w porządku wobec Jane, jeśli nie spotka się z nim pierwsza. To by pachniało znową, i wiedziała, że Jane byłoby przykro. Obiecała, że spotka się z nim przy następnej okazji, kiedy Jane i Coco będą już o nim wiedziały.

Kiedy wychodziła, uściśniły się mocno na stopniach przed wejściem.

- Dziękuję - powiedziała Florence z wdzięcznością. - Zawsze jesteś tak samo rozważna i prawa. Moja córka miała szczęście, że trafiła na ciebie.

- Myślę, że ja też miałam szczęście - powiedziała Elisabeth z uśmiechem.

Wsiadła do taksówki, która czekała na nią przed domem. Po drodze minęło ich powracające srebrzyste porsche. Elisabeth opuściła szybę, uśmiechnęła się i pomachała Gabrielowi, który spojrzał na nią, trochę zaskoczony,

i też jej pomachał.

Witaj w rodzinie, pomyślała Elisabeth. Tymczasem taksówka wiozła ją w stronę lotniska. Mogła sobie wyobrazić awanturę, jaka wybuchnie, kiedy Florence zdecyduje się wyznać prawdę Jane. Elisabeth, naturalnie, zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby złagodzić ten wybuch. Ale tak czy inaczej, rozpęta się piekło. Na szczęście tylko na chwilę.

ROZDZIAŁ SIODMY

Dwa tygodnie później, pod koniec lipca, Florence zdobyła się wreszcie na odwagę i zadzwoniła do Jane. Zdecydowała, że zacznie od niej. I przygotowała się na atak furii.

- Co takiego? - Jane nie dowierzała. - Masz przyjaciela? Od kiedy?

- Mniej więcej od roku - wyznała Florence, starając się okazać więcej spokoju, niż go miała. Zanim sięgnęła po telefon, wypła dwa kieliszki szampana na odwagę. - To uroczy człowiek.

- Czym się zajmuje? - warknęła Jane.

- Jest producentem i reżyserem.

- Znam go? - spytała Jane. Była wyraźnie oszołomiona. - Jak się nazywa? Ma własną firmę?

W jej wieku uważało się za oczywiste, że należy ją mieć. Wyobraziła sobie, że może to być ktoś ważny w branży, kogo wszyscy znają od lat. Ale cała historia wyglądała dziwnie. Jane nigdy by nie pomyślała, że jej matka jest zdolna do romansu.

- Gabriel Weiss.

Jane przez chwilę się nad czymś zastanawiała, po czym wydała akceptujący pomruk. Nie uważała, że stało się coś strasznego. Nazwisko cieszyło się w branży poważaniem.

- Znam faceta, który nosi to samo nazwisko. Musi to być jego syn. Robi bardzo dobre filmy. Nie wiedziałam, że jego ojciec też jest producentem.

- Nie. Ojciec Gabriela był neurochirurgiem, ale nie żyje już od dziesięciu lat. Mówimy właśnie o nim, o tym człowieku, którego znasz.

Florence poczuła się naraz odważniejsza niż mogła przypuszczać.

Nadeszła godzina prawdy, a szampan dodał sił. Gabriel powiedział jej właśnie, że niezależnie od tego, co powiedzą córki, będzie ją kochał, i nie ma nic złego w tym, że są razem. Miłość niezważająca na różnicę wieku nie jest przecież zbrodnią. Miała sześćdziesiąt dwa lata, ale Gabriel myślał, że ma pięćdziesiąt pięć. Nie miała odwagi powiedzieć mu prawdy.

- Poczekaj chwilę, mamó - powiedziała Jane, której nic się nie chciało zgodzić. - Ten Gabriel Weiss, którego znam, to dzieciak.

- Niezupełnie. Jest w twoim wieku. Za miesiąc skończy trzydzieści dziewięć lat.

- A ile ty masz lat? - spytała bezlitośnie Jane. - Sześćdziesiąt dwa? Prawie sześćdziesiąt trzy? Nie uważasz, że jesteś żałosna? Powiedziałabym, że to raczej obrzydliwe, kiedy kobieta w twoim wieku umawia się na randkę z facetem trzydziestodwuletnim. Co mu się stało? Szuka pieniędzy na następny film?

Właśnie w tym momencie Liz weszła do pokoju i kolana aż się pod nią ugięły, kiedy to usłyszała. Nie lubiła, kiedy Jane zachowywała się agresywnie. Kiedy zaczynała walczyć na śmierć i życie. Była nieraz świadkiem, jak Jane zachowywała się tak wobec Coco i wobec innych osób. Jane miała właściwie dobry charakter. Ale niejednego przewróciła swoim impetem. Liz kochała Jane i nigdy jej to nie spotkało. Ale innych - owszem.

- To najbardziej szokująca, oburzająca, haniebna rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Mam nadzieję, że wrócisz do rozumu jak najszybciej.

Ale matka ją zaskoczyła.

- A ja mam nadzieję, że czym prędzej przypomnisz sobie, jak się należy zachowywać! Gabriel jest człowiekiem godnym szacunku. Nie potrzebuje moich pieniędzy. I ja także zasługuję na szacunek. Poza tym jestem twoją matką. Postąpiłam wobec ciebie bardzo uprzejmie, mówiąc ci coś o sobie, zanim się dowiedziałaś od osób trzecich. Nie zrobiliśmy nic złego. Zrobiliśmy tylko to, czego pragnie każdy człowiek, jeśli tylko ma na to cień szansy. Gabriel jest ode mnie młodszy o dwadzieścia cztery lata, i jeśli my sobie z tym radzimy, ty także powinnaś. Zadzwoń do ciebie innym razem - powiedziała i przerwała rozmowę.

Jane wciąż się pienila. Matka całkowicie wyprowadziła ją z równowagi.

Liz nie wierzyła własnym uszom. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. I o wiele za późno. Zazwyczaj matka i córka były godnymi siebie przeciwniczkami, ale tym razem Jane posunęła się zdecydowanie za daleko. A jej matka - przez lojalność wobec Gabriela - również poczuła się obrażona.

Jane zwróciła się do Liz ze zboląłym grymasem.

- Moja matka ma alzheimera.

- Dlaczego tak myślisz? - Liz zachowała minę pokerzysty.

- Ma romans z facetem w moim wieku. Z Gabrielem Weissem.

- Masz coś przeciwko niemu? - spytała spokojnie Liz.

- Niewiele o nim wiem. To niezła firma. Ale nie może być przyzwoitym facetem, jeśli przystawia się do mojej matki, która jest od niego dwa razy starsza.

- Florence nie wygląda na swoje lata - zauważyła Elisa-

beth. - A faceci w jej wieku robią to samo na potęgę. Wiążą się z kobietami o połowę młodszymi od siebie. Nie to Jane chciała od niej usłyszeć.

- Przecież to moja matka, na miłość boską!

Miała łzy w oczach, więc Liz usiadła przy niej i objęła ją ramieniem.

- A gdyby ona ciebie potraktowała w ten sposób, kiedy się dowiedziała, że jesteś lesbijką?

- Zrobiła to! - krzyknęła Jane, i omal się nie rozplakała. - Groziła, że się zabije! Przez całe dwa dni! A potem powiedziała o tym ojcu, a ojciec zachował się wspaniale. Myślę, że to było dla nich wielkie rozczarowanie, ale potem już zawsze mnie wspierali. Chyba masz rację. Ale powiedz, dlaczego ona musiała mi to zrobić? A jeśli temu facetowi chodzi tylko o jej pieniądze i robi z niej balona?

- A jeśli nie? A nawet, jeśli tak... Ona czuje się z nim szczęśliwa. Nie jest łatwo się starzeć. Została w Los Angeles zupełnie sama...

- Ma setki tysięcy fanów. Każdą książkę sprzedają w stu milionach egzemplarzy.

- Do swoich fanów nie może się przytulić, jeśli zmarznie w nocy, prawda? Nie pocieszą jej, kiedy będzie jej smutno. Jak byśmy się czuły, gdybyśmy nie byli razem? - spytała Liz z naciskiem.

Jane spuściła wzrok.

- Umarłabym bez ciebie. Moje życie byłoby jałowe jak pustynia, Liz. Jesteś tym, co mam w życiu najdroższego. Jesteś moja rodziną.

- No więc wyobraź sobie, jak by ci się żyło bez tego. Twój ojciec był całym jej światem. Nie miała nikogo oprócz niego. Ale go straciła. I teraz ma Gabriela. Gabriel może być złym człowiekiem, a może nim nie być. Tak czy inaczej, Florence ma prawo próbować. Ma prawo mieć kogoś

bliskiego, z kim będzie dzielić życie. Kogoś, kogo sama wybierze.

- Jak ty to robisz, że tak ją dobrze rozumiesz, chociaż nie jesteś jeszcze stara? - spytała Jane i wydmuchała nos w chusteczkę, którą podała jej Liz.

- Stać mnie na to, bo ona nie jest moja matką. Ale jest dla mnie dobra i kocham ją. I życzę jej jak najlepiej. Musisz dać jej szansę. Zasluguje na to.

Jane słuchała z opuszczoną głową. A potem nagle objęła Liz i mocno uścisnęła.

- Moja matka to wariatka. Ale ty jesteś cudowną osobą. Liz uśmiechnęła się do niej. Więż, która je łączyła, z biegiem lat stawała się coraz mocniejsza.

- W porządku. Teraz masz prawo przez dwa dni powtarzać jej, że się przez nią zabijesz, tak jak ona to powtarzała tobie. Ale potem daj jej spokój. Zastanów się nad tym.

- Zastanowię się - powiedziała spokojnie Jane, po czym zadzwoniła do Coco. Był to jeden z tych przypadków, kiedy siostry potrzebowały oparcia w sobie nawzajem. Bo jednak co rodzina, to rodzina.

Coco akurat zaśmiewała się z Leslie'em do rozpuku, kiedy zadzwonił telefon. Leslie opowiadał jej o całej serii nieszczęśliwych zbiegów okoliczności na planie jednego ze swoich pierwszych filmów. Lubiła te jego historyjki, zresztą umiał je fantastycznie opowiadać. Więc jeszcze się śmiała, kiedy odebrała telefon i usłyszała głos Jane, ponury jak chmura gradowa.

- Matka oszalała - tak Jane zaczęła tę rozmowę. I Coco natychmiast się domyśliła, że jej telefon ma związek z mężczyzną, którego widziała na własne oczy. - Ma romans z facetem w moim wieku.

Coco doznała ulgi - myślała, że jest jeszcze młodszy. Obawiała się, że niewiele starszy od niej samej.

- Kto ci p tym powiedział? - spytała spokojnie.
- Ona sama. Nie słyszę zaskoczenia w twoim głosie -zauważyła Jane oskarżycielskim tonem.
- Podejrzewałam coś w tym rodzaju.

Matka kiedyś zadzwoniła w bardzo dobrym humorze. Ale ostatnio nie dzwoniła wcale. Zostawiła Coco w spokoju. To było coś nowego. Zazwyczaj dzwoniła po parę razy na tydzień, żeby wygłaszać kazania i krytykować wszystko, czym Coco była i co robiła. Ostatnio te coraz rzadsze rozmowy stały się krótkie i raczej konwencjonalne.

- Więc co o tym myślisz? - spytała Jane. Coco westchnęła.
- Nie wiem. Z jednej strony, wydaje mi się, że ma prawo robić, co chce. A z drugiej, to dla mnie coś szalonego i bez sensu. Czy ja wiem? Sama żyję w Bolinas w starej budzie jak hipiska. Mało brakowało, a wyszłabym za mąż za instruktora sportów wodnych i wyjechała z nim do Australii. Ty jesteś lesbijką i można powiedzieć, że ożeniłaś się z kobietą. Jakie mamy prawo mówić jej, co ma robić? Może ten facet jest w porządku. Jest wystarczająco bystra, żeby go przejrzeć, jeśli to oszust. Ona na pewno nie jest wariatką.
- Kiedy zdążyłaś nabrać tej dojrzałości i filozoficznego spojrzenia? - spytała podejrzliwie Jane. - Mówiła ci o tym romansie?
- Nie. Teraz od ciebie słyszę o tym po raz pierwszy. Ale kto wie, może ojciec na jej miejscu zrobiłby to samo. Może związałby się nawet z jakąś zupełną szczeniara? Kiedy ludzie w tym wieku zostają sami, zaczynają dziwnie się zachowywać. Nikt nie chce być samotny - powiedziała, spoglądając na Leslie'ego, który pochwalił ją gestem, podnosząc do góry kciuk.
- Mówisz tak, jakby ci to w ogóle nie przeszkadzało

powiedziała Jane z rozdrażnieniem w głosie. - Tak, jakby jej wiek nie miał znaczenia w tej kwestii.

- Czemu miałyby mieć znaczenie? Dlaczego miałyby skazywać się na samotność po tylu latach przeżytych razem z ojcem?

- Ale czy musi to być facet o tyle młodszy od niej? Czy musi robić z siebie pośmiewisko?

Według Jane absolutnie nie musiały.

- Może to jej pomaga poczuć się młodziej. Była bardzo samotna.

- Mogłabyś częściej ją odwiedzać - powiedziała Jane, ściągając brwi.

- To nie to samo, dobrze o tym wiesz. Mnie też się nie podoba to, co ona robi, Jane. Ale ma do tego prawo.

- To historia w najgorszym guście. A dla nas udreka.

- Nie powiedziała nigdy złego słowa o tym, że żyjesz z kobietą. - Coco zaliczyła punkt, a Jane umilkła na chwilę. - Rozumiała twoje decyzje. I wspierała cię.

- Ale to nie mój wybór. Po prostu jestem lesbijką.

- Mogła protestować. Nie protestowała. Jest z ciebie zawsze taka dumna. - A ze mnie nigdy, chciała dodać, lecz zachowała tę uwagę dla siebie. Ani w matce, ani w siostrze nie miała prawdziwego oparcia, choć wyskakiwała ze skóry, żeby na nie zasłużyć. To nie było sprawiedliwe. Ale tak się przyjęło w ich rodzinie.

- Z ciebie też jest dumna - powiedziała Jane cicho, odgadując myśl siostry, nagle zawstydzona tym, że zawsze tak ostro ją krytykowała. Coco nigdy nie krytykowała żadnej z nich.

- Nie, nie jest - odpowiedziała Coco bez ogródek, i łzy napłynęły jej do oczu. - I ty też nie jesteś. To żadna tajemnica. Ale myślę, że coś jej się od nas należy. Szacunek, uznanie, a przynajmniej akceptacja tego, jak żyje.

Jane milczała przez dłuższą chwilę. Przypominało jej się, jak często mówiła Coco nieprzyjemne rzeczy, sugerując, że wszystko robi na opak i że jest jedną wielką porażką. Poczuli się z tym nieswojo i zapragnęła podzielić się z nią swoją tajemnicą.

- Powiem ci coś - zaczęła, i rzuciła niepewne spojrzenie na Elisabeth, która kiwnęła głową zachęcająco. - Jestem w dwunastym tygodniu ciąży. Podałam się zabiegowi sztucznego zapłodnienia przed wyjazdem do Nowego Jorku. Nie mówiłyśmy o tym nikomu, póki nie było wiadomo, czy coś z tego będzie. Próbowaliśmy już w zeszłym roku, i wtedy nic z tego nie wyszło. Ale tym razem się udało.

Coco była zaskoczona. Nic jej nie powiedziały, kiedy u nich była. Nie miała pojęcia, że chcą mieć dziecko. Ale kiedy się nad tym zastanowiła, przypomniało jej się, że Liz zawsze pragnęła mieć dzieci. Wydało jej się to ironią losu, że właśnie Jane urodzi dziecko, choć z nich obu to Liz miała w sobie więcej macierzyńskiego ciepła. Ale Jane była o kilka lat młodsza. I pewnie tu leżała przyczyna.

- Gratulacje - powiedziała z uśmiechem. - Kiedy poród?

- Na początku lutego. Wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Na razie nic nie widać. Kiedy wrócimy do domu, będę w szóstym albo siódmym miesiącu, zależnie od tego, jak się ułożą sprawy z filmem.

- Już się nie mogę doczekać! - roześmiała się Coco.

i nagle coś przyszło jej do głowy. - Więc może teraz będziesz trochę bardziej tolerancyjna dla mamy. Skoro zamierzasz wychowywać dziecko z kobietą. Może uszanujesz to, że rzuciłam studia prawnicze i twoim zdaniem żyję jak dziwaczka. Może pozwolisz jej mieć narzeczonego w twoim wieku. Kto z nas ma prawo osądzać innych i dyktować im, co mają robić w życiu?

Jane w głębi serca wiedziała, że siostra ma słuszość. Zapadła cisza, Jane ujęła Liz za rękę. Liz objęła ją drugą ręką delikatnie w pasie, ich spojrzenia spotkały się na dłużej.

- Przepraszam - wyszeptała Jane najszczerzej - za wszystkie bzdury, jakich musiałaś ode mnie wysłuchać. Kocham cię. I chciałabym, żeby nasze dziecko było podobne do ciebie.

I łzy potoczyły się po jej policzkach.

- Ja też cię kocham - powiedziała Coco. Przez tę chwilę Jane była dla niej taką siostrą, za jaką zawsze tęskniła.

Kiedy się rozłączyły, Coco otarła oczy i spojrzała na Les-lie'ego z melancholijnym uśmiechem.

- Jestem z ciebie dumny - powiedział cicho, biorąc ją w ramiona.

- Przepraszam mnie. Dowiedziała się o romansie mamy i była wściekła.

- Wszystko, co jej mówiłaś, było słuszne - powiedział, a jego pochwała znaczyła dla niej najwięcej.

- Ona też pod koniec zaczęła mówić do rzeczy. -I uśmiechnęła się do niego. - Będzie miała dziecko.

- To obiecująca wiadomość. Może dzięki macierzyństwu w końcu złagodnieje.

- Zdaje się, że już trochę złagodniała.

Coco pomyślała o pojednawczych słowach siostry. Wtedy Leslie ją pocałował. Zamknęła oczy.

- Ja też chciałbym mieć kiedyś z tobą dziecko - szepnął.

Skinęła głową. Ona również tego chciała. Choć pomyślała o tym po raz pierwszy. Czasami trudno nadażyć za wszystkim, co się wydarza. A wydarzyło się wiele w tak krótkim czasie.

ROZDZIAŁ OSMY

Każda z sióstr rozmawiała z matką wiele razy przez kilka następnych dni. Jane była wciąż wściekła z powodu młodego kochanka, i chociaż Elisabeth razem z Coco przekonały ją, że matka ma prawo związać się z kim chce, dla Jane nadal było w tym coś niestosownego. Czuła się zawstydzona i udreńczona jej romansem z kimś takim jak Gabriel Weiss. I wciąż niepokoiła ją myśl, że w tym wszystkim może chodzić o pieniądze. W końcu jednak zgodziła się z nim spotkać po powrocie na Zachodnie Wybrzeże i dać mu szansę. Jane nie powiedziała matce o tym, że jest w ciąży. Uznała, że na to będzie jeszcze mnóstwo czasu. Elisabeth ostatecznie namówiła ją do tego kilka dni później. Jane ustąpiła i oświadczyła matce, że zostanie babcią. Florence była zachwycona i przejęta.

- Bo wiesz, kiedy powiedziałaś, że jesteś lesbijką, jedną z rzeczy, które mnie przeraziły, było to, że nie będziesz miała dzieci. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że załatwisz to w taki sposób. Czy nie niepokoi cię - spytała bez ogródek - że nie wiesz, kto jest ojcem?

- Nie bardzo. Wybrałyśmy dawcę nasienia, kierując się bardzo szczegółowymi danymi. Znamy historię jego rodzi-

ny, pochodzenie, stan zdrowia, wykształcenie i zwyczaje. On i jego ojciec ukończyli Yale.

Podobnie jak jej rodzice, Jane była snobką. Imponowały jej tytuły akademickie, więc na pewno nie wybrałyby kogoś, kto nie miał za sobą college'u i wyższych studiów. To był młody absolwent medycyny, zdrowy, pochodzenia szwedzkiego. Wiedziały o nim prawie wszystko, nie znały tylko nazwiska.

Jane powiedziała matce, że zamierza zrobić badania prenatalne, by mieć pewność, że dziecko jest zdrowe. Będzie też miło dowiedzieć się zawczasu, jakiej jest płci. Obie z Elisabeth miały nadzieję, że to będzie dziewczynka. Florence nie mogła uwierzyć, że będzie miała wnuczkę. Kiedy o tym pomyślała, zaczęła się zastanawiać, czy to nie zmieni czegoś w jej relacji z Gabrielem. Obie córki nieźle jej się dały we znaki przez tych kilka dni.

Coco była mniej przykra, ale i ona wydawała się niezadowolona, chociaż miała trochę więcej czasu, żeby przyzwyczaić się do myśli, że matka romansuje ze znacznie młodszym mężczyzną, bo przecież widziała ich razem w Bel-Air.

- Dziękuję, że się na mnie nie wściekłaś - powiedziała miękko matka. Bo Coco była wobec niej łagodna, jak zresztą zawsze.

- Nie jestem wściekła, ale trochę się o ciebie niepokoję. Coco poczuła się dziwnie, tak jakby nagle weszła w rolę rodzicielską w stosunku do własnej matki. I Florence zwierzała jej się chętniej niż Jane, co także wydawało się dziwne. Bo przez długie lata była bardziej związana ze starszą córką. Może dlatego, że Jane była starsza i zanim urodziła się Coco, przez długi czas jedynaczką. Dlatego Coco zawsze czuła, że Jane ma uprzywilejowaną pozycję, a ona jest włączana do ich komitowy rzadko albo nigdy. Na ogół

była z niej wykluczona. Matka i Jane miały podobny sposób myślenia, były jednakowo skłonne do krytyki, uparte, i dzieliły zbliżone poglądy. Coco czuła się w tej rodzinie intruzem chyba od urodzenia. Kiedy Jane wyjechała do college'u, Coco miała sześć lat. Ale nawet wtedy nie stała się ulubioną córeczką Florence. Żyła poza nawiasem rodziny, wychowywana przez wynajęte opiekunki, bo matka była zajęta pisaniem. Florence wolała pisać książki, niż poświęcić czas młodszemu dziecku. Tylko dla Jane zawsze potrafiła przerwać pracę. Spędzała z nią sporo czasu, zabierała na wycieczki. Jane była dla niej ciekawsza dlatego, że bardziej dorosła. Coco zawsze w jakiś sposób czuła, że nigdy nie dorówna Jane. I teraz nagle ta bliska doskonałości, znajdująca się na wszystkim, sławna Florence Flowers poczuła się odrzucona przez starszą córkę. Była to dla niej zupełnie nieznaną sytuacją. Więc szukała oparcia u młodszej córki, tej, która potraktowała ją łagodnie.

- A jak poznałaś tego Gabriela, mamó? - spytała Coco podczas jednej z długich rozmów, jakie prowadziły w tych dniach. Skoro zapuścił już korzenie w życiu matki, chciała się o nim dowiedzieć jak najwięcej. Florence źle ją zrozumiała, bo wyczuła w tym pytaniu ślad aprobaty. I poczuła wdzięczność. Była tak bardzo zraniona ostrymi słowami Jane. I choć Jane ją za to później przeproszała, nie dało się już wymazać tych słów z pamięci. Jane wypominała jej starość, przypisywała chorobę Alzheimera, nazwała ją starą wariatką, która pozwala się wykorzystywać facetowi łasemu na jej pieniądze i sławę. Coco zdawała sobie sprawę z tego, że Jane może mieć słuszność w kwestii Gabriela. Ale wypowiadała się znacznie ostrożniej. Choć jej relacja z matką była niesłychanie trudna, Coco była z natury uprzejma i nikogo nie chciała zranić.

- W zeszłym roku podpisałam z wytwórnią Columbia umowę na ekranizację mojej książki. Gabriel miał-być producentem. Pracowaliśmy razem nad scenariuszem. Ale nie myślałam, że ta znajomość dotrwa do następnego roku. Współpraca sprawiała przyjemność nam obojgu. To bardzo interesujący, wrażliwy człowiek.

Mówiąc o tym wydawała się onieśmielona, czym zaskoczyła córkę. Coco nigdy jeszcze nie słyszała u niej takiego tonu.

- On mówi o tym tak samo. A poza tym miał romans z kobietą starszą od siebie, kiedy był w college'u. Choć nie aż o tyle starszą - przyznała Florence. - Jako osiemnastolatka miał trzydziestopięcioletnią przyjaciółkę.

Najwyraźniej podobało mu się coś w kobietach starszych od niego.

- Chciałabym go poznać - powiedziała cicho Coco. Naprawdę chciała, i to z różnych powodów. Chociaż się

do tego nie przyznawała, nadal miała najgorsze obawy związane z tym człowiekiem. Przecież to nie było normalne ani właściwe, związać się z kobietą starszą o dwadzieścia cztery lata. I to nawet, jeśli matka nie wyglądała na swój wiek, nawet jeśli się przed nim nie przyznała do swoich lat. Tak czy inaczej, w jego mniemaniu dzieliła ich różnica siedemnastoletnia, a to przecież ogromnie dużo. Zastanawiała się, czy matka miała w planie taki romans już wtedy, kiedy po śmierci męża po raz drugi zrobiła sobie lifting twarzy. Prawdopodobnie nie, choć teraz można by tak pomyśleć. A potem zafundowała sobie jeszcze modelowanie brzucha. Florence zawsze była próżna. To należało do stylu życia ludzi związanych z Hollywood, przeciwko któremu Coco się zbuntowała. Jane też była próżna, choć może nie aż do tego stopnia. W ciągu ostatnich lat kilka

razy brała zastrzyki z botoksem. Coco ten rodzaj próżności i koncentracji na sobie był całkowicie obcy.

- On też chciałby cię poznać - odpowiedziała Florence. Już to, że córka wyraziła takie życzenie, podniosło ją na duchu. Bała się bardzo, że teraz obie przestaną ją odwiedzać. Jane miała nawet taki zamiar, ale Elisabeth ją od tego odwiodła.

- A jak się zapatrujesz na dziecko Jane? - spytała w roztargnieniu Coco. Nie wyobrażała sobie, żeby ta sprawa zaprzętała Florence w ostatnim czasie. I bardzo możliwe, że wobec takiej perspektywy matka poczuła się niezręcznie.

- Myślę, że to dla nich bardzo dobrze. Zawsze myślałam, że to ty urodzisz mi wnuki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zdecydują się na takie rozwiązanie. To dziwna sytuacja, urodzić dziecko człowieka, którego nigdy się nie spotkało.

Ale czy to, co wyprawiała Florence, nie było równie dziwne?

- Jane powiedziała, że chce uniknąć komplikacji, które musiałyby wyniknąć, gdyby to dziecko miała z kimś znajomym - powiedziała Coco.

- W ten sposób ono będzie tylko ich, jej i Elisabeth. Można to zrozumieć. Pewnie sprawiałoby im to jakiś kłopot, gdyby dziecko miało ojca. Ale wszystko to jeszcze odległa przyszłość... - czyli dokładnie sześć miesięcy.

- I myślę, że zdążymy się z tym wszystkim oswoić, zanim przyjdzie co do czego.

- Nie jestem pewna, czy ja zdążę się z tym oswoić - wyznała Florence. - Mam teraz na głowie inne sprawy. I zaczynam nową książkę.

Już nie było słyhać w jej głosie lęku i pokory. Bardzo rzadko wychodziła z roli sławnej pisarki, chociaż furia Jane trochę nadkruszyła jej pewność siebie przynajmniej

na kilka dni. Czuła, że robiąc z niej babcię akurat wtedy, kiedy w jej życiu pojawił się młody mężczyzna, Jane wzięła na niej odwet za ten romans. Każdy, kto ją znał, nie wątpił ani przez chwilę, że Florence Flowers myślała przede wszystkim o sobie. I jedyną osobą, którą chciała się od czasu do czasu zainteresować, była Jane. Coco uprzytomniła sobie ze smutkiem, że kiedy dziecko przyjdzie na świat, wiele się zmieni. W centrum uwagi Jane będzie teraz dziecko i Liz. I kiedy Florence to zrozumiała, poczuła się porzucona. Tym bardziej potrzebowała Gabriela. Tego wieczoru rozmawiała z nim o swoich córkach. Wiedział, że już im o nim powiedziała i niepokoił się. Nie mógł sobie wyobrazić, że potrafią go zaakceptować.

- Czy ciągle jeszcze są wściekłe? - spytał nerwowo, kiedy jedli kolację na tarasie restauracji Ivy'ego w Bel-Air. Florence była ubrana w białe spodnie, złote sandaalki na wysokim obcasie i jedwabną turkusową bluzkę. Wyglądała lepiej niż kiedykolwiek i kiedy podniosła na niego rozpromienione spojrzenie, nie sposób było po niej poznać, że córki tak bardzo jej dokuczyły.

- Przejdzie im. Już im zaczęło przechodzić - zapewniła go. - Coco była zdumiona, ale ona jest z natury bardzo łagodna. Powiedziała, że chce, żebym była szczęśliwa, i marzy o tym, żeby cię poznać, kiedy przyjedzie do Los Angeles. Na razie nie może opuścić San Francisco. Opiekuje się mieszkaniem Jane i jej psem.

O dziecku nie wspomniała ani słowem. I nie zamierzała. Powie, kiedy już nie da się tego ukryć. Nie chciała, żeby Gabriel widział w niej babcię. Różnica wieku i bez tego była wystarczająco kłopotliwą sprawą. W ciągu minionego roku nie wydawała jej się aż tak gigantyczna, ale jak się okazało, była taką w oczach Jane.

- Z moją starszą córką nie pójdzie mi tak łatwo - powie-

działa, gdy zamówił szampana. Mieli co świętować: wreszcie mogli przestać się ukrywać i drzeć ze strachu przed córkami. Florence obawiała się również wścibskiej prasy. Była znakomitością, więc jej romans to smakowity kąsek dla tabloidów i kolorowych tygodników. Jak dotąd, byli ostrożni i mieli dużo szczęścia.

- Jane bardzo się na ciebie złościła? - spytał Gabriel, zmartwiony. Nosił T-shirt i białe spodnie, a do tego brązowe mokasyny z krokodylowej skóry, zgodnie z modą sezonu bez skarpetek. Buty były prezentem od Florence parę miesięcy temu. Lubiła, kiedy je wkładał. Więc często je nosił, kiedy się spotykali. Podarowała mu też drugą parę podobnych, tylko czarnych.

- Z początku bardzo - przyznała uczciwie Florence. - Chyba nie potrafiła sobie wyobrazić, że coś takiego może się zdarzyć. Ale myślę, że wstrząsnęło to nimi aż tak bardzo z powodu ich ojca. Jesteś pierwszym mężczyzną w moim życiu od czasu jego śmierci.

Nie było to do końca prawdą, lecz sądziła, że powinien to od niej usłyszeć. Miała dwa przelotne romanse w pierwszym roku po śmierci Buzza, o tym nigdy córkom nie wspomniała. Obaj ci mężczyźni byli nudziarzami i nie kochała żadnego z nich. Ale w Gabrielu Weissie od razu zakochała się do szaleństwa i w te dni, kiedy miała go zobaczyć, po prostu wyskakiwała ze skóry z niecierpliwości. Twierdził potem, że z nim było tak samo. I gorący romans, który wywiązał się między nimi bardzo szybko, trwał nadal.

- Muszą się tylko z tym oswoić - ciągnęła dalej. - Partnerka Jane jest bardzo rozumną i przyjazną osobą. Kiedy się z nią widziałam, obiecała mi, że wpłynie na Jane, żeby mi wybaczyła. I myślę, że zrobiła co mogła. Elisabeth w ogóle się na nas nie oburzyła.

Uśmiechnął się do niej współczująco, bo rozumiał jej przygnębienie z powodu reakcji córek. Z tego, co sam wiedział o Jane Barrington i co mówiło się o niej w branży, wynikało, że to postać z piekła rodem.

- To wszystko z powodu różnicy wieku. Ale kiedy jestem z tobą, zawsze o niej zapominam. - Uśmiechnął się znowu i pocałował ją w szyję, zapuszczając przy okazji spojrzenie w dekolt jedwabnej bluzki, bo nie potrafił się od tego powstrzymać. Podobał mu się jej styl, jednocześnie elegancki i seksowny. Była nieodparcie najbardziej uwodzicielską kobietą, jaką kiedykolwiek znał. - Wciąż mam wrażenie, że jesteśmy rówieśnikami.

Mówił to, co Florence chciała. usłyszeć. Wierzyła mu. Może to z jej strony szaleństwo, ale nie wątpiła w jego szczerość. A Elisabeth miała rację: gdyby Florence była mężczyzną, a on kobietą, nikt by nie widział nic złego w takiej różnicy wieku, wprost przeciwnie. Wszyscy by ją podziwiali i zazdrościli jej powodzenia.

- Jane się uspokoi - zapewniła go jeszcze raz. - Ma teraz na głowie o wiele ważniejsze sprawy. Jest po uszy w kłopotach ze związkowcami, wciąż wisi w powietrzu strajk na planie filmu. Taki drobiazg jak nasz romans szybko wyleci jej z pamięci.

Nawet nie wspomniała o ciąży i dziecku, bo o tym nic nie wiedział i miała nadzieję, że jeszcze długo się nie dowie. Zanim do tego dojdzie, będą już małżeństwem. Gabriel mówił o ślubie od początku lata, a Florence była zachwycona tym pomysłem. Jediną przeszkodą do przewyciężenia był opór córek. I na razie nie zamierzała rozdrażnić ich jeszcze bardziej, wspominając o ślubie. Chciała, żeby najpierw poznały Gabriela. I miała nadzieję, że wtedy się uspokoją.

Potem rozmawiali o filmie, nad którym on właśnie pracował. Przeglądała z nim scenariusz przez wiele miesięcy-

cy, dając doskonałe rady. Dobrze im się współpracowało. Zresztą czymkolwiek się zajmowali, zawsze stanowili dobrany zespół. Kiedy kończyli kolację, zauważyła, że kilka kobiet obserwuje ją z zazdrością. Przenosiły wzrok z Florence na Gabriela, potem znowu na Florence, teraz już z wyraźnym podziwem, albo tak jej się wydawało. Nikt nigdy nie brał Gabriela za jej syna. Zresztą wyglądał na trochę starszego, niż był w rzeczywistości. Różnica wieku wydawała się znacznie mniejsza niż dwadzieścia cztery lata. A związek dojrzałej kobiety z mężczyzną o dziesięć lat młodszym nikogo już nie szokował. Demi Moore i Ashton Kutcher przetarli szlak parom takim jak oni. Zasługiwała na odrobinę zawiści, albo tak jej się wydawało - lecz na pewno nie na krytykę i potępienie.

Po kolacji wrócili do niej, jak to mieli w zwyczaju. Ostatnio przeważnie zostawał u niej na noc. Tak było już od paru miesięcy. A od czasu do czasu, kiedy miał ochotę na coś mniej codziennego, spędzali weekend w hotelu Bel-Air. Rachunki zawsze płacił Gabriel. Nigdy nie pozwolił, by Florence płaciła za niego. Przyjmował od niej tylko prezenty. Podarował jej bransoletkę z brylantami na półrocze ich związku, teraz miał nadzieję, że wkrótce da jej pierścionek zaręczynowy. Już go nawet kupił, choć ona nic jeszcze o tym nie wiedziała. Miał nadzieję, że przedtem spotka się z jej córkami i uzyska ich aprobatę. Nie chciał być przyczyną konfliktu w rodzinie. Ale kochał ich matkę do szaleństwa, na dobre i złe. W jego oczach była cudowną istotą.

Gabriel wyciągnął się na łóżku, jakby należało do niego.

1 w pewnym sensie tak było, bo przecież ona do niego należała. Seks z nim był dla niej odkryciem, niczego takiego nie przeżyła w całym swoim życiu. Gabriel był kochankiem niezwykłym. Niedawno powiedział swojej matce o tym związku. Była nie mniej wściekła niż Jane. Ale za-

czynała rozumieć, że nic na to nie poradzi. Gabriel był zakochany i podjął już decyzję. Zbyt dobrze znała swojego syna. Wiedziała, że cokolwiek by zrobiła, i tak nie zdoła zawrócić go z drogi, jaką wybrał. Był strasznie uparty. Wobec Florence też okazywał swój upór, kiedy z początku starała się trzymać go na dystans. Długo nie wytrzymała. Poddała się szybko i oddała się tysiącu przyjemnościom, których mogli doznawać wspólnie. Seks był jedną z nich, ważną, choć nie najważniejszą. Oprócz tego rozmawiał z nią, żartował, a kiedy się kochali, trzymał ją potem godzinami w objęciach. Uwielbiał w niej wszystko, urodę, inteligencję, siłę charakteru, sławę i niezwykle talent. W jego oczach była kobietą wyjątkową, z którą żadna nie mogłaby się równać. Wydawało mu się z początku, że przy niej nic nie znaczy, ale ona na wszystkie sposoby dawała mu odczuć, że uważa go za równego sobie. Wiele się przy niej nauczył. Dowiedział się czegoś nowego o pisaniu, o dyscyplinie wewnętrznej, talencie i humorze. Dzięki niej jego własne możliwości twórcze wzrosły niepomiarne, stał się lepszym scenarzystą i reżyserem. Wiedział o tym, a Florence też to zauważyła.

Gdy położył się tego wieczoru przy niej, zdjął jej seksowne złote sandaalki i rzucił na podłogę. Po chwili upadły na podłogę białe spodnie i turkusowa jedwabna bluzka. Nosiła pasek do pończoch i koronkowy jasnoniebieski stanik. Uśmiechnął się.

- Nie ma na świecie bardziej uwodzicielskiej kobiety od ciebie - powiedział, patrząc na nią z zachwytem. Jej ciało wciąż jeszcze było szczupłe i silne. Teraz codziennie spotykała się z osobistym trenerem, jednym z najlepszych w mieście. Wspólne noce z Gabrielem dostarczyły jej motywacji. I nauczyła go rzeczy, których się nawet nie spodziewał.

Powoli zdjęła mu ubranie, na swój zmysłowy sposób doprowadzając go do obłądu, a chwilę później leżeli w mocnym uścisku, nędzy. Teraz zawsze odprawiała gosposię na noc i w ciepłe noce mogli się kochać nawet w basenie. Ale tego wieczoru woleli łóżko. Było to obszerne łoże z różowym baldachimem. Przez ostatni rok czuł się w nim jak w swoim własnym.

Przyłgnęła ustami do jego ust, usiadła na nim, poruszając się rytmicznie, i po chwili Gabriel zaczął jęczeć z rozkoszy. Nie zatrzymywała się, drażniąc jego zmysły, dręcząc go i kusząc, a potem ześliznęła się z niego i okryła pocałunkami intymne miejsca. Nie pozostał jej dłużny i fala pobudzenia powróciła, ale tym razem to Gabriel kontrolował sytuację, doprowadzając ją do takiego samego skrajnego napięcia zmysłów. Po długim, długim czasie leżeli obok siebie zaspokojeni i zmęczeni, a potem ona zasnęła w jego ramionach, szczęśliwa. Gabriel był całkowicie wyczerpany, ale uśmiechał się, kiedy ją obejmował. Nie wiedział, co o nim pomyśla jej córki, i w tym momencie nie martwił się o to. Jeszcze nigdy nie kochał tak wspaniałej kobiety.

I chwilę później spali już oboje, przytuleni. Dla nich reszta świata mogłaby nie istnieć.

ROZDZIAŁ

DZIEWIĄTY

W połowie sierpnia do Leslie'ego zadzwoniła matka Chloe. Ktoś ją zaprosił na jacht i miała wyjechać na południe Francji na dwa tygodnie. Zazwyczaj spędzała weekendy z Chloe w Southampton. Od roku grała w tej samej sztuce na Broadwayu.

- Przykro mi, że cię zaskakuję w ostatniej chwili, Leslie -przepraszała go Monica. Rzeczywiście, na ogół tego nie robiła. - Potrzebuję wakacji, a to może jedyna taka szansa w tym roku. W teatrze mają dla mnie dobre zastępstwo. Strasznie bym chciała popływać na jachcie w Saint Tropez. Mógłbyś wziąć Chloe do siebie na te dwa tygodnie?

W normalnych warunkach nie posiadałby się ze szczęścia, ale tym razem się zawahał, bo nie był pewny, jak Jane i Elisabeth zapatrują się na obecność dziecka w ich domu. Co prawda, teraz spodziewały się własnego, ale to zupełnie inna sprawa. Sześciolatka jest przecież o wiele bardziej ruchliwa niż noworodek. Tak czy inaczej, chciał, żeby Chloe poznała Coco. I miał nadzieję, że Jane się zgodzi na przyjazd Chloe.

- Myślę, że to możliwe - powiedział, choć te słowa zabrzmiały dość niepewnie. - Teraz mieszkam u przyjaciół, właściwie pilnuję ich domu. Muszę spytać, czy nie będzie

im przeszkadzało, jeśli przyjedzie do mnie dziecko. A jeśli będzie z tym jakiś problem, przeniosę się do hotelu.

Ale przecież w hotelu utraciłby przywilej anonimowości, wszyscy by się dowiedzieli, że przebywa w San Francisco. Miał nadzieję pozostać jeszcze przez jakiś czas razem z Coco poza zasięgiem mediów. Nie pragnął zamętu, jaki wniosłyby w jego życie.

- Zawiadomię cię - obiecał i niezwłocznie zadzwonił do Jane. Ale zamiast niej odpowiedziała Elisabeth, która nosiła w kieszeni jej telefon, kiedy Jane pracowała na planie. Wyłożył swój problem i zaznaczył, że jeśli będzie trzeba, przeniesie się do hotelu.

- Nie wygłupiaj się - odparła Elisabeth. - Powinnyśmy zacząć przyzwyczajać się do dzieci w naszym domu. Będziemy miały własne dziecko.

Nie wiedziała, czy Coco mu o tym powiedziała, i czy była z nim na tak przyjacielskiej stopie, by poruszać podobne tematy. Wiedziała od Jane, że raczej się mijają, rzadko zamieniając ze sobą parę słów. Choć nie bardzo chciało jej się w to wierzyć.

- Słyszałem o tym. Gratuluję wam obu. I jestem bardzo wdzięczny, że pozwalasz mi sprowadzić tu Chloe. Jest spokojna i bardzo dobrze wychowana. Po prostu mała kobietka. Jej matka zabiera ją ze sobą wszędzie. - Wszędzie, oprócz wakacji na jachcie na południu Francji, pomyślała Liz. - Nie mogę się już doczekać, kiedy pokażę jej San Francisco. Pomyślałem, że moglibyśmy też pojechać razem do domu Coco na wybrzeżu.

- Jestem pewna, że to by się jej spodobało - odparła Liz, zaciekawiona tym pomysłem. To, co powiedział, wcale nie potwierdzało opinii Jane, że tych dwoje ze sobą nie rozmawia. - A jak się dogadujecie z Coco? - spytała niewinnie, podpuszczając go z lekka. Po prostu nie mogła się po-

wstrzymać. Z jakichś niejasnych, powodów sprawiała jej przyjemność myśl, że może będzie z nich para. Była jak najlepszego zdania o Coco, w przeciwieństwie do jej siostry. Inaczej niż Jane, nie uważała Coco za beznadziejny przypadek, tylko za kogoś, kto nie podziela ich ambicji. Poza tym wiedziała, jak bardzo załamała ją śmierć Iana. Liz lubiła także Leslie'ego i podobało jej się, że mimo sławy wielkiego aktora filmowego pozostał porządnym facetem, kierującym się w życiu zdrowymi zasadami.

- Zawarliśmy znajomość w takim pośpiechu, jakby się paliło - powiedział, trochę zbity z tropu. - Jest zachwycającą kobietą. Zawsze jest sobą, a przy tym dobra, miła, godna zaufania. - Piał peany na jej cześć, choć Elisabeth wcale nie dawała mu do zrozumienia, że tego oczekuje.

- Więc jednak rozmawiacie ze sobą - powiedziała z aprobatą.

- Tak, rozmawiamy, kiedy akurat nie wyprowadza na spacer swoich 101 dalmatyńczyków. To trochę dziwne zajęcie, ale ma klientów, którzy nie potrafią się bez niej obejść. I zdaje się, że na razie odpowiada jej taka praca. - Wcale nie myślał, że to zajęcie na całe życie, i nie mógł zrozumieć, dlaczego ta praca tak bardzo drażni jej matkę i siostrę. Doskonale zarabiała, cieszyła się szacunkiem klientów, a przede wszystkim była w tym bardzo dobra. Prowadziła świetnie prosperującą jednoosobową firmę.

- Psy ją kochają - potwierdziła Elisabeth. - Idą za nią jak szczury za tym flegistą z bajki braci Grimm.

- Przypuszczam, że z dziećmi byłoby tak samo. Jestem pewien, że moja córka ją pokocha od razu. I dziękuję ci jeszcze raz, że pozwoliłaś mi tu zostać. Nigdy ci tego nie zapomnę. Czy ze względu na Chloe mam złożyć kaucję? Siedzę tutaj tak długo, że właściwie powinienem wam płacić czynsz.

W istocie było to już ponad dziesięć tygodni. Elisabeth się roześmiała.

- Cieszę się, że Coco ma towarzystwo. To nie w porządku z naszej strony, że przez tyle czasu nie znalazłyśmy nikogo na jej miejsce.

Próbowałyśmy, ale wszyscy mieli jakieś wakacyjne plany na lato. Więc niech przynajmniej zażyje trochę rozrywki dzięki przystojnemu gwiazdorowi ekranu, który z nią mieszka pod jednym dachem.

Mówiąc to, Elisabeth uprzytomniła sobie, że przez ten cały czas Coco ani razu się nie poskarżyła i nie poprosiła, żeby ją wreszcie zwolnić z obowiązków. Samo to powinno wystarczyć, żeby razem z Jane nabrały podejrzeń. Leslie mówił o niej z wielkim entuzjazmem, ale nie wspomniał, że są w sobie zakochani po same uszy. Może po prostu zostali dobrymi przyjaciółmi, choć bardzo by się zdziwiła, gdyby to było tylko tyle. Albo zachowują wyjątkową dyskrecję. Tak, to już bardziej prawdopodobne. Choć oczywiście możliwe jest też, że nic się między nimi nie wydarzyło i nic się nie wydarzy. Nie mieściłoby jej się to w głowie, gdyby usłyszała, że kochali się już drugiej nocy po przyjeździe Leslie'ego, i to w jej własnej sypialni. Ale nie o wszystkim musiała wiedzieć. Dlatego Leslie do końca utrzymywał się w roli, używając lekkiego, żartobliwego tonu. Coco mówiła, że Jane nie zadaje żadnych pytań w tej kwestii. Może nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogą romansować. Dawno temu już obwieściła Coco, że nie jest w typie Leslie'ego.

- Przekaż Jane moje uściski - powiedział, kiedy kończyli rozmowę. - I jeszcze raz gratuluję. Dziecko odmieni wasze życie.

- Jane mówi, że na pół roku wycofa się z branży. Uwierzę, jak zobaczę. Zamierzam siedzieć w domu przez rok, jeśli to będzie możliwe. - Zawsze chciała mieć dzieci, ale

nie z mężczyzną, z którym brała ślub, co najwymowniej świadczyło o tym, czym było ich małżeństwo. Teraz sytuacja wydawała się po prostu idealna. Elisabeth nie mogła już się doczekać narodzin dziecka. Żałowała tylko, że to nie ona jest w ciąży. Ale zdaniem lekarza Jane była lepszą kandydatką, więc Elisabeth zdała się na nią. Jane była w lepszej kondycji fizycznej, a cztery lata różnicy wieku też miały swoje znaczenie dla sukcesu tego przedsięwzięcia. Nie chciały po raz kolejny narażać się na niepowodzenie. I tym razem nic nie wskazywało na to, że może się powtórzyć. - Pozdrów ode mnie Coco. Jak sobie radzi z tymi rewelacjami na temat matki?

Niewiele rozmawiała z Coco od tamtej pory, ale wiedziała, że rozmawiała z nią Jane. Liz nie wtrącała się do ich kontaktów. Ze swej strony starała się uspokoić Jane, zrobiła w tym celu wszystko, co było w jej mocy. Z całkiem dobrym skutkiem, jak jej się wydawało, chociaż Jane wciąż jeszcze gderiała. Ale przestała szaleć z wściekłości, tak jak w pierwszych dniach po wypłynięciu tej sprawy. Zresztą Coco też działała na nią łagodząco. Elisabeth była tego świadoma. Coco miała w sobie o wiele więcej tolerancji dla ludzkich potrzeb i słabości niż siostra.

- Myślę, że nieźle. Z początku była wyprowadzona z równowagi. Ale rozumie, że matka ma prawo do własnego życia, do związania się z kim zechce. W dzisiejszych czasach takie związki nie są czymś niespotykanym. Wiek nie jest już tak ważnym ograniczeniem jak kiedyś, nawet dla kobiet.

- Właśnie to próbowałam tłumaczyć Jane. Z nią nie poszło tak gładko - przyznała Elisabeth z westchnieniem. Ale na szczęście Jane spodziewała się dziecka, i prawdopodobnie także dzięki temu trochę złagodniała.

- Domyślam się - powiedział Leslie, bo dobrze znał part-

nerkę Elisabeth. - Mogę to sobie wyobrazić. Wobec Coco też bywa trudna - dodał, odkrywając więcej kart, niż powinien. Nie uszło to uwagi Elisabeth, ale nie zamierzała informować o tym Jane. Bo Jane nie potrzebowała teraz kolejnych problemów rodzinnych. Po co miała się zdenerwować jeszcze i z tego powodu? A prawdopodobnie tak by się stało. Zawsze była niesłuchanie zaborcza, kiedy szło o jej przyjaciół, i wiele na to wskazywało, że nie życzyła sobie, żeby Coco związała się z Leslie'em. Chciała mieć w nim przyjaciela i nie życzyła sobie, żeby przejęła go na własność Coco.

- Coco poskarżyła ci się, że Jane źle ją traktuje?

Elisabeth zawsze to martwiło i uważała, że to nie w porządku. Coco potrzebowała od rodziny wsparcia i zrozumienia, a nie mieszania z błotem, choć często musiała je znosić. Obie jej nie oszczędzały, ani matka, ani Jane.

- Właściwie się nie skarżyła - powiedział Leslie, wycofując się, w obawie, że już i tak za dużo powiedział. Elisabeth nie była głupia. Z jego nieostrożności mogła wyciągnąć trafne wnioski, albo już je wyciągnęła. - Sam to odgadłem z jakichś półsłówek, które wymknęły jej się raz czy drugi.

- Gdyby się skarżyła, miałyby powody. Ale powinieneś wiedzieć - dodała Elisabeth uczciwie - że ich złe stosunki trwają od wielu lat, odkąd Coco rzuciła studia, a pewnie jeszcze dłużej. Florence i Jane atakowały ją wspólnie, a ona nie umiała się obronić. Jest bardzo delikatna, taką ma naturę.

Leslie musiał się ugryźć w język, żeby nie odpowiedzieć, że właśnie za to ją kocha.

- Może teraz atak zmieni kierunek - roześmiał się Leslie, mając na myśli narzeczonego Florence. - Miło się z tobą rozmawia. Nie widzieliśmy się sto lat. Czuję się trochę nie w porządku, że siedzę u was tak długo, ale mieszka mi

się wspaniale. Nikt nie wie, że jestem w San Francisco. W październiku zaczynam nowy film. Wizyta Chloe będzie dla mnie jak wisienka na torcie, zanim przyjdzie mi wrócić do zwykłego życia.

- Baw się dobrze - powiedziała Elisabeth znacząco. Podziękował jej jeszcze raz i pożegnali się. Od razu odzwonił do Moniki.

- W porządku. Mogę mieszkać tu z Chloe - powiedział z radością. - Kiedy mi ją przyślesz?

- Czy dziś wieczorem nie będzie za wcześnie? - spytała Monica z zakłopotaniem. - Wtedy mogłabym pojechać do Nicei razem z przyjaciółmi, którzy mają własny samolot. Jacht jest w Monte Carlo, stamtąd popłyniemy do Saint-Jean-Cap-Ferrat i do Saint-Tropez. To były najmodniejsze ośrodki sportów wodnych w Europie.

- Nieźle ci się wiedzie.

- Zasłużyłam na przyzwoite wakacje. Zasuwałam na Broadwayu przez cały rok bez przerwy. Dwa tygodnie to wcale nie tak długo. Dziękuję, że się zgodziłaś wziąć Chloe.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, i była to prawda.

- Wyślę ci esemesem dane samolotu.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko ją odbiorę - obiecał.

Byli zgraną ekipą w sprawach, które dotyczyły ich dziecka. Zdażyli się już przekonać, że współpraca dobrze służy im obojgu. Wiele lat po rozstaniu wciąż pozostawali przyjaciółmi, co było dla ich córki pomyślną okolicznością. Chloe bardzo lubiła wizyty Leslie'ego w Nowym Jorku.

O jej przyjeździe powiedział Coco, gdy tylko wróciła do domu.

- Dziś wieczorem? - Była zaskoczona. Nie przypuszczała, że pozna Chloe tak szybko. - Mam nadzieję, że się

mnie nie przestraszy. Może będzie niezadowolona, że musi się tobą z kimś dzielić.

Wyglądała na zaniepokojoną.

- Od razu cię pokocha - powiedział Leslie z przekonaniem i pocałował ją.

- Przed chwilą miałem miłą rozmowę z Elisabeth. Dzwoniłem do nich, żeby zapytać o zgodę na przyjazd Chloe.

- Coś podejrzewa? - spytała Coco.

- Nie wiem. Ale bystra z niej dziewczyna.

- Bystrzejsza od mojej siostry - uśmiechnęła się Coco. - Jane jest tak skoncentrowana na sobie, że to nie przeszło jej nawet przez głowę.

- Pewnie masz rację - odparł, i otworzył lodówkę. Zakupy zrobili przed dwoma dniami, więc byli nieźle zaopatrzeni. W domu było wszystko, co lubiła Chloe. Płatki śniadaniowe, gofry, mrożona pizza, masło orzechowe i dżem. Mieli nawet francuskie rogaliki, które uwielbiała. Parę razy widział, jak jadła ślimaki w modnych francuskich restauracjach. Matka wszędzie zabierała ją ze sobą, traktując jak dorosłą koleżankę. Ale jeśli chodzi o własne upodobania, to Chloe lubiła takie same przysmaki, jak inne dzieci.

Przed wyjazdem na lotnisko zjedli razem sałatkę na kolację. Leslie zauważył, że Coco jest zdenerwowana. Poznać jego córkę - to było dla niej wielkie przeżycie.

- A co będzie, jeśli mnie nie polubi? - spytała niespokojnie, gdy zaparkowali w podziemnym garażu na lotnisku. Zamiast podejrzanie wyglądającej furgonetki wzięli tym razem limuzynę Jane. W furgonetce nie byłoby miejsca dla dziecka, bo oprócz fotela kierowcy i pasażera, pozostałe zostały usunięte, żeby zrobić miejsce dla psów.

- Polubi na pewno. - Objął ją. - Nie zapominaj, że ja też cię lubię.

Samolot wylądował o dziesięć minut wcześniej niż wy-

nikało z rozkładu, ale zdążyli akurat na czas, żeby odebrać Chloe przy wyjściu z hali przylotów. Prowadziła ją za rękę pracownica linii lotniczej. Oddała śliczną dziewczynkę prosto do rąk ojca, do którego mała od razu się przytuliła, uszczęśliwiona. Kryjąc się w jego ramionach, popatrzyła przez ramię na Coco i uśmiechnęła się. Miała wielkie błękitne oczy i długie jasne loki. Była ubrana w luźną różową sukienkę. Trzymała pod pachą nieco wyświechtanego pluszowego misia. Wyglądała jak dziecko z obrazka. Po matce miała rumieńce, po ojcu regularne rysy. Nietrudno było przewidzieć, że kiedy dorośnie, będzie piękną dziewczyną. Leslie delikatnie postawił ją na ziemi i trzymał za rękę, gdy jej przedstawiał Coco.

- To moja przyjaciółka, nazywa się Coco - powiedział po prostu, a Chloe znowu spojrzała na nią ciekawie. - Będiesz ze mną mieszkała w domu jej siostry. To piękny dom, na pewno ci się spodoba. Jest tam nawet kryty basen z ciepłą wodą.

Gdy udzielił jej tych rzeczowych informacji, Coco uprzytomniła sobie nagle, że nie mogą spać razem, kiedy będzie z nimi Chloe. Nie rozmawiali o tym przed jej przyjazdem, ale nie chciała narażać dziecka na dodatkowy stres. I Leslie też na pewno nie będzie tego chciał.

- W porządku - powiedział Leslie, przybierając bardziej oficjalny ton. - Teraz chodźmy po twoje bagaże. Na pewno jesteś bardzo zmęczona.

I trzymając się za ręce, ruszyli w stronę taśmy transportowej. Coco trzymała się o pół kroku za nimi. Chloe od czasu do czasu odwracała się, żeby na nią spojrzeć, jakby chciała zgadnąć, kim właściwie jest ta pani.

- Spałam w samolocie - powiedziała. - A na kolację były hot dogi i lody.

- Doskonała kolacja. A w domu też czekają na ciebie

lody. I są tam dwa psy. Ale bardzo łagodne. Jeden z nich jest ogromny. Chciał ją uprzedzić, żeby się nie przerażyła, gdy zobaczy Jacka. Coco pomyślała, że Leslie ma świetne podejście do córeczki. Zaczął się zachowywać jak ktoś bardzo dojrzały, jak ojciec. I widać było, że Chloe go uwielbia i jest bardzo przejęta wizytą. Ani na chwilę nie puszczała jego ręki.

- Lubię psy - powiedziała i znowu popatrzyła na Coco. - Moja babcia ma pudelka. I on nie gryzie.

- Nasze psy też nie gryzą - zapewniła ją Coco. - Nazywają się Jack i Sallie. Kiedy Jack staje na tylnych łapach, jest tak duży jak twój tatuś.

- To musi wyglądać bardzo śmiesznie - powiedziała Chloe, gdy Leslie zdejmował bagaże z taśmy i stawiał je na podłodze obok nich.

- Idę po samochód - oświadczył.

Coco nie bardzo wiedziała, o czym rozmawiać z dziewczynką, ale Chloe nie miała z tym żadnego problemu.

- Moja mama jest aktorką i gra w teatrze na Broadwayu - powiedziała, kiedy czekały na Leslie'ego. - Ona gra bardzo dobrze, ale ta sztuka jest za smutna. Wszyscy w niej umierają. Ja wolę musicale. Ale moja mama w nich nie gra. Tylko w tych smutnych historiach. Na końcu ktoś ją zabija. Byłam na premierze.

Była właśnie taka, jak ją opisał Leslie. Urocze dziecko, jednocześnie ponad wiek dojrzałe.

- A czy ty też jesteś aktorką? - spytała Chloe z uśmiechem.

- Nie. Jestem opiekunką do psów - powiedziała Coco, czując, że to brzmi jakoś głupio. Pewne sprawy trudno wyjaśnić dziecku. - Wyprowadzam na spacer psy innych ludzi, kiedy oni są w pracy. To całkiem przyjemne zajęcie.

Rozmowa toczyła się wartko, gdy po paru minutach wrócił Leslie.

Ucieszył się, widząc, że Chloe i Coco już po-

czuły się ze sobą swobodnie. Zaniósł bagaże do samochodu, przypiął Chloe pasami na tylnym siedzeniu, i chwilę później byli już w drodze.

- A co my będziemy tu robili? - spytała Chloe, kiedy wjeżdżali do miasta.

- Czy tutaj jest zoo?

Coco odpowiedziała za Lesliego, bo to ona знаła miasto.

- Tak, jest zoo. I jest kolejka linowa. I jest miejsce, które nazywa się Chinatown. Jest też plaża. I możemy pojechać do małego domku nad oceanem.

- Coco ma piękny domek na wybrzeżu. Jestem pewien, że ci się spodoba - wtrącił Leslie.

Coco uśmiechnęła się do niego. Pomyślała, że to będzie jak zabawa w dom. Przez dwa i pół miesiąca byli sami, a teraz nagle stali się rodziną. Ale tak naprawdę rodziną byli Leslie i Chloe, a ona tylko na przyczepkę. To było jego prawdziwe życie. I przyjazd Chloe zmusił ich oboje, żeby zmierzyli się z rzeczywistością. Coco była trochę tym przestraszona, a trochę jej się to podobało.

Kiedy przyjechali na miejsce, Leslie otworzył drzwi własnym kluczem i wyłączył alarm, po czym z szerokim uśmiechem zwrócił się do Chloe.

- Witaj w domu. Będiesz tu z nami mieszkała przez całe dwa tygodnie.

Po czym zaprowadził ją do kuchni i zaproponował lody. Chloe nie wypuszczała z rąk misia. Już na lotnisku zdążyła powiedzieć Coco, że nazywa się Alexander. Było to piękne imię dla tego bardzo starego i sfatygowanego pluszaka. Usiedli we trójkę przy kuchennym stole, przy lodach, które Coco wyjęła z lodówki. I ku jej przerażeniu Leslie zaczął opowiadać swojej córeczce straszną historię o syropie klonowym, który rozlał się w dniu jego przyjazdu. Chloe wydawała głośno okrzyki radości, a lody ściekały jej na podbródek, zresztą jemu także. Przyjemnie było na nich

popatrzeć. Chloe była z nim tak zżyta, jakby był częścią jej codzienności. W roli ojca wydawał się naturalny i bardzo przekonujący.

Kiedy skończyli lody, Coco pokazała Chloe psy. Poprosiła Jacka, żeby podał dziewczynce łapę, co Chloe tak rozbawiło, że zaczęła chichotać.

Nie bała się go ani trochę. Sallie biegała wokół nich, podczas gdy Coco wyjaśniała Chloe, że to pies pasterski, rasa używany w Australii do zaganiań owiec. A potem wszyscy razem weszli na piętro. Chloe miała spać w pokoju gościnnym, zajmowanym przez jej ojca. Leslie mrugnął do Coco nad głową córki, więc domyśliła się, że postanowił złożyć jej wizytę, kiedy dziewczynka zaśnie.

Coco rozpakowała walizkę Chloe, a Leslie przypilnował, żeby umyła zęby. Dziewczynka włożyła piżamę i półzysła ze zmęczenia położyła się do łóżka.

- Jest urocza - powiedziała Coco, uśmiechając się do Leslie'ego. Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała ją na dobranoc. - Kubek w kubek podobna do ciebie, tylko włosy ma jasne.

- Mówiłem ci - powiedział z dumą. - Uważa, że jesteś ładna i miła.

Chciała wiedzieć, czy cię kocham. Powiedziałem, że tak. Zawsze jestem z nią szczerzy. Powiedziała, że mogę spać w jej pokoju, jeśli zechcę.

Zostawiłem światło w łazience i uchylone drzwi. I możemy zostawić też uchylone drzwi od twojej sypialni, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Myślisz w sposób naprawdę dorosły - zachichotała Coco, która sama wyglądała w tej chwili jak dziewczynka.

Roześmiał się.

- Właśnie. Prawda? Ojcostwo tak na mnie wpływa. Staję się bardziej odpowiedzialny. Żałuję, że z Chloe nie spotykamy się częściej.

Wspaniały z niej dzieciak.

- To prawda - zgodziła się Coco, a on przytulił się do niej pod kołdrą. - Jesteś pewny, że to w porządku, jeśli będziesz tu spał?

- Powiedziała, że w porządku - uspokoił ją. - Ona jest bardzo rozumnym stworzeniem.

Podobało mu się, że Chloe tak swobodnie poczuła się z Coco, i podobało mu się też, że Coco od razu znalazła z nią wspólny język. Miała łagodne, pełne ciepła podejście do psów i do dzieci. I do niego także. Teraz, kiedy zobaczył, jak odnosi się do jego córki, kochał Coco jeszcze bardziej. I cudownie było mieć je obie pod tym samym dachem, dwie osoby, które uwielbiał najbardziej na świecie. Cieszył się, że spędzi z nimi całe dwa tygodnie. Objął Coco ramieniem, leżąc obok siebie, szeptali, chociaż Chloe i tak nie mogłaby usłyszeć ich z tamtego pokoju, a zresztą spała już głębokim snem.

Pół godziny później Coco także usnęła. Psy zostały na dole. Spały w kuchni. Coco zostawiła je tam, żeby nie naprzykrzały się Chloe, na przykład pakując się do jej łóżka. W całym domu panowała cisza i spokój, wszyscy byli pogrążeni we śnie.

Następnego ranka Coco obudziła się zanim zadzwonił budzik. Otworzyła jedno oko i jej wzrok padł na uśmiechniętą buzię Chloe, która wpakowała się do ich łóżka. Roześmiała się na jej widok. Leslie jeszcze spał twardo.

- Jesteś głodna? - spytała Coco szeptem. Chloe energicznie kiwnęła głową. - Chodźmy na dół coś zjeść.

Przemknęły na palcach do drzwi, żeby nie obudzić tatusia. Coco wypuściła psy do ogrodu, a Chloe usadowiła się przy kuchennym stole, jakby mieszkała tu od zawsze.

- Co byś chciała na śniadanie? - spytała Coco i znowu się do siebie uśmiechnęły.

- Płatki, banana, grzanekę i szklanekę mleka.

- Zaraz dostaniesz. - Coco wyjęła z lodówki wszystko co było potrzebne i nastawiła imbryk. - Dobrze się spało?

Chloe kiwnęła głową z zadowoloną miną, a potem spojrzała na Coco bardzo uważnie.

- Mój tatuś powiedział, że cię kocha. Ty też go kochasz? - spytała z powagą.

- Tak, kocham go - powiedziała Coco, stawiając przed nią śniadanie. - Kocham go bardzo. Ale ciebie też kocha. Ciebie kocha najbardziej ze wszystkich.

Chciała ją jakoś uspokoić i pocieszyć.

- Mama pozwala mi oglądać jego filmy, kiedy tylko zechcę - oznajmiła Chloe, zanurzając łyżkę w płatkach z mlekiem. Przełknęła i popiła sokiem.

- Ja też lubię je oglądać - wyznała Coco, siadając naprzeciwko niej. - Tutaj jest wielki ekran, możesz oglądać na nim jego filmy. Albo jakieś inne, jeśli zechcesz. Przyjemnie się ogląda filmy na takim dużym ekranie.

- Mój tatuś nie lubi oglądać filmów, w których grał - poinformowała ją Chloe.

Coco skinęła głową.

- Wiem. Z nim będziemy oglądały co innego.

- A co wy tu robicie?

Obie aż podskoczyły, gdy Leslie pojawił się nagle w kuchni. Nie słyszały jego kroków, bo przyszedł boso.

- Umawiamy się na oglądanie twoich filmów - wyjaśniła Coco.

Chloe też chciała coś powiedzieć, ale miała w ustach zbyt wielki kawał banana. Leslie zaczął ją przedrzeźniać, co ją rozśmieszyło, a psy w tym czasie kilka razy wbiegły i wybiegły. Działo się wszystko to, co powinno się dziać, kiedy rodzina siada do śniadania.

- Moglibyśmy pojechać dziś z Chloe na wybrzeże, skoro kończysz pracę w południe - zaproponował.

Była sobota. Pomysł wszystkim wydał się wyśmienity. - Będziemy pływać w oceanie? - spytała Chloe z entuzjazmem.

Leslie wyjaśnił jej, że woda w oceanie jest za zimna, ale nie wspomniał o rekinach. - Pływać możemy w domu, w basenie.

Pokazał jej basen, a Coco tymczasem sprzątnęła kuchnię i poszła na górę, żeby się ubrać. A kiedy oboje wrócili, zaproponowała, że przed wyjściem do pracy pomoże Chloe się uczesać. Sprawiało jej przyjemność być tu z nimi i opiekować się córeczką Leslie'ego. Przed wyjściem przygotowała dla Chloe kąpiel i obiecała, że wróci niedługo. Kiedy odjeżdżała furgonetką, Chloe machała jej z okna. To było życie zupełnie inne od tamtego, samotnego, do jakiego Coco przywykła w ciągu ostatnich dwóch lat w Bolinas. Podobała jej się taka zabawa w dom z Leslie'em i jego córeczką.

Wróciła w samą porę, żeby zjeść z nimi obiad. I zaraz po obiedzie ruszyli w drogę. Chloe z zainteresowaniem wyglądała przez okno i zadawała mnóstwo pytań, po czym zaczęła opowiadać ojcu, co robiła w Southampton przez całe lato. Powiedziała, że mama ma nowego przyjaciela, właśnie tego od jachtu. Że spotka się z nim w Monte Carlo i popłyną do Saint-Tropez. Coco starała się powstrzymać uśmiech, kiedy tego słuchała. Chloe opisywała wszystkich ludzi, którzy pojawiali się w jej życiu, i najprawdopodobniej po powrocie do domu opowie matce o Coco.

- On śmiesznie wygląda - powiedziała o nowym przyjacielu Moniki. - Ma wielki brzuch i jest łysy. Ale jest bardzo miły. Mama mówi, że jego jacht jest ogromny.

Monica nigdy nie lekceważyła materialnych atutów, jakimi dysponowali mężczyźni, z którymi się spotykała, pomyślał Leslie, gdy tego słuchał. Ale jeśli dobrze się z tym

czuła, co w tym złego? Zauważył, że Coco ledwie powstrzymuje się od śmiechu.

- No i jest trochę stary - dodała Chloe.

Wzięła ze sobą pluszowego misia i trzymała go na kolanach, żeby mógł patrzeć przez okno na zatokę. A potem jej uwaga przeniosła się na Coco. Tym razem za kierownicą siedział Leslie.

- Dlaczego nie masz męża i dzieci? - spytała ciekawie. Przed południem powiedziała ojcu, że Coco jest bardzo miła.

- Nie było odpowiedniego kandydata - wyznała Coco szczerze. - Moja mama też mnie wciąż o to pyta.

- Masz siostry i braci?

- Mam jedną siostrę. Nazywa się Jane. Jest ode mnie starsza o jedenaście lat.

- No to jest strasznie stara - oznajmiła Chloe nie bez współczucia.

Mijali Stinson Beach. Nad oceanem wisiała mgła, lecz niebo było błękitne i bezchmurne. Pogoda się trzymała, ale jej zmiany były w sierpniu nieprzewidywalne, a w miasteczku szalały zimne wiatry.

Miejscowi byli do tego przyzwyczajeni, dla przyjezdnych to było rozczarowanie, lecz Chloe nie zwracała uwagi na pogodę. Wydawała się uszczęśliwiona tym, że jest z nią ojciec i Coco. Nie wyglądało na to, żeby miała być o nią zazdrosna. W ciągu swojego życia poznała zresztą wiele kolejnych jego narzeczonych. Poinformowała o tym przy śniadaniu, a Coco kiwała głową, kiedy mała wymieniała ich imiona.

- A twoja siostra ma męża i dzieci? - spytała Chloe z nadzieją.

Lubiła bawić się z dziećmi, ale z dorosłymi też spędzała czas chętnie, jak twierdził Leslie. Czowała się w swoim świecie całkowicie swobodnie, i tak też się czuła w świecie innych osób. W ciągu sześciu lat życia wiele widziała.

- Nie, nie ma męża - powiedziała Coco z przeproszącą miną. - I nie ma dzieci. Mieszka z przyjaciółką. Jej przyjaciółka nazywa się Elisabeth.

- Jest homo? - zapytało, otwierając szeroko oczy, a Coco z wrażenia omal nie spadła z fotela. Spojrzała badawczo na Chloe, a Leslie zachichotał. Przeszedł już wiele podobnych przesłuchań. Ale dla Coco było to zupełnie nowe doświadczenie.

- A kto to jest homo? - spytała Coco, chcąc sprawdzić, jaka jest na ten temat opinia Chloe.

- Naprawdę nie wiesz? To jest wtedy, kiedy chłopak żyje z chłopakiem albo dziewczyna z dziewczyną, i oni się ze sobą całują. Ale nie mają dzieci, bo dziecko może mieć tylko chłopak z dziewczyną. Powiedzieć ci, co ludzie robią, żeby mieć dzieci? Mama mi powiedziała.

Oświadczyła to z miną osoby dobrze poinformowanej i przytuliła misia. Dziecinność i dojrzałość mieszała się w niej w przedziwny sposób. Była jednocześnie uroczym chochlikiem i małą kobietką. Coco nigdy nie zetknęła się z kimś podobnym do niej, a teraz już zdążyła ją pokochać. Nie sposób było się od tego powstrzymać. To było najmilsze dziecko na świecie.

- Chyba nie musisz mi tego mówić. Moja mama też mi powiedziała. Ale byłam wtedy trochę starsza od ciebie.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - powiedziała Chloe, kiedy minęli Stinson Beach i jechali dalej w stronę Bolinas. - Jak będę dorosła, na pewno się nie zgodzę, żeby ktoś mi wetknął penisa. To obrzydliwe - powiedziała stanowczo, po czym podniosła na Coco swoje piękne niebieskie oczy. - Mój tata ci tego chyba nie zrobił, prawda? - spytała prosto z mostu.

Leslie chrząknął i popatrzył na Coco, która przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- N-nie... Nie zrobił mi tego - skłamała. Nie mogła powiedzieć prawdy. Nie wszystko można powiedzieć sześciolatniemu dziecku, nawet najlepiej poinformowanemu.

- I dlatego nie masz dzieci - wyjaśniła jej rzeczowo Chloe. - Jak będziesz chciała mieć dziecko, będziesz musiała się na to zgodzić. Mój tata zrobił to mojej mamie.

Powiedziała to tak, jakby chodziło o głupstwo, które zdarzyło się dawno temu, o coś, na co ludzie się decydują tak zwyczajnie jak na wycieczkę na wybrzeże. Nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi i co z tego wynika, aczkolwiek o mechanice tego aktu miała pojęcie całkiem niezłe.

- I bardzo się z tego cieszę, że się urodziłaś - powiedziała Coco, siląc się na bez troskę i starając się wywikłać z tej kłopotliwej rozmowy.

Tymczasem Leslie skręcił w lokalną drogę prowadzącą do Bolinas, wąską i wyboistą, którą dojechali aż do domu Coco.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Coco i szybko wysiadła z samochodu, zanim Chloe zdążyła wyskoczyć z następnym niewygodnym pytaniem. Nie była przygotowana do rozmowy na takie tematy.

Cała trójka opuściła samochód. Gdy Coco otwierała swój mały domek, za jej plecami Chloe podskakiwała z niecierpliwości. Oba psy, które ledwo się mogły pomieścić w limuzynie Jane, od razu popędziły w kierunku plaży.

- Jak tu ładnie! - Chloe aż zaklaskała w ręce, z misiem pod pachą. Potem posadziła go na kanapie i zwiedziła całe mieszkanie. - Wygląda jak domek krasnoludków, w którym mieszkała Śnieżka!

Coco się roześmiała. W ten sposób przeszli od spraw seksu do królowej Śnieżki w mniej niż pięć minut. Chloe wybiegła na taras, a Leslie uśmiechnął się do Coco.

- Taka jest ta moja córeczka - szepnął. - Mówiłem ci, że jest dojrzała ponad swój wiek. Jej matka traktuje ją jak dorosłą. A ona przecież jest dzieckiem. Radziłaś sobie z nią doskonale. I obiecuję, że tych okropnych rzeczy, o których wspomniała, więcej ci nie zrobię, chyba że będziemy chcieli mieć dziecko.

Śmiejąc się, wyszli na taras w ślad za małą.

- Będziemy mogli bawić się na plaży?

- Oczywiście. Po to tu przyjechaliśmy. Chcesz budować zamki z piasku, czy bawić się w berka? - spytała Coco.

- Budować zamki! - zawołała Chloe i znowu zaklaskała w ręce.

Coco wyjęła z kredensu kilka rondli i misek oraz niewielki kubek do noszenia wody.

Na plaży Coco nosiła wodę, a Leslie budował z piasku mury. Chloe ozdobiła je kamykami i muszelkami, kawałkami drewna wyrzuconymi na brzeg przez ocean i oszlifowanym przez fale szkiełkiem butelkowego koloru. Miała bardzo ciekawe pomysły. Kiedy skończyli, na plaży stało imponujące zamczysko i wszyscy troje byli zachwyceni. Wrócili do domu dopiero późnym popołudniem.

Coco miała w zamrażarce pizzę, przywiozła też sałatkę, której wystarczyło dla nich trojga. Przed kolacją włożyła do piekarnika kilka pianek żelatynowo-cukrowych dla Chloe i obiecała, że na deser będzie ich więcej. Zjedli przy starym stole kuchennym, który wiele przeszedł, a potem siedzieli na tarasie w zapadającym zmierzchu i jedli pieczone pianki.

Po kolaqi Leslie opowiadał różne historyjki o Chloe, gdy była malutka. Wszystkie znała, ale chętnie słuchała ich po raz kolejny. Potem położyli ją do łóżka w pokoju Coco. Coco zaofiarowała się, że prześpi się na kanapie, a Leslie upierał się, że to on będzie tam spał. Coco uważała, że po-

winien spać w jej pokoju razem z Chloe, a jej w zupełności wystarczy kanapa. Salonik był przytulny i ciepły, bo rozpalili ogień w kominku, kiedy Chloe leżała już w łóżku. Coco poszła pocałować ją na dobranoc. Dziewczynka podsunęła swojego misia i jego także Coco pocałowała.

- Fajnie dziś było - ziewnęła Chloe. - Dziękuję.

- Mnie też się podobało - powiedziała Coco i uśmiechnęła się do niej.

Ledwie wyszła, Chloe już spała głębokim snem.

- Jest taka zabawna - szepnęła Coco do Leslie'ego, siadając przy nim na kanapie.

- Wiem - powiedział z dumą. - Kocham ją do szaleństwa. I choć nigdy bym tego nie przewidział, Monica jest naprawdę dobrą matką. Może trochę zbyt nowoczesną jak na mój gust. To przedwczesne wychowanie seksualne nie bardzo mi odpowiada. Ale myślę, że Chloe jest bardzo dobrze rozwinięta społecznie. I obawiam się, że się do tego nie przyczyniłem. Ja bym ją rozpuścił i nie posyłał nawet do szkoły, tylko pozwalał jej się bawić przez cały dzień.

Uśmiechnął się błogo, a Coco przytuliła się do niego na kanapie.

- Jesteś wspaniałym ojcem.

Był wobec Chloe cierpliwy, łagodny i kochający.

- A jaki wspaniały zamek postawiliśmy na plaży! - powiedział i znowu się uśmiechnął. - Powinnaś zostać architektem.

- Wolę być niebieskim ptakiem z wybrzeża - uśmiechnęła się.

- To też ci nieźle wychodzi. - Pocałował ją i włożywszy rękę pod jej T-shirt, dotknął piersi.

- To jak? Nie zrobisz mi tych okropnych rzeczy, o których mówiła Chloe?

- zapytała, a on popatrzył na nią z udawaną surowością, ale nie przestał głaskać jej piersi.

- Za kogo ty mnie masz?! Nigdy w życiu bym tego nie zrobił, a już na pewno nie wtedy, kiedy Chloe śpi w sąsiednim pokoju. Choć może dałbym się na to namówić pod pewnymi warunkami. Na przykład, gdybyś chciała mieć dziecko - zawiesił głos i uśmiechnął się tajemniczo.
- Może kiedyś, w przyszłości.

Ostatnio kilka razy się nad tym zastanawiała. Myśl o małej dziewczynce podobnej do Chloe była dziwnie pociągająca.

Leżeli razem na kanapie do północy, rozmawiając, a potem wyszli na taras, żeby popatrzeć w niebo. Tysiące gwiazd lśniło jasno, a wśród nich królował wielki sierp księżyca. Usiedli na leżakach i rozmawiali jeszcze przez godzinę o wszystkim i o niczym, a potem Leslie z ociąganiem zostawił ją w saloniku i udał się do sypialni. Coco położyła się w śpiworze na kanapie.

Nazajutrz wszyscy troje obudzili się skoro świt. Leslie przygotował śniadanie. Usmażył śmiesznie wywinięte naleśniki nadziewane bananami, które były ulubionym daniem Chloe, a potem poszedł po sąsiedzku pomóc Jeffowi w naprawie samochodu. Widział go z daleka majstrującego przy aucie od świtu i umierał z ochoty, żeby przyłożyć rękę do tego dzieła. Sprzątając kuchnię razem z Chloe, Coco z uśmiechem przyglądała się przez okno, jak pracują. Potem czytała na tarasie.

Leslie wrócił po dwóch godzinach, po łokcie umazany w smarze, z uszczęśliwioną miną, i powiedział, że samochód Jeffa jest już na chodzie. Przedpołudnie spędzone pod samochodem Jeffa było dla niego świetną rozrywką.

Potem pojechali do Stinson Beach i wybrali się razem z psami na długi spacer po plaży. Wrócili do domku w porze obiadu. Leslie grał z Chloe w warcaby, a Coco im kibicowała. Zjedli kanapki i frytki, potem położyli się na le-

żakach na słonecznym tarasie. Z żalem myśleli o tym, że trzeba będzie wracać do miasta. Przed wyjazdem zjedli jeszcze hot dogi i pieczone pianki cukrowe. W drodze powrotnej Chloe usnęła w samochodzie. Weekend udał się cudownie.

Wieczorem we trójkę obejrżeli na wielkim ekranie film o Mary Poppins, a kiedy Chloe usnęła, Leslie zaniósł ją do łóżka w pokoju gościnnym. Coco obiecała jej, że nazajutrz zabiorą ją do Chinatown i zjedzą tam obiad w chińskiej restauracji, koniecznie pałeczkami, na co dziewczynka nalegała. A w połowie tygodnia zamierzali wybrać się z nią do zoo. Przed wyjazdem należała się jej jeszcze przejażdżka kolejką linową.

- Dziękuję ci, że jesteś dla niej taka miła - powiedział Leslie, kładąc się do jej łóżka po powrocie od Chloe.

- To wcale nietrudne - powiedziała Coco. Wyglądała na szczęśliwą.

Leslie wstał jeszcze raz i zamknął pokój na klucz.

- Co ty robisz? - spytała.

- Pomyślałem, że przyda nam się parę chwil prywatności. Niełatwo o nią w tym domu, kiedy jest z nami dziecko.

Zdążyli już zasmakować w komfortowej samotności we dwoje. Choć przecież oboje cieszyli się, że jest z nimi Chloe.

Leslie zgasił światło i wziął Coco w ramiona. Sprawilo mu to przyjemność, gdy odkrył, że jest już naga. Zdjęła piżamę, kiedy był u Chloe. Ściągnął bokserki i po chwili znowu oddawali się miłości.

Wydawało się, że wizyta dziecka zbliżyła ich do siebie jeszcze bardziej. I Coco pomyślała, że chociaż wcześniej nie czuła, żeby jej czegoś brakowało, to dopiero teraz doświadcza pełni życia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W ciągu dwóch tygodni, które spędziła z nimi Chloe, zdążyli pokazać jej wszystko, co obiecali, a nawet jeszcze więcej. Byli w dwóch ogrodach zoologicznych, w San Francisco i w Oakland. Zwiedzili muzeum figur woskowych na Fisherman's Wharf, o którym Coco powiedziała, że jest dla niej zbyt przerażające, ale Chloe była zachwycona. W Chinatown byli aż dwa razy. Spacerowali po nabrzeżu w Sausalito. Poszli do kina, jeździli kolejką linową, spędzili w Bolinas następny weekend i zbudowali nowy zamek, jeszcze większy i piękniejszy od poprzedniego. Coco zabrała Chloe na wycieczkę do fabryki zabawek, o której gdzieś czytała. Chloe mogła tam zaprojektować własną zabawkę. W ten sposób Alexander dostał koleżankę, misia-dziewczynkę z różowego pluszu, którego Chloe nazwała Coco. Był to dla Coco najwyższy komplement. Chloe z dumą pokazywała ojcu nowego misia. Ostatniego wieczoru kąpali się w basenie we trójkę, a potem Coco przygotowała kolację. Upiekła nawet ciasto z różowym lukrem i wielobarwną słodką posypką. Wyszło trochę krzywe, ale Chloe i tak była zachwycona. Na wierzchu Coco ułożyła imię „Chloe” z czekoladowych drażetek.

Po kolacji Chloe zapytała, czy zamierzają się pobrać. Jej ojciec wydawał się zakłopotany. Tego tematu jeszcze z Coco nie poruszali, choć zaczęli się już nawet umawiać w kwestii wydania na świat dziecka. Wciąż usiłował ją namówić na przeprowadzkę do Los Angeles, ale ona jak dotąd nie chciała o tym nawet rozmawiać. Miała awersję do miasta, w którym się wychowała, do stylu życia, który był z nim związany, do ludzi, którzy tam żyli. Musieli pokonać jeszcze niejedną przeszkodę, zanim temat małżeństwa mógłby stanąć na porządku dziennym. Lecz owszem, myśl o ślubie czasem przelatywała im przez głowę. Niczego nie obiecywali Chloe, żeby oszczędzić jej ewentualnego rozczarowania, jeśli nic z tego nie wyjdzie. Dziewczynka pokochała Coco i była to miłość wzajemna. Pokochała nawet oba psy.

- Wiesz, twoja siostra może naprawdę być homo - powiedziała Chloe z namysłem pewnego popołudnia. - Bo dziewczyny nie mają takich psów jak Jack. Mają pudle i yorki. Albo takie malutkie puszyste pieski. A wielkie psy mają tylko faceci.

- Niewykluczone, że masz słuszność - powiedziała Coco wymijająco. - Zapytam ją.

Nie chciała okłamywać Chloe, ale nie była też gotowa udzielić jej odpowiedzi. Nie chciała, żeby Chloe przybiegła do matki z rewelacją, że Coco ma siostrę lesbijkę. Monica mogłaby uznać, że rozmawiali z dzieckiem o zbyt dorosłych sprawach. Choć wyglądało na to, że sama nie miała oporów przed wciąganiem córeczki w dość ryzykowne tematy.

Lecz tylko ona miała do tego prawo, bo to ona była matką. A Coco powinna się trzymać pewnych reguł. Leslie też miał nieco bardziej niż Monica tradycyjne pojęcia o wychowaniu. Leslie i Coco zgadzali się ze sobą w tej i bardzo wielu innych sprawach.

Podczas całego pobytu Chloe w San Francisco miało miejsce tylko jedno nieszczęśliwe zdarzenie. Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Chloe oparzyła się w palec, gdy razem z Coco wyciągały z piekarnika cukrowe pianki. Rozdokazywała się i dotknęła widelca rozgrzanego do czerwoności, próbując wyciągnąć z piekarnika roztopioną piankową masę. Naraz wrzasnęła głośno, rozplakała się i wpadła w rozpacz typową dla sześciolatków, kiedy na palcu pojawił się pęcherz. Coco czym prędzej włożyła jej rękę pod strumień zimnej wody z kranu. Leslie przybiegł do kuchni, bo usłyszał krzyki.

- Co się stało? - zapytał przerażony, na widok łez, które płynęły po policzkach córeczki. - Skaleczyła się?

- Oparzyła się w palec - wyjaśniła Coco, przytulając Chloe i nie pozwalając jej wyjąć palca spod kranu.

- Pozwoliłaś jej bawić się w kuchni bez opieki? - spytał oskarżycielskim tonem.

Chloe odwróciła się do ojca, momentalnie przestając płakać.

- To nie jej wina! - zawołała, porywczo stając w obronie Coco, gdy tylko usłyszała nieprzyjemny ton w głosie ojca. - Mówiła mi, żebym nie dotykała tego widelca, ale ja się nie słuchałam.

Mówiąc to, Chloe wtuliła się w ciepłe ramiona Coco.

- Już wcale nie boli - dodała dzielnie, kiedy we trójkę pochylali się nad małym białym pęcherzykiem. Coco posmarowała go maścią i założyła opatrunek. Leslie popatrzył na nią z poczuciem winy.

- Przepraszam. Głupek ze mnie. Przestraszyłem się, że naprawdę zrobiła sobie krzywdę.

Było mu strasznie przykro, że posądził Coco o niedbalstwo, ale kiedy usłyszał krzyki Chloe, serce zaczęło mu walić jak młotem. Tymczasem okazało się, że Coco przejęła

się tym nie mniej od niego, ale zdążyła już udzielić Chloe pierwszej pomocy.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go Coco, zdejmując Chloe ze stołka, na którym przedtem postawiła ją przy zlewie.

- Kocham cię, Coco - powiedziała Chloe, mocno obejmując ją w pasie obiema rękami. Leslie uśmiechnął się do nich.

- A możemy upiec jeszcze trochę pianek? - spytała Chloe, trzymając bolący paluszek w powietrzu.

- Nie! - odpowiedzieli jednocześnie, a potem zaczęli się śmiać. Leslie wciąż nie mógł sobie darować, że podniósł głos na Coco, ale ona podeszła do tego ze spokojem. Wiedziała bowiem, że zrobił to tylko ze strachu o dziecko.

- Może zamiast tego zjemy lody? - zaproponował Leslie.

Coco poczuła ulgę. Z początku przeraziła się oparzonym placem Chloe, ale zanim opuścili kuchnię, dziewczynka była znowu wesoła i szczęśliwa. Włączyła razem z nimi do łóżka w sypialni Coco, oglądała z nimi telewizję i w taki to sposób cała trójka cieszyła się ostatnim wspólnym wieczorem. Coco poczuła, że będzie za tym dzieckiem bardzo tęsknić. Chloe przypadła jej do serca.

Wszyscy byli smutni, gdy nazajutrz jechali na lotnisko. Chloe miała ze sobą oba misie, starego i nowego, a Coco omal się nie rozpłakała, kiedy musiała się z nią pożegnać i przekazać ją pracownikowi linii lotniczej, który miał się nią zaopiekować, by trafiła na pokład samolotu do Nowego Jorku.

- Mam nadzieję, że niedługo znowu mnie odwiedzisz - powiedziała Coco, ściskając ją mocno na pożegnanie. - Bez ciebie będzie mi smutno.

Chloe puściła rękę pracownika linii lotniczej i odwróciła się do Coco z poważną miną.

- A kiedy przyjadę znowu, mój tatuś jeszcze tu będzie? - spytała.

- Mam nadzieję. Będzie mnie przynajmniej odwiedzał. Możecie przyjechać razem.

- Myślę, że powinniście się pobrać - powtórzyła mała swoją opinię, wyrażoną już wcześniej, wkrótce po przyjeździe.

- Porozmawiamy o tym - powiedział Leslie i przytulił ją. - Będę tęsknił za tobą, małpeczko. Pozdrów ode mnie mamę. I nie zapomnij zadzwonić wieczorem.

- Nie zapomnę - obiecała, zasmucona.

- Kocham cię - powiedział i jeszcze raz ją uścisnął. Zawołał także, kiedy znalazła się za bramką. Pomachała im po raz ostatni, a Coco posłała jej pocałunek. Stali tam, aż zniknęła im z oczu w tłumie wypełniającym lotnisko, trzymając za rękę pracownika linii lotniczej.

Zostali na lotnisku aż do startu samolotu, na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu lot został odwołany. Gdy samolot wystartował, wrócili do garażu po samochód. Przez kilka pierwszych minut milczeli oboje, myśląc o Chloe i o tym, jak pusty wyda im się teraz dom.

- Już za nią tęsknię - powiedziała ze smutkiem Coco, kiedy wyjeżdżali z lotniska. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się mieszkać z dzieckiem. Teraz, po dwóch tygodniach, z trudem wyobrażała sobie życie bez Chloe.

- Ja też już tęsknię - westchnął. - Zazdroszczę ludziom, którzy mogą mieszkać ze swoimi dziećmi. Monica ma szczęście, jest z nią przez cały czas.

Ale nie mógł sobie wyobrazić małżeństwa z Monicą. To nigdy nie wchodziło w grę.

- Chciałbym, żeby to nie było tak strasznie daleko. Za każdym razem, kiedy się rozstajemy, serce mi pęka z żalu.

Był śmiertelnie smutny, kiedy wracali do miasta. Posta-

nowili pójść do kina, żeby odwlec tę chwilę, gdy wrócą do pustego domu. Poczuli się jeszcze bliżsi sobie w tym smutku i zagubieniu.

W kinie trafili na film akcji, który oderwał ich myśli od pożegnania, a kiedy wrócili do domu, Chloe była już w połowie drogi do Nowego Jorku. Coco poszła popływać w basenie, a Leslie usiadł przy biurku, żeby przeczytać scenariusz i zdecydować, czy przyjmie proponowaną rolę. Potem spotkali się w kuchni. Popatrzyli ponuro na resztę ciasta, które Coco upiekła dla Chloe poprzedniego wieczoru. Trudno się było otrząsnąć z poczucia, że kogoś brakuje, zwłaszcza przy tym stole. W końcu Leslie wstał, zaparzył herbatę dla nich obojga, usiadł znowu i uśmiechnął się.

- Ten smutek oznacza, że wizyta się udała - powiedział i spojrzał trochę weselej. - Wszyscy się świetnie bawiliśmy.

- Z nią nie moglibyśmy źle się bawić - powiedziała Coco, popijając herbatę. - Mam nadzieję, że dziecko Jane i Elisabeth będzie równie urocze za sześć lat.

Ta myśl podniosła ją na duchu.

- A co myślisz o radzie, której nam udzieliła Chloe? - spytał, jakby nigdy nic. - Wiesz, w sprawie ślubu. - Kiedy to mówił, wyglądał nie jak światowej sławy aktor filmowy, ale jak zwykły śmiertelnik, który się niepokoi, czy nie dostanie kosza. - Co do mnie, uważam, że to interesujący pomysł - dodał, nadrabiając miną. Czasami zachowywał się i mówił jak rasowy Brytyjczyk. Coco się uśmiechnęła. Pokora i skromność w znacznej części stanowiły o jego uroku osobistym, zarówno na ekranie, jak w życiu. Bardzo to w nim lubiła od pierwszego dnia ich znajomości, kiedy spotkali się nad kałużą syropu klonowego.

- Tak, to bardzo ciekawy pomysł - powiedziała miękko i rzuciła mu spojrzenie pełne miłości. - Ale na to może być

jeszcze za wcześnie. Powinniśmy przedtem przekonać się, czy potrafimy wspólnie ułożyć sobie życie i sprawdzić, jak to wychodzi w praktyce. Była to dla Coco sprawa nie do pominięcia. Mieszkali już od trzech miesięcy w domu Jane i był to niezły punkt wyjścia dla ich związku. Nigdy i z nikim nie ułożyła sobie spraw tak łatwo i bezproblemowo jak z nim. Nawet z Ianem. Ale bardzo ją niepokoiła jego sława i związany z nią styl życia, którego częścią staną się kontakty z wścibską prasą, zwłaszcza jeśli zamieszkają w Los Angeles. Potrzebowała znacznie więcej prywatności i obawiała się, że jej brak może zniszczyć to, co razem zbudowali. A jak dotąd nie znaleźli rozwiązania dla tego problemu. I obawiała się, że nie rozwiążą go tak łatwo również w przyszłości. Jeśli pominąć tę bardzo istotną kwestię, Leslie i ona pokłócili się tylko raz, o drobnostkę. Sprawa dotyczyła psów i wynikła pewnego wieczoru, kiedy wróciły mokre z basenu i wlaży im do łóżka. Leslie był wściekły, bo zdarzyło się to już po raz czwarty z rzędu. Poza tym było tylko małe nieporozumienie, kiedy Chloe oparzyła sobie palec, wszystko inne znakomicie ich łączyło przez całe trzy miesiące. Lubili spędzać razem czas, lubili wspólne życie, ona interesowała się jego pracą, a on zasięgał jej opinii na temat scenariuszy, które mu przysyłała. Był otwarty na jej zdanie zawsze i na każdy temat. Był dla niej pełen szacunku. A ona pokochała jego córeczkę. Jediną groźbą, jaka wisiała nad ich wspólną przyszłością, była jego sława, która mogła zniszczyć ich miłość. Wciąż jeszcze nie wszystko wiedzieli o sobie nawzajem: jakich ludzi lubią, jakie życie towarzyskie przyjdzie im prowadzić, gdy będą razem, bo jak dotąd, żyli w zupełnym odosobnieniu. Nigdy razem nie podróżowali, jeśli pominąć wycieczkę do Los Angeles, i nigdy nie musieli razem

stawiać czoło trudnościom. Nigdy nie mieli do czynienia z sytuacją, w której Leslie byłby zmęczony i zestresowany w trakcie kręcenia filmu. Ale jeśli chodzi o praktykę codziennego życia pod jednym dachem, potrafili się do siebie przystosować w stopniu większym niż wystarczający. Oboje umieli być dla siebie uprzejmi, szanować się nawzajem i cieszyć się swoim towarzystwem. Nawet poczucie humoru mieli podobne. Nie można było tylko przewidzieć, jak ich związek zniesie próbę ognia. Jedyne, co ją naprawdę niepokoiło, to jego sprawy zawodowe, toczące się w Los Angeles. Lecz nawet w kwestii miejsca zamieszkania był skłonny do kompromisu. Proponował San Francisco albo Santa Barbara jako rozwiązania alternatywne, i obiecywał, że cały wolny czas będzie spędzał razem z Coco w Bolinas. Byłby skłonny rozważyć nawet przeprowadzkę do Nowego Jorku. Był człowiekiem odpowiedzialnym, miał rozsądne pomysły, i zależało mu na tym, żeby Coco była zadowolona. Wydawał się po prostu idealnym kandydatem na męża. A jeśli chodzi o jego własne zapatrywania, dawno już doszedł do wniosku, że Coco jest idealną kandydatką na żonę. Potrzebowała tylko trochę więcej czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Trzy miesiące znajomości to dla niej był za krótki czas, żeby podjąć decyzję, która miała dotyczyć reszty ich życia. A zawód Leslie'ego stawiał przed nimi wyzwania, z którymi będą musieli jakoś sobie poradzić.

- Nie zgadzam się z tobą, że to, gdzie będziemy mieszkali, jest aż tak ważne - powiedział spokojnie Leslie. Nie chciał na nią nalegać, ale już wiedział, czego pragnie. Poprzedniego wieczoru widok Coco żegnającej się z Chloe pomógł mu ostatecznie się zdecydować. - Nie możesz mnie przestać kochać ani opuścić tylko dlatego, że nie lubisz miasta, w którym pracuję.

- Nie chodzi o miasto, tylko o styl życia, który wiąże się z twoją pracą - powiedziała z troską. To było jej największe zmartwienie. - Nie wiem, czy potrafię żyć z najslawniejszym gwiazdorem kina i radzić sobie ze wszystkim, co z tego wynika. Boję się tego, Leslie. Prasa i fotoreporterzy sprawią, że będziemy zawsze wystawieni na widok publiczny, a to może zniszczyć nasze życie. Więc muszę sprawdzić, czy to wytrzymam. Nie chcę zniszczyć twojej kariery, ale nie chcę też złamać sobie życia. Lubię to życie, które teraz prowadzimy. Żyjemy tu jak w bajce. Ukryci przed ludzkim wzrokiem. Kiedy wyjdziemy z kryjówki, zrobi się huk na pół świata. To mnie przeraża najbardziej. Nie chciałabym stracić cię tylko z powodu zamieszania, którego w naszym życiu narobią inni. A to się może zdarzyć.

- Więc zacznijmy mówić ludziom o sobie i zobaczymy, jak będziemy się z tym czuli. Czemu nie miałybyś pojechać ze mną na plan zdjęciowy do Włoch? Będę w Wenecji przynajmniej przez miesiąc, a może nawet dwa. Jeśli znajdziesz kogoś na zastępstwo przy psach, możesz być wtedy ze mną. Rozważysz to? I chyba powinniśmy przedtem pojechać razem na parę dni do Los Angeles, żeby przymierzyć się do tego miejsca. Był gotów obwieścić całemu światu, że ją kocha. W rzeczywistości nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł pokazać się publicznie w towarzystwie Coco, bo chciał podzielić się swoim szczęściem z całym światem.

- Kocham cię, Coco - powiedział cicho. - I cokolwiek zdarzy się w przyszłości, cokolwiek napisze o nas prasa, będę przy tobie.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy, które stanęły jej w oczach.

- Myślę, że to tylko strach. Co się stanie, jeśli prasa bę-

dzie mi dokuczać, albo jeśli zrobię jakieś głupstwo, albo jeśli zaszkodzę twojej karierze? Nigdy dotąd nie byłam osobą publiczną. Ale wiem, jakie kłopoty mieli klienci mojego ojca. Nie chcę, żeby zdarzyły nam się takie historie jak im. Teraz wszystko wydaje się bardzo proste, ale przestanie być takie, gdy ludzie się o nas dowiedzą.

Niestety, zostały im już tylko dwa tygodnie tej idylli wspólnego życia z dala od ludzkich oczu. Leslie musiał wyjechać do Los Angeles i zacząć pracę nad filmem. Więc ich wspólny czas liczył się już na dni i godziny. Potem skończy się dla nich okres ochronny. I Leslie też o tym wiedział. Nie mógł temu zaprzeczyć. Martwił się i niepokoił ze względu na nią. Była osobą tak wrażliwą i pełną rezerwy, a jego świat był światem mediów, w którym o ochronie prywatności nikt nie słyszał i słyszeć nie chciał. Przez ostatnie trzy miesiące byli niesłychanie ostrożni i mieli nieprawdopodobne szczęście. Ale gdy tylko znajdą się w Los Angeles, a potem na zdjęciach w Wenecji, każdy ich ruch może wywołać komentarze w tabloidach i kolorowych tygodnikach. Więc trzeba było, żeby Coco przynajmniej spróbowała się z tym oswoić, zanim zdecyduje się zamieszkać w jego świecie na zawsze.

- Pamiętaj, jeden dzień na jeden raz - powiedział.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. To była Jane. Chciała się tylko dowiedzieć, co słychać. Od czasu wybuchu rodzinnej afery związanej z romanssem matki dzwoniła nieco częściej, jakby ta zadyma przeczyściła atmosferę. Leslie wstał, okrążył stół i pocałował Coco, zanim wyszedł z kuchni. Nie dostał jednoznacznej odpowiedzi na swoje oświadczenia, ale zrozumiał, że musi być cierpliwy. Coco powinna najpierw przymierzyć się do życia, jakie ją przy nim czekało. Miał wrażenie, że jej podejście do tej sprawy nie było już tak skrajne jak z początku, choć wciąż jeszcze

nie zdołał jej przekonać. Nie pogodziłby się jednak z myślą, że przyjdzie mu się poddać. Pozwolił jej spokojnie porozmawiać z siostrą. Kiedy przyjdzie czas, wróć do tego tematu. Coco była mu wdzięczna za to, że nie wywiera na nią presji. Była już wystarczająco zaniepokojona jego zbliżającym się wyjazdem z San Francisco.

Coco spytała Jane, jak znosi ciążę. Jane czuła się wyśmienicie.

Odpowiedziała, że obie z Liz nie mogą się już doczekać rozwiązania, choć z trudem potrafią sobie wyobrazić, że już za pięć miesięcy w ich domu pojawi się dziecko. Coco też nie umiała sobie tego wyobrazić. Ta sytuacja zadziwiała ją wciąż na nowo. Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że Jane zostanie matką. I nadal nie mieściło jej się to w głowie. Znała ją na to albo zbyt dobrze, albo właśnie za mało.

- Mogę cię w każdym razie zapewnić, że przy dziecku sześciolatkiem wasz dom sprawdza się znakomicie. Córeczka Leslie'ego była u nas przez dwa tygodnie. Bardzo jej się tu podobało. Wszyscy się świetnie bawiliśmy. Po drugiej stronie zapadła na chwilę cisza. Jane, co było dziwne, nie skomentowała.

- Co przez to rozumiesz? - spytała chłodno.

- Było wspaniale. Gościłam najmiłsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam. Mam nadzieję, że urodzi się wam dziewczynka i będzie podobne do Chloe.

- Mówisz, jakby cię całkiem zawojowała - odezwała się Jane z ostrożnym namysłem. - Mam nadzieję, że obyło się bez zniszczeń.

- Jasne, że nie było zniszczeń. Jest bardzo dobrze wychowana. - Ton siostry zaniepokoił Coco. Poczowała się niepewnie, tym bardziej że nieco rozstroiła ją wcześniejsza rozmowa z Lesliem, i zdarzyło się, że chcąc pokryć zakłopotanie, powiedziała o parę słów za dużo. - Byliśmy

z nią wszędzie, w zoo, w Chinatown, w Saissalito, w muzeum figur woskowych, jeździliśmy kolejką linową. Wszyscy się świetnie bawiliśmy.

- My? Jacy „my?” Jest coś, o czym nie wiem, Coco? -Nie mieściło jej się w głowie, że domysły Liz mogą mieć coś wspólnego z rzeczywistością, ale to, co teraz usłyszała, wydało jej się bardzo podejrzane. - Jest coś między tobą i Lesliem? - spytała prosto z mostu.

Coco milczała przez chwilę. Mogła skłamać, tak jak już wcześniej kłamała w tej sprawie, ale to było właśnie to, o czym rozmawiali przed chwilą, zanim zadzwonił telefon. Przyszedł czas, żeby przestać się ukrywać. I najlepiej było zacząć od własnej rodziny. Postanowiła przyznać się i skorzystać z amnestii. To było tak, jakby wypuściła balon próbny.

Na początek tylko jedno słowo.

- Tak.

Nie miała pojęcia, jaka będzie reakcja. Najpewniej zdumienie, lecz może również zadowolenie, bo przecież Jane uważała Leslie'ego za przyjaciela. Tym razem Jane nie mogła jej zarzucić, że wybrała niewłaściwego mężczyznę, kogoś z innego środowiska, tak jak to było, gdy poznała Iana. Ale Coco pomyliła się i tym razem.

- Oszalałaś? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, kim on jest w prawdziwym świecie? Jest największą żyjącą gwiazdą kina. Media rozszarpią cię żywcem. Jesteś opiekunką psów, na miłość boską, i mieszkasz w Bolinas. Zastanawiałaś się, jak się do tego odniesie prasa?

- Jestem też córką Buzza Barringtona i Florence Flowers. No i twoją siostrą. Wychowałam się w tym samym świecie, w którym on żyje.

- Ale wykoleiłaś się i zostałam zwykłą hipiską z wybrzeża. A on ma za sobą romanse z połową eleganckich kobiet

tego świata i ze wszystkimi gwiazdami ekranu oprócz tych, które od dawna nie żyją. Media zjedzą cię na śniadanie i wyplują kosteczki. Będiesz dla niego tylko ciężarem, będzie się ciebie wstydził. Jak możesz być tak głupia? Prosiłam cię, żebyś zamieszkała u mnie i zaopiekowała się moim psem, a ty zaczynasz uwodzić mojego gościa, aktora światowej sławy. Co ty sobie w ogóle myślisz?

Była rozzłoszczona i wyprowadzona z równowagi, jak zawsze, kiedy zaczynała mieszać Coco z błotem. Tym razem zrobiła to co zawsze. Coco słuchała jej ze łzami w oczach.

- Myślę sobie, że się kochamy - odpowiedziała spokojnie, choć była wściekła na siostrę za wszystko, co od niej usłyszała, a na dobitkę obawiała się, że to Jane może mieć słuszość.

- Puknij się w głowę! Przecież to największa bzdura, z jaką kiedykolwiek wyskoczyłaś. Zapomni o tobie w ciągu pięciu minut, kiedy tylko wróci do Los Angeles. Zacznie sypiać ze swoją partnerką filmową, i o tym wszystkim napiszą tabloidy. Jeśli z tobą romansuje, to tylko dla żartu. Jedna sztuka więcej do kolekcji podbojów. Możesz mi wierzyć, znam go dobrze.

Tymczasem Leslie zajrzał do kuchni i dostrzegł na twarzy Coco bolesny grymas. Od razu zgadł, że Jane dokuczyła jej po raz kolejny. Zawsze udawało jej się wpędzić siostrę w rozpacz. Przyjaźń przyjaźnią, ale Leslie wiedział, że Jane potrafi być bezwzględna jedzą, w szczególności wobec młodszej siostry. Położył dłoń na ramieniu Coco. Ale ona się od niego odsunęła, co sprawiło mu przykrość. Nigdy dotąd się tak nie zachowała.

- Zobaczmy, jak to się wszystko ułoży po jego powrocie - powiedziała niejasno, kiedy Leslie znowu wyszedł.

- Nic się nie ułoży - oświadczyła bezlitośnie Jane. - Mo-

zesz mi wierzyć, w dniu jego wyjazdu będzie po wszystkim. Już teraz jest po wszystkim, tylko ty o tym jeszcze nie wiesz. Przy nim nie ma dla ciebie żadnej przyszłości. Jestem pewna, że fajnie było z nim spać, ale to już wszystko, na co mogłaś liczyć. W jego świecie będziesz dla niego tylko ciężarem.

Coco chciała jej powiedzieć, że przed chwilą rozmawiali o ślubie, ale się nie ośmieliła. A gdy słuchała Jane, zrobiło jej się słabo. Prawdopodobnie Jane miała raq'ę. To ona się łudziła, że może stać się częścią jego życia.

- Mam nadzieję, że nie wpadniesz w histerię, oprzytomniejesz i wyczujesz, w którą stronę wiatr wieje - ciągnęła Jane. - Możesz przynajmniej oszczędzić sobie poniżenia, jeśli nie będziesz się czepiać jego rękawa. Kiedy wyjedzie, pożegnaj się z nim z godnością. W ogóle nie powinnaś się była z nim zadawać. Myślałam, że jesteś mądrzejsza. Że masz więcej szacunku dla samej siebie i nie zgodzisz się zostać jego zabawką, łatwą dupą dla takiego donzuana jak on.

Słowa Jane były okrutne, ale Jane bywała równie okrutna przy każdej okazji. Zwłaszcza wobec Coco. Nigdy sobie tego nie odmówiła. Jak widać, ciąża niewiele zmieniła w jej zwyczajach.

- Dziękuję ci za przestrożę - powiedziała Coco zdławionym głosem, czując się wyjątkowo nędznie. Pragnęła jak najszybciej się rozłączyć. - Zdzwonimy się niedługo - dodała i nacisnęła czerwony przycisk telefonu. Nie chciała zrobić Jane tej przyjemności, żeby rozpłakać się w trakcie rozmowy.

Leslie znowu wszedł do kuchni i przyjrzał jej się.

- Co się, u diabła, stało? Co ona ci znowu zrobiła? Zawsze ją lubiłem, ale przysięgam, że w końcu ją znienawidzę od samego patrzenia na to, co z tobą wyprawia. Byli-

śmy dobrzy przyjaciółmi, ale traktuje pię jak śmiecia i ja nie mogę na to patrzeć.

- To są sprawy między nami, siostrami.

Jane umiała zetrzeć ją w pył w ciągu paru chwil. Leslie zapragnął sam się z nią zmierzyć. Niechby musiała raz wreszcie spotkać się z równym sobie przeciwnikiem.

Coco zaczęła łkać, kiedy wziął ją za rękę.

- Ona miała rację - wyrzuciła z siebie, zalewając mu łzami sweter, gdy próbował ją przytulić. - Powiedziała, że jestem idiotką, że będziesz się mnie wstydził i że jestem tylko kolejną pozycją na liście twoich podbojów. I że miałeś wszystkie najwspanialsze kobiety świata, że tabloidy mnie rozszarpia i wyplują, i że między nami wszystko będzie skończone już w dniu twojego wyjazdu.

To długie zdanie nie zawierało żadnych znaków przestankowych i przelewało się w nim wszystko, co ją najbardziej zraniło, cały ból, jaki zadała jej siostra. Coco była niepokieszona i pękało jej serce. Leslie wpadł w furję.

- Daję słowo, że w końcu zamorduję to babsko. Skąd ona może wiedzieć, co napiszą tabloidy? I kogo to, do cholery, obchodzi? Jesteś piękną, uroczą, inteligentną, dystygowaną młodą kobietą. Będę dumny, jeśli świat mnie zobaczy u twojego boku. W zasadzie powinienem leżeć plackiem u twoich stóp. Twoja siostra nie zasługuje nawet na to, żeby czyścić ci buty. Jest zimną, okrutną suką. Robi to wszystko z zazdrości. Zawsze będziesz młodszą od niej. Na twoim miejscu puszczałbym to wszystko mimo uszu, Coco. To bzdury. I nieprawda, że coś się skończy, kiedy wyjadę. To będzie dopiero początek. Jedź ze mną. Niech cały świat się dowie, jaki jestem z tobą szczęśliwy. Wszyscy cię pokochają. A ten, kto cię nie pokocha, będzie skończonym durniem. Spytaj Chloe. Ona o tym wie. A dziecka nie można oszukać. Zwłaszcza tego dziecka.

Wszystko co mówił brzmiało szczerze i to było właśnie to, co najbardziej chciała usłyszeć, ale złośliwość jej siostry trafiła w najgłębsze pokłady jej uczuć i dokonała tam spustoszenia.

- Mylisz się - powiedziała, choć teraz już z mniejszą siłą. Po słowach Leslie'ego jad Jane częściowo utracił moc. -To ci zniszczy karierę.

Płakała jak skrzywdzona dziewczynka, którą zresztą stawiała się zawsze, kiedy miała do czynienia ze starszą siostrą.

- Przeciwnie, to utrata ciebie może zniszczyć moją karierę, bo z rozpaczy zacznę pić na umór.

Uśmiechnęła się przez łzy. Ale Jane nastraszyła ją nie na żarty, wmawiając jej właśnie to, czego Coco najbardziej się obawiała i czego nie chciała usłyszeć.

- Jane jest potworem - oświadczył Leslie. - Nigdy więcej z nią nie rozmawiaj przez telefon. Powinna przeprosić nas oboje. Kocham cię. I tyle.

Chwilę później zaprowadził ją na górę i położył na łóżku, a sam usiadł obok niej. Minęła jeszcze godzina, zanim Coco się uspokoiła i mogła powtórzyć mu całą rozmowę. I Leslie się wściekł. Chciał zaraz sam zadzwonić do Jane i powiedzieć jej, co myśli o tych absurdalnych, złośliwych napaściach i podłym traktowaniu młodszej siostry. Ale po namyśle postanowił dać spokój. Nie było warto. To Coco potrzebowała teraz jego uwagi. Nic go nie obchodziło, co o nich myśli Jane.

I wreszcie, dzięki jego słowom i pocałunkom, Coco poweselała.

Uśmiechnął się do niej i delikatnie ją rozebrał, a ona patrzyła na niego bez słowa. Zbyt dobrze pamiętała, jak siostra nazwała ją łatwą dupą.

- Co robisz? - spytała cicho, kiedy pocałował ją w szyję i poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Pomyślałem, że mógłbym spróbować znowu zrobić tę okropną rzecz. Muszę się upewnić, że jeszcze potrafię. Trzeba bez przerwy ćwiczyć, jeśli się chce, żeby to jakoś wychodziło.

Coco się roześmiała. I kiedy kończył ją rozbierać, zapomniała o tym, co mówiła Jane. Leslie był największą miłością jej życia.

ROZDZIAŁ

JEDENASTY

Gdy wyjechała Chloe, ostatnie dwa tygodnie pobytu Leslie'ego w San Francisco minęły im w mgnieniu oka. Cieszyli się każdą chwilą i całe dni spędzali razem. Leslie miał w Los Angeles sporo roboty w związku z nowym filmem, ale chciał do ostatniej minuty być z Coco. Zamierzał wyjechać dopiero dziesięć dni przed początkiem zdjęć we Włoszech. Namawiał Coco, żeby przyjechała do niego do Los Angeles. Obiecała, że przyjedzie na dwa, trzy dni.

Przez wiele dni nie rozmawiała z Jane po tamtej gwałtownej napaści. Jane zadzwoniła już nazajutrz, ale Coco nie odebrała telefonu. Usłyszała już od niej dosyć przykrych słów i nie miała ochoty na powtórkę. Tego dnia przy śniadaniu Jane powtórzyła swoją rozmowę Elisabeth, która nie okazała zdziwienia, słysząc o romansie Coco z Leslie'm, ale wstrząsnęło nią zachowanie Jane.

- Dlaczego aż tak cię to rozzłościło? - spytała, nalewając kawę do filiżanek.

- To mój przyjaciel, nie jej - odparła Jane z grymasem niezadowolenia na ustach, niemal otwarcie przyznając, co ją gniewa: że została wykluczona z ich komitywy i straciła kontrolę nad sytuacją.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby nadal był twoim przyjacielem - zapewniła ją Liz - ale teraz jest jej kochankiem. To szczególna relacja i szczególnie rodzaj więzi. Leslie jest miłym facetem i ma poważne podejście do życia. Nie wierzę, że postępuje tak, jak myślisz. Na pewno nie zachowa się w stosunku do niej nieodpowiedzialnie. Jest na to za porządny.

- Jak dotąd podrywał ciągle nowe panienki - upierała się Jane.

- Każdy kiedyś podrywał panienki. - Liz patrzyła na swoją partnerkę z troską. Mogła sobie wyobrazić, co Jane wygadywała przez telefon i jak bardzo to zraniło Coco. - Czy tego najbardziej się boisz? Że Leslie nadużyje jej zaufania? Chcesz chronić przed nim swoją siostrę, czy po prostu nie życzysz sobie, żeby się zadawała z twoimi przyjaciółmi? Jeśli raczej to drugie, nie jesteś w porządku wobec niej. Wyrzuciła nam przysługę, a on wprowadził się tam z naszym przyzwoleniem. To, co się zdarzyło między nimi, jest ich sprawą, nie naszą.

- Zaliczy ją i puści kantem - powiedziała Jane, przeszywając ją gniewnym spojrzeniem.

- Nie zgadzam się z tobą - odparła Liz. - Nieładnie, że zakładasz taki obrót spraw. Oboje są dorośli, wiedzą co robią i czego chcą. Tak samo jak my.

- Dlaczego zawsze stajesz po stronie innych? Najpierw moja matka, teraz Coco. Zawsze, kiedy któraś z nich zrobi coś idiotycznego albo skandalicznego, może liczyć na twoją lojalność - powiedziała Jane z rozdrażnieniem.

- Kocham cię, ale nie muszę we wszystkim się z tobą zgadzać. A w tym wypadku sędzę, że nie masz racji.

- Czego on od niej chce? Przecież ona jest tylko dziewczyną do psów, na miłość boską.

- Nie bądź taką snobką. Poza tym, ona jest czymś znac-

nie więcej, i dobrze o tym wiesz. Ale nawet gdyby była nikim, miał prawo się zakochać, prawda? Myślę, że to będzie dobry związek, jeśli tylko ona zniesie to wszystko, co wiąże się z jego karierą aktorską.

- Ona tego nie zniesie - powiedziała z przekonaniem Jane. - Ona nie ma dość charakteru do takiego życia. Uciekła z Los Angeles, rzuciła studia. Łatwo się poddaje.

- Nic podobnego - zaprzeczyła Liz stanowczo. - Ale cokolwiek postanowią, to będzie tylko ich sprawa.

- Porzuci ją jak zbędny balast, gdy tylko zaczną się zdjęcia do nowego filmu. Czyli mniej więcej za dwa tygodnie. Myślisz, że ile czasu będzie to jeszcze ciągnął? Od razu zacznie sypiać ze swoją partnerką filmową i zapomni o Coco, która prowadzi życie niebieskich ptaków z wybrzeża.

- A jeśli nie? Jeśli naprawdę ją kocha? - upierała się Elisabeth. Coś jej mówiło, że tak właśnie jest. Na tyle starannie chronili swoją tajemnicę, że świadczyło to o poważnych zamiarach. Miała nadzieję, że jej intuicja jest słuszna. Lubiła ich oboje. - Ona ma prawo na własną rękę dojść do tego, czym jest ich związek i ile dla niego znaczy. Jeśli on nie traktuje jej poważnie, ona dość szybko się o tym przekona.

- A wtedy wszyscy będą już mogli poczytać o tym w tabloidach. Lepiej, żeby oszczędzili sobie i nam całego tego zamieszania. Lubię Leslie'ego, ale nie chcę czytać w gazetach o tym, że przeleciał i porzucił moją siostrę.

- Moim zdaniem ona jest dla niego o wiele ważniejsza niż ci się wydaje. Poza tym Leslie liczy się z tobą. Bałby się źle obejść z twoją siostrą, bo potrafi sobie wyobrazić, co byś z nim wtedy zrobiła.

- Oboje mają nie po kolei w głowie, jeśli myślą, że z tego związku coś będzie. Wspomnisz moje słowa, nic z tego nie wyjdzie, nawet jeśli teraz wydaje im się, że to coś po-

ważnego. Napięcia, jakie wiążą się z jego zawodem, to dla Coco zbyt wiele. Ona złamie się jak scyzoryk.

- Myślę, że mogłabyś bardziej w nią wierzyć. Jakoś się nie złamała po śmierci Iana.

- Nie, tylko zamknęła się w czterech ścianach na całe dwa lata. Co zrobi, jak zaczną ją tropić fotoreporterzy z ta-bloidów? Na co jej to? Ona żyje w świecie fantazji, Liz, a on chyba też, jeśli mu się wydaje, że Coco może mu towarzyszyć w jego prawdziwym życiu. Prasa zrobi z niej pośmiewisko.

- Niekoniecznie. Jeśli będzie jej na nim zależało, da sobie radę.

- Ona zresztą nie zgodzi się wrócić do Los Angeles. A on przecież nie zamieszka z nią w budzie przy plaży. Świat leży u jego stóp, nawet nasz sukces nie może się z tym równać.

- Zobaczymy, co będzie dalej - powiedziała spokojnie Elisabeth. - Myślę, że te problemy nie są najważniejsze. A jeśli Coco postanowi się z nimi zmierzyć, powinna mieć w nas oparcie. Nic jej nie przyjdzie z twoich ataków.

- Wcale jej nie atakowałam - burknęła Jane, ale obie wiedziały, że to nieprawda. Prawdę Elisabeth mogła wyczytać z jej oczu. Na twarzy Jane wypisane było poczucie winy. - Po prostu powiedziałam jej, co o tym myślę.

- To ci się, niestety, ciągle zdarza. Nie wiesz, jak bardzo mogą ranić twoje słowa. Potrafisz być bardzo ostra.

- Już dobrze, w porządku. Zadzwońię do niej - obiecała Jane, gdy były gotowe do wyjścia ze swojego wynajętego nowojorskiego mieszkania. Praca nad filmem posuwała się sprawnie i sądziły, że będą mogły wrócić do domu wcześniej, niż początkowo planowały. Coco w końcu musiała pilnować domu przez cały czas ich nieobecności, ale jej także wyszło to na zdro-

wie. I teraz już było dla nich jasne, dlaczego nie protestowała. Ale kiedy Jane zadzwoniła do Coco tego przedpołudnia, Coco nie odebrała telefonu. Nie odebrała też później. Po dwóch dniach Jane zrozumiała, że Coco nie chce z nią rozmawiać. To było bardzo przykre. Przestała próbować i postanowiła w takim razie zadzwonić do Leslie'ego. Zawsze warto się dowiedzieć, co Leslie ma do powiedzenia na ten temat. Kiedy odbierał telefon, widział jej numer na wyświetlaczu. Jego głos był zimny jak lód.

- O co chodzi? - spytał krótko z brytyjskim akcentem, jeszcze wyraźniejszym niż zazwyczaj. Jane wyczytała z jego tonu, jak bardzo dokuczyła siostrze, i poczuła, że trzeba się bronić.

- Wiem od Coco, że romansowaliście przez całe lato - zaczęła lekko, pokazując, że nie traktuje poważnie tego, co uważała za wakacyjne szaleństwo, cokolwiek myśli o tym Liz.

- Tak bym tego nie nazwał. Zakochałem się w twojej siostrze - odparł bez ogródek. - Jest wyjątkową, niezwykłą kobietą. Zrobiła ci wielką uprzejmość, mieszkając tu przez trzy miesiące, a ja, dzięki waszej gościnności, stałem się beneficjentem tej sytuacji. Nie musiałaś rozmawiać z nią w taki sposób. Moim zdaniem, to niewybaczalne. Nie wiem, co cię ugryzło, Jane, ale radziłbym ci, żebyś trzymała język na wodzy. Jeśli kiedykolwiek zechcesz ją jeszcze w ten sposób traktować, to zapomnij, że byłem twoim przyjacielem. Unikam ludzi, którzy ranią innych dla zabawy. Co ty wyprawiasz? Myślisz, że to taki rodzaj sportu? Twoją partnerką jest jedna z najwspanialszych kobiet tego świata, a inna, równie wspaniała kobieta jest twoją siostrą. Spróbuj się od nich czegoś nauczyć.

Ugodził ją celnie. Jane poczuła się tak, jakby ją spo-liczkował. Dokładnie o to mu chodziło. Chciał, żeby Jane przestała się złościć nad Coco, opowiadając jej, że on ją puści kantem, zapomni o niej albo zdradzi, gdy tylko wyjedzie. Bo jeszcze nigdy nikogo nie kochał tak bardzo jak Coco.

- Nie będziesz mnie pouczał, jak mam rozmawiać z moją siostrą.

Wyłożyłam jej swoją opinię, i zdania nie zmieniałam. Nie bajeruj mnie, Leslie. Wskoczysz do łóżka swojej partnerki z planu, gdy tylko zaczną się zdjęcia. Za tydzień Coco będzie cię obchodziła tyle co zeszłoroczny śnieg, zapomnisz o niej w mgnieniu oka.

Znali się od lat.

- Dziękuję ci za te wyrazy zaufania - odparł z gniewną ironią. - Nie musisz być tak nieuprzejma wobec mnie i wobec Coco. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, oprócz tego, że powinnaś nauczyć się lepszych manier. Może dałoby się pożyczyć rozumu od Elisabeth, która ma go znacznie więcej. Jesteś podwójną mistrzynią, Jane. Umiesz robić filmy i obrażać ludzi. Za to pierwsze bardzo cię szanuję. Ale z powodu tego drugiego wolę trzymać się od ciebie z daleka. Zostaw Coco w spokoju.

- Bo co? Nie podoba ci się, że powiedziałam jej parę słów prawdy? Nie byłbyś taki wściekły, gdybym nie trafiła w sedno. Popsułam ci zabawę.

- Tu nie było żadnej zabawy - odparł spokojnie. - Kocham twoją siostrę, to wszystko. A jeśli będę miał trochę szczęścia, uda mi się ją namówić, żeby wyjechała ze mną do Los Angeles.

- Nie licz na to. Ona ma fobię na punkcie Los Angeles. To jakiś rodzaj urazu dziecięcego. Wychowywała się wśród ludzi sukcesu. Ale właśnie za to nienawidziła nas wszystkich. I ciebie też może w końcu zniechęcić. Ona sobie

nie poradzi w Los Angeles. Zresztą znam ją dobrze. Nawet nie spróbuje.
- Wierzę w nią dużo bardziej niż ty - odparł chłodno, modląc się, żeby nie wyszło na to, że miała rację. Bo chyba mówiła szczerze.

- Ona cię rozczaruje, Leslie - powiedziała, teraz już spokojniej. Jane i Leslie byli równymi przeciwnikami. Nie mogłaby tego powiedzieć o siostrze. Coco jako przeciwnik po prostu się dla niej nie liczyła, wiedziały o tym obie. Była za miękka i za mało uszczypliwa. - Wszystkich nas rozczarowała. A teraz zaczęła układać sobie sprawy z tobą, ale nie doprowadzi tego do końca. Wymięknie w trakcie. Brakuje jej cech, które są niezbędne, żeby przetrwać, gdy się żyje tak, jak ty żyjesz. Dlatego nie została prawnikiem, tylko wyprowadza na spacerzy cudze psy. I dlatego mieszka tam, gdzie mieszka. Wśród podstarzałych hipisów, którzy odpadli od prawdziwego życia już czterdzieści lat temu i zadowolili się surfowaniem na falach. Ona pójdzie w ich ślady. Już poszła.

W głosie Jane było sporo gorczy.

- Czemu tak bardzo się tym przejmujesz, że wyprowadza psy i że nie skończyła studiów? - spytał, trafiając w dziesiątkę. Jane była tak uzależniona od sukcesu, od kariery i od pozycji społecznej, że po prostu nie mogła wybaczyć Coco jej wyboru. - Mnie to jakoś wcale nie przeszkadza. Podoba mi się, że miała odwagę wycofać się ze współzawodnictwa z ludźmi twojego pokroju. Nie jest taka twarda jak wy wszyscy. Ani taka bezwzględna, na szczęście. Jest spokojną, łagodną osobą, która szuka własnej drogi.

- Dziękuję ci za tę diagnozę. Wierz mi, znam ją lepiej niż ty. Kocham ją, ale, niestety, należy do gatunku nieudaczników. Życie przecieka jej między palcami.

- Myślę, że teraz to ja znam ją lepiej. Jest o wiele lepsza od nas obojga. Ona się nie sprzedaje. Robi to, w co wierzy. Jest wolna.

- Jeśli spodziewasz się, że Coco potrafi wytrzymać codzienną dawkę nerwówki, która jest twoim udziałem, to oszukujesz i ją, i siebie. Ona zapadnie się w sobie jak nieudany suflet, i to już za pierwszym razem, kiedy znajdzie się w obiektywie aparatu fotograficznego. Wiesz, co robi, kiedy zobaczy cię w ramionach jakiejś aktorki? Ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby do tego nie doszło - zapewnił ją, choć miał podobne obawy.

I Coco też je miała. Niełatwo być sławnym aktorem i niełatwo żyć ze sławnym aktorem. Coco dobrze o tym wiedziała.

- Życzę szczęścia - powiedziała Jane nie bez sarkazmu. Kiedy się rozłączyli, oboje byli wykończeni. Leslie nie mógł darować Jane sposobu, w jaki traktowała siostrę, i drażniło go wszystko, co o niej mówiła. Jej opinie były tak niehumanitarne, jej ataki tak bezlitosne. Jane nie miała współczucia dla nikogo. I była wściekła, kiedy się zorientowała, że Leslie broni przed nią Coco. Za kogo on się, u diabła, uważa? Wciąż jeszcze kipiała z gniewu, kiedy wieczorem opowiadała o tym Liz. Ale Liz się ucieszyła, że Leslie potrafi skutecznie stawić czoło Jane. Inaczej niż Coco, którą ostry język siostry ranił głęboko za każdym razem.

Leslie opowiedział Coco o telefonie Jane, kiedy po południu wyszli z Sallie i Jackiem na spacer po parku Krissy Field. Wysłuchiwała go i nic nie powiedziała, a on z lekka ocenzurował treść tej rozmowy, która mogłaby ją znowu zranić. Ale chciał, by wiedziała, że stanął w jej obronie. Uważał, że już najwyższy czas, żeby ktoś przywołał Jane do porządku.

- Nie musiałeś tego dla mnie robić - powiedziała cicho. - Potrafię bronić się sama.

Ale nie tak dobrze, jak ja to zrobiłem, pomyślał Leslie, wspominając, co powiedziała Jane. Mało kto wytrzyma tak nasilony ogień krytyki. Całe szczęście, że Jane wyprowadziła się z domu, zanim Coco weszła w okres dorastania, inaczej Jane z całą pewnością by ją zniszczyła.

- Nie uważam, że powinnaś sama się przed nią bronić. Nie po to istnieje rodzina, żeby ludzie mieli z kim się szarpać. Przynajmniej w założeniu.

- Ale oni wszyscy byli tacy - powiedziała Coco, mając na myśli także rodziców. - Dlatego uciekłam, kiedy tylko miałam dokąd.

- Rozumiem. Oburza mnie to, co mówi ci Jane. Nie lubię jej sposobu myślenia. Nie mogę spokojnie słuchać, kiedy sugeruje, że traktuję cię jak zabawkę, że to przelotny romans. Jesteś dziewczyną moich marzeń - powiedział i pochylił się, żeby ją pocałować. Przystanąwszy na środku alejki, całowali się bez końca, a spacerowicze i biegacze wymijali ich z uśmiechem, widząc sympatyczną i ładną parę w uścisku. Nikt nie rozpoznał sławnego aktora z twarzą ukrytą we włosach młodej kobiety. Wieczorem zadzwoniła do nich Elisabeth i przeproszała za zachowanie Jane. Tłumaczyła ją stresem, związanym z codzienną wyczerpującą pracą na planie zdjęciowym. W dodatku ciąża była dla niej zupełnie nowym wyzwaniem. Zdaniem Liz Jane żałowała, że była dla nich obojga taka nieprzyjemna. Leslie zapewnił ją, że związek z Coco traktuje bardzo poważnie, a ona życzyła im wszystkiego najlepszego.

Został już tylko jeden problem do rozstrzygnięcia w ciągu tych paru ostatnich dni, które mieli spędzić razem w San Francisco. W przeddzień wyjazdu Leslie zabrał Coco

na kolację do restauracji. Zarezerwował stolik w spokojnym kącie na nazwisko Coco.

Oboje byli przygnębieni. Spędzili ze sobą cudowne trzy i pół miesiąca i oboje wiedzieli, że ten czas już nie wróci. Teraz w ich związek wtargnie prawdziwe życie, i to na całego. Coco była tym przerażona, ale i on się trochę bał. Nie wiedział, jak ona to zniesie. Rozłaka, która miała potrwać około dwóch miesięcy, także zapowiadała się jako ciężkie doświadczenie dla obojga. Obawiał się tej rozłaki nie mniej niż ona i wydawało mu się okropne, że już za dziesięć dni znajdzie się tak strasznie daleko - w *Wenecji*.

- To kiedy przylecisz do Los Angeles? - spytał po raz trzydziesty.

- Umówiłam się z Erin, zriajomą Jane, że zastąpi mnie przez trzy dni pod koniec tego tygodnia. - To go podniosło na duchu, bo Jane go nastraszyła i bał się, że Coco w ogóle nie przyjedzie. - Będzie też wyprowadzała Jacka i Sallie. Ale Jane nie chce, żeby Erin u niej zamieszkała.

- Postaram się mieć jak najwięcej wolnego czasu, ale może się zdarzyć, że będę musiał być w studio przez jakiś czas. Możesz być tam ze mną. - Nie chciałby się z nią rozstawać ani na chwilę i miał nadzieję, że producent z reżyserem nie będą go potrzebowali nieustannie pod koniec tygodnia.

Zamierzał większość spraw załatwić przed jej przyjazdem. - Zobaczysz, jak to wygląda. To nic strasznego. Będę na ciebie czekał w hotelu.

Mieli znowu mieszkać w hotelu Bel-Air, gdzie spędzili noc, kiedy poprzednim razem była z nim w Los Angeles.

- Jeśli będziesz zajęty, pójde odwiedzić matkę. Chyba że nie będzie miała dla mnie czasu z powodu nowej książki. - Coco wiedziała, że kiedy matka pisze, nie ma czasu dla nikogo. - Zadzwońię do niej, kiedy już będziesz znał swój

rozkład zajęć. Bo to dla ciebie się tam wybieram, nie dla niej - dodała z uśmiechem, a Leslie znowu poczuł, że robi mu się ciepło koło serca. Ich ostatnia wspólna noc była pełna czułości. Kochali się wiele razy, a Coco nie mogła zasnąć aż do świtu i przez okno patrzyła na wschód słońca, gdy Leslie spał przytulony do niej. Teraz nie umiała sobie wyobrazić, że zostanie w tym domu bez niego. Czekał ją bezmiar samotności. I nawet jej domek w Bolinas nigdy już nie będzie taki sam. Teraz Leslie stał się częścią tego wszystkiego, przenikał jak osnowa wszystkie wątki jej życia. Ale wiedziała też, że jego życie jest znacznie barwniejsze. Miał własne sprawy. Czas, który spędzili razem w domu Jane był jak drogocenny prezent. Za to była swojej siostrze wdzięczna, nawet jeśli nie miała do końca pewności, czy znaczy dla niego tyle, ile on dla niej, i nie wiedziała, jak się to wszystko skończy. Jane przysłała jej esemesa z przeprosinami za zbyt ostre słowa. Odpisała, dziękując za dobrą wolę. Ale od tamtej pory nie rozmawiały już przez telefon. Rozmowa Leslie'ego z Jane dała to, na co liczył - Jane zostawiła Coco w spokoju. Tak było dla wszystkich łatwiej. Nie przywiązywał wagi do tego, co myśli Jane, chodziło mu tylko o to, co mówi do Coco. I nie życzył sobie, żeby kiedykolwiek znowu ją niepokoila. Elisabeth powiedziała, że na razie Jane da im spokój. Była zajęta, kończyła kręcić film. Wieczorem w przeddzień wyjazdu Coco pomogła Leslie'emu się spakować. Zamówiona taksówka przyjechała o wiele za wcześnie. Tego dnia miał w planie kilka spotkań w wytwórni filmowej. Został z nią do ostatniej minuty. Jego samolot odlatywał o dziesiątej rano. Powinien wyjść z domu o wpół do ósmej. Zatrzymał się w drzwiach, żeby ją pocałować na pożegnanie.

- Uważaj na siebie - powiedział z uśmiechem. - Zoba-

czymy się niedługo. Zadzwońię dziś do ciebie w przerwie między spotkaniami. A pod koniec tygodnia zobaczymy się w Los Angeles. Mówił tak, żeby pocieszyć i ją, i siebie. Trudno mu było się z nią rozstawać.

- Kocham cię, Leslie - powiedziała z prostotą, nagle uświadamiając sobie, że od tej chwili on nie należy już tylko do niej. Wracał do swojego świata, w którym i inni mieli do niego jakieś prawa. Producenci, reżyserzy, wytwórnie filmowe, wielbicielki, agenci, przyjaciele. Czy jej się to podobało, czy nie, musiała dzielić się nim z innymi.

- Ja też cię kocham - powiedział i pocałował ją jeszcze raz, a potem szybko podbiegł do taksówki. Nie mógł się spóźnić na lotnisko. Producent proponował, że przyśle po niego prywatny samolot, ale' to nie było konieczne, więc odpowiedział, że przyleci samolotem rejsowym, jak każdy śmiertelnik. Kiedy nie było z nim Coco, nie musiał aż tak się chronić przed wścibskimi spojrzeniami.

Machała za oddalającą się taksówką, a on opuścił szybę i posłał jej dłonią kilka pocałunków, kiedy auto skręcało w stronę Divisadero. I straciła go z oczu.

Wróciła do domu. Chciało jej się płakać. Weszła po schodach do sypialni, do której już niedługo wrócą Elisabeth i Jane, i położyła się. Teraz, bez Leslie'ego, nic już nie będzie takie jak przedtem. Wreszcie wstała.

Włożyła džinsy i sweter. Musiała jechać do pracy. Ale nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o nim. Czowała się tak, jakby ktoś wyciął jej pół serca.

Zadzwoił do niej z lotniska, kiedy biegła z największymi psami. Ona była zdyszana, a on za chwilę miał wsiąść do samolotu.

- Nie zapominaj, że cię kocham - powiedział.

- Ja też cię kocham.

Uśmiechnęła się. Rozmawiali przez chwilę, kiedy zajął miejsce w pierwszej klasie, póki stewardessa nie przypomniała mu, że musi wyłączyć telefon.

Coco robiła to samo, co zawsze. Ale teraz, bez niego, wszystko straciło sens. Nie potrafiła zrozumieć, jak mogło jej to wystarczać jeszcze cztery miesiące temu. Teraz już nie wystarczało.

Wyprowadziła wszystkie psy według stałego grafiku i o czwartej pojechała do śródmieścia. Musiała przejść się po sklepach. Jeśli ma spotkać się z nim w Los Angeles, powinna jakoś wyglądać. Od lat nie nosiła takich ubrań, jakich teraz potrzebowała. Została w śródmieściu aż do pory zamykania sklepów i wróciła z mnóstwem paczek w furgonetce. Kupiła nawet dwie walizki, żeby mieć w co się zapakować. Chciała, żeby mógł być z niej dumny, kiedy spotkają się w Los Angeles.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Samolot wystartował z lotniska w San Francisco o dziesiątej rano. O jedenastej Coco wylądowała w Los Angeles. W południe była umówiona z Leslieem w hotelu Bel-Air. Powiedział, że wyśle po nią na lotnisko samochód z kierowcą. Miał nadzieję spędzić z nią dwie godziny w porze obiadowej między spotkaniami. Potem musiał wracać do swoich zajęć. Postanowili, że wieczorem zostaną w hotelu. Ale nazajutrz Leslie musiał wziąć udział w kolacji, na którą producent zaprosił całą obsadę filmu. Przyjęcie miało się odbyć u niego w domu. Leslie zamierzał pójść tam razem z Coco. Tak oto mieli się po raz pierwszy pokazać razem, a obsada filmu była pełna gwiazd pierwszej wielkości, z których największą był Leslie. Dla Coco był to publiczny debiut. Na tę okazję kupiła czarną koktajlową sukienkę i wspaniałe pantofle na niebotycznie wysokich obcasach.

Samochód z kierowcą czekał na nią przed lotniskiem, tak jak zapowiedział Leslie. Kierowca włożył do bagażnika walizki i popędzili do Bel-Air. Starła się nie myśleć zbyt wiele o tym, co ją czeka jutro. Wołała po prostu cieszyć się spotkaniem z Leslieem. Choć trochę się obawiała, że w Los Angeles Leslie będzie inny niż dotąd. A jeśli w ciągu tych

kilku dni wszystko się zmieniło? Jeśli Jane miała rację? Tego bała się najbardziej.

Tym razem mieli w hotelu Bel-Air jeszcze większy apartament niż poprzednio. Hotel był cichy, spokojny, a pokój wspaniały. Kiedy wniesiono jej bagaże, zaczęła się rozglądać. Wtedy otworzyły się drzwi i wszedł Leslie, rozpromieniony na jej widok. Bał się do ostatniej chwili, że odwoła swój przylot. Porwał ją w ramiona i uściskał z taką siłą, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Byli jak dwoje dzieci, które zgubiły się wśród zamętu i na powrót odnalazły. Ostatnie cztery dni były dla obojga pełne cierpienia.

- Nie wierzyłem, że cię jeszcze zobaczę! - powiedział, nie wypuszczając jej z objęć, a potem odsunął się, żeby na nią spojrzeć. Wydawała się wyższa. Nosila džinsy i lekki biały sweterek, który podkreślał jej świetną figurę, a na wierzch zamszową kurteczkę. I pantofle na seksownym wysokim obcasie. Miała rozpuszczone włosy, a w uszach małe kolczyki z diamentkami. Nigdy nie widział jej tak świetnie ubranej. Był pod wrażeniem doskonałego stylu. W San Francisco oboje ubierali się swobodnie, nawet kiedy wychodzili wieczorem do restauracji. Więc to była dla niego zupełna niespodzianka.

- Ho, ho! - zawołał. - Ale z ciebie seksbomba!

- Czuję się jak Kopciuszek na balu. Moja karoca może zamienić się w dynię w każdej chwili.

- Jeśli mi znikniesz, to ze szklanym bucikiem w ręce przeschukam całe królestwo. - Jej buty od Louboutina warte były każdej ceny. Jako znawca stylu, od razu rozpoznał je po czerwonych podszwach, które były znakiem firmowym projektanta. - Nawiasem mówiąc, podobają mi się te, które masz na nogach.

Zachwycił się nią i chwalił bez końca. Ale i on prezentował się wspaniale. Nosił jedną ze swoich pięknych koszul,

szytych w Anglii na zamówienie, dzinsy i mokasyny z krokodylowej skóry. Kaszmirowy sweter zarzucił na ramiona. Był u fryzjera, który go ostrzygł i zastosował specjalny szampon, który zamaskował pierwszą siwiznę na skroniach. Włosy miał jeszcze ciemniejsze niż przedtem. Wyglądał po prostu jak Leslie Baxter, którego widziała na ekranie sto razy. Ale z jego oczu wyczytała, że należy do niej. I niczego więcej nie chciała od losu.

Pochwaliła apartament, który wynajął, lecz on powiedział, że dostali go dzięki uprzejmości producenta filmu.

- Proponował też, żebyśmy spędzili weekend w jego domu w Malibu. Będziemy tam sami. Dom stoi w Colony, więc nikt nie będzie nam się naprzykrzał.

Pomyślał o wszystkim, co mogłoby sprawić jej przyjemność i ochronić przed ludzkim wścibstwem. Napełnił kieliszki szampanem.

- Za naszą przyszłość - powiedział, uszczęśliwiony, i pocałował ją.

Wrzuciła do swojego kieliszka ogromną truskawkę, drugą do kieliszka Leslie'ego. Po dziesięciu minutach byli już w łóżku. Wydawało jej się, że ich rozłąka trwała wieki. Oboje chcieli sobie wynagrodzić stracony czas. Nawet nie pomyśleli o obiedzie. Potem Leslie musiał się nagle zerwać i popędzić do studia na następne spotkanie, poświęcone proponowanym przez niego zmianom w scenariuszu. Kiedy wyszedł, Coco wzięła kąpiel. Zapowiedział, że wróci o szóstej.

Po południu zadzwoniła do matki. Sekretarka powiedziała jej, że Florence jest zajęta, pisze nową książkę. Coco nie wspomniała więc, że jest w Los Angeles i spędziła popołudnie na spacerze w parku, a potem na czytaniu książki, którą przywiozła ze sobą. Pogoda była jeszcze letnia. Leslie przyszedł o siódmej, spóźniony o godzinę. Zostali w hotelu i zamówili kolację do pokoju. Oglądali telewizję

i rozmawiali o jego dzisiejszych spotkaniach. Podobała mu się obsada, lubił też producenta i dość dobrze znał się z reżyserem. Reżyser miał trudny charakter, ale zazwyczaj robił wspaniałe filmy. Pracowali już razem w przeszłości. Na serio praca zaczęła się dopiero w Wenecji. Skarżył się trochę na jedną ze swoich filmowych partnerek i wspominał, że Madison Albright, grająca główną rolę kobiecą, znana jako Coco jako megagwiazda, jest bardzo ładną dziewczyną.

- Czy powinnam się zaniepokoić? - spytała. Leżał z głową na jej kolanach na kanapie w dużym salonie należącym do ich apartamentu. Głaskała go po włosach, a on patrzył na nią jak senny kot, prawie mrucząc z ukontentowania. Przez ostatnie cztery dni tęsknił za nią jak szaleniec.

- Nie powinnaś się niepokoić o nikogo i o nic - zapewnił ją. - To ja powinienem być zaniepokojony, odkąd cię zobaczyłem po twoim przyjeździe. Bo jesteś za piękna.

Powiesiła swoje nowe rzeczy w hotelowej szafie, a koktajlową sukienkę oddała do prasowania, by prezentowała się nieskazitelnie na jutrzejszym przyjęciu u producenta filmu. Leslie nie powiedział jej jeszcze, że na tym przyjęciu będą przedstawiciele prasy. Nie chciał jej przerazić. Ale przecież nie było się czego obawiać. Prasa nic jeszcze o niej nie mogła wiedzieć, oprócz tego, że mu towarzyszy. Dopiero kiedy zobaczą ją przy nim kilka razy, zaczną podejrzewać, że to jego nowa życiowa partnerka. Ze wdał się w kolejny romans. Jego narwana eksnarzeczona miała już kolejnego faceta, a tamta historia była z poprzedniego sezonu i nikogo już nie obchodziła. Jego krótkotrwały związek z aktorką był typowym hollywoodzkim romanssem, jednym z wielu, które wynikają nagle i równie szybko się rozwiewają. Chociaż skończył się bardziej burzliwie, niż to zwykle bywa, przynajmniej udało się powstrzymać prasę od nakręcania skandalu, i to pomimo rozpuszczania przez

aktorę plotek, że Leslie jest gejem. Teraz już nikt o tym nie pamiętał. Położyli się wcześniej, bo Leslie miał jakieś spotkanie nazajutrz zaraz po śniadaniu. Zanim zasnęli, zadzwoniła Chloe. Siedziała w domu z opiekunką. Powiedziała, że mamy nie ma. Tego dnia zaczęła się szkoła, więc musiała o tym opowiedzieć ojcu. Była w pierwszej klasie. Od razu poznała wielu nowych przyjaciół. Poinformowała Coco, że różowy miś nazwany jej imieniem sprawuje się dobrze. Coco znowu poczuła przez chwilę smak ich letniej idylli.

Oboje zasnęli w wygodnym łóżku twardo jak zmęczone dzieci.

Recepcjonista obudził ich nazajutrz o siódmej rano. Leslie musiał być w studiu nie później niż o ósmej. Czekał go długi dzień pracy. Powiedział jej z żalem, że nie spotkają się w porze obiadu, bo będzie zajęty do szóstej albo siódmej wieczorem. Przyjęcie miało rozpocząć się o ósmej. Zdąży jeszcze wpaść na chwilę do hotelu żeby się przebrać. Chciał, żeby była już wtedy gotowa. Zamierzała spędzić popołudnie u fryzjera.

- Dasz sobie radę z dzisiejszym dniem? - spytał kiedy kończyli śniadanie, trochę zmartwiony.

Pił kawę, bo chciał szybko oprzytomnieć. Coco jak zawsze piła herbatę.

- Oczywiście - uśmiechnęła się. - Przespaceruję się po sklepach i pójdę do muzeum.

Kiedyś mieszkała w tym mieście, więc znała je doskonale. Zostały tu nawet jej dawne szkolne koleżanki i mogłaby się z nimi spotkać, ale nie miała na to zbyt wielkiej ochoty. Teraz bywała w Los Angeles tak rzadko, że z wieloma straciła kontakt. A jej życie było zupełnie inne niż tych dziewczyn. Niektóre z nich powychodziły za mąż i wychowywały dzieci w Beverly Hills, inne same prowadziły jakieś firmy związane z przemysłem rozrywkowym, kilka zostało

aktorkami albo producentkami. Ona była jedną z nielicznych, które się wyłamały. A te na ogół pouciekały z miasta.

Wychodząc, Leslie pocałował ją na pożegnanie i powiedział, że wynajął dla niej samochód z kierowcą. Wzięła prysznic, ubrała się i wyszła z hotelu około dziesiątej. Nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt jeszcze nie wiązał jej z osobą Leslie'ego. Jako postać na razie anonimowa, wchodziła do sklepów przy Melrose, zjadła lunch u Freda Segala i poszła do County Museum of Art.

O czwartej poszła do hotelowego fryzjera i już o szóstej wróciła do pokoju. Miała dość czasu, żeby wziąć kąpiel, zrobić makijaż i się przebrać. Leslie przyszedł punktualnie o siódmej. Wyglądał na wykończonego. Przyniósł egzemplarz scenariusza z pozaginanymi rogami i marginesami pełnymi adnotacji dotyczących proponowanych przez niego zmian. Musiał nauczyć się długiego i niezbyt prostego tekstu. - Co dziś robiłaś? - spytał, całując ją. Był rozemocjonowany tym, że może ją zobaczyć po pracy. To było tak, jakby przyszedł do oazy spokoju, do rajku, i znalazł azyl po napięciach, jakie towarzyszyły jego pracy. Cieszył się jej obecnością i chciał, żeby na zawsze już pozostała w jego życiu. To było właśnie to, na co miał nadzieję, kiedy rozmawiali o przyszłości, i o czym nawet nie śmiał marzyć.

- Dobrze się bawiłam - odparła Coco, która była wypoczęta i zadowolona. Przyglądał jej się z zachwytem. Miała na sobie czarny koronkowy stanik, pasek do pończoch, te same co wczoraj kolczyki z diamentami i pantofle na obcasach. Włosy były rozpuszczone, długie i gładkie.

Sukienkę zamierzała włożyć w ostatniej chwili, żeby jej nie pognieść.

- Fajna kreacja - zażartował, podziwiając jej długie zgrabne nogi i doskonałą figurę. Pomyślał, że wygląda cudownie. U fryzjera zamówiła również manicure i pedicure.

Choć nie włożyła jeszcze nawet sukienki, już wyglądała elegancko i efektownie. Psia opiekunka, w której zakochał się w San Francisco, przeobraziła się w pięknego łabędzia. Podobała mu się w wersji oryginalnej, ale musiał przyznać, że w tej bardziej wyrafinowanej także. W pośpiechu poszedł pod prysznic. Ogolił się i po paru minutach wynurzył się z łazienki z wilgotnymi włosami, zapinając nieskazitelnie białą koszulę. Włożył czarne spodnie, czarną kaszmirową marynarkę i czarne buty z krokodyłowej skóry, a ona swoją czarną koktajlową sukienkę. Przy całej swojej prostocie sukienka wyglądała niezwykle seksownie, dekolt był w miarę głęboki, ale bez przesady. Coco wyglądała w niej tak pięknie, że aż zaparło mu dech. Stali przez chwilę, patrząc jedno na drugie z zachwytem. Po raz pierwszy mieli razem pojawić się w świecie Leslie'ego.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział, nieco oszołomiony, gdy już wychodzili. Coco miała ze sobą małą czarną satynową torebkę. Wszystkie rzeczy, jakie kupiła, były najwyższej klasy. Dodatki uwydatniały jej urodę i klasę. Wzięła Leslie'ego pod ramię i wyszli na podjazd, gdzie czekał już na nich samochód z kierowcą. Jakiś fotograf pstryknął im zdjęcie. Coco była tym przez chwilę zaskoczona, ale gdy wsiadła do samochodu, szybko przyszła do siebie. Nie skomentowała tego zdarzenia ani słowem, a Leslie delikatnie poklepał ją po grzbiecie dłoni, po czym rozmawiali już o czym innym przez całą drogę do domu producenta, zresztą niedaleko od ich hotelu, w tej samej dzielnicy.

Przyjęcie było bardziej wystawne, niż się spodziewali. To dlatego, że w obsadzie filmu znalazło się tak wiele sławnych nazwisk. Przed domem nie czatowali paparazzi, co ucieszyło Leslie'ego, który szybko wciągnął Coco do środ-

ka. Po chwili stali już w wyłożonym marmurami holu z potężnymi schodami i kolekcją obrazów, które mogłyby równie dobrze wisieć w Luwrze. Były tam między innymi dwa Renoiry, Degas i Picasso. Kiedy weszli do salonu, ujrzeni tłum ludzi wśród przepięknych antyków i bezcennych dzieł sztuki. Producent przywitał ich przyjaźnie i pocałował Coco w policzek.

- Wiele o pani słyszałem - powiedział, uśmiechając się do niej. - Znałem pani ojca. Był moim agentem przez długie lata. Znam też pani matkę i siostrę. W pani żyłach płynie krew człowieka, który jest legendą Hollywoodu, moje dziecko.

Gdy to mówił, zbliżyła się do nich piękna kobieta i Coco od razu się domyśliła, kto to jest. Była to Madison Albright, odtwórczyni głównej roli kobiecej.

- Maddie, poznaj Coco - powiedział Leslie, bo gospodarz zniknął w tłumie nowo przybyłych gości.

- Przez cały tydzień nie przestawał o tobie mówić ani na chwilę - powiedziała Madison z uśmiechem.

Miała na sobie dzinsy, pantofle na wysokich obcasach i luźny top naszywany cekinami. Była niewiarygodnie zgrabna. Jej jasne włosy, długie i gęste, opadały na ramiona. Była w wieku Coco, ale ze swoimi wielkimi oczami i nieskazitelną cerą wyglądała na osiemnaście lat.

Rozmawiały ze sobą przez chwilę, a Coco robiła co mogła, by nie oszołomiły jej nazwiska osób, które jej raz po raz przedstawiano. Ludzi o wielkich nazwiskach spotykała już w dzieciństwie, w domu rodziców.

Ale od tamtej pory upłynęły lata. Była trochę zdenerwowana, choć nie pokazywała tego po sobie. Leslie nie odstępował jej nawet na krok i nigdy dłużej niż na chwilę nie cofał ręki, którą obejmował ją w talii. Chciał być dla niej oparciem. Wiedział dobrze, że nie jest to dla niej łatwa sytuacja.

Zanim podano do stołu, w tłumie pojawili się przedstawiciele prasy, jakby wyłonili się nagle spod ziemi, i zaczęli trzaskać zdjęcia największych gwiazd. Leslie znajdował się na pierwszym miejscu ich listy. Jeden z fotoreporterów popatrzył badawczo na Coco, podniósł brew, spojrzał Leslie'emu prosto w oczy i zadał pytanie, na które odpowiedź chciałyby poznać wszystkie wielbicielki:

- To ktoś nowy?

- Nie całkiem - zaśmiał się Leslie, nie puszczając talii Coco. Czuł, że drży, więc wziął ją za rękę. - Znamy się już dość długo. Od dawna byłem przyjacielem rodziny.

- Kto to jest? - spytała stojąca obok reporterka.

- Colette Barrington - odparła Coco, tym razem przedstawiając się pełnym imieniem.

- Czy pani jest jedną z córek Florence Flowers?

- Tak.

- Czytałam wszystkie jej książki. I bardzo lubię filmy pani siostry - powiedziała kobieta z podstępny uśmiechem. Coco знаła ten typ. - Czyją suknię pani nosi?

Chciała odpowiedzieć, że własną, ale wiedziała, że musi to rozegrać inaczej. Skoro już zgodziła się pójść z nim na to przyjęcie, musiała zachowywać się tak, żeby był z niej zadowolony. Była mu to winna.

- To Oscar de la Renta.

- Bardzo piękna - powiedziała dziennikarka i zapisała coś w notatniku, a potem zwróciła się do Leslie'ego, podczas gdy fotograf robił im zdjęcie. - Powiedz, Leslie... To jest na serio, czy co?

„Czy co” oznaczało tylko kolejną miłą buzię.

- Panna Barrington była tak miła, że zechciała przyjąć zaproszenie na dzisiejszy wieczór - powiedział Leslie i uśmiechnął się olśniewająco do obiektywu. - Nie widzę tu nic, co mogłoby rzucić jakikolwiek cień na jej reputację.

Reporterka roześmiała się i wydawała się na razie zadowolona z tej rozmowy.

- A kiedy wyjeżdżasz do Wenecji?

- W przyszłym tygodniu. - Umiał gładko odpowiadać na pytania i wiedział, jak się uchylić od tych, których sobie nie życzył.

- Jak się zapatrujesz na współpracę z Madison Albright?

- Ekscytująca sprawa. - Zrobił przesadnie rozmarzoną minę i reporterka znowu się roześmiała. - Zresztą wystarczy na nią spojrzeć. Te cekiny każdemu zawróciłyby w głowie. Mogą oślepić. - Ale zaraz spoważniał. - To wspaniała aktorka i czuję się zaszczycony, że będę grał u jej boku. Jestem pewien, że powstanie wspaniały film.

- Życzę sukcesów.

Reporterka ruszyła do następnej osoby. Podobne pytania zadawała każdemu, tak jak tuzin innych dziennikarzy, dopuszczonych tego wieczoru do sanktuarium prywatnego domu producenta. Byli starannie wybrani pod kątem spodziewanego pożytku, jaki mogą przynieść ich teksty. Leslie szepnął do Coco pod nosem, że to coś w rodzaju wystawy zwierząt domowych. Wśród gości uwijał się też tuzin fotografów, robiących zdjęcia każdemu, kto się nawinął. Wszyscy zaliczyli po parę ujęć Leslie'ego z Coco, a także Lesliego bez Coco i Coco samej. Troje zażyczyło sobie zdjęcia Leslie'ego z Madison. Wszyscy aktorzy bez oporów współpracowali z dziennikarzami, następnie dziennikarzy wyprowadzono i goście ruszyli do stołów ustawionych wokół basenu. Tam podano kolację. Na każdym stole stały orchidee. Basen także był ozdobiony setkami orchidei. Kiedy usiedli, Leslie popatrzył na nią badawczo.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Przed prasą wypadła znakomicie. Zaprezentowała doskonale wyważoną dawkę uprzejmości i ciepły uśmiech,

przy tym zero informacji na jakikolwiek osobisty temat, jeśli pominąć nazwisko projektanta sukienki. Jakaż to była ulga dla niego, zjawić się na takim przyjęciu z kobietą, która nie będzie rzucała mu się na szyję, wisiąca u jego ramienia ani całowała go na pokaz, jak większość aktorek, z którymi zdarzało mu się pokazywać na podobnych imprezach.

Udawały, że są z nim w bliższych stosunkach, niż były w rzeczywistości, w nadziei, że to pomoże im w karierze. Coco nie ciągnęła go przed obiektywy i nie afiszowała się z uczuciami, chociaż w jej przypadku przynajmniej nie byłyby udawane. Zachowywała się tak elegancko i powściągliwie, że nie sposób było się zorientować, czy przyszła z nim na przyjęcie dla towarzystwa, czy może chodzi o coś więcej. Za tę dyskrecję był jej bardzo wdzięczny. I kiedy ją obserwował, mógł bez trudu zauważyć, że ten rodzaj sytuacji nie jest dla niej całkiem nowy. Radziła sobie z tym bardzo dobrze, na pewno lepiej, niż jej się wydawało.

- Tak - uśmiechnęła się do niego. Gdyby nie prasa, byłby to uroczy wieczór, ale prasy nie da się uniknąć. Zastanawiała się, czy dziennikarze pojawią się znowu, ale nie śmiała o to spytać. Wolała nie wiedzieć, żeby nie przestraszyć się jeszcze bardziej, bo już i tak się bała.

- Byłaś olśniewająca - szepnął, po czym przedstawił ją ludziom, którzy siedzieli z nimi przy stole. Większość z nich była aktorami.

Spędzili udany wieczór. Wychodząc, podziękowali producentowi i jego żonie. Byli jednymi z pierwszych, którzy opuścili przyjęcie. Leslie miał dość i uważał, że zrobił wszystko, co do niego należało. Zresztą zauważył, że Coco też jest zmęczona.

Na zewnątrz czterech fotografów czyhało na gości wychodzących z przyjęcia. Skoczyli na równe nogi, widząc

Leslie'ego. Uśmiechnął się do nich, trzymając Coco za rękę, i pozwolił sobie zrobić zdjęcie.

- Jak się nazywa ta pani? - zawołał za nimi jeden z nich.

- Kopciuszek! - odparł Leslie. - Uważajcie, bo możecie zamienić się w myszy!

Szybko wsiedli do samochodu. Zatrzasnęli za sobą drzwi i odjechali.

Leslie wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi, po czym popatrzył na Coco.

- Jeśli to może cię pocieszyć, ja też nie znoszę takich imprez. To najczarniejsza robota. Zawsze się boję, że twarz mi odpadnie, jeśli uśmiechnę się o jeden raz za dużo.

- Byłeś fantastyczny - powiedziała z uśmiechem, dumna z niego.

- Ty też. Czy każda minuta doprowadzała cię do pasji? - spytał z niepokojem.

- Nie - przyznała. - Chociaż to dziwne, ale nawet dobrze się bawiłam.

Lecz rzeczywiście trzeba na wszystko uważać. Madison jest piękną kobietą - dodała, starając się nie okazać niepokoju, lecz nie umiała go ukryć. Pamiętała wszystko, co siostra powiedziała jej o partnerkach filmowych Leslie'ego. On także nie zapomniał.

- Moim zdaniem ty jesteś od niej o wiele piękniejsza. W tym stroju wyglądała nieco wulgarnie. A jej nowy biust jest o cztery rozmiary za duży. Przysięgam, jest dwa razy większy niż kiedy się z nią ostatnio widziałem. Jesteś i ładniejsza, i bardziej elegancka od niej. Byłem z ciebie bardzo, bardzo dumny - powiedział z przekonaniem. - Dziękuję ci, że to wytrzymałaś.

- Byłam tam z tobą, więc byłam szczęśliwa. - Nawet prasa nie przeszkadzała jej tak bardzo, jak się przedtem obawiała. - Jeśli nie czeka nas nic gorszego niż to, przyzwyczaję się.

Miał bardzo nieszczęśliwą minę, ale musiał powiedzieć jej prawdę.

- Bywa o wiele gorzej. Dziś wieczorem wszyscy ci ludzie z prasy zachowywali się najlepiej, jak potrafią. Tego, który by się wychylił, ochrona zaraz złapałaby za łeb i wywlokła za drzwi, albo jeszcze gorzej.

Uśmiechnął się do niej. Samochód zatrzymał się przed hotelem.

Pośpiesznie udali się do swojego apartamentu, obawiając się, że któryś z fotografów mógł jechać za nimi. Nikt ich nie niepokoił. Leslie często korzystał z ochrony, ale nie tego wieczoru. Dziś wszystko było pod kontrolą i odbywało się w sposób cywilizowany.

Leslie zdjął marynarkę i buty. Wyciągnął się na kanapie. Wtedy przypomniał sobie, że producent coś mu podał w przelocie, więc wyciągnął to z kieszeni, żeby jej pokazać.

- To klucze od jego domu w Malibu. Jest nasz przez cały weekend - powiedział z triumfem i rzucił klucze na stół. Był piątek. Zamierzał zawieźć ją tam nazajutrz, kiedy tylko wstaną. Choć miał nadzieję, że nie obudzą się zbyt wcześnie.

Coco zdjęła sukienkę i odwiesiła ją do szafy, a potem poszła do sypialni, gdzie Leslie już na nią czekał. To przyjęcie było jej sukcesem. I przetrwała. Wspaniale było być tam z nim. Wiedziała, jak bardzo jest z niej dumny. Ona też była dumna z niego. Po paru minutach leżeli już w łóżku. Choć wszystko wypadło jak najlepiej, było to dla niego szalenie wyczerpujące. Zresztą dla niej także. Oboje byli szczęśliwi, że mają to już za sobą. Teraz mogli wypoczywać przez cały weekend. Leslie był tak zmęczony, że zasnął przy zapalonym świetle. Delikatnie pocałowała go w kark. Nawet się nie poruszył. Świat już dla niego nie istniał.

Nazajutrz zamówili śniadanie do pokoju. Leslie uważnie przejrzał gazetę, po czym podał ją Coco bez komenta-

rza. Było w niej duże zdjęcie, zrobione, kiedy rozmawiali z Madison Albright. Nazwisko Coco pojawiło się w podpisie, lecz ani słowa więcej.

- Dobra robota - powiedział Leslie zadowolony.

Pół godziny później opuścili hotel i pojechali do Malibu. Dom producenta odnaleźli bez trudu. Lodówkę wypełniało po brzegi wszystko, na co tylko mogli mieć ochotę, a dom był bardzo piękny i stał niemal przy samej plaży. Coco po raz kolejny poczuła się jak Kopciuszek w pałacu. Życie z Lesliem było jak bajka.

- Ale to nie to samo, co Bolinas - powiedziała z uśmiechem.

Willa była ogromna, urządzona przez słynnego projektanta w bieli i bladym błękicie, a w pokoju gościnnym znajdowało się gigantyczne łóżko z baldachimem.

Był to cudowny weekend. Spacerowali po plaży, drzemali na wygodnych leżakach na tarasie, grali w karty, oglądali filmy i rozmawiali o tysiącu rzeczach. Oboje potrzebowali takiej przerwy. Leslie obiecał, że następny weekend spędzą razem w Bolinas. Do Wenecji zamierzał lecieć z San Francisco. Ten wariant był nieco bardziej skomplikowany, ale dzięki temu mógł być z Coco do ostatniej chwili.

- A może byś mnie odwiedziła, jak już tam będę? - spytał, kiedy po długim nadmorskim spacerze wylegiwali się leniwie na słońcu.

- To raczej nie będzie możliwe przed powrotem Jane i Liz. Nie wiem też, czy uda mi się zorganizować zastępstwo na dłużej. Ale spróbuję. Pewnie będziesz tam bardzo zapracowany.

Leslie poczuł się zawiedziony. Nie uśmiechało mu się usychać z tęsknoty za nią przez cały czas pobytu we Włoszech.

- Przecież po zdjęciach będę codziennie wracał do ho-

telu. A ty możesz się przypatrywać, jak pracujemy. Albo zwiedzać Wenecję. To urocze miasto.

Bardziej liczy się to, że ty jesteś uroczym facetem - pomyślała Coco.

- Zrobię, co w mojej mocy. Obiecuję. Liz powiedziała mi, że wracają do domu już za dwa tygodnie.

To znaczy tydzień po jego wyjeździe.

- Spytam, czy Erin zgodzi się mnie zastąpić.

Erin pracowała zamiast Coco także w tym tygodniu. Była zadowolona i z pracy, i z pieniędzy, więc umowa była wybawieniem dla nich obu. Coco przypuszczała, że Erin zgodziłaby się na częstsze zastępstwa. Miała teraz inną pracę, ale tylko na pół etatu, więc musiała dorabiać.

- Oszaleję, jeśli cię tam nie będzie - powiedział Leslie, smutniejąc. - Nie lubię się z tobą rozstawać.

Ona też nie lubiła się z nim rozstawać. Cierpiała męki przez całe cztery dni, kiedy została sama po jego wyjeździe do San Francisco. A to był dopiero początek. Leslie spędzał na planach filmowych mnóstwo czasu, było to w sumie wiele miesięcy w każdym roku.

- Ja też będę za tobą tęsknić. - Starła się za dużo o tym nie myśleć.

Przecież najbliższy weekend spędzą jeszcze razem w Bolinas.

Chciał zapytać, czy nie zmieniła zdania w sprawie przeprowadzki do Los Angeles, ale nie miał śmiałości. Pewnie było na to jeszcze za wcześnie.

Rzadko życie tu bywa tak łatwe, jak wczoraj na przyjęciu u producenta.

Tam można się było poczuć jak na dobrze zaaranżowanych występach tresowanych piesków i koników. Kiedy indziej będą zdani tylko na siebie, a ludzie z prasy pozwolą sobie na dużo więcej, by nasycić głód sensacji.

Wiedział, z jakim trudem znosiłaby to Coco. Nawet jemu nie zawsze było łatwo sobie z tym radzić. Ale to należało do jego obowiązków. Ona

nie musiała tego znosić, on nie miał wyboru. W najgorszych wypadkach zdarzały się sytuacje, z jakich żaden normalny człowiek nie wychodzi bez szwanku.

Do hotelu Bel-Air wrócili w niedzielę wieczorem. Przed wejściem czatował samotny fotograf, który zrobił im zdjęcie, kiedy wysiadali z samochodu. Coco zauważyła, że Leslie jest tym zirytowany, lecz mimo wszystko błysnął w stronę obiektywu olśniewającym uśmiechem.

Doświadczenie nauczyło go podstawowej zasady: kiedy już cię mają, przynajmniej staraj się dobrze wyglądać, żeby na zdjęciu nie mieć miny rzeźnika zaskoczonego przy robocie. Dlatego na zdjęciach w prasie Leslie zawsze był tak wesoło i beztrósco uśmiechnięty.

Szybko weszli do apartamentu, fotograf ich nie ścigał. Paparazzi nie mieli wstępu na teren hotelu Bel-Air. Przez chwilę siedzieli w pokoju za zaciągniętymi roletami, póki nie usłyszeli, że odjechał. Kochali się, potem się na chwilę zdrzemnęli, wreszcie Leslie z ociąganiem ją obudził. Spakowała się, wzięli razem prysznic, ubrali się. Coco musiała zdążyć na ostatni samolot do San Francisco. W poniedziałek Erin już nie mogła jej zastąpić.

Leslie zniósł do samochodu jej walizki i wręczył je kierowcy. Kiedy się odwrócił, żeby powiedzieć coś do Coco, nagle oślepiły ich flesze rozbłyskujące raz po raz w takt trzasku migawek. Coco przez chwilę w ogóle nic nie widziała. Poczowała, że ktoś ją popycha, a potem przeleciała w powietrzu kilka kroków i została wrzucona do samochodu, zanim się zorientowała, co się dzieje. Leslie wylądował na siedzeniu obok niej, krzycząc do kierowcy, żeby czym prędzej odjeżdżał. I ruszyli z piskiem opon. Jeszcze nie mogła złapać tchu, kiedy odwróciła się do Leslie'ego, który opadł na oparcie fotela.

- Co to było? - spytała zdumiona.

- Paparazzi. Cała zgraja. Moja droga, idzie o twoją reputację. Już nikt nie pomyśli, że zaprosiłem cię tylko na przyjęcie. Teraz zaczęła się zabawa na całego.

Był zrezygnowany i nie krył tego. Przechodził przez takie sytuacje wiele razy, ale dla niej było to pierwsze zderzenie z tym, co ją czekało w przyszłości.

- Nie zrobiłem ci krzywdy, kiedy cię popchnąłem? - spytał z troską.
Potrząsnęła głową.

- To wszystko stało się tak szybko, że nawet nie spostrzegłam, co mnie uderzyło. Nie wiedziałam, czy to ty mnie popchnąłeś, czy oni.

- Nie chciałem, żeby się na ciebie rzucili. Rozszarpaliby cię. Była ich tam prawie dziesiątka. Albo już wiedzieli, albo chcieli sprawdzić. Mają potwierdzenie i teraz nie odpuszczą tak łatwo. Dobrze, że wyjeżdżasz.

Na szczęście nie mieli pojęcia, gdzie jej szukać w San Francisco. Leslie był całkiem spokojny, a Coco usiłowała go naśladować i nie dać się wytrącić z równowagi. Ale nie było wątpliwości, ich sekret został odkryty. Właśnie powitano ją w świecie Leslie'ego. Miał rację, nie zawsze bywa tak miło jak przedwczoraj. Tym razem poszło o wiele ostrzej, mimo że Leslie dzięki wrodzonemu refleksowi i doświadczeniu niezwłocznie przedsięwziął odpowiednie środki, by ją chronić.

Na lotnisku odprowadził ją aż do bramki i pocałował. Nie spotkali fotografów. Tylko ludzi, którzy mu się przyglądali ciekawie,

rozpoznawali go i szeptali do siebie. Dopiero kiedy ją pożegnał, ktoś podszedł do niego i poprosił

o autograf. Pomachał jej jeszcze, a ona się uśmiechnęła. Potem zniknęła mu z oczu. Już teraz zaczęła za nim tęsknić.

i kiedy samotnie szła przez halę odlotów, czuła się tak, jakby jej kareta właśnie zamieniła się w dynię.

ROZDZIAŁ

TRZYNASTY

Ku absolutnemu zaskoczeniu Coco, matka zadzwoniła nazajutrz o ósmej rano, tuż przed jej wyjściem do pracy.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz?!

Coco nie miała pojęcia, o co chodzi Florence. Trochę zasnęła, bo wczoraj wróciła do domu późno, i teraz śpieszyła się do swoich psów.

- Właśnie jadę do pracy. Co się stało?

- Zdaje się, że ostatnio nie zajmowałaś się tylko pracą. W dzisiejszych gazetach jest pełno najróżniejszych plotek o tobie i Lesliem Baxterze.

Piszą, że spędziłaś z nim weekend w Bel-Air. Podobno jesteś jego ostatnią zdobyczą. Od kiedy to trwa?

- Od początku lata - odparła Coco z wahaniem. Nie zamierzała dyskutować z matką o swoim życiu ani wysłuchiwać kolejnych komentarzy w rodzaju tych, jakimi uraczyła ją Jane. Matka też miała raz i drugi ciężką przeprawę z Jane z powodu romansu z o wiele młodszym facetem, ale nic z tego nie zrozumiała. Nigdy nie zaakceptowała żadnego mężczyzny w życiu Coco. Gdyby tym razem zachowała się inaczej, byłby to wyłom w jej zwyczajach. Choć Coco za bardzo na to nie liczyła. Są sprawy, które nie zmieniają się nigdy.

- Nie sądzisz, że to nie jest człowiek na twoją miarę?
 - Jest zupełnie normalnym facetem, kiedy nie siedzi w Los Angeles.
 - Wszyscy oni są zupełnie normalni gdzie indziej, albo przynajmniej znaczna większość. Ale pamiętaj, Coco, to aktor filmowy, wielka gwiazda, a ty jesteś nikim. Prędzej czy później poszuka sobie kogoś we własnym środowisku. Być może jesteś dla niego wytchnieniem, łykiem świeżego powietrza, ale to nie potrwa długo - ostrzegła ją Florence, powtarzając w nieco bardziej cywilizowanej formie wszystko to, co Coco usłyszała od Jane.
 - Dziękuję ci za ten dowód wiary we mnie - powiedziała Coco oschle. - Ale teraz nie mogę z tobą dłużej rozmawiać. Spieszę się do pracy.
 - No, dobrze. Możesz z nim romansować, ale nie traktuj tego zbyt serio.
 - Czy właśnie tak traktujesz Gabriela? - spytała Coco.
 - Jasne że nie. Skąd ci to przyszło do głowy? Jesteśmy razem już od roku i bardzo się nawzajem szanujemy. To nie jest wakacyjna przygoda - odparła Florence z urazą.
 - No właśnie. I nasz związek też może nią nie być. Czas pokaże.
 - On złamie ci serce, kiedy cię porzuci dla jakiejś aktorki. Poza tym jest dla ciebie za stary.
- Coco postawiła oczy w śłup. Nie wierzyła własnym uszom.
- Nie do wiary, że słyszę to akurat od ciebie. Idę, mamó.
 - Bądź ostrożna. Ciesz się tym, ale nie spodziewaj się zbyt wiele.
- Rozłączyły się. Coco była jeszcze rozdrażniona, kiedy wsiadała do furgonetki. Dlaczego każdemu się wydaje, że Leslie zamierza ją wykorzystać i porzucić? Dlaczego sławny aktor nie może się po prostu zakochać, jak każdy nor-

malny człowiek, dlaczego nie może pragnąć czegoś więcej niż błyskawicznego romansu z filmową partnerką? Dlaczego każdy z góry zakładał, że ona nic dla niego nie znaczy? Że z tego nic nie będzie, bo ona nie jest jego warta? Przez cały dzień była przygnębiona z tego powodu. Do Leslie'ego mogła zadzwonić dopiero późnym popołudniem. Jego próby trwały cały dzień. Odezwał się sam około szóstej, wykończony.

- Cześć, kochanie. Co słychać? - zapytał. Opowiedziała mu o rozmowie z matką. Był też telefon

od Jane, ale go nie odebrała.

- To takie stereotypowe podejście - mówiła gniewnie. - Gwiazda kina i opiekunka do psów. Moja matka traktuje mnie tak, jakbym nadawała się tylko na łatwą dupę. I to na taką, o której od razu zapomnisz.

- Ale ty szanuj samą siebie - powiedział. - Moim zdaniem nadajesz się na dupę długofalową, bezterminową.

- Przestań! - prychnęła i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

- Nie daj się. W dzisiejszych gazetach było mnóstwo bzdur. Zrobili mi nawet świetne zdjęcie, kiedy złapałem cię za tyłek i wepchnąłem do samochodu. Tak, to zdjęcie najbardziej mi się podoba.

- I co piszą? - spytała markotnie Coco.

- Jedna z gazet pisze, że jesteś moją „ostatnią flamą”. Inna nazwała cię moją nową „tajemniczą narzeczoną”. To wszystko mieści się w normie. Nie zrobiliśmy nic strasznego, więc nie ma o czym pisać. Nie upiłaś się do nieprzytomności, ja też nie. Nie uprawialiśmy seksu w miejscu publicznym, chociaż pewnie moglibyśmy spróbować. Piszą po prostu, że z tobą romansuję. Inaczej mówiąc, jesteś moją najświeższą zdobyczą. Pokażemy się jeszcze parę razy, to się przyzwyczają i dadzą nam spokój. Teraz to jest naj-

świeższa plotka, więc wszyscy chcą wiedzieć, co robisz i gdzie mieszkasz. Ale nie mieszkasz w Los Angeles, a ja właśnie stąd wyjeżdżam. Więc nic się nie martw.

Ale co by było, gdyby tam mieszkała? I to z nim? Siedzieliby im na karku od rana do nocy, dzień w dzień. Właśnie dlatego nie chciała się przeprowadzić do Los Angeles.

- W ogóle się tym nie przejmuj - ciągnął Leslie. - Wiadomo było, że to się prędzej czy później musi wydarzyć. Teraz już się stało, jesteś na widoku. To coś w rodzaju utraty medialnego dziewictwa. Boli, ale tylko za pierwszym razem. Dopóki będziemy się zachowywać z godnością, nic nam nie mogą zrobić.

Pomyślała, że jest przesadnym optymistą, ale nie zamierzała się z nim sprzeczać. Wciąż jeszcze o tym myślała pod wieczór, kiedy matka znowu zadzwoniła. Coco zamierzała nie odbierać i już jej się to prawie udało, ale w końcu się złamała. Florence powiedziała jej, że była nagabywana przez dziennikarkę, dopytującą się, gdzie mieszka jej córka. Może to była ta sama osoba, która na przyjęciu zapytała, czy Coco jest córką Florence Flowers, ale niekoniecznie. W jednej z gazet pojawiła się taka informacja, Coco wiedziała o tym od Leslie'ego. Matka powiedziała jej za pośrednictwem swojej sekretarki, że Coco mieszka w Europie i przyjechała do Los Angeles tylko na parę dni.

- Bardzo przytomnie, mamó. Dziękuję.

Za to naprawdę była jej wdzięczna, niezależnie od tego, co matka myślała o jej związku z Lesliem.

- Trochę zmyliłam tropy, ale to pomoże tylko na chwilę. Kiedy się z nim znowu spotkasz?

Teraz Florence była zadowolona jej romanssem.

- W najbliższy weekend. Przyjedzie do Bolinas. W następny poniedziałek wylatuje do Europy. Będzie kręcił film w Wenecji. Spędzi tam miesiąc albo dwa.

- To będzie pewnie koniec tej historii. Będzie pracował ze swoimi partnerkami filmowymi tysiące kilometrów stąd. Hollywoodzkie romanse nie wytrzymują takiej próby. Twoja nieobecność sprawi, że jego serce stanie się podatne na urok osób, które znajdą się obok niego. Wtedy łatwo zapomina się o tych, którzy zostali w domu. To tak jak z marynarzami - w każdym porcie dziewczyna.

- Dziękuję ci za te pocieszające uwagi - powiedziała ponuro Coco. Tym razem matka jeszcze szerzej rozwinęła temat.

- Po prostu powinnaś trzymać się rzeczywistości. Skoro spotykasz się z kimś takim jak on, powinnaś wiedzieć, na czym stoisz.

Coco chciała spytać, czy matka trzyma się rzeczywistości, kiedy spotyka się ze swoim młodszym o ćwierć wieku przyjacielem, ale zrezygnowała. Miała dla Florence znacznie więcej szacunku niż Florence dla niej.

- Kto z nim gra w tym filmie? - zainteresowała się matka.

Coco wymieniła nazwiska, a wśród nich nazwisko Madison Albright.

- Najprawdopodobniej to będzie ona - orzekła Florence. - To efektowna dziewczyna. Żaden facet jej się nie oprze.

- No, pięknie, mamó - mruknęła Coco tonem pełnym przygnębienia.

Podziękowała matce za pomieszczenie szyków prasie i rozłączyła się.

Godzinami leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć i rozmyślając o tym, co usłyszała.

A rano była już w zupełnej panice w związku z filmową partnerką Leslie'ego. Była zbyt zakłopotana, żeby mu się z tego zwierzyć, ale bała się nie na żarty i w końcu miała zepsuty humor przez cały tydzień. Rozmawiając z nim przez telefon, ani razu

nie wspomniała o Madison Albright. I to było wszystko, na co mogła się zdobyć, żeby nie wybuchnąć płaczem, kiedy w piątek wieczorem pojawił się w domu Jane. Otworzył sobie kluczem, który zatrzymał, i zastał Coco w wannie, ze świeżo umyтыми włosami zawiniętymi w ręcznik. Spojrzał na nią, uśmiechnął się szeroko, rozebrał się i wszedł do wanny.

- Teraz to rozumiem. Tak powinien wyglądać powrót do domu - powiedział z widocznym zadowoleniem, po czym ją pocałował. I już po chwili kochali się w wannie. Mimo lęków, które prześladowały ją przez cały tydzień, noc była cudowna. Tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał do Los Angeles. Po prostu nic się między nimi nie zmieniło.

Nazajutrz rano razem z psami wyruszyli do Bolinas. Pogoda była wspaniała. Był to typowy wrześnieowy dzień, cieplejszy niż niejeden w środku lata. Noce też były ciepłe, co rzadko się zdarzało o tej porze roku. I nigdy jeszcze nie byli w sobie bardziej zakochani. Nic nie wskazywało na to, że Leslie wpadł w sidła Madison Albright. Ale przecież jeszcze nawet nie dotarł na plan w Wenecji. Mimo to Coco przestała się zamartwiać. Wszystkie jej wątpliwości się ulotniły, kiedy w jego ramionach leżała na tarasie pod rozgwieżdżonym niebem. Leslie kochał ją, tak jak ona go kochała. Powtarzał jej to bez przerwy i wierzyła mu. Nie było żadnego sygnału, że przestał ją kochać. Znowu błagał ją, żeby przyjechała do Wenecji i obiecała, że przyjedzie.

Przywiózł wycinki prasowe, w których była o nich mowa, zebrane z całego tygodnia. Obejrzelili wiele swoich fotografii. Nie było wątpliwości: dziennikarze zaczęli polowanie.

Rozmawiali o tym w niedzielę rano, po śniadaniu.

- I tak dowiedzieliby się prędzej czy później - zauważył Leslie z filozoficznym spokojem. - Każda nowa twarz to

dla nich wyzwanie. Nie mają przecież nic innego do roboty, jak tylko łowić plotki i pikantne historie.

- We mnie nie ma nic pikantnego - powiedziała Coco, jeszcze raz rzuciwszy okiem na zdjęcia wycięte z gazet, i sięgnęła po kubek z herbatą. - Poczekaj, zobaczysz co zrobią, kiedy się dowiedzą, że jestem opiekunką do psów. To im się na pewno spodoba.

Nie mogąc jej na razie dosięgnąć, rozwodzili się nad tym, kim jest jej matka, bo dzięki temu Coco stawiała się bardziej interesująca.

Powiedziała mu już wcześniej o dziennikarce, która dzwoniła do matki.

- Owszem, cała jesteś niesłychanie pikantna - zapewnił ją Leslie i pochyliwszy się ku niej, zaczął ją całować. - Co im powie Jane, jeśli do niej zadzwonią?

- Powie, że jestem zupełnym zerem i nic mi się nigdy nie udało, albo coś równie czarującego - powiedziała Coco ponuro.

- Jeśli to zrobi, zamorduję ją - oświadczył z mocą Leslie. - Wiesz co? Myślę, że Jane zżera zazdrość.

Zamyślił się, wpatrzony w ocean, a potem przeniósł wzrok na Coco.

- Po prostu dostaje szału, bo widzi, że jesteś piękna, że w życiu robisz to, co chcesz, no i zawsze będziesz od niej młodsza o jedenaście lat.

Obawiam się, że jest wystarczająco narcystyczna, by uznać to za kamień obrazy. Może była o ciebie zazdrosna od zawsze, już wtedy, kiedy byłaś małym dzieckiem. Po prostu nic o tym nie wiedziałaś. Moim zdaniem, to nie ma nic wspólnego z tym, że rzuciłaś studia prawnicze, ani nawet z twoją przeprowadzką do Bolinas. Te sprawy to są tylko preteksty.

Umilkł i po chwili odezwał się znowu.

- Więc w zasadzie widzę to tak: Jane ma hopla na twoim punkcie z powodu tego wszystkiego, co masz, a czego

jej brakuje, zaczynając od młodości. Jesteś łagodna, miła, współczująca. Ludzie cię uwielbiają. Jane ma pazury. Musiała je mieć, skoro zdołała osiągnąć to wszystko, czym się może poszczycić. Jedyne, co u Jane widzę miłego i ciepłego, to Elisabeth. Bez niej Jane byłaby nie do zniesienia. Wszyscy bardziej od niej lubią Elisabeth. I ciebie. To jej leży na wątrobie. A w dodatku była ukochaną jedynaczką rodziców i miała już jedenaście lat, kiedy ty się pojawiłaś w jej życiu. Zniszczyłaś wszystko, co w nim miała. Za bzdurami, które wygaduje Jane, za jej oskarżeniami, stoi dawna uraza. Nigdy ci tego nie wybaczyła. Dlatego miesza cię z błotem, kiedy tylko może i zawsze traktuje jak małe dziecko.

W tym, co mówił, tkwiło ziarno prawdy, i nawet Coco potrafiła to zauważyć. Rzuciła to pewne światło na nieprzyjazne zachowania siostry, które powtarzały się, odkąd pamiętała. Teoria Leslie'ego jakoś je wyjaśniała.

- Najgorsze jest to, że kiedy mam z nią do czynienia, to rzeczywiście zaczynam zachowywać się jak małe dziecko. W dzieciństwie bałam się jej śmiertelnie. Zawsze groziła mi, że naskarzy na mnie matce albo ojcu. Traktowała mnie jak swoją niewolnicę. Nadal to robi. - Coco westchnęła.
- Nie wiem, co ją we mnie tak rozjusza. Zawsze była ulubienicą mamy, ojciec uważał, że stać ją na wielkie rzeczy, zwłaszcza kiedy zaczęła robić filmy. Ale już wcześniej w nią wierzył. Był zachwycony, kiedy dostała się do szkoły filmowej na Uniwersytecie Kalifornijskim. Nie sądzę, żeby choć w połowie tak się entuzjasmował, kiedy poszłam do college'u w Princeton. Pewnie pomyślał, że to nudziarstwo. Zrehabilitowałam się trochę w jego oczach, kiedy wybrałam studia prawnicze w Stanfordzie. Nawet nie miałam na to ochoty. Zrobiłam tak tylko dlatego, że chciałam sprawić mu przyjemność. Potem nienawidziłam tych studiów

i cierpiałam dzień po dniu. Sama to sobie zafundowałam. Naprawdę chciałam studiować historię sztuki i pracować w muzeum. Uważał, że nie mam żadnych szans.

- Czemu teraz nie zapiszesz się na historię sztuki? - zapytał i oczy mu się zaświeciły. - Ostatnia pora, jeszcze parę lat i będziesz za stara - prowokował. Wiedział, że kocha psy, z którymi pracuje i wszystkie traktuje jak dzieci. Ale wiedział też o jej zainteresowaniu sztuką. Jej malutki domek był pełen albumów i książek o sztuce.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? Za późno teraz, żeby wracać do szkoły.

- Nie, wcale nie jest za późno. A jeśli to jest to, co chciałaś robić, to nad czym się jeszcze zastanawiać? Mogłabyś pójść na Uniwersytet Kalifornijski, jeśli przeniesiesz się razem ze mną do Los Angeles. A jeśli zostaniemy w San Francisco, to do Stanforda albo Berkley.

Robił co mógł, żeby ją zachęcić do przeprowadzki. Wygodniej mu było mieszkać w Los Angeles. Ale dla niej mógłby się w ostateczności przeprowadzić do San Francisco.

- Może - powiedziała w zamyśleniu. - Zawsze pociągała mnie konserwacja zabytków. W college'u zapisałam się na taki cykl zajęć. To było fascynujące.

Nigdy wcześniej z nikim o tym nie rozmawiała, łan nie był szczególnie zainteresowany sztuką, pasjonowały go tylko sporty - żeglarstwo, nurkowanie, lotnie - a ona była wtedy młodsza i to jej wystarczało. Ojciec uważał, że każde inne studia oprócz prawniczych to strata czasu.

- Czemu nie zaczniesz się tego uczyć? Potem się okaże, co z tego wyjdzie. Może nic. Ale zgadzam się z tobą, że to bardzo interesujące.

Była ulepiona z zupełnie innej gliny niż jej rodzice i siostra. Trudno było nie zauważyć, że w przeciwieństwie do

nich Leslie szanował jej odmienność. Dzięki niemu czuła się lepiej z tym, czym była. I jego pomysły na temat przyczyn, dla których Jane wciąż ją nękała swoją złością, trafiały jej do przekonania.

- Wenecja może być dla ciebie bardzo ciekawa, jeśli interesuje cię renowacja zabytków. Od lat ekipy konserwatorów robią, co mogą, żeby się nie rozleciała na kawałki. To miasto jest prawdziwym klejnotem. On już kiedyś tam był, ona nigdy. Była we Florencji i w Rzymie, była w Pompei i była nawet na Capri podczas pewnej wycieczki jachtem, ale nie była w Wenecji.

- Jeśli tam przyjadę, to nie po to, żeby oglądać zabytki. Przyjadę tam oglądać ciebie.

- Możesz mieć jedno i drugie. Ja będę przecież pracował przez całe dni. A ty możesz w tym czasie zwiedzać miasto. Mają tam tysiące kościołów, jeden piękniejszy od drugiego.

Był pełen entuzjazmu. Obiecała mu, że kiedy wrócą Liz i Jane, odwiedzi go w Wenecji. Nie zdecydowali, gdzie będą mieszkać, nie wiedzieli jeszcze nawet, czy będą mieszkać razem, ale krok po kroku zaczęli tworzyć wspólne plany, i Coco pomyślała, że reszta też się jakoś ułoży, jeśli będą tego chcieli. Gdyby miała wyjechać z San Francisco, będzie musiała zamknąć swoją firmę. Ojciec zostawił jej dość pieniędzy, by mogła żyć bez kłopotów finansowych, ale czułaby się nieswojo, gdyby nie zarabiała na siebie samodzielnie. A jej psia firma okazała się przedsięwzięciem bardziej lukratywnym niż można było oczekiwać, zarobki wystarczały na wszystkie jej potrzeby. Mogła nawet coś niecoś zaoszczędzić i zainwestować, co dawało jej pewne poczucie bezpieczeństwa na przyszłość. Nie chciała być od niego zależna finansowo. Matka i siostra zarabiały ogromne pieniądze, na swoich karierach zawodowych zrobiły

majątek. Coco nie sądziła, że kiedykolwiek im dorówna, ale przy znacznie skromniejszym życiu nie miała aż takich wydatków.

Tego popołudnia Leslie wielokrotnie wracał do sprawy jej przyjazdu do Wenecji. Wszystko, co mogła mu obiecać, to że przyjedzie za kilka tygodni. Jane i Liz nie podały jeszcze dokładnej daty powrotu, ale Coco dała już znać Erin, że będzie potrzebowała zastępstwa na dłuższy czas. Zamierzała spędzić u Leslie'ego we Włoszech tydzień albo dwa, choć on wciąż miał nadzieję, że namówi ją na dłuższy pobyt.

Wrócili do San Francisco po zmroku. Leslie prowadził, Coco patrzyła na skały i ocean. Lubiła ten widok. Myślała o tym, jakie to szczęście, że mogła zamieszkać na wybrzeżu. Nie czuła się jeszcze gotowa do przeprowadzki. Przez ostatnie trzy lata dobrze jej się tu żyło. Byłoby to wielkie poświęcenie z jej strony, gdyby musiała porzucić swoją cichą, bezpieczną przystań nad oceanem. Nikt jej tu nie niepokoił, nikt nie przeszkadzał. Nie musiała się chować przed prasą, kiedy spacerowała z nim po plaży. Panował całkowity i zupełny spokój. Wiedziała jednak, że bez niego będzie się tu teraz czuła bardzo samotna. Leslie stał się częścią jej życia. Ale jego świat był od jej świata oddalony o lata świetlne. Miała nadzieję, że kiedyś, w przyszłości, w przerwach między jego filmami będą mogli tu przyjeżdżać. Tego lata polubił wybrzeże. Ale był przyzwyczajony do życia w wielkim mieście, do życia, w którym wiele się działo. Rozumiała, że do pewnego stopnia będzie musiała przejąć jego zwyczaje. To było nieuniknione, bo jego zawód miał swoje wymagania. A ona, jak na razie, nie miała nawet zawodu. Miała tylko zajęcia. Spędzili wieczór na oglądaniu starego filmu, którego Coco nigdy nie widziała i który bardzo jej się podobał. Les-

lie miał rację, mówiąc, że to klasyka kina. Wiedział wszystko o historii kina, znał każdy film nakręcony w przeszłości. Nie był tylko przystojnym aktorem występującym w kasowych superprodukcjach, jego zainteresowania były głębsze i pełne prawdziwej pasji. Analizował filmy ważne i te nieznanne, wiedział, co w nich jest istotnego. Przyznał, że jako wyrostek chciał zostać Lawrence'em Oli vierem, ale wiedział, że to niemożliwe. Więc marzył o tym, że w swojej kategorii będzie równie dobrym aktorem jak on. Producenci najchętniej obsadzali go w filmach, w których jego urok osobisty mógł być najlepiej wykorzystany, ale on był naprawdę dobrym aktorem i czekał na poważniejsze role. Jego klasa była oczywista, mimo że zdarzało mu się grywać w mniej ambitnych filmach. Tak mówiła o nim Jane, która miała wiele szacunku dla jego dokonań. Lubił grać w komediach i miał niezbędną do tego smykałkę. Wnosił do scenariusza własne poczucie humoru. Publiczność uwielbiała te zabawne filmy. Niemniej, on zawsze tęsknił za poważniejszymi rolami. Ale jego kariera tak się potoczyła, że angażowano go do przedsięwzięć kasowych. Trudno było odrzucić gaże, które oferowali mu producenci, bo płacili ogromne pieniądze.

Tego wieczoru nie kładli się do późna. Jedli lody przy kuchennym stole, rozmawiając o jego roli w nowym filmie. Zamierzał wnieść do niej coś więcej, niż wyczytał w scenariuszu, i był ciekawy, jak Coco zapatruje się na jego pomysły. Niektóre z nich bardzo jej się podobały. Była poruszona, ile starannych przygotowań i prawdziwego zaangażowania wkładał w swoje role i ciekawa, czy wszyscy aktorzy tak postępują.

Leslie roześmiał się.

- Nie. Tylko co lepsi.

Przyznał, że niepokoi go perspektywa współpracy z Madison. Słyszał od innych, którzy spotkali się z nią na pla-

nie, że nigdy nie zna tekstu. To mu utrudni życie. Reżyser spierał się z nim już kilka razy o to, jak Leslie widzi postać, którą zagra. Nie zgadzali się co do motywacji, jakie kryją się za postępowaniem tej postaci, i jak dotąd scenarzysta stawał po stronie Leslie'ego, co się nie podobało reżyserowi, który był człowiekiem o nieco narcystycznej osobowości i oczekiwał, że to z nim wszyscy się będą zgadzać. Leslie obawiał się, że z tego powodu w Wenecji mogą go spotykać drobne nieprzyjemności. I bardzo potrzebował obecności Coco, w której znalazłby oparcie.

Była już druga nad ranem, kiedy położyli się do łóżka. Leslie musiał wstać o siódmej, żeby o ósmej wyjść z domu. Kochali się w pośpiechu zaraz po przebudzeniu, potem razem wzięli prysznic. Leslie szybko zjadł śniadanie. Całował się z nią gorączkowo przed samym wyjściem i obiecał, że zadzwoni, gdy tylko dotrze na miejsce, a ona życzyła mu szczęścia i sukcesów na planie. Kiedy odjechał, dom wydał jej się uderzająco cichy. Jeszcze cichszy i bardziej samotny był w porze obiadu, kiedy miała przerwę w pracy. Nie mogła znieść myśli, że Leslie jest tak daleko. Ale rozumiała, że jeśli mają być razem, musi do tego przywyknąć. Dużą część życia spędzał na planach zdjęciowych. Gdyby wszędzie z nim jeździła, nie mogłaby już mieć własnego życia i własnej kariery zawodowej. A przecież nie chciała całkowicie poświęcić swojej samodzielności i żyć w jego cieniu. Od miesięcy przekonywał ją, że tego od niej nie oczekuje. Chciał w niej mieć partnerkę życiową, nie fankę, nie służącą, nie niewolnicę. Traktował ją inaczej niż siostra, która uważała, że życiowym powołaniem Coco jest spełniać wszystkie jej najdrobniejsze życzenia, jakby Coco była mniej ważna od niej. I zdaniem Jane tak właśnie było. Coco pomyślała, że Leslie miał słuszność owego wieczoru, kiedy wyraził przypuszczenie, że jej narodziny odebrały Jane

część przywilejów i że nigdy nie wybaczyła tego młodszej siostrze. I może nigdy nie wybaczy.

W nocy dom był tragicznie pusty. Coco oglądała jeden ze starych filmów Leslie'ego, swój ulubiony, w nadziei, że poczuje się mniej samotna. Lecz zamiast tego zaczęła jeszcze bardziej tęsknić. Siedziała na łóżku Jane, wpatrzona w jego twarz na ekranie, i nagle uprzytomniła sobie, w kim się zakochała.

- O mój Boże - powiedziała na głos. Kochała do szaleństwa jednego z najbardziej rozrywanych aktorów świata. To prawda, że nie był Lawrence'em Olivierem, ale w oczach wielbicielek był nawet kimś znacznie wspanialszym. Rozbrzmiewały jej w uszach słowa Jane i nagle znowu zaczęła wątpić, czy on może ją traktować poważnie. Była niczym i nikiem, opiekunką do psów, żyjącą w małym domku w mieście zaludnionej przez podstarzałych hipisów. Może Jane miała rację. Owładnięta falą obaw, zapłakiwała się tego wieczoru i nie mogła zasnąć. Uspokoił ją dopiero telefon od Leslie'ego w środku nocy, kiedy wylądował w Wenecji. Wydawał się wykończony po długiej podróży z przesiadką w Paryżu, gdzie nie zdążył na swoje połączenie i musiał czekać na następne.

Coco zaczęła mu opowiadać, co przeżywała przez cały wieczór, o skrajnym przerażeniu, jakiego doznała, gdy zaczęła myśleć o tym, kim on jest, a kim jest ona.

- Wszystko to bzdury, nie zajmuj się tym - powiedział, kiedy jej wysłuchał. - Jesteś kobietą, którą kocham, postaraj się o tym pamiętać. Ale jedyne, co zaprzętało jej myśl, kiedy się rozłączyli, to pytania, które utkwiły w jej głowie, gdy oglądała jego film. Jak długo to potrwa? Czy Jane miała rację, kiedy twierdziła, że miejsce Coco wkrótce zajmie jakaś przystojna aktorka? Na myśl o tym Coco poczuła dreszcz.

ROZDZIAŁ

CZTERNASTY

Jane i Elisabeth wróciły tydzień po wyjeździe Leslie'ego do Wenecji. Coco pojechała do Bolinas już poprzedniego wieczoru, a w poniedziałek rano, jadąc do pracy, wpadła tylko na chwilę, żeby oddać klucze. Zostawiła im dom w jak najlepszym porządku, kuchnia była wyszorowana, pościel w sypialni zmieniona, w łazience wisiały świeże ręczniki. Wstawiła nawet kwiaty do wazonów. Liz zadzwoniła, żeby jej za to podziękować już w sobotę, kiedy dotarły do domu. A w poniedziałek, kiedy Jane otworzyła drzwi, Coco była tak wstrząśnięta, że z wrażenia klucze wypadły jej z rąk. Jane nosiła czarne legginsy i luźny czarny sweter, a tam, gdzie dotąd miała talię, zaznaczała się potężna wypukłość. Była w szóstym miesiącu ciąży. Poza tym nic się w niej nie zmieniło, i jeśli pominąć tę wypukłość, to nawet nie przytyła. Coco się roześmiała.

- Co cię tak śmieszy? - spytała badawczo Jane.

- Nic. Naprawdę świetnie wyglądasz.

I pokazała palcem brzuch, w którym siedział jej siostrzeniec albo siostrzenica. Liz podeszła do Jane, stanęła przy niej i też się uśmiechnęła.

- To robi wrażenie, prawda? - powiedziała z dumą i uścisnęła Coco.

Siostry wymieniły dość formalny uścisk i pocałunek, a wielki brzuch Jane wszedł w kolizję z talią Coco.

- Ten brzuch wygląda fantastycznie - zachwyciła się Coco, oddając siostrze klucze.

- Dziękujemy ci, że siedziałaś tu ponad cztery miesiące - odezwała się szybko Liz, zanim Jane otworzyła usta.

Wróciły do domu miesiąc wcześniej, niż miały w planie. Praca nad filmem poszła wyjątkowo sprawnie.

- Ja też na tym skorzystałam - powiedziała Coco i nagle oblała się rumieńcem. - To znaczy... No... Dobrze mi się tutaj mieszkało.

- Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej - powiedziała szorstko Jane. - A gdzie Leslie?

- W Wenecji. Będzie tam aż do Święta Dziękczynienia, a może nawet do samego Bożego Narodzenia.

- To dość czasu, żebyście oboje oprzytomnieli. Mama przysłała mi wszystkie wycinki. Kiedy pokazałaś się z nim w Los Angeles, to jakbyś wlała do gniazda szerszeni. Jeśli zwiążesz się z nim na stałe, może być tylko gorzej. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Będziemy jakoś sobie z tym radzić. Jeden dzień na jeden raz - Coco powtórzyła jego słowa.

- Wpadniesz do nas jutro na obiad?

- Nie mogę, jestem zajęta - odparła Coco bez chwili zastanowienia. Nie życzyła sobie, żeby Jane znowu zaczęła się nad nią znęcać. Nie chciała słuchać o tym, jak szybko Leslie ją porzuci dla swojej filmowej partnerki, z którą przebywa w Wenecji. Nie zamierzała o tym rozmawiać. Za bardzo sama się obawiała takiego obrotu spraw.

- No to następnym razem. A nawiasem mówiąc, w następny weekend będziemy cię znowu potrzebowały do przypilnowania domu - wypaliła Jane ni stąd, ni zowąd, kiedy we trzy stały przy drzwiach. Nie było w jej zwyczaju

zapytać najpierw, czy Coco będzie mogła to dla niej zrobić. Po prostu z góry zakładała, że odmowa nie wchodzi w grę. Tak jak zawsze do tej pory.

- To niemożliwe - powiedziała Coco, delektując się egzotycznym brzmieniem tych słów. Nie było łatwo je wypowiedzieć, ale jakoś jej się udało. Była przyzwyczajona, że Jane zawsze ma nad nią przewagę i trochę się bała starszej siostry. Różnica wieku między nimi była na tyle duża, że Coco nie umiała w jej obecności poczuć się dorosłą kobietą, mającą własne potrzeby i plany.

- Będziesz musiała. Lecimy do Los Angeles dopilnować montażu. Musimy poza tym obejrzeć parę mieszkań do wynajęcia i chciałabym spotkać się z chłopakiem mamy. Na pewno jeszcze go nie widziałaś. Jane obrzuciła ją badawczym spojrzeniem, szykując się do ataku na wypadek, gdyby okazało się, że Coco już go poznała i nie wspomniała o tym.

- Nie, nie widziałam go - potwierdziła Coco. - Kiedy przyleciałam do Los Angeles, żeby spotkać się z Leslie'em, mama była zajęta i nie miała dla mnie czasu.

Obie wiedziały, że matka nie odbiera telefonów i nie przyjmuje żadnych wizyt, kiedy jest zajęta pisaniem. Nie wiedziały tylko, czy te zasady stosują się również do Gabriela. Być może i do niego. W każdym razie do obu córek na pewno. Ale Jane usłyszała od matki, że nowa książka jest już prawie skończona. I matka zaprosiła je do siebie.

- Tak czy owak, musisz zostać z Jackiem przez weekend. Możesz zabrać go do Bolinas, jeśli naprawdę inaczej się nie da. Jeśli wynajmiemy dom w Los Angeles, zabierzemy go do siebie. - Coco przypuszczała, że ze względu na pracę przy montażu spędzą w Los Angeles parę miesięcy. - Niestety, w najbliższy weekend musimy go tu jeszcze zostawić.

- Ale ja wyjeżdżam - powiedziała Coco bez ogródek, patrząc siostrze prosto w oczy. Była to prawda.

- Po co? - Jane wydawała się kompletnie zaskoczona. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby Coco kiedykolwiek jej odmówiła. To był pierwszy raz. Trzeba było Leslie'ego, żeby się nauczyła odmawiać. Liz nie odezwała się ani słowem, ale zza pleców Jane uśmiechnęła się do Coco, żeby dodać jej odwagi.

- W piątek wylatuję do Wenecji. Spędzę tam kilka tygodni. Jestem pewna, że Jackiem chętnie zajmie się Erin. Będzie mnie też zastępowała przy psach moich klientów. Właśnie zamierzałam zapytać, czy mogę wam tu przywieźć Sallie, ale jak widzę, nie będzie takiej możliwości.

Liz odpowiedziała jej natychmiast.

- Owszem, możesz ją przywieźć. Doceniła śmiałość Coco.

- Erin może zabierać na spacerzy obydwie psy - dodała. - A Jack nie będzie się czuł taki samotny, jeśli Sallie tu z nim zostanie.

Psy zżyły się ze sobą przez te cztery i pół miesiąca. Jane nie odezwała się ani słowem, patrzyła tylko na Coco z dezaprobatą i niedowierzaniem.

Dziewczęta na posyłki i służące nie wyjeżdżają, ot, tak sobie i nie miewają własnych planów. Jane musiała na serio zastanowić się nad nową sytuacją.

- Wyobrażasz sobie, jak się na ciebie rzucą paparazzi, kiedy tam się zjawisz? - spytała chłodno. Jakby chciała w ten sposób ukarać Coco za nadmiar niezależności.

- Tak, wyobrażam sobie - odparła spokojnie Coco. - Będziemy sobie z tym radzić najlepiej jak potrafimy. Poza tym, zamierzamy urwać się na parę dni podczas przerwy w zdjęciach i pojechać do Florenqi.

- Wspaniały pomysł! - zawołała Liz z entuzjazmem.

Jane popatrzyła na nią, nie wiedząc, co to wszystko znaczy. Zmiany, które zaszły w Jane, były widoczne już na pierwszy rzut oka. Te, które dokonały się w Coco, były niewidoczne, ale znacznie głębsze. Jak dotąd, perspektywa macierzyństwa chyba jednak nie wpłynęła łagodząco na charakter Jane. Była tak samo arogancka jak przedtem.

- Dostałyśmy wyniki badań prenatalnych - przypomniała sobie nagle Jane. - Dziecko jest zdrowe. To chłopiec.

Gdy to mówiła, w jej oczach pojawił się cień rozczarowania. Obie chciały mieć dziewczynkę, ale potem Liz oświadczyła, że płeć jest jej obojętna, byle dziecko było zdrowe.

- Będzie o wiele trudniej go wychować - dodała Jane. - Chłopcy to nie moja specjalność.

Mówiąc to uśmiechnęła się i Coco uśmiechnęła się także.

- Myślę, że świetnie sobie poradzisz.

Choć osobiście obawiała się, że Jane jest za twarda na matkę dla dziewczynki. Tak naprawdę to w ogóle nie umiała sobie wyobrazić Jane w roli matki. To była ze strony Jane niezwykle decyzja i wielkie zaskoczenie dla wszystkich, którzy ją znali. Florence dotąd nie ochłonęła. Perspektywa zostania babcią wcale jej nie zachwyciła. To ją mogło postarzyć w oczach Gabriela, poza tym nigdy nie przepadała za dziećmi, nawet kiedy była jeszcze młoda i miała własne. A teraz lubiła je jeszcze mniej.

- Jak go nazwiecie? - spytała Coco.

Jane i Liz rozmawiały o tym wiele razy i w końcu zdecydowały się dać mu imię po ojcu Jane. Bo ojciec Liz miał na imię Oscar. Żadna z nich nie lubiła tego imienia.

- Pewnie damy mu imię po tacie. Ale najpierw musimy go zobaczyć.

- Ja też nie mogę się już doczekać, kiedy go zobaczę - przyznała szczerze Coco. Wciąż jeszcze z trudem do niej

docierało, że naprawdę będą miały dziecko. Był to obrót spraw najbardziej zaskakujący z możliwych. - Ale wyglądasz fantastycznie. Jedyne, co się w tobie zmieniło, to ta piłka pod twoim swetrem.

- Lekarz mówi, że brzuch jest dość duży - powiedziała Jane. W jej głosie na moment pojawił się niepokój. Nie śpieszyło jej się do porodu. Myśl o porodzie dosyć ją przerażała. Ale wiedziała, że Liz będzie przy niej. Często żałowała, że to ona, a nie Elisabeth jest w ciąży. - Ojciec ma wzrostu metr dziewięćdziesiąt, więc dziecko jest duże.

Jane też była dość wysoka. Zresztą podobnie jak Coco, choć w swoich własnych wyobrażeniach Coco zawsze widziała Jane o wiele wyższą od siebie, bo tak było kiedyś, w jej dzieciństwie. I od tych wyobrażeń nie potrafiła się uwolnić.

Pożegnała się z nimi i wróciła do pracy. W czwartek po południu przywiozła im Sallie. Nazajutrz obie wylatywały do Los Angeles. Coco zaś miała lecieć do Wenecji, z przesiadką w Paryżu. Była już spakowana i niesłuchanie podekscytowana tą podróżą. Leslie dzwonił do niej po trzy razy dziennie i nie mógł się jej doczekać.

Kiedy podjechała do nich z Sallie, Jane nie było w domu. Liz zaproponowała jej filiżankę herbaty. Coco zakończyła już pracę, nazajutrz rano miała wyruszyć w drogę o świcie.

- Jak tam wasze sprawy z Leslie'em? - spytała Liz, popijając herbatę.

- Wszystko układa się tak wspaniale, że aż nie do wiary - odparła Coco z promiennym uśmiechem. - Po prostu wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę zdarzyło. I w kółko się zastanawiam, dlaczego wybrał właśnie mnie.

- Miał szczęście, że cię spotkał - odparła Liz z przekonaniem.

Nigdy nie pochwalała sposobu, w jaki Jane traktowała siostrę. Konflikt między nimi sprawiał jej przykrość i miała nadzieję, że pewnego dnia Coco zerwie krępujące ją więzy emocjonalnej zależności. Ale Coco nie była do tego gotowa. Różnica wieku i wspomnienia zawsze jej to utrudniały.

- Jak dotąd jakoś radziłam sobie z prasą - powiedziała z namysłem. - To wszystko trochę mnie przeraża, ale może nie będą próbowali nas rozszarpać. Jane myśli, że pożąra mnie żywcem. Ale przecież nie jestem ani złodziejką, ani narkomanką, ani nikim w tym rodzaju.

- Porzucenie studiów, zamieszkiwanie w Bolinas i prowadzenie psiej firmy to nie są zbrodnie ścigane przez prawo. Kodeks karny o takich nie wspomina - powiedziała Liz. - Nawet jeśli twoja siostra próbuje ci zasugerować co innego. Jesteś osobą ze wszech miar godną szacunku. Pracujesz i zarabiasz na swoje utrzymanie. A do tego jesteś piękną kobietą. Nie ma się do czego przyczepić.

Coco westchnęła.

- Jane twierdzi, że on mnie porzuci, zanim się obejrzę. I ja też ciągle o tym myślę - wyznała. - W jego branży ludzie są bez przerwy wystawiani na różne pokusy, a on jest tylko człowiekiem.

- Człowiekiem bardzo w tobie zakochanym, jak się wydaje _ przypomniała jej Liz. Słyszała od Jane o tym, jak zmył jej głowę przez telefon, co było wyraźnym dowodem jego miłości do Coco. - W tej branży też jest całkiem sporo trwałych związków i dobrych małżeństw. Tylko że się o nich nie słyszy, bo tabloidy wolą robić sensację z rozwodów i rozstań. Brakuje ci wiary i w siebie, i w niego. To bardzo porządny facet.

Grzejąc się w ciepłe tych słów, Coco doznała wyraźnej ulgi.

- Nie mogę się już doczekać tego spotkania w Wenecji -powiedziała z błogim uśmiechem.

- Zasłużyłaś na takie wakacje. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wyjeżdżałaś.

- Było to trzy lata temu, kiedy wyjechała z Ianem, przypomniała sobie Liz jak przez mgłę. Najwyższy czas, żeby Coco znowu stanęła na nogi. I najwyraźniej właśnie zaczęła wracać do życia. - Nie mogę wytrzymać z ciekawości, co opowiesz po powrocie.

Potem zaczęły rozmawiać o dziecku i o tym, jak niecierpliwie Liz na nie czekała. Twierdziła, że Jane też nie może się go doczekać, i pomału godzi się z tym, że będzie to chłopiec. Zamierzały przemeblować pokój gościnny, wstawiając do niego łóżeczko, oraz dać ogłoszenie w Los Angeles, że poszukują opiekunki. Coco bardzo się tym emocjonowała. Po raz pierwszy w życiu oczekiwała siostrzeńca, a spotkanie z Chloe tego lata przekonało ją, że dzieci bywają cudowne.

Wyszła, kiedy Jane wróciła do domu. Tym razem Jane wydawała się odprężona i szczęśliwa w nowym stroju, który podkreślał jej wystający brzuch. Coco uśmiechnęła się mimo woli. Powiedziała, że wpadła tylko na chwilę, żeby zostawić Sallie.

- Baw się dobrze w Wenecji - powiedziała Jane i zabrzmiało to dla odmiany całkiem miło.

Była w dobrym humorze. Wracała właśnie od lekarza. Wszystko było w porządku, tętno dziecka prawidłowe. Zaczęła zbierać zdjęcia z ultrasonografu w specjalnym albumie, co rozbawiło Coco. Ten sentymentalny odruch był u Jane czymś niezwykłym. Coco wcześniej zastanawiała się czasami, czy Jane w ogóle nadaje się na matkę. Żadna z nich nie miała w domu dobrego wzorca, bo ich własną matkę można było posądzić o wszystko, ale nie o rozwinięty instynkt macierzyński.

Wiedziała to, co powinna

wiedzieć o wychowaniu dzieci i poczuwała się do odpowiedzialności, ale interesowała ją raczej własna kariera i mąż, niż dzieci. Udało jej się nawiązać kontakt emocjonalny z Jane dopiero wtedy, kiedy Jane była już dorosła. A jeśli chodzi o Coco, to nigdy do tego nie doszło. Zbyt mało miały ze sobą wspólnego. Zawsze traktowała Coco jak dziwaczkę. Może dziewczyna urodziła się za późno i miała zbyt odmienny charakter, żeby ta rodzina mogła ją przyjąć jak swoją.

- Zadzwoń, jak wrócisz - powiedziała Jane na pożegnanie.

Coco wsiadła do furgonetki, żeby pojechać do Bolinas. Myślała o Leslie'em i o Wenecji. I o wszystkim, co będą robić tam razem. Chciała zobaczyć go na planie. I nie mogła się doczekać wspólnej kilkudniowej podróży po Włoszech. Obiecał jej też przejażdżkę gondolą pod Mostem Westchnień, która, jak mu powiedziano i czego nie omieszkał jej powtórzyć, zapewni dożgonne trwanie ich miłości. Wszystko to zapowiadało się obiecująco.

Pod wieczór zadzwoniła matka, żeby zaprosić Coco na weekend, skoro Elisabeth i Jane też miały ją odwiedzić, ale Coco powiedziała, że wyjeżdża do Wenecji, żeby spotkać się z Leslie'em.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytała matka. - Nie powinnaś za bardzo za nim latać, moja droga. Pomyśli, że go pilnujesz.

- Nie pilnuję go, mamó - odparła Coco, przewróciwszy oczami. - Prosił, żebym do niego przyjechała. Zależało mu na tym.

- W porządku. Skoro jesteś tego pewna. Ale na pewno będzie bardzo zajęty przy kręceniu filmu. Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta siedzi im na karku przez cały czas. Czują się wtedy, jakby się dusili.

Coco miała już na końcu języka pytanie, czy Gabriel też się czuje przyduszony, ale się powstrzymała. Nie chciała przecież toczyć z matką wojny na słowa. A poza tym w takich wojnach matka i Jane zawsze wygrywały.

- Dziękuję ci za tę radę - powiedziała chłodno.

Co takiego zrobiła, żeby na nią zasłużyć. Siostra uważała ją za dziewczynę, którą Leslie zaliczy i porzuci, nawet nie nadzwyczajnie atrakcyjną, za kogoś, czyje miejsce u jego boku za chwilę zajmie elegancka i piękna aktorka. A matce się wydawało, że Coco narzuca się słynnemu gwiazdorowi, nie pytając, czy chce ją widzieć. Dlaczego żadna z nich nie uważała, że Coco jest warta Leslie'ego, nie przypuszczała, że on jest w niej po uszy zakochany?

- Jak się miewa Gabriel? - spytała.

- Doskonale! - odpowiedziała Florence promiennym głosem. Jej własny romans interesował ją o wiele bardziej, niż związek Coco, i to, że Gabriel ją uwielbia było dla niej mniej więcej oczywiste. O wiele trudniej było jej sobie wyobrazić, że Leslie może tak samo uwielbiać Coco. - Będzie tu na kolacji z Jane i Liz w najbliższy weekend.

Miała trochę obaw w związku z tym, bo wiedziała, jak krytyczna i bezwzględna potrafi być starsza córka, a bardzo chciała, żeby Gabriel został zaakceptowany przez rodzinę i żeby córki dzieliły z nimi ich szczęście. Coco pomyślała, że to ze strony matki bardzo naiwne oczekiwanie, bo Jane wykorzysta okazję, żeby znaleźć dziurę w całym i dokuczyć Florence przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Bawcie się dobrze - powiedziała matce na pożegnanie. A potem była zła na siebie, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że znowu pozwoliła, by matka odebrała jej spokój. Zaczęła się nagle obawiać, czy przypadkiem nie narzuciła Leslie'emu swojej wizyty i czy aby na pewno zależało mu na jej przyjeździe tak bardzo, jak to wynikało z jego słów.

- Nie będę więcej ich słuchać - powiedziała sama do siebie, zamykając walizkę o północy. - Mama i Jane pieprzą bez sensu. Nie lubią mnie i nigdy mnie nie lubiły, więc nie powinnam przywiązywać wagi do tego, co mówią. On mnie kocha. Ja też go kocham. Nic więcej nie chcę wiedzieć.

Wygłosivszy te słowa, poczuła, że jest z siebie dumna. A kiedy po chwili wyszła na taras, żeby popatrzeć na gwiazdy, prosiła los, żeby tam, na miejscu, wszystko się dobrze ułożyło. Potem położyła się do łóżka.

Pomyślała o tym, że za dwadzieścia cztery godziny będzie już w Wenecji, z mężczyzną swojego życia. Nie mogło jej spotkać nic lepszego, a to, że on jest sławnym aktorem nie miało nic do rzeczy. Nie zamierzała się nad tym zastanawiać ani też rozpamiętywać tego, co powiedziała matka.

Zamierzała po prostu polecieć do Włoch na swoje najwspanialsze w życiu wakacje.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Coco miała lecieć tą samą trasą co Leslie przed dwoma tygodniami. Jedyna różnica polegała na tym, że on odbył tę podróż w pierwszej klasie, a ona kupiła bilet w klasie turystycznej. Leslie chciał zafundować jej pierwszą klasę, ale Coco lubiła sama za siebie płacić, więc odmówiła. Był to niekończący się, jedenastogodzinny lot z San Francisco do Paryża w ciasnym fotelu. W czasie tego lotu trochę drzemała, ale, bardzo niespokojnie. Kiedy dotarła na miejsce, czuła się zmęczona i nieświeża. Była zbyt podekscytowana podróżą, żeby zasnąć na dobre, więc w drodze obejrzała cztery filmy. W Paryżu musiała przez trzy godziny czekać na samolot do Wenecji. Udało jej się wziąć prysznic w łazience na lotnisku, potem zjadła coś w jednej z miejscowych kawiarni. I kiedy wsiadła do drugiego samolotu, była już porządnie senna. Zasnęła twardym snem, gdy tylko usiadła na swoim miejscu. Przed lądowaniem musiała ją obudzić stewardesa. Według czasu San Francisco był to środek nocy i wydawało jej się, że jest w podróży od wielu dni. Odprawę celną przeszła w Paryżu, więc po wylądowaniu w Wenecji musiała już tylko poddać się odprawie pasz-

portowej. Przed zejściem z pokładu umyła zęby i twarz, uczesała włosy. Do Paryża przyleciała w luźnym swetrze, teraz przebrała się w nową, czarną bluzkę i włożyła zgrabne czótenka. Kiedy, niosąc płócienną torbę, weszła do hali przylotów, od razu zobaczyła Leslie'ego, który czekał na nią za barierką. W Wenecji była właśnie pora obiadu.

Październikowe słońce świeciło jeszcze mocno. Ale nie mogło być bardziej promienne od spojrzeń, jakie wymienili Coco i Leslie. Nie potrafił się doczekać, kiedy wreszcie weźmie ją w ramiona. Odebrał od niej ciężką torbę i zaprowadził ją do czekającej przed lotniskiem limuzyny. Wręczył kierowcy kwity na bagaż. Kierowca poszedł po walizki, tymczasem Leslie całował ją w samochodzie jak szaleniec, powtarzając, jak bardzo jest szczęśliwy, że do niego przyleciała. Oboje zachowywali się tak, jakby tęsknili od miesięcy, choć były to niecałe dwa tygodnie.

- Tak bardzo się bałem, że coś się wydarzy i odwołasz przyjazd - wyznał.
- Po prostu nie mogę uwierzyć, że naprawdę jesteś.

Był wniebowzięty.

- Ja też z trudem w to wierzę. Jak idą zdjęcia?
- Teraz mamy dwudniową przerwę weekendową. W przyszłym tygodniu będzie jeszcze jedna.

Wspaniale.

- Zarezerwowałem hotel we Florencji na przyszły tydzień - dorzucił rozpromieniony. Nie mógł utrzymać rąk przy sobie nawet kiedy kierowca wrócił z walizkami, które włożył do bagażnika, nawet kiedy usiadł za kierownicą. Jechali obszernym mercedesem, który producent filmu kupił w Niemczech specjalnie na użytek Leslie'ego. Praca nad filmem posuwała się do przodu, chociaż Leslie wciąż miał jakieś problemy z Madison Albright. Ale nie wchodził w szczegóły. Obchodziło go tylko to, że Coco jest z nim.

Przejazd z lotniska był dość krótki, samochód zajechał na ogromny parking, gdzie zostawili limuzynę i przesiedli się na *motoscafo*, stateczek motorowy, żeby pojechać do Palazzo Gritti, gdzie mieszkał Leslie. Wielu innych aktorów i pozostała część ekipy mieszkali w mniejszych hotelach, ale on i Madison dostali wielkie apartamenty w Grittim, hotelu uchodzącym za najbardziej luksusowy w Wenecji. Madison wołała mieszkać w hotelu Cipriani, ale producent się nie zgodził, bo hotel Cipriani był za daleko, co powodowałoby codzienne komplikacje z dojazdem. Reżyser zamieszkał w hotelu Bauer Grunwald, przy którym się uparł, bo lubił go najbardziej. Leslie zawsze był zadowolony z tego, co mu proponowano.

Stateczek wiozł ich do hotelu z ogromną szybkością. Coco rozglądała się z zachwytem. Kiedy tylko opuścili parking, miasto roztoczyło przed nimi swoje uroki. Kościoły, bazyliki, kamienice, zabytkowe pałace, a w końcu katedra św. Marka i plac lśniący w jaskrawych promieniach jesiennego słońca. Był to bez wątpienia najpiękniejszy plac, jaki widziała w życiu. Leslie uśmiechnął się, widząc zdumienie malujące się na jej twarzy.

- Piękny, prawda? - powiedział, przyciągając ją do siebie i całując. Nie było miejsca na świecie, którym bardziej chciałby się z nią podzielić. Na wieczór wynajął już gondolę, która miała zawieźć ich pod *Ponte dei Sospiri*, Most Westchnień, w drodze na kolację, jeśli Coco wcześniej nie uśnie. Było tysiąc rzeczy, które chciałby jej niezwłocznie pokazać. To, co dotąd zobaczyła, to dopiero początek. I był szczęśliwy, że akurat ma wolny czas, który będzie mógł z nią spędzić. Bo zazwyczaj pracowali całymi dniami.

Przybyli do hotelu Gritti i udali się do pokoju Leslie'ego. Myślała, że będzie miał apartament, ale to były dwa połączone apartamenty, tworzące prawdziwie królewską rezy-

dencję. Miał to zagwarantowane w kontrakcie. Coco nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak wystawnego i luksusowego. A widok był po prostu cudowny. Przed oknami rozlewał się kanał, po jego drugiej stronie stał rząd zabytkowych pałaców. Wiele z nich należało do osób prywatnych, niektóre były zamieszkałe przez stare weneckie rodziny. Było to wyjątkowe, niezwykle miasto.

Służba hotelowa gięła się w ukłonach. Dwie pokojówki zabrały się do rozpakowywania bagaży Coco. Boy w liberii przyniósł na wielkiej srebrnej tacy coś do jedzenia i dobrze schłodzoną butelkę szampana Luis Roederer Cristal.

- Człowiek się trochę rozbustwia na wyjazdach zdjęciowych - szepnął jej do ucha Leslie z uśmiechem zakłopotania.

- Tak mi się wydaje - powiedziała, przypominając sobie od razu, że przyjechała tu tylko na dwa tygodnie. A kiedy wyjedzie, królewska karoca znowu przemieni się w dynię. Starła się o tym nie zapominać ani na chwilę. Być z Leslie'em to doświadczać wszystkich przeżyć, jakie były udziałem Kopciuszka. Bez wątpienia był przystojnym księciem. Trudno jej było uwierzyć, że szklany pantofelek naprawdę będzie pasował na jej stopę. Takie rzeczy zdarzały się tylko w bajkach. Ale najwyraźniej to była właśnie bajka.

Usiedli na wielkiej kanapie obitej żółtym atłasem, boy nalał im herbatę do filiżanek i postawiwszy przed Coco półmisek maleńkich kanapeczek, dyskretnie się ulotnił.

- Zastanawiam się, czy jestem Kopciuszkiem, czy Małą Księżniczką. Ostatnio wydawało mi się, że byłam w Bolinas. Jak to się stało, że znalazłam się w tym pałacu?

Ani trochę nie spodziewała się tego, co tu zastała. Kiedy wyobrażała sobie spotkanie z nim w Wenecji, nie miała pojęcia, jak wygląda jego codzienne życie na takim wyjeździe

zdjęciowym i jak daleko potrafi posunąć się producent, by zapewnić aktorom komfortowe warunki. „Komfortowe” to nie było właściwe słowo. Miała do czynienia z luksusem w najbardziej skrajnej postaci.

- Nieźle mi się tu żyje, prawda? - spytał z zabawną miną. - Ale było dość kiepsko, póki nie przyjechałaś. Bez ciebie to wszystko jest nic niewarte.

Oprowadził ją po pokojach. Była tam piękna, królewskich rozmiarów sypialnia umeblowana antykami, z freskami zdobiącymi sufit, dwa saloniki i jadalnia, w której Leslie mógłby ugościć dwudziestu czterech przyjaciół, do tego biblioteka i dwie ogromne, wyłożone marmurami łazienki. Oglądając te pomieszczenia, straciła w końcu rachubę i nie wiedziała już, ile ich właściwie było. A w każdym stały świeże kwiaty. Dla niej wybrał łazienkę wyłożoną różowym marmurem, z jej okien rozpościerała się cudowna panorama Wenecji.

- Wciąż mi się wydaje, że śnię - powiedziała.

Byli znowu w sypialni i Leslie bez żadnych wstępów pociągnął ją na ogromne łóżko z baldachimem. Miało onieśmielające rozmiary, ale to właśnie tam odnalazła tego Leslie'ego, którego znała i kochała. Mimo ostentacyjnego zbytku, jaki ich otaczał, Leslie był tak samo kochający, zabawny i wesoły jak w domu Jane i w Bolinaś. Jedną z najpiękniejszych cech Leslie'ego była jego umiejętność cieszenia się życiem i wszystkim, co ono przynosi, bez popadania w egotyzm. A tym, czego najbardziej pragnął, była Coco.

Kochali się i drzemali na przemian przez całe popołudnie, a potem wzięli kąpiel wśród różowych marmurów ogromnej łazienki. Poradził jej, żeby włożyła dzinsy. Chciał zabrać ją na spacer i pokazać kilka cudów Wenecji. Przemknęli przez hotelowy hol i wynajęty przez niego motorowy stateczek zawiózł ich na plac Św. Marka. Tam zapuścili

się w ciasne boczne uliczki. Zaglądali do kościołów, kupili lody od ulicznego lodziarza i wałęsali się, przechodząc po małych mostkach przerzuconych nad wąskimi kanałami. Coco zupełnie straciła orientację w przestrzeni, nie wiedziała, gdzie są i w którą stronę zacierają. Ale żadne z nich się tym nie przejmowało. Leslie trochę znał miasto, ale w Wenecji błądzenie nie było nieprzyjemne. Na każdym kroku natykali się na jakiś przepiękny widok, i zawsze w końcu trafiali w jakieś miejsce, które już znali. Wszędzie spotykali pary kochanków, wśród których o tej porze roku przeważali miejscowi. Było słonecznie ale chłodno, a kiedy słońce zaszło, wrócili do *motoscafo*, stateczku, który zawiózł ich z powrotem do hotelu.

Znaleźli się znowu w pięknych pałacowych wnętrzach i stanęli przy oknie, patrząc na to miasto. Kiedy Coco odwróciła się do Leslie'ego, w jej oczach wypisana była miłość.

- Dziękuję, że mnie tu zaprosiłeś - powiedziała cicho. Być tu z nim, w tym najbardziej romantycznym miejscu, jakie w życiu widziała, to niemal jak podróż poślubna.

- Nie zaprosiłem cię - odpowiedział, a jego spojrzenie odzwierciedlało takie samo uczucie miłości - tylko prosiłem i błagałem, żebyś zechciała przyjechać. Chcę dzielić z tobą całe moje życie, Coco. Póki nie przyjechałaś, siedziałem tu po prostu w robocie.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy to usłyszała. Niezwykłej piękności miejsce do siedzenia w robocie.

Rozmawiali potem o tej robocie, czyli o filmie. Nalał szampana do kieliszków. W końcu zaczęli przebierać się do wyjścia na kolację. Leslie nie był pewien, czy nie jest na to zbyt zmęczona, ale ona trochę spała po południu, dość, by ją to postawiło na nogi. Nie chciała tracić ani minuty z ich wspólnego czasu, zwłaszcza teraz, kiedy miał przerwę w zdjęciach.

Tym razem, kiedy wyszli na nabrzeże kanału, nie było ani śladu stateczku. Zamiast niego czekała na nich gondola. Gondolier nosił pasiasty podkoszulek, granatową kurtkę na wieczorny chłód i tradycyjny płaski słomiany kapelusz, znak rozpoznawczy gondolierów. Łódź była pokryta błyszczącym czarnym lakierem, pozłożonym na brzegach, i wyglądała dokładnie jak wszystkie gondole od paru setek lat. Zgodnie z zapowiedzią Leslie'ego, w drodze na kolację przepłynęli pod Mostem Westchnień, a gondolier śpiewał dla nich pieśń. Wszystko to było po prostu jak ze snu.

- Wstrzymaj oddech i zamknij oczy - wyszeptał Leslie prosto do jej ucha. Tak uczyniła. Wtedy delikatnie pocałował ją w usta, także wstrzymując oddech, a kiedy wypłynęli spod mostka, powiedział jej, że już wolno jej znowu oddychać. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

- Załatwione - powiedział z zadowoleniem. - Teraz już się nie rozstaniemy do końca naszych dni. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem ci planów.

Śmiała się, kiedy znowu usiedli obok siebie w łodzi. Jak mógłby jej tym pokrzyżować plany? Był najlepszym, najbardziej romantycznym i najładniej kochającym człowiekiem na świecie. A do tego znajdowali się w najpiękniejszym mieście, jakie kiedykolwiek widziała.

- Chciałabym, żebyśmy spędzili tu miodowy miesiąc... Jeśli będzie okazja

- szepnęła, kiedy przepływali pod kolejnym mostem. Była bardzo szczęśliwa. Nie mogła czuć się inaczej, kiedy on przy niej był. - To znaczy, jeśli się kiedyś pobierzemy.

- Świetny pomysł - powiedział rozradowany.

Przybili do kamiennych stopni nad kanałem, przed jasno oświetloną restauracją. Gondolier pomógł im wysiąść i Leslie wprowadził ją do środka.

- Portier w hotelu powiedział mi, że tu będzie spokoj-

nie i dyskretnie. Przychodzą tu także miejscowi. Mówił, że to nie jest miejsce oblegane przez snobów, ale karmią dobrze.

W niedużej restauracji połowa miejsc była już zajęta. Starszy kelner zaprowadził ich do zacisznego stolika w tylnej części sali. Nikt nie zwracał na nich uwagi, a oni nie wyróżniali się spośród innych gości. Jedli kolację, nie niepokojeni przez nikogo. Leslie powiedział, że prasa jak dotąd zachowywała się bardzo przyzwoicie, nie nachodziła ich na planie ani poza nim. Madison Albright narobiła raz zamieszania, kiedy jej agent prasowy zgłosił się do któregoś z kolorowych tygodników, opowiadając jakieś wyssane z palca brednie, ale reporterzy pojawili się tylko na planie zdjęciowym i jak na razie sprawa nie miała dalszego ciągu, ku zadowoleniu wszystkich. W Europie prasa była mniej napastliwa. Leslie nie opowiedział jej, o co dokładnie chodziło, mówił tylko, że to była rzecz bez znaczenia, choć dość przykra i bardzo w stylu Madison, która chciała być królową na planie każdego filmu, jaki kręciła. Nie przeszkadzało mu to, póki znała tekst, zjawiała się na planie punktualnie i zdjęcia nie przedłużały się z jej powodu. Cieszył się swoim pobytem w Wenecji, ale chciał wrócić jak najszybciej do Stanów, do Coco. I powiedział, że jak dotąd praca toczy się zgodnie z harmonogramem. W tym tygodniu będą kręcili na placu św. Marka i we wnętrzach bazyliki, co wymagało niekończących się starań o urzędowe zezwolenia, ale ich włoski kierownik produkcji był prawdziwym cudotwórcą i załatwił wszystko, czego potrzebowali.

Podczas kolacji rozmawiali o wszystkim, póki Coco nie poczuła, że znowu nachodzi ją senność. Jej zegar biologiczny był po tej podróży kompletnie rozregulowany, mimo to przez całe popołudnie świetnie się bawiła i wszystko jej się

podobało, nawet spacer po placu Św. Marka po kolacji. Wreszcie wrócili gondolą do hotelu. Kiedy weszli do apartamentu Leslie'ego, ziewała już potężnie. Oczy same jej się zamykały. We Włoszech minęła północ. Coco była na nogach od bardzo wielu godzin. Tak jakby przeżyła dwa dni, nie kładąc się do łóżka. Choć trzeba powiedzieć, że nie żałowała tego ani przez chwilę.

Zasnęła jak kamień, choć Leslie miał nadzieję, że będą się jeszcze kochali. Leżał obok i patrzył na nią z uśmiechem, a potem się do niej przytulił. Mieć ją przy sobie tutaj, w Wenecji, to było spełnienie marzeń. Spali twardo do południa. Obudziły ich promienie słońca, wpadające przez okno. Kochali się, a potem zaczęli nowy dzień.

Zabrał ją do na lunch do baru Harry'ego, który od dawna był jego ulubionym miejscem. Coco zamówiła *risotto alla milanese*, takie jakie tylko tam umieli przyrządzić, z mnóstwem szafranu, a on wziął sałatkę z homara. Zastanawiali się, co zaplanować na południe. Leslie znowu wynajął gondolę, która była bardziej romantyczna niż *mo-loscafo*, choć powolniejsza. Stateczek motorowy był praktycznym środkiem lokomocji na co dzień, zabierał aktorów na plan i odstawiał do hotelu. Ale Leslie i Coco nie musieli się spieszyć. Spędzili popołudnie, zwiedzając Pałac Dożów i podziwiali dzwonnice Św. Marka. Włóczyli się po ogrodach królewskich a przed powrotem do hotelu obejrzeni jeszcze kilka zabytkowych kościołów. Postanowili zamówić posiłek do pokoju, bo Leslie'ego zawiadomiono telefonicznie, że nazajutrz o szóstej ma się stawić na planie do charakteryzacji. Coco obiecała, że pójdzie razem z nim, przynajmniej tym razem. A przez następne dni będzie zwiedzała Wenecję na własną rękę. Jak na tak niewielkie miasto, było tu mnóstwo rzeczy do obejrzenia. Nie chciała mu przeszkadzać, kiedy pracował.

Leslie wybierał najprostsze sposoby podróżowania i poruszał się bez osób towarzyszących. Nie potrzebował osobistego sekretarza, wystarczał mu w tej roli portier z Palazzo Gritti, a był to hotel znany z doskonałej obsługi. Nie woził ze sobą własnego charakteryzatora, zdawał się na zatrudnionych przez producenta. Jak na wielką gwiazdę, był wyjątkowo niewymagający i bezpretensjonalny. Mówił, że nie lubi robić wokół siebie zamieszania ani zawracać ludziom głowy. Inaczej niż Madison Albright, która przyjechała z własnym stylistą, dwiema charakteryzatorkami, siostrą, kilkoma sekretarkami i najlepszą przyjaciółką. Zawsze ponadto wozila ze sobą osobistego ochroniarza i trenera. Była znana z tego, że przed podpisaniem kontraktu przedstawiała producentom długą listę nadzwyczaj szczegółowych żądań. Wymagała na przykład, żeby wszystkie osoby towarzyszące zakwaterowano w tym samym hotelu, w którym miała swój apartament. Fumy nie przysparzały jej przyjaciół w ekipie filmowej, ale w bieżącym sezonie była najbardziej kasową aktorką świata, więc niczego jej nie odmawiano. Dostawała bez dyskusji wszystko, czego chciała, żeby tylko powstrzymać ją przed urządzeniem dzikiej sceny, jaką w przypadku odmowy urządziłaby bez wątpienia.

- Wszystko to razem bywa trochę męczące - powiedział Leslie do Coco, kiedy nazajutrz zmierzali na plan filmu.

Coco nosiła ciepły półkożuszek, bo było dość zimno, słońce jeszcze nie wzeszło. Włożyła też ulubione buty kowbojskie. Z zielonymi oczami i włosami w kolorze miedzi wyglądała świeżo, młodo i ślicznie bez makijażu. Była wcieleniem tego, co Leslie najbardziej lubił w kobietach. Prosta, uczciwa, naturalna i skromna, nienawykła do wywyższania się. Biła od niej aura dobroci i prawości, która potęgowała urok. Gdy pojawili się razem na planie, wszys-

cy zwrócili uwagę na to, jaką są piękną parą. Weszli razem do kontenera, który ustawiono dla niego w charakterze garderoby pod arkadami placu św. Marka. Nie miała pojęcia, jak zdołano go tam ustawić, ale dzięki temu Leslie miał gdzie odpocząć albo przejrzeć scenariusz między ujęciami. Fryzjer i charakteryzatorka czekali na niego. Zostali wynajęci już na miejscu, we Włoszech, ale oboje świetnie mówili po angielsku. Leslie żartował z nimi, popijając z kubka gorącą kawę, a Coco spokojnie usiadła w kącie i przyglądała się ich pracy.

Mimo wczesnej pobudki zdjęcia nie zaczęły się przed dziewiątą. Przyniesiono śniadanie dla całej ekipy, i dopiero po śniadaniu powiadomiono Leslie'ego pukaniem w drzwi garderoby, że wszystko gotowe. Do tej pory fachowcy montowali sprzęt oświetleniowy i Leslie'ego zastępował dubler, młody Włoch podobnego wzrostu i koloru włosów. W tej scenie Leslie ubrany był w świetnie skrojoną czarną marynarkę włożoną na sweter z golfem, na nogach miał czarne zamszowe półbuty. Wyglądał bardzo atrakcyjnie, kiedy opuścił garderobę w pełnym makijażu, który był jednak dyskretny, prawie niedostrzegalny. Nigdy nie pozwalał, by charakteryzatorzy przesadzili z makijażem. Włosy miał uczesane nienagannie. Fryzurę utrwalono lakierem w sprayu.

Coco przyglądała się, zafascynowana, kolejnym aktorom, którzy pojawiali się na planie. Reżyser zajął miejsce obok kamerzysty i po cichu wydawał mu instrukcje. Wiedział dokładnie, pod jakimi kątami ujęcie ma być filmowane. Spokojnie udzielał wskazówek aktorom. Dawno temu Coco bywała na planach filmowych swojej siostry, ale tutaj wszystko odbywało się przy doskonałej, profesjonalnej organizacji. Była pod wrażeniem. Aktorzy grający w tym filmie byli największymi sławami w całej branży. Wszyscy

traktowali zdjęcia z największą powagą i każdy się starał, by nie zepsuć ujęcia. Wiadomo było, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, film zarobi olbrzymie pieniądze, poza tym będzie oczywistym kandydatem do Oscara. Każdy rozumiał, że to nie są żarty.

Coco stanęła w miejscu, które jej wskazano, tak aby nikomu nie przeszkadzać, i obserwowała Leslie'ego, który pojawił się w pierwszym ujęciu. Madison w tej scenie nie występowała i minęła jeszcze godzina, zanim pojawiła się na planie, w seksownej czerwonej sukni koktajlowej z ogromnym dekoltem podkreślającym jej słynny biust, w eleganckim płaszczu zarzuconym na ramiona. Miała piękne długie nogi i widowiskowo wysokie obcasy. Powinna wejść w kadr, w którym znajdował się Leslie, a potem przebiec przez plac. Ktoś próbował ją pochwycić, a Leslie rzucił się w pogoń. Usiłował ją wyrwać z rąk tamtego, choć kobieta, którą grała Madison, widziała go po raz pierwszy w życiu. Intryga była skomplikowana. Coco wiedziała z grubsza, o co chodzi, bo przeglądała scenariusz, kiedy pomagała Leslie'emu uczyć się tekstu. Pamiętała tę scenę. Ale teraz to było zupełnie co innego, z żywymi aktorami, którzy tworzyli elektryzujące widowisko. To, co widziała trzymało ją w napięciu przez cały czas. Karabinierzy obstawili tę część placu, nie dopuszczając na plan publiczności. Ktoś podał Coco składane krzeselko, więc mogła usiąść. Zamiast podziękowania skinęła tylko głową. Po paru chwilach jakaś jasnowłosa kobieta usiadła obok niej. Coco nie wiedziała, kim jest, ale domyśliła się, że to ktoś z otoczenia Madison.

- Jest świetna, prawda? - odezwała się do Coco podczas przerwy w zdjęciach. - Ja na takich obcasach od razu bym się zabiła.

Coco roześmiała się w odpowiedzi.

Kobieta nie spytała, kim jest Coco i co tutaj robi. Na planie było tak wielu ludzi, że nikt nie zwracał sobie głowy pytaniami. Podobnie jak wszyscy pozostali, Coco miała zawieszony na szyi identyfikator, który oznaczał, że należy do ekipy technicznej albo do otoczenia któregoś z aktorów.

- Pięknie się razem prezentują - ciągnęła kobieta, przyglądając się uważnie parze głównych bohaterów.

Coco także im się przyjrzała. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi, ale tak właśnie było. W tej scenie Leslie podtrzymał ramieniem Madison.

Była zdyszana po biegu, który sfilmowano w poprzedniej scenie, i prawie przelewała mu się przez ręce. Coco poczuła się trochę nieswojo z myślą, że tych dwoje tak dobrze wygląda razem, choć przecież właśnie dlatego dano im te role.

- Widziała pani ten kawałek z zeszłego tygodnia, kręcony w sklepach? - spytała kobieta, znowu spojrzawszy na Coco. - To było bardzo podniecające. Takie historie zawsze zbliżają ludzi. Kto wie, co się między nimi wydarzyło, odkąd tu przyjechali.

Kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo. Coco odpowiedziała bladym uśmiechem, ale była bardzo zmieszana, gdy sąsiadka uczynnie wyciągnęła ze swojej ogromnej torby kolorowy tygodnik i podsunęła jej. Coco omal się nie udławiła, kiedy zobaczyła zdjęcie na okładce. Była to fotografia Madison i Leslie'ego. Całowali się. Napis głosił: *Zbyt atrakcyjni, by utrzymać zmysły na wodzy. Nowy romans Leslie'ego Baxtera z Madison Albright właśnie zaczyna się we Włoszech.* Coco nie chciała tego czytać, ale była jak zahipnotyzowana. W środku numeru znalazła więcej zdjęć. Na dwóch się całowali. Na jednym wydawali się zaskoczeni, jakby złapano ich na czymś, co woleliby ukryć. Coco poczuła, że robi jej się słabo. Z tekstu wyczytała, że zerwał z May, jego poprzednią miłością, która nie

dawno publicznie oskarżyła go, że jest gejem. Dalej pisano, że absolutnie nie sprawiał wrażenia geja, kiedy zaangażował się w namiętny romans z Madison Albright na planie nowego filmu, kręconego właśnie we Włoszech. W artykule nie wspomniano ani słowem o Coco i o ich wspólnym pojawieniu się w Los Angeles. Szybko podziękowała i oddała pismo właścicielce. Czuła się zupełnie rozbita.

To przed tym ostrzegła ją siostra. Oto, co się może zdarzyć, jeśli się kocha sławnego aktora, który zawsze sypiał z filmowymi partnerkami. Byli tu dopiero od dwóch tygodni. Ale to im najwyraźniej wystarczyło. I nie mógł się wykręcać, bo Coco przed chwilą widziała na własne oczy ich zdjęcia w kolorowym tygodniku. Całował ją. Widziała wyraźnie.

Zdrętwiała, siedząc na tym składanym krzeselku i patrząc na scenę z Madison. Nie mogła uwierzyć, że miał czelność zapraszać ją do Wenecji, gdy tymczasem zaangażował się w romans z filmową partnerką - to było okrutne z jego strony. Co prawda zaprosił ją zanim opuścił Stany, ale przecież mógł to odwołać, gdyby miał choć trochę przyzwoitości i serca. I przecież kochał się z nią przez te dwa dni jej pobytu w Wenecji. Jakim człowiekiem musiał być, żeby zrobić coś takiego? To jasne - gwiazdą kina! Coco musiała z największym bólem przyznać rację Jane.

Przez następne trzy godziny patrzyła na niego, kiedy kręcono z nim kolejne sceny. Chciała tylko jednego - wrócić do hotelu i spakować walizki. Do diabła z Leslie'em Baxterem. Oczy miała pełne łez. Zamierzała czym prędzej wrócić do swojego domku w Bolinas i wypłakać się w poduszkę.

Po zdjęciach Leslie podszedł do niej i zabrał ją do garderoby. Firma cateringowa właśnie przywiozła obiad. Coco zauważyła, że przed odejściem Leslie powiedział coś do Madison, która wybuchnęła śmiechem. Coco pomyślała, że

za chwilę zemdleje. Ale bez słowa poszła z nim do jego garderoby. Jeszcze ten jeden raz, pomyślała, wejdą tam razem.

- Jak wyszło? - zapytał, zdjawszy marynarkę. Powiesił ją na oparciu krzesła i uśmiechnął się. - Z początku było okropnie, co? Wydawało mi się, że ta scena, w której bieглиśmy, wygląda idiotycznie. Ale reżyser nie chciał z niej zrezygnować. Ta pod arkadami o wiele bardziej mi się podobała. Byłoby też trochę lepiej, gdyby bardziej zakryli jej biust. Coco nie mogła uwierzyć, że słyszy to od niego chwilę po tym, jak przeczytała artykuł. Nagle wydało jej się, że ma do czynienia z kimś, kogo wcale nie zna.

- Chyba nie bardzo ci się podobało - powiedział zmartwiony, bo jej milczenie zrozumiał jako krytyczną ocenę jego gry. Wydawał się przygnębiony. W sprawach zawodowych był perfekcjonistą.

- Sądzę, że wszystko wyszło świetnie - powiedziała ze spokojem, siadając naprzeciw niego. Nie wiedziała, czy powiedzieć mu od razu, co o nim myśli, czy dopiero wieczorem, w hotelu, kiedy dzień zdjęciowy się skończy.

- To co ci się nie podobało? - Zbladł, bo jej opinia miała dla niego duże znaczenie.

- Co mi się w tym wszystkim cholernie nie podoba - powiedziała, podejmując decyzję, że nie będzie tego odkładać i powie mu teraz, a dzięki temu będzie mogła od razu wrócić do hotelu i wyjechać, zanim on wróci z planu - to ten artykuł, który ktoś wcisnął mi do ręki, kiedy na was patrzyłam.

- Jaki artykuł?

Leslie wydawał się zupełnie zdezorientowany. To ugodziło Coco prosto w serce. Zawsze byli wobec siebie uczciwi. Dlaczego teraz strugał głupka?

- Wyleciał mi z głowy tytuł pisma. Takich śmieci nigdy nie czytam. To było o romansie z Madison Albright, który nawiązałeś tu, w Wenecji. Mogłeś mnie o tym uprzedzić, zanim przyleciałam. Oszczędziłbyś mi tej podróży.

- Rozumiem - powiedział, i spuścił głowę. - Mogę sobie wyobrazić, jak się poczułaś. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyśmy na chwilę stąd wyszli. Domyślam się, że pismo dała ci jedna z przemitych osób z otoczenia Madison Albright?

- Tak sędzę. Nie przedstawiła się. Ale widziałam, że na plan przyszły razem.

- Cudownie. Musiała to być albo jej siostra, albo jedna z dwudziestu sekretarek, albo jej najlepsza przyjaciółka. Wszystkie przyleciały jej prywatnym jetem prosto z jej ulubionej wypożyczalni kontenerów. Otworzył drzwi i dał znak, żeby poszła za nim. Przez chwilę się wahała, ale wyglądał tak ponuro i groźnie, że nie chciała z nim dyskutować. Zeszli po stopniach kontenera i przeszedłszy parę metrów pod arkadami, zbliżyli się do drugiego, podobnego, lecz znacznie obszerniejszego.

Leslie zapukał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi. Wpuścił Coco przodem i wszedł za nią. Kontener był pełen ludzi. Pachniało tanimi perfumami i dymem papierosowym. Jedni się śmiali, inni rozmawiali przez telefony komórkowe, na stojakach wisały peruki. Rozpoznała kobietę, która podsunęła jej kolorowy tygodnik. Teraz uśmiechnęła się do Coco. Leslie przeszedł przez to pomieszczenie i wszedł do innego, na zapleczu. Wiedział, że Madison przebywa tam, kiedy chce się odizolować od swojej świty. Zapukał. Usłyszał jej głos, pchnął drzwi i stanął w nich, piorunując ją wzrokiem. Siedziała na kanapie z facetem ubranym w dżinsy i podkoszulek. Jego ramiona po-

krywały tatuaże. Madison spojrzała na Leslie'ego, kompletnie zaskoczona.

- Miło cię znowu widzieć - powiedziała z niewinną miną. - Co się stało? Był dla niej wyrozumiały przed południem w czasie zdjęć.

- Ty mi to powiedz. Jedna z twoich dziewczyn pokazała Coco ten obrzydliwy kawałek w paskudnym tygodniku dla fanów. To ty zaprosiłaś to pismo na plan w zeszłym tygodniu, żeby zrobili kaszanę z mojego życia.

- Wcale ich nie zapraszałam. Zrobił to mój agent prasowy. Nie pilnuję go i nie mam kontroli nad jego kontaktami.

- Akurat ci uwierzę!

Odwrócił się do Coco, czerwony z wściekłości.

- Panna Albright albo też jej agent prasowy, w co nie wnikam, wystosowali zaproszenie do najbardziej plugawego w całej branży pisemka dla najgorszych szmaciarzy wśród fanów, żeby przysłało tu fotoreportera. I ktoś, oczywiście nie mamy pojęcia kto, wspomniał ludziom z tego pisemka, że Madison ma ze mną romans, żeby w ten sposób zachęcić ich do wycieczki. A prawda jest taka - przeniósł wściekle spojrzenie z Coco na swoją filmową partnerkę - że nigdy nie miałem, nie mam i nie zamierzam mieć z nią żadnego romansu, mimo jej nieziemskiego tyłka, bajecznych nóg i fantastycznych implantów - ciągnął dalej, cedząc słowa przez zęby. - I tak się złożyło, że Madison Albright jest żoną swojego fryzjera albo też stylisty, czyli tego oto dżentelmena - tu na użytek Coco wskazał palcem wytatuowanego faceta - który pracuje z nią przy każdym jej filmie, bo zawsze jest wpisywany do jej kontraktów, a przy okazji nie spuszcza z niej pełnego miłości spojrzenia. A co więcej, choć to najpilniej strzeżona tajemnica planu, bo chodzi o to, żeby utrzymać w mocy jej wizerunek bogini

seksu, tak się złożyło, że jest w piątym miesiącu ciąży. I przypadkiem mamy jeszcze inną, równie mroczną tajemnicę, że aktorka ta żyje w szczęśliwym związku małżeńskim. Teraz, kiedy sobie to wszystko wyjaśniliśmy, Madison, zajmijmy się tym, że wstrząsnęłaś moim życiem, karmiąc prasę tą bzdurą. Może zechciałabyś potwierdzić w obecności mojej narzeczonej, że to, co powiedziałem, jest prawdą? A przy okazji należy dodać - znowu zwrócił się do Coco <- że te zdjęcia, na których się z nią całowałem, zostały zrobione na planie filmowym w zeszłym tygodniu. Nie wiem, kogo reporter przekupił, żeby się dostać na plan, jeśli nie wciągnął go ktoś z twoich ludzi - uśmiechnął się ironicznie do Madison - ale jeśli chodzi o mnie, to ten rodzaj reklamy jest mi teraz nie na rękę. Dlatego, że kocham tę dziewczynę i żadne z nas dwojga nie czuje się dobrze w atmosferze pomówień.

Był tak wściekły, że para niemal buchala mu z uszu. Madison patrzyła na niego żałośnie, a jej mąż stylistą odchrząknął i wyszedł. Nie wyglądało na to, żeby w najmniejszym stopniu był zazdrosny o Leslie'ego i najwyraźniej nie miał nic do dodania. Wychodząc, uśmiechnął się do Coco. Wolał przyłączyć się do osób zabijających czas w sąsiednim pomieszczeniu. Kłótnie między wykonawcami głównych ról były codziennością podczas zdjęć do filmów, a Madison zdarzały się bardzo często. Jej mąż nie pozwalał, żeby go w to wciągała, trzymał się z boku, tym bardziej że ich małżeństwo było utrzymywane w tajemnicy. Swoje potyczki musiała więc prowadzić sama.

- Pomyśl rozsądnie, Leslie. Musisz przecież wiedzieć, że takie historie nakręcają zainteresowanie filmem. - Madison uśmiechnęła się do Coco i zauważyła bezmiar zdumienia w jej oczach. Coco widziała coś podobnego po raz pierwszy w życiu. Ale Madison zwróciła się teraz do niej,

nie zmieniając tonu. - Ale jeśli ktokolwiek się od ciebie dowie, że jestem w ciąży, zabiję cię.

To dlatego narzuciła płaszcz na czerwoną koktajlową sukienkę. Jedyne osoba zajmująca się kostiumami była dopuszczona do tajemnicy.

Madison podpisała kontrakt, zanim zaszła w ciążę. Nie chciała stracić tej roli. Tymczasem przez nią Leslie omal nie stracił Coco.

- Zrób mi uprzejmość. - Leslie rzucił Madison mordercze spojrzenie. -

Mamy grać razem jeszcze przez najbliższe miesiące. Oboje jesteśmy tu w robocie. Więc postaraj się przez ten czas nie zniszczyć mojego życia osobistego. Ja twojego nie tykam. Zostaw moje w spokoju.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała Madison, wstając z kanapy. Teraz Coco mogła zauważyć zaokrąglony brzuch pod sukienką. Podczas zdjęć nosiła gorset, lecz zdejmowała go, kiedy wracała do garderoby. -

Pamiętajcie, nikt nie może się dowiedzieć, że mam męża i jestem w ciąży. To by mnie zniszczyło. Symbol seksu nie może wyjść za mąż ani zająć w ciążę.

- Więc co powiesz prasie po urodzeniu dziecka? - spytał Leslie, zafascynowany jej talentem do posługiwania się kłamstwem.

Coco zauważyła już, że Leslie nie lubi Madison. I nietrudno było odgadnąć przyczynę.

- Świat ma się dowiedzieć, że to dziecko mojej siostry - powiedziała ze spokojem Madison.

- I gdzie zamierzasz je urodzić? Na zamówienie dostarczy je bocian?

- Wszystko jest już zaplanowane - odparła i spojrzała na Coco. Madison była piękna, ale Coco zauważyła, że nie ma w niej nic sympatycznego. Jedyne, co się dla niej liczyło, to kariera. Inni, których musiała użyć do własnych celów, nie obchodzili jej wcale. - Złotko - odezwała się do

Coco - zabierz go stąd i zróbcie szybki numerek w jego przyczepie. Niech się odpręży przed popołudniowymi zdjęciami.

Zanim Coco zdążyła otworzyć usta, Leslie popchnął ją do wyjścia.

Przecisnęli się przez zatłoczone pierwsze pomieszczenie. Wrócili do jego garderoby i Coco popatrzyła mu w oczy z poczuciem winy. Ta scena była nieprzyjemna dla nich obojga. Ale nikt i nic nie mogło wprawić w zakłopotanie Madison Albright.

- Leslie, przepraszam się - powiedziała ze smutkiem. -Przyszło mi do głowy... Kiedy zobaczyłam te zdjęcia...

- Wiem. Nie myśl o tym więcej - powiedział, siadając ciężko na krześle. Wciąż jeszcze był rozgniewany. - Nie mogłaś wiedzieć, jak się preparuje takie bzdury. Ta suka sprzedawała własną matkę, jeśli dzięki temu mogłaby narobić szumu i się rozreklamować. - Była to ciemna strona jego zawodu, o której Coco nie miała pojęcia. - Ale powinnaś też wiedzieć - dodał, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie - że coś takiego z pewnością nie spotkało nas po raz ostatni. Madison jest małą cwaniarą, wykręci jeszcze niejedną numer w tym rodzaju. Może się to zresztą zdarzyć w każdym filmie, na czyjeś życzenie albo nawet przypadkiem. Powinnaś wiedzieć, że ja bym nie zrobił ci takiego kawału. Za bardzo cię szanuję, a poza tym... kocham cię. Gdybym miał romans z inną kobietą, a nawet gdybym tylko zamierzał go rozpocząć, powiedziałbym ci o tym i zniknąłbym z twojego życia. Więc nie musisz dowiadywać się tego z tabloidów i kolorowych tygodników. Choć nie byłem w przeszłości aniołem, nie zachowałem się tak wobec nikogo i na pewno teraz nie zacznę popisywać się w ten sposób. Przykro mi, że musiałaś przeżyć coś takiego...

Przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanie. Coco wydawała się śmiertelnie zawstydzona.

- Przepraszam, strasznie się wygłupiłam. Wcale nie chciałam, żebyś się z nią pokłócił.

To prawda, że po tej kłótni będzie mu jeszcze trudniej pracować z Madison. Ale mimo to był zadowolony, że mógł jej to wszystko wygarnąć. Jeśli Madison chce rozpuszczać plotki o swoich rzekomych romansach na planie, to musi poszukać sobie innego obiektu. Bo on nie zamierzał pozwolić, by zniszczyła jego związek z Coco.

- Kocham cię. Powiedz mi, z jakiej racji miałbym zadawać się z tą głupią blondynką? - Coco miała okazję sama się przekonać, kim była Madison. Otoczona tłumem pomocnic spód ciemnej gwiazdy, zachowywała się jak tania dziwka. - W tej branży wszystko może się zdarzyć, Coco. To nieustające targowisko próżności, maszynka do produkcji plotek. Większość ludzi, których spotykasz, chce się po twoich plecach wdrapać wyżej albo podstawić ci nogę, żeby cię wyprzedzić. Rzadko się trafia ekipa złożona z samych sensownych ludzi, którzy nie myślą tylko o tym, żeby się lepiej sprzedać. Ale pewnie będziesz musiała się do tego przyzwyczaić.

- Spróbuję.

To zdarzenie otworzyło jej oczy. Zobaczyła, jaką szczywaną sztuką jest partnerka Leslie'ego i jak trudno mu było sobie z nią radzić. Naraz Leslie się roześmiał.

- Zapomniałbym o czymś. - Oboje zauważyli, jak mąż Madison wycofał się po cichu z pomieszczenia, w którym ich zastali. - To znaczy o jej sugestii na temat szybkiego numerka. Co o tym sądzisz?

Spojrzał na zegarek, a potem znowu na nią.

- Wystarczy na to czasu?

Żartował. Oboje się roześmieli. A potem znowu spoważniał.

- No i proszę. Właśnie przeszedłeś przez pierwszą próbę ogniową. Witamy w branży.

- Chyba wypadłam beznadziejnie - powiedziała Coco, zmieszana. Była już gotowa go opuścić, bo uwierzyła, że ma romans z Madison. A gdyby wyjechała z Wenecji nic mu nie mówiąc, tak jak przez chwilę zamierzała? To była dla niej cenna lekcja.

- Przeciwnie. - Spojrzał na nią z dumą. - Myślę, że poradziłaś sobie zaskakująco dobrze. Przeżyliśmy oboje, i nie myśl, że ta mała wiedźma prędko z nami znowu zadrze.

To zabrzmiało tak, jakby wygrali mecz z resztą świata. Ale wiedzieli oboje, że nawet jeśli Madison zostawi ich w spokoju, kto inny może zrobić coś w podobnym stylu. Coco zaczynała rozumieć, jakie tą branżą rządzą prawa. Ludzie wykorzystują się nawzajem na wszelkie sposoby, jeśli tylko mają taką możliwość.

Zjedli obiad w kontenerze, rozmawiając o pracy na planie i o tym, co warto zwiedzić w Wenecji. I nagle Coco uprzytomniła sobie, że jej siostra się jednak myliła. Wbrew przepowiedni Jane, ani Coco się nie zламаła jak scyzoryk, ani Leslie jej nie porzucił i nie zdradził. A pisemko dla fanów też nie miało z czego się cieszyć: Madison zrobiła je w trąbę. Jak dotąd nie stało się więc nic złego.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Coco codziennie spędzała na planie kilka godzin, przyglądając się pracy Leslie'ego. Wiele razy była świadkiem spięć między nim i Madison. Czasem wprowadzało to do kręconej sceny elektryzującą atmosferę, kiedy indziej czyniło czułe zbliżenia na planie czymś niemal bolesnym i dla Leslie'ego bardzo trudnym. Nie lubił Madison i nie ukrywał tego. Ale musieli mimo to współpracować i żadne z nich nie chciało zepsuć filmu. Dla Coco była to lekcja o tym, czym jest aktorstwo. Miłość odgrywana na planie to tylko praca. Leslie był wyjątkowym perfekcjonistą w sprawach zawodowych. Nie można było powiedzieć tego o jego partnerce, która ciągle zapominała roli.

Kiedy Coco miała dość siedzenia na planie, godzinami wędrowała po Wenecji. Leslie żartował, że zaliczyła już wszystkie kościoły tego miasta. Zwiedziła klasztory San Gregorio, Santa Maria della Salute i Santa Maria dei Mira-coli. Spędziła długie godziny w Akademii Sztuk Pięknych, w teatrze La Fenice i w galerii Querini Stampalia. Pod koniec tygodnia znała już każdą piędź ziemi i o każdej mogła opowiedzieć Leslie'emu, kiedy wracał wieczorem do hotelu. Zazwyczaj był zmęczony po długim dniu pracy, po

kontrowersjach z reżyserem i stresie spowodowanym konfliktami z Madison. Ale niezależnie od tego, jak bardzo był zmęczony, na myśl, że w hotelu czeka na niego Coco, zawsze czuł się szczęśliwy. I oboje czekali niecierpliwie na swój weekend we Florencji. Leslie wynajął już samochód i zamierzał sam prowadzić.

Wieczorem w przeddzień wycieczki poskarżył się na paparazzich, którzy znowu pojawili się na planie. Niektórzy z nich przyjechali z Mediolanu i z Rzymu. Podejrzewał, że ściągnęła ich Madison albo jej agent prasowy. Przyznawał jednak, że prędzej czy później musieli się pojawić. Każdy przechodzień przez cały tydzień mógł zobaczyć, że kręcą film na placu św. Marka. Więc nic w tym dziwnego, że prasa zainteresowała się filmem, w którym grały największe gwiazdy amerykańskiego kina. - Dobrze, że dziś nie przysłaś. Przynajmniej ty jedna miałaś spokój. Powiedział, że karabinierzy nie wpuścili nikogo na plan, ale tuzin reporterów czatował na niego przy kontenerze. A gdyby Coco tam była, ją także zasypaliby pytaniami. Zdaniem Leslie'ego najgorzej i najbardziej nachalnie zachowywali się paparazzi we Włoszech i w Anglii. Uważał, że prasa francuska ma o niebo lepsze obyczaje.

Tego wieczoru wyjął mapę i zaplanowali swoją podróż do Florencji.

Chciał potem jeszcze zabrać ją na Lido, ale na to zabrakło czasu, bo trzeba by płynąć dwadzieścia minut w każdą stronę. On pracował przez cały dzień, a ona przez cały dzień chodziła pieszo po Wenecji.

W drodze do Florencji zamierzali zatrzymać się w Padwie i w Bolonii. W Padwie chcieli zwiedzić kaplicę Scro-vegna z freskami Giotto, którymi kiedyś się interesowała i opowiadała o nich Leslie'emu, a także obejrzeć katedrę i mury obronne z trzynastego i szesnastego wieku, które

kiedyś otaczały miasto. W Bolonii Coco chciała zwiedzić gotycką bazylikę San Petronio i muzeum Pinacoteca Na-zionale, jeśli na to wszystko wystarczy im czasu.

Do Florencji zamierzali dojechać późnym popołudniem. Tam było bardzo wiele miejsc, które interesowały ich oboje. Galeria Uffizi, Palazzo Pitti, Palazzo Vecchio i Duomo. Ale niemożliwością było znaleźć czas na cały ten program. Kiedy nazajutrz opuszczali Wenecję, dzień był cudownie piękny. Stateczek motorowy zawiózł ich na wielki parking, gdzie czekał wynajęty samochód. Leslie wynajął Maserati i uśmiechał się, kiedy ruszali z piskiem opon i warkotem potężnego silnika.

Droga przez Padwę i Bolonię była przepiękna. Dalej wjechali na autostradę prowadzącą do Florencji. Tam czekał zarezerwowany dla nich apartament w hotelu Excelsior. Ale Coco nalegała, żeby najpierw wybrać się do galerii Uffizi. Nie mogła się tego po prostu doczekać. Zwiedzała ją wiele lat temu z rodzicami. Leslie nie był tam nigdy. Przy niej odkrywał nowe światy. Kiedy dotarli do hotelu, byli wypoczęci i szczęśliwi. Potem zjedli obiad w restauracji, którą polecił im recepcjonista i potem poszli na spacer. Kupili lody, słuchali ulicznych muzyków, na koniec wrócili do hotelu. To miasto zawierało w sobie zupełnie inny zestaw cudów niż Wenecja. Coco żałowała, że nie mogą pojechać dalej, do Rzymu.

- Zostań do końca zdjęć - powiedział. - Wtedy zwiedzimy wszystko. Bo chciała jechać także do Perugia i do Asyżu. Ale oboje wiedzieli dobrze, że nie może zostać. Musiałaby porzucić klientów i firmę, bo Erin zgodziła się zastępować ją tylko przez dwa tygodnie. Obojgu zrobiło się smutno na myśl, że nie spotkają się już, póki Leslie nie wróci do Stanów po skończonych zdjęciach. A zdjęcia miały potrwać jeszcze

przynajmniej miesiąc, a może nawet dwa, jeśli Madison nie zacznie solidniej uczyć się tekstu. Praca z nią stawała się coraz bardziej stresująca, a Leslie nie chciał, żeby jego partnerka zepsuła film. Obiecała reżyserowi, że przez cały weekend będzie uczyła się roli. I Leslie miał nadzieję, że dotrzyma słowa. Bo na samym jej dekolcie film daleko nie zajędzie.

Coco i Leslie spędzili spokojną noc w eleganckim apartamencie. Nazajutrz, kiedy już mieli wstawać, zaskoczył ich nagle dyrektor hotelu, który zapukał do nich bez uprzedzenia. Najmocniej przeproszał i nie miał pojęcia jak do tego doszło, ale ktoś powiadomił prasę, że Leslie mieszka w hotelu. Przed wejściem kłębił się już tłum paparazzich. Personel ledwie zdołał zapobiec wtargnięciu tych ludzi do holu. Ale nie było takiej możliwości, by Coco i Leslie opuścili hotel niezauważeni. Obecność Leslie'ego Baxtera w mieście postawiła dziennikarzy na nogi. Słuchając dyrektora, Leslie popatrzył na Coco zafrasowany, ze zmarszczonym czołem. Na szczęście samochód był bezpieczny w hotelowym garażu. Jedyne pomysły, jaki przychodził dyrektorowi do głowy, to żeby wymknęli się tylnym wyjściem przeznaczonym dla personelu. Powiedział, że jeśli się przebiorą, włożą ciemne okulary, czapki, to może uda im się umknąć, zanim tamci się zorientują. Ukłonił się nisko i wyraził żal, że tak się stało, bo ich obecność oznaczała, że ktoś musiał ich powiadomić.

Boy hotelowy przyszedł po bagaże, a Coco włożyła ciemne okulary i zawiązała chustkę na głowie. To nie na nią trwało polowanie, tylko na Leslie'ego, wiedzieli o tym oboje. Ale jeśli go dopadną, to i ona utraci anonimowość. Była już z nim widziana w Los Angeles, jeśli teraz pojawi się obok niego we Włoszech, to nie da się już ukryć, że coś ich łączy na serio. Leslie miał nadzieję, że jeszcze tym razem

uda się zaoszczędzić im obojgu takiej wpadki. Kiedy się o niej dowiedzą, to nie dadzą jej spokoju nawet w Bolinas. Nie chciał, żeby ją to spotkało. Dość, że sam miał ciągle kłopoty z prasą, jej wolałby tego oszczędzić. Windą zjechali na parter, skąd przeprowadzono ich do garażu. Leslie też włożył ciemne okulary. Na głowie miał czapkę golfową, którą wytrzasnął skądś dyrektor hotelu. Wsiedli do samochodu i szybko wyjechali tylnym podjazdem, zasłonięci przez wielką ciężarówkę z pralni i furgonetkę kwiaciara. Zniknęli, zanim dziennikarze się połapali, że zostali wykiwani. Leslie i Coco wracali spokojnie do Wenecji, gratulując sobie, że przechytrzyli prasę.

- Dobra robota - powiedział Leslie i uśmiechnął się do niej. Wszystko poszło w miarę gładko, więc oboje byli w najlepszych humorach.

Wrócili do Wenecji wystarczająco wcześnie, żeby popłynąć na Lido i wypić drinka u Ciprianiego. Był to piękny hotel z widokiem na wspaniałą panoramę Wenecji. A potem wrócili do hotelu Gritti i postanowili zjeść kolację u siebie. Weekend udał się świetnie. Coco była podekscytowana tym, że zostało jej jeszcze pięć ostatnich dni pobytu w Wenecji. Żałowała, że nie może przyjechać do Leslie'ego jeszcze raz. Były to cudowne dni dla obojga. Zanim położyli się spać, zadzwonili jeszcze do Chloe.

Opowiedziała im o wszystkim, co działo się w szkole i o nagrodzie, którą dostała za najładniejszy kostium przygotowany na przedstawienie z okazji Halloween. Zapytała, kiedy się znowu zobaczą. Leslie obiecał, że Święto Dziękczynienia spędzi z nią i z jej matką w Nowym Jorku, jeśli tylko do tej pory skończą kręcić film. Kiedy skończył rozmowę, spojrzął na Coco z miną winowajcy.

- Głupiec ze mnie, co? Powinienem być przedtem zapytać ciebie, jak chcesz spędzić Święto Dziękczynienia.

Coco pamiętała, że nie widział Chloe już od dwóch miesięcy.

- Nie martw się - powiedziała z uśmiechem. - Na Święto Dziękczynienia zawsze jeżdżę do matki, do Los Angeles. Boże Narodzenie zazwyczaj spędzamy tak samo, ale w tym roku spotkamy się u Jane. Będzie wtedy w tak zaawansowanej ciąży, że nie powinna podróżować.

To, co powiedziała, dziwnie zabrzmiało w jej uszach. Wyobrażenie Jane w zaawansowanej ciąży, a potem Jane z małym dzieckiem, nie mieściło się w głowie.

- Spotkamy się zaraz po Święcie Dziękczynienia - obiecał. - Mam nadzieję, że do tej pory zakończymy zdjęcia. A kiedy film pójdzie do montażu w Los Angeles, będę miał chwilę przerwy. Następna przerwa wypadnie około Bożego Narodzenia. Spędzimy ją razem w całości, każdą minutę.

Objęła go, uszczęśliwiona.

Do końca tego tygodnia starali się spędzać razem jak najwięcej czasu.

Godzinami obserwowała go na planie, w wolnym czasie odwiedzali zabytki, które wcześniej zainteresowały ją najbardziej. Czasem także odkrywali nowe miejsca. Teraz już nie błądziła w Wenecji. Leslie był pod wrażeniem. Znała to miasto o wiele lepiej od niego. Ale on rzadko miewał czas na zwiedzanie, jeśli już, to dopiero wieczorem.

Ostatniego wieczoru przed jej wyjazdem poszli na kolację do małej restauracyjki w bocznej uliczce. Dotarli do niej gondolą. Przybili do starego pomostu, potem przeszli wzdłuż nabrzeża i skręcili za róg. Coco znalazła to miejsce bez trudu. Miejsce, do którego przyszli, wydawało się czarujące. Należał do niego mały ogródek, ale zrobiło się już za zimno, żeby siedzieć na zewnątrz. Jedzenie było znakomite. Zamówili butelkę Chianti i kiedy wychodzili, mieli

doskonale humory, choć obydwoje z żalem myśleli o rozstaniu nazajutrz. Lecz jeśli wszystko dobrze pójdzie, to już za parę tygodni Leslie znajdzie się w domu. W tym tygodniu zdjęcia szły zgodnie z planem, sprawniej niż przedtem. Madison wreszcie знаła rolę. Weekend spędzony nad scenariuszem zrobił swoje.

Leslie zatrzymał się na chodniku przed restauracją i pocałował Coco. Jej pobyt w Wenecji okazał się wielkim przeżyciem dla obojga.

- Czy ty potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, jak bardzo cię kocham? - szepnął jej do ucha i pocałował ją jeszcze raz.

- Prawie tak jak ja ciebie - odpowiedziała bez tchu i uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

W następnej chwili nastąpiła nagła eksplozja błysków fleszy. Zanim się zorientowali, co się dzieje, byli już otoczeni przez napierających ze wszystkich stron, agresywnych fotoreporterów, którzy dotąd czekali na nich w ukryciu i właśnie teraz wyskoczyli. To była zasadzka. Ktoś musiał zawiadomić prasę. Nie była to mała garstka dziennikarzy, raczej gromada. Coco i Leslie byli odcięci od swojej gondoli, która w dodatku znajdowała się poza zasięgiem wzroku. Leslie chciał wyciągnąć Coco z tego tumultu, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Nie wiedział nawet, w którą stronę powinni uciekać. Czekająca na nich gondola była jedynym ratunkiem. Niestety, między nimi a pomostem, przy którym ją zostawili, wyrosła przeszkoda: kłębiło się przy nich około trzydziestu ludzi z aparatami fotograficznymi.

Coco spojrzała na niego całkowicie oszołomiona.

- W którą stronę?! - krzyknął, bo w tłumie stracił orientację.

- Tam! - wskazała kierunek ponad głowami paparaz-

zich, którzy się przepychali jeden przez drugiego, strzelając zdjęcie za zdjęciem. Jeden z nich stał tak blisko, że popiół z papierosa, który tkwił w jego zaciśniętych wargach, spadł na płaszcz Coco. Leslie go odepchnął.

- Dość tego, chłopaki - powiedział stanowczo po angielsku. - Wystarczy na dziś. *Basta*. Odwal się! - wrzasnął w twarz innemu, który próbował go zatrzymać. Ledwie to zrobił, coś się naraz zmieniło. Tłum zebrał się w sobie jak rozjuszony potwór, i gwałtownie pchnął ich na mur. Coco upadła plecami na ścianę domu. Leslie był tym wszystkim coraz bardziej przerażony. Przeżył już dotąd niejednen taki atak paparazzich, a najgorszy miał miejsce w Anglii. Stąd wiedział, że taka przygoda może się skończyć poważnymi obrażeniami. Nie chciał, żeby Coco spotkało coś złego. Ale nie miał żadnej możliwości wyrwania jej stąd.

- Łapy przy sobie! - wrzasnął znowu, odpychając mocno tych, którzy byli najbliżej. Pochwyił Coco pod ramię i pociągnął za sobą poprzez tłum, który nie przestawał robić im zdjęć. Bieg do łodzi był męczący i wydawał się nie mieć końca. Gondolier, który na nich czekał, sam wydawał się przerażony tym, co zobaczył. Obok stały trzy stateczki motorowe, którymi przybyli paparazzi. Leslie uprzytomnił sobie nagle, że w tłumie słyszał głównie język angielski, trochę francuskiego i pojedyncze niemieckie okrzyki. Mieli do czynienia z międzynarodową grupą fotografów, którzy połączyli wysiłki, żeby ich dopaść. W jedności siła. Leskiemu i Coco nie dano żadnej szansy. Leslie nie miałby nic przeciwko temu, żeby robiono mu zdjęcia, ale emocje tej gromady wymykały się spod wszelkiej kontroli, co mogło się dla nich źle skończyć. Dwóch fotografów wskoczyło do ich gondoli, zanim oni sami zdążyli to zrobić. Omal jej nie przewrócili. Gondolier ruszył do walki, jakby napadli go piraci: zaczął okładać ich

wiosłem. Napastnicy wpadli do kanału wśród przeraźliwych wrzasków. Leslie wiedział, że dla paparazzich byłoby gratką, gdyby to on i Coco wpadli do wody. Coco skuliła się na ławeczce w łodzi, a Leslie osłonił ją własnym ciałem, podczas gdy gondolier odbijał od brzegu. Tłum szybko opanował stateczki. Były szybsze, więc próbowały ich zatrzymać, przecinając im drogę. Gondolier wykrzykiwał wyzwiska w stronę prowadzących stateczki, oni zaś wzruszali ramionami albo wykonywali obraźliwe gesty. Zapłacono im za kurs, a to, co się dalej działo, to nie ich interes. Nie byli wcale ciekawi, o co tu chodzi.

- Wszystko w porządku? - spytał Leslie, zagłuszany przez wrzawę panującą na stateczkach. Flesze wciąż rozbłyskiwały raz za razem, a kiedy wpływali na wody Canale Grande, gondola znowu omal nie została wywrócona. Coco się bała. Czuła się tak, jakby ktoś nastawał na jej życie. A Leslie razem z gondolierem niewiele mogli zrobić, by poprawić ich położenie. Cała trójka modliła się o policyjny patrol wodny, ale akurat żaden nie pojawił się na ich drodze. Twardo płynęli jednak w stronę Palazzo Gritti, tak szybko, jak to było możliwe. Stateczki przybiły do nabrzeża przy hotelu jeszcze przed gondolą. Leslie wcisnął banknot w dłoń gondoliera. Szykował się do błyskawicznego skoku na ląd, żeby wymknąć się pościgowi. Z nabrzeża do hotelowych drzwi było zaledwie kilka metrów, ale łatwo mógł przewidzieć, że rozjuszeni fotoreporterzy staną im na drodze. Zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej od razu się zatrzymać i zacząć pozować im do zdjęć. Ale teraz sprawy zaszły za daleko. Gromadą fotografów rządziły już emocje. Musiał wyciągnąć Coco z matni jak najprędzej.

Wyskoczył z gondoli i pomógł jej wyjść, ale przed nimi wyrosła już żywa ściana i odcięła ich od hotelu. Trzeba było się przez nią przebić, jeśli chciał zadbać o bezpieczeństwo-

ństwo Coco. Ledwie postawiła stopę na nabrzeżu, jeden z reporterów, który nie zszedł na ląd, wyciągnął ramię ponad relingiem motorowego stateczku i złapał ją za kostkę u nogi. Krzyknęła. Straciła równowagę i spadła z powrotem na dno gondoli, omal nie znalazłszy się za burta. Leslie patrzył na to z rozpaczą. Wskoczył do łódki, pochwycił Coco i unosząc ją w ramionach, wyskoczył. Zaczął biec w stronę wejścia do hotelu. Treningi z lat licealnych bardzo się przydały. Przedarł się z impetem przez żywą ścianę najeżoną obiektywami i wpadł do hotelu, choć paparazzi deptali mu po piętach. Portier z paroma chłopcami w liberjach próbował powstrzymać tłum, toteż w wejściu rozwinęła się bijatyka bez żadnych reguł i zasad, ale Leslie, nie oglądając się za siebie, pędził już po schodach z Coco w ramionach. Towarzyszył mu jeden z hotelowych ochroniarzy.

- Wszystko w porządku, proszę pana? - zapytał, gdy Leslie delikatnie postawił Coco na podłodze przed drzwiami apartamentu. Ochroniarz otworzył im drzwi. Oboje byli bez tchu, a Coco drżała na całym ciele. Jej płaszcz, podobnie jak marynarka Leslie'ego, był poplamiony krwią. Zraniła się, kiedy spadła na dno gondoli.

- Potrzebujemy lekarza - powiedział Leslie. Ochroniarz poszedł, by wezwać któregoś z lekarzy współpracujących z hotelem. Zanim wyszedł, zapewnił, że ich drzwi będą strzeżone przez całą noc, a oprócz lekarza wezwie także policję. Wyraził ubolewanie z powodu tego, co się stało.

Leslie posadził Coco na fotelu i pobiegł do łazienki po ręcznik. Delikatnie pomógł jej zdjąć płaszcz, ale i tak skrzywiła się z bólu. Wtedy zobaczył, że jej nadgarstek jest wygięty pod dziwnym kątem. Nic nie powiedział, ale był już pewny, że to złamanie.

- Kochanie... Tak mi przykro... Naprawdę nie wiedziałem... Powinniśmy byli zamieszkać gdzie indziej... Albo siedzieć w domu.

Miał łzy w oczach, a ona się rozplakała. Objął ją i trzymał w ramionach. Nie odezwała się ani słowem, tylko drżała coraz mocniej. Po wyrazie jej twarzy mógł poznać, że jest w szoku. Więc siedział obok i przytulał ją, gdy płakała, i zapewniał o swojej miłości, póki nie zjawił się lekarz. Leslie wytłumaczył mu, co się stało, a lekarz zbadał Coco jak najdelikatniej. Na jej plecach zaczynał już być widoczny ogromny siniak. To od uderzenia w mur, kiedy rzucono ją na ścianę domu, jeszcze nim przedarł się do łodzi. Na dłoni miała ranę, na którą trzeba było założyć siedem szwów, a poniżej przegubu kość rzeczywiście była złamana. Leslie'emu zrobiło się słabo, kiedy lekarz mu o tym powiedział.

Przed założeniem szwów Coco dostała zastrzyk przeciwbólowy, potem drugi, na uspokojenie, a na koniec jeszcze jeden, przeciwko tężcowi. Była więc nieco oszołomiona, kiedy przyszedł chirurg ortopeda, który założył jej na przegub ręki usztywniający opatrunek z włókna szklanego. Żaden z lekarzy nie chciał ryzykować przewozu pacjentki do szpitala, by nie narażać jej na ryzyko ponownego ataku. Ortopeda powiedział, że widział pojedynczych paparazzi wałęsających się pod hotelem, choć do holu nie wpuszczono ani jednego. Lekarze uprzedzili, że ból w nadgarstku może się utrzymywać jeszcze przez kilka dni, ale zezwolili na podróż samolotem. Leslie chciał, żeby znalazła się jak najdalej stąd. Nie życzył sobie, żeby leżała w pokoju hotelowym, do którego intruz opłacony przez reporterów mógłby się dostać pod jego nieobecność. Polowanie trwało. Rekiny poczuły krew i za nic w świecie nie dałyby im teraz spokoju. Wenecka idylla skończyła się ka-

tastrofą. Dlatego Coco powinna czym prędzej wracać do domu.

Leslie nie spał przez całą noc, czuwając przy Coco. Kiedy drzemała, głaskał ją po policzku i włosach. Podpierał jej złamaną rękę poduszką i okładał lodem. Obudziła się przy tym raz czy dwa, ale leki uspokajające zrobiły swoje, nie była zdolna powiedzieć nic ponad to, że go kocha i podziękować mu, że jest przy niej, po czym zasypiała znowu. Dopiero o szóstej rano oprzytomniała na tyle, że mogła z nim rozmawiać. Ale wtedy znowu się rozplakała.

- Byłam tak przerażona - powiedziała i to przerażenie wciąż jeszcze odbijało się w jej oczach, kiedy na niego patrzyła. - Bałam się, że nas zabiją.

- Ja też się bałem. Takie napaści czasem się zdarzają. Ci ludzie potrafią nakręcać się nawzajem i wszyscy razem dostają szału.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezbronny. Planowali tylko romantyczną przejażdżkę gondolą na pożegnanie, nie byli przygotowani na atak. Nie mieli dokąd uciec.

- Tak mi przykro, Coco - dodał. - Nie chciałem, żeby kiedykolwiek spotkało cię coś takiego. Ktoś musiał ich zawiadomić, ktoś z tej restauracji. Oni płacą za takie informacje. Nigdy nie dojdzie się, kto to zrobił. Ten biedny gondolier nie miał pojęcia, co się dzieje.

Możliwe, że sam niejednego już wpakował w kłopoty, ale Leslie wątpił, czy w tym wypadku można go o to podejrzewać. Gondolier też był zaskoczony i przerażony, stanął po ich stronie, czego nie zrobiłby, gdyby był sprawcą ich kłopotów.

- Co mi się stało w rękę? - Popatrzyła na opatrunek. Nie pamiętała, że wieczorem był u niej lekarz i usztywnił nadgarstek. Po lekach była bardzo oszołomiona.

- Jest złamana - powiedział schrypniętym głosem. Miał

podkrążone oczy i nie był ogolony. - Musisz pokazać to lekarzowi, kiedy wrócisz do domu. Nie chcieli przewozić cię do szpitala, bali się, że znowu ktoś nas zaatakuje. Na dłoni masz siedem szwów - dodał z udręką w głosie. - Dostałaś zastrzyk przeciwtężcowy. Nie wiedziałem, czy byłaś szczepiona na tężec.

Opiekował się nią wspaniale, ale jednak przed tym koszmarem wczorajszego spotkania z fotografami nie umiał jej ochronić, czego teraz gorzko żałował. Takiego spotkania bała się najbardziej w życiu, i to właśnie dlatego się wahała, czy ma z nim zamieszkać na stałe. Kiedy został aktorem, musiał wliczyć w rachunek kosztów ten rodzaj niebezpieczeństw. Ale ona, jak dotąd, robiła co mogła, żeby trzymać się od takich rzeczy z daleka.

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem i popatrzyła na niego przez łzy. - Jak ty możesz z tym żyć?

- Nie mam wyboru. Teraz śledzą mnie nawet kiedy nie kręcę filmu. To ciemna strona tego zawodu.

W jej oczach bardzo, bardzo ciemna.

- A jeśli będziemy mieli dzieci? I jeśli będą prześladowane w taki sposób? Te myśli odbijały się w jej spojrzeniu. Wczorajszy wieczorny atak był czymś okropnym, należał do najgorszych, jakie Leslie kiedykolwiek przeżył. Nie mógł się z tym pogodzić, że to się musiało zdarzyć akurat kiedy był z nią.

- Z Chloe zawsze obchodzili się łagodnie - powiedział cicho. Ale kiedy był z Chloe, także podejmował specjalne środki ostrożności. - Nigdy nie zabierałem Chloe w miejsca publiczne - dodał.

Ale przecież to nie było miejsce publiczne, tylko mało znana restauracyjka w bocznej uliczce.

- Wybacz mi, Coco. Naprawdę nie mogę sobie tego darować. Nie wiem, jak mam cię przeproszać.

Skinęła głową i przez chwilę leżała w milczeniu. Myślała o tej chwili, kiedy złapana przez kogoś za kostkę u nogi straciła równowagę i leciała głową w dół, na próżno próbując za coś złapać, żeby się zatrzymać.

Wiedziała, że tamtej chwili nie zapomni nigdy.

- Kocham cię. Bardzo - powiedziała ze smutkiem. - Kocham w tobie wszystko. Jesteś najlepszym, najmilszym człowiekiem na świecie. Ale wątpię, czy wytrzymałabym takie życie. Bałabym się wychodzić z domu. Bałabym się o dzieci i o ciebie.

- To się mogło wydarzyć wszędzie - przyznał ponuro. Jeśli potrzebowała jakiegoś potwierdzenia dla swoich lęków, wczorajszy wieczór dostarczył go w nadmiarze.

Rozplakała się, a on znowu ją objął ramieniem.

- Kocham cię tak bardzo, ale się boję - łkała. Nie mogła zapomnieć widoku tych strasznych, rozszalałych ludzi.

- Wiem, dziecinko, wiem - mrucał, przytulając ją. - Wszystko rozumiem. Rozumiał naprawdę. Wolałby przekonać sam siebie, że nie ma czego się bać. Ale to by nie było w porządku wobec niej. Nie zabrakło jej odwagi. Ale od nikogo nie powinno się wymagać aż tyle. Radzenie sobie z prasą, wychodzenie cało z opresji było częścią jego życia. Ale jej życie było inne. Ona miała wybór, on nie. Mógł tylko błagać los, żeby zechciała z nim zostać, kiedy już się uspokoi i wyzdrowieje.

- Teraz po prostu postarajmy się dostać bezpiecznie na samolot do Paryża. Wrócimy do tej rozmowy, kiedy spotkamy się w domu.

Nie chciał, żeby podejmowała ostateczną decyzję, będąc w takim stanie. Bał się, że byłaby to decyzja o zerwaniu.

I mimo odłożenia tej rozmowy na później, nie mógł wykluczyć, że Coco tak właśnie postanowi.

Zadzwoił do reżysera. Opowiedział mu, co się stało i uprzedził, że się spóźni. Reżyser złożył wyrazy ubolewania i spytał, co może dla niego zrobić. Leslie poprosił o przysłanie fryzjerki z paroma perukami do wyboru, w dowolnych kolorach oprócz kasztanowego. Potem zadzwonił do dyrektora hotelu. Życzył sobie kilku ochroniarzy, którzy mogli towarzyszyć im podczas przejazdu *moto-scafo*, ewentualnie z udziałem policjanta, jeśli to konieczne. Ale dyrektor hotelu sądził, że poradzą sobie bez policji.

Leslie zaprowadził Coco pod prysznic. W opatrunku z włókna szklanego, który założono jej na rękę, można się było kąpać, byle woda nie dostała się pod opatrunek. Podczas kąpieli trzymał ją za ramię, na wypadek, gdyby się pośliznęła albo zemdląła. Potem pomógł się ubrać. Postanowił już, że nie pojedzie z nią na lotnisko. Nie chciał zrobić nic, co ściągnęłoby na nią uwagę. Teraz już potrafiliby rozpoznać Coco, ale przecież to na niego polowali, na nich oboje. Więc nie chciał swoją obecnością wystawiać ją na strzał. Musiał pożegnać się z nią w hotelu i wyprawić w drogę w towarzystwie ochroniarzy z Palazzo Gritti. Smutny był koniec ich spotkania w Wenecji. Kiedy pomagał jej się ubierać, nie wiedział nawet, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Spakowała się poprzedniego dnia przed wyjściem na kolację, więc rano nie zostało jej nic do zrobienia oprócz wciągnięcia na siebie džinsów, swetra i kożuszka.

Fryzjerka z planu filmowego przyniosła kilka peruk w kolorze blond i jedną czarną. Ta była wystarczająco solidna, by ukryć długą fryzurę Coco. Fryzjerka upięła jej włosy, naciągnęła na nie kawałek pończochy, prawie tak jak to robią przestępcy na filmach kryminalnych, i dopiero wtedy założyła jej perukę. W czarnych włosach Coco wyglądała bardzo dziwnie i Leslie mimo woli się uśmiechnął.

Była zmieniona nie do poznania, a właśnie o to mu chodziło. W tej czarnej peruce paparazzi nie zwrócą na nią uwagi.

- Wyglądasz jak Elisabeth Taylor, tylko znacznie młodsza.

Coco skinęła głową. Było jej wszystko jedno, jak wygląda. Serce pękało jej z żalu, że musi się z nim rozstać. I nie mogła uporać się z tym, czego się dowiedziała o jego życiu. Jakoś przeżyli sprawę głupiej plotki w piśmie dla fanów na temat jego rzekomego romansu z Madison Albright. Ale o wiele trudniej było przejść do porządku nad tym koszmarem, który razem z nim przeżyła ostatniego wieczoru.

Leslie podziękował fryzjerce, a kiedy już wyszła, stanął przy Coco i długo na nią patrzył.

- Cóż mogę ci powiedzieć? Kocham cię, Coco. Ale nie chciałbym zniszczyć twojego życia. Wiem, jak bardzo nie lubisz tego wszystkiego. Odpowiedziała smutnym uśmiechem.

- Jeden dzień na jeden raz - szepnęła, cytując jego słowa. Uśmiechnął się.

- Żałuję, że nie mogę razem z tobą pojechać na lotnisko. Proszę cię, nie opuszczaj mnie. Spróbujemy radzić sobie z tym we dwoje.

Wiedział, że miała wszelkie powody, żeby z nim teraz zerwać, i nie obwiniałby jej, gdyby tak uczyniła. Zamienił jej bilet klasy turystycznej na pierwszą klasę. To był prezent od niego. Chciał, żeby wracała w komfortowych warunkach. W pierwszej klasie będzie mogła przynajmniej spać przez całą drogę. Cieszył się, że może dla niej zrobić choć tyle.

- Wiem tylko jedno: kocham cię. Całą resztę muszę jeszcze przemyśleć - powiedziała ze smutkiem.

Leslie kiwnął głową, bo rozumiał, że teraz nic więcej nie

powie. Widać było, że jeszcze się nie otrząsnęła. Domyślał się, że ręka bardzo ją boli. To było okropne przeżycie dla nich obojga, ale zwłaszcza dla niej.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ochroniarze już na nią czekali. Za drzwiami stało czterech dobrze zbudowanych mężczyzn i chłopiec w liberii, który zabrał bagaże. Zaniósł je na motorówkę, która czekała przed wejściem dla personelu. Coco miała wymknąć się przez zaplecze, tak jak zrobili to we Florencji. Leslie był zmuszony używać tego sposobu dość często.

Wziął ją w ramiona i nie wypuszczał przez dłuższą chwilę. Chciał po prostu poczuć ciepło jej ciała, zapisać w pamięci szczegóły twarzy.

- Pamiętaj, że cię kocham. Cokolwiek postanowisz, zrozumiem to.

Bał się, że to już koniec. Wyczytał to z jej oczu.

- Ja też cię kocham - powiedziała. I dodała niepewnie: -Nie zapomnę naszego spotkania w Wenecji. To brzmi dziwnie po wczorajszych zdarzeniach... ale jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa jak przez te dwa tygodnie. Było cudownie.

- Bądź ostrożna - odparł, starając się być dobrej myśli mimo swoich obaw. - Uważaj na rękę i nie zapomnij, że musi ją obejrzeć lekarz.

Kiwnęła głową i złożyła pocałunek na jego ustach.

- Kocham cię - powiedziała po raz ostatni. Odprowadził ją do drzwi i zamknął je za nią. Czuł się jak ktoś, komu właśnie pękło serce.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Coco była senna i nie całkiem przytomna przez całą drogę powrotną do San Francisco. Myślała o tym, żeby zadzwonić do Leslie'ego z Paryża podczas przerwy w podróży, ale przypomniało jej się, że o tej porze Leslie jest na planie, więc nie dzwoniła, żeby mu nie przeszkadzać. A lot z Paryża do San Francisco ciągnął się w nieskończoność. Ręka bolała bez przerwy, bolała ją także głowa, i to już od wczoraj. Bolały też posiniaczone plecy. Całe ciało było obolałe. Nie miała na nic ochoty, chciała tylko zasnąć. Z nikim nie rozmawiać, o niczym nie myśleć. Ale kiedy zasypiała, budziły ją koszmary. I nie było w nich paparazzich, był tylko Leslie. Wiedziała, że nie będzie mogła dzielić z nim takiego życia. To, co zobaczyła, było zbyt przerażające, zbyt przytłaczające. Dwa razy obudziła się we łzach. Czuła się tak, jakby utraciła nie tylko osobę, którą kochała, lecz także wszystkie marzenia. Był to straszny ból.

Kiedy wylądowała w San Francisco, za sprawą różnicy czasu znowu była druga po południu. W Wenecji już jedenasta wieczorem. Okazało się, że bateria w jej komórce się wyczerpała, więc Coco znowu nie zadzwoniła do Leslie'ego.

Wzięła bagażowego, by zaniósł jej walizki do odprawy

celnej i weszła do terminalu jak we śnie. Zamierzała pojechać taksówką do domu w Bolinas. Była zbyt zmęczona, by wsiąść do autobusu, który jechał z lotniska do miasta. Ale jej wzrok padł nagle na postać Elisabeth, która biegła w jej stronę w pośpiechu. Samolot wylądował przed czasem. Nie przyszłoby jej do głowy, że Elisabeth przyjechała tu specjalnie po nią. Była zbyt senna i zmęczona, żeby myśleć przytomnie.

- Cześć. Gdzieś się wybierasz?

Widziała Elisabeth Jak we śnie. Elisabeth obrzuciła ją zaniepokojonym spojrzeniem.

- Dzwonił do mnie Leslie. Powiedział mi, co się stało. Bardzo mi przykro, Coco.

- Tak, mnie też przykro. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Jane miała rację. To nie jest życie dla mnie.

- Dla większości ludzi to byłoby zbyt straszne - powiedziała współczująco Elisabeth. - Leslie bardzo dobrze to rozumie. Kocha cię i nie chce, żebyś cierpiała.

Nie powiedziała tylko, że Leslie płakał, kiedy rozmawiał z nią przez telefon. Był przerażony, bał się, że utracił Coco na zawsze. I kiedy Elisabeth na nią spojrzała, nabrała mocnego przeczucia, że to może być prawda.

- Dlaczego musiało nas to spotkać? - spytała Coco żałośnie. - Przedtem było tak cudownie. Świetnie się bawiliśmy. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa. A Leslie jest najlepszym człowiekiem na świecie.

- Wiem, że tak jest. Ale to, co się stało, jest częścią jego życia. Może dobrze się stało, że mogłaś tego doświadczyć. Teraz już wiesz, w czym rzecz.

Tak, to jej pomoże podjąć właściwą decyzję. Taką, z którą będzie mogła żyć.

- To jest coś, czego nie sposób wytrzymać. - Coco na nowo przeżywała ten moment, kiedy poprzedniego wie-

czoru straciła równowagę i spadała do łodzi głową w dół. Nie mogła się otrząsnąć z tego wspomnienia.

Elisabeth posadziła ją na ławce i kazała czekać. Poszła po samochód i wróciła po paru minutach. Coco wciąż jeszcze wydawała się oszołomiona, gdy bagażowy wstawiał walizki do samochodu.

- A co powiedziała Jane? - spytała markotnie, kiedy odjeżdżały spod lotniska.

Elisabeth na moment odwróciła wzrok od drogi i przeniosła go na Coco.

- Nic jej nie mówiłam. Od ciebie zależy, czy zechcesz jej powiedzieć. Jeśli nie zechcesz, nic nie musi wiedzieć.

Coco kiwnęła głową, wdzięczna Elisabeth za takt i dyskrecję.

- Jeśli przerażają cię ataki paparazzich, to nie znaczy, że coś z tobą nie tak. Każdy normalny człowiek byłby przerażony takim zdarzeniem.

Myślę, że Leslie też bywa przerażony. Po prostu taki jego los. On nie ma wielkiego wyboru w tej sprawie.

Coco znowu kiwnęła głową. Tak właśnie było.

- To straszne, zerwać z takiego powodu z kimś, kogo się kocha - powiedziała, pełna poczucia winy. Kochała go bardzo. Ale nie lubiła życia, jakie musiał prowadzić i tego wszystkiego, co wiązało się z jego sukcesami zawodowymi. Nie chciała odtąd już zawsze się ukrywać, umykać tylnym wyjściem w peruce. Takie życie byłoby zbyt nędzne. A furia, jaką widziała w oczach fotografów wczoraj wieczorem, była najbardziej przerażającą rzeczą, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia. - Bałam się, że nas pozabijają - wyjaśniła, a Elisabeth skinęła głową. Coco znowu zaczęła płakać.

- Leslie też się bał. I czuje się okropnie.

- Wiem - powiedziała łagodnie Coco. - Potem cudownie się mną opiekował.

- Powinam była ci powiedzieć, że jedziemy właśnie do lekarza.

- Nie chcę. Chcę do domu - zaprotestowała Coco. Była krańcowo wyczerpana.

- Leslie powiedział mi, że to konieczne. Unieruchomiono ci rękę bez prześwietlenia. Lekarz bał się zabierać cię z hotelu, bo na zewnątrz stali paparazzi. Dlatego rękę trzeba czym prędzej zbadać i prześwietlić. Coco się zgodziła. Była zbyt zmordowana, żeby wdawać się w dyskusje. Elisabeth miała umówioną wizytę u ortopedy, którego znała. Pojechały na tę wizytę do Laurel Village. Ortopeda potwierdził, że ręka jest złamana i pochwalił sztywny opatrunek założony we Włoszech. Po badaniu założył drugi, wyglądający identycznie. Godzinę później były już w drodze na wybrzeże.

- Nie musisz odwozić mnie do domu - szepnęła żałośnie Coco. Elisabeth uśmiechnęła się do niej.

- Mogłabym wysłać cię tam spacerkiem. Albo autostopem. Ale mam ochotę się przewietrzyć.

Coco uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu godzin.

- Jesteś dla mnie taka dobra. Dziękuję - powiedziała cicho, a potem dodała: - Jak się miewa wasze dziecko?

- Rośnie. Jest co dzień większe. Jane wygląda świetnie, ale zdaje się, że to dziecko będzie wyjątkowo duże.

Jane była w siódmym miesiącu. Ale Coco nie bardzo się paliła do tego, żeby ją zobaczyć. Jane od razu by zauważyła, że coś okropnego zdarzyło się w czasie pobytu w Wenecji. A Coco nie miała ochoty z nią o tym rozmawiać. Mogła rozmawiać tylko z Elisabeth. Elisabeth była teraz dla niej kimś w rodzaju starszej siostry, takiej, o jakiej zawsze marzyła i jakiej nigdy nie miała.

Zasnęła w samochodzie w drodze na wybrzeże i Elisabeth obudziła ją delikatnie, kiedy zaparkowała przed jej domkiem. Coco rozejrzała się i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Popatrzyła smutno na swój dom. Kiedy się budziła, przez chwilę wydawało jej się, że jest jeszcze z Leslie'em w Wenecji. Ale nic podobnego. Chyba po raz pierwszy w życiu nie ucieszyła się, że wraca do Bolinas. A jednocześnie była przekonana, że ta miłość nie ma przyszłości. Była to dla niej skrajnie trudna sytuacja.

- Chodźmy. Pomogę ci.

Elisabeth wyjęła walizki z bagażnika, a Coco otworzyła drzwi. Nie zatrzymały się przy Broadwayu, żeby zabrać Sallie, ale Elisabeth powiedziała, że to nic pilnego, Sallie może u nich zostać jeszcze nawet przez kilka dni. Coco i tak będzie dość trudno zająć się sobą ze złamaną ręką. Elisabeth powiedziała Jane tylko tyle, że Coco miała we Włoszech mały wypadek i złamała rękę w nadgarstku.

- Dziękuję, że po mnie przyjechałaś - powiedziała Coco i uściskała ją. - Na lotnisku nie mogłam się pozbierać. Jeszcze teraz jestem w rozsypce.

- Musisz się po prostu dobrze wyspać. Jutro będzie lepiej. I nie próbuj od razu rozwiązać wszystkich problemów. Z czasem na pewno będziesz wiedziała, jak to zrobić.

Coco kiwnęła głową i Elisabeth odjechała. Coco weszła do sypialni i przebrała się w swoją starą, nieco spraną piżamę. W Bolinas była piąta po południu, a w Wenecji druga w nocy. Chciało jej się spać i nic więcej. Nie była nawet głodna. Uważała, że jest za późno, żeby zadzwonić do Leskiego. Zresztą i tak by nie zadzwoniła. Nie wiedziałyby, co mu powiedzieć. Elisabeth ma rację, pomyślała, i weszła pod kołdrę. Potem wszystko się jakoś ułożyło. Teraz chciała tylko zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło, i zapaść w sen.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Leslie zadzwonił do Coco nazajutrz po jej powrocie. Chciał wiedzieć, jak się czuje i co z jej złamaną ręką. Nie powiedział jej tego, ale dzwonił do Elisabeth już po tym, jak odwiozła Coco do domu. U niego dochodziła wtedy czwarta rano. Elisabeth powiedziała mu, że byli u lekarza, który zrobił prześwietlenie i założył nowy usztywniający opatrunek.

Powiedziała też, że Coco wydawała się nieprzytomna ze zmęczenia i strasznie przygnębiona, ale poza tym nic jej nie dolegało. Powiedziała, że powinien dać jej spokój, cierpliwie czekać, aż kurz opadnie. Ale on chciał powiedzieć Coco, że o niej pamięta, więc zadzwonił do niej nazajutrz ze swojego kontenera na planie filmowym. Powiedział, że bardzo za nią tęskni, i znowu przeproszał ją za to, co się stało.

- To przecież nie twoja wina - próbowała go pocieszyć. Ale on wyczuł w jej głosie jakiś nowy ton, jakby naprawdę już się z nim pożegnała na zawsze.

- Jak idą zdjęcia? - dodała, żeby zmienić temat.

Po podróży samolotem czuła się bardzo źle, ale teraz było już lepiej. Erin nie mogła jej zastąpić tego dnia, a Coco nie chciała zawieść swoich klientów. Lekarz pozwolił jej

pójść do pracy, jeśli będzie się czuła na siłach, choć tego nie zalecał.

- Dzisiaj nieźle. Madison wczoraj nie umiała roli ani w ząb. Ale ja też się ciągle myliłem, więc byliśmy sobie warci.

Po wyjeździe Coco po prostu nie mógł się skoncentrować. Wszystkie jego myśli i uczucia zostały przy niej.

- Nadal mam nadzieję, że skończymy do Święta Dziękczynienia - dodał. Wtedy minie siedem tygodni od jego przyjazdu do Wenecji. Chciałby po powrocie przyjechać i zobaczyć się z nią, ale nie ośmielił się o tym wspomnieć. Poznawał po jej głosie, jak bardzo jest jeszcze przejęta. On też dotąd nie przyszedł do siebie. Ich zdjęcia ukazały się we wszystkich europejskich gazetach. Wyszedł na nich jak wariat, bo zrobiono je, kiedy chciał jej bronić. Ona na tych fotografiach była zdumiona i przerażona. Ukazało się nawet zdjęcie, na którym spadała do łodzi głową w dół. Nie mógł spokojnie patrzeć na te fotografie. Przez to wszystko tęsknił jeszcze bardziej. I tęsknił beznadziejnie także wtedy, kiedy z nią rozmawiał.

- Postaraj się o tym nie myśleć, przynajmniej przez kilka dni. To był dla ciebie piekielny wstrząs.

Przypuszczał, że skutki tego wstrząsu nie znikną od razu i mogą przeistoczyć się w trwały uraz.

- Czuje się dobrze - odparła drewnianym głosem. Rozmowa z nim rozdzierała jej serce. Po powrocie z Włoch kochała go bardziej niż kiedykolwiek, ale atak reporterów przekonał ją, że nie stać jej na dzielenie z nim takiego życia, jakie prowadził. Nie mogłaby żyć w ten sposób.

-Właśnie jadę do pracy - dodała, mijając most. Ich spotkanie w Wenecji wydawało jej się teraz zdarzeniem z jakiegoś innego życia.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała ochotę pogadać - powiedział smutno. - Bo nie chcę ci się narzucać.

Powinien był zostawić jej trochę czasu, żeby odsapnęła. Elisabeth powiedziała mu, że tak będzie lepiej. Bo wstrząs był bardzo głęboki.

- Dzięki.

Skreśliła w Pacific Heights. Żałowała, że nie mogą być znowu razem w domu Jane. Nie chciała, żeby to się tak skończyło. Gdyby to było możliwe, wolałaby wrócić do początków.

- Kocham cię - szepnęła.

Nie widziała żadnej możliwości, żeby ten związek mógł przetrwać, oprócz tej jednej: musiałyby zgodzić się na to straszne i szalone życie, które było jego udziałem. Nie mogła. Nie potrafiła mu o tym powiedzieć. Ale on sam to zrozumiał.

- Ja też cię kocham - powiedział tylko.

Zamierzała odebrać Sallie, zanim pojedzie po inne psy. Jane otworzyła jej drzwi i wyraziła współczucie z powodu złamanej ręki. Coco uśmiechnęła się na jej widok. Jane była bardzo gruba.

- Powiększasz się w oczach - zauważyła, a Jane pogłaskała się obiema rękami po brzuchu. Nosila obcisłe trykotowe spodnie i luźny sweter.

Wyglądała ładniej niż kiedykolwiek i w twarzy miała łagodność.

- Jeszcze trzy miesiące - powiedziała. Chyba trochę się bała porodu. - Nie do wiary.

Często jeździły z Liz do Los Angeles, żeby doglądać montażu. Ale Liz zapewniała, że film będzie gotowy do Święta Dziękczynienia. Tym lepiej. Zostaną dwa miesiące, żeby Jane mogła przygotować się do macierzyństwa.

- Przyjedziecie z Leslie'em do mamy na Święto Dziękczynienia? - spytała prosto z mostu. Coco potrząsnęła głową.

- Przyjadę sama. On będzie wtedy w Nowym Jorku ze swoją córeczką. Coco nie chciała rozwijać tego tematu, więc szybko przerzuciła się na inny.

- Poznałaś Gabriela? Jaki on jest?

Pamiętała, że Jane i Liz miały być u matki na obiedzie razem z Gabrielem, a potem już nie rozmawiały ze sobą. Jane się roześmiała.

- Jest młody. Mój Boże, jaki młody. A mama zachowuje się, jakby jej się wydawało, że jest szesnastolatką. To trochę denerwujące, prawdę mówiąc. On jest bardzo porządnym facetem, jak sędzę. Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy, żeby się związać z kobietą w jej wieku. To nie może potrwać długo. Ale na razie dobrze się ze sobą bawią. -Coco nie wierzyła własnym oczom, widząc, że Jane mówi

o tym na zupełnym luzie. Spodziewała się raczej zobaczyć ją szalejącą z wściekłości. Ale wyglądało na to, że nie bardzo się tym wszystkim przejmuje. - Myślę, że każdy ma prawo do chwili szaleństwa. Każdemu wolno zrobić ze swoim życiem, co mu się podoba, bez oglądania się na opinie innych. A jak było we Włoszech?

Coco zadrżała, słysząc to pytanie. Ale była na nie przygotowana.

- Wspaniale - powiedziała z szerokim uśmiechem,

1 modliła się, żeby jej przenikliwa siostra nie zobaczyła tego, co próbowała pokryć uśmiechem. - Oprócz tego, że złamałam rękę.

- Straszny pech. Ale na szczęście to lewa ręka.

Jane nie spytała o Leslie'ego. Gdy Coco parę minut później wsiadała z Sallie do furgonetki, zastanawiała się, czy Jane zmiękła również na jego punkcie. Przez cały czas tej rozmowy Jane głaskała swój brzuch, tak jak to robią wszystkie ciężarne kobiety. Może coś się w niej zmieniło? Na

Święto Dziękczynienia miały się spotkać w Los Angeles, i Coco żywiła nadzieję, że do tego czasu przestanie czuć się tak, jakby jej życie już się kończyło. Przeszła przez coś takiego po śmierci Iana. I przetrwała. Teraz też przetrwa.

Pojechała po największe psy, potem po mniejsze. W kolejnych dniach codziennie robiła to, co zawsze, i o niczym nie zapominała. Ale myślami wciąż była nieobecna. Każdego popołudnia wracała do Bolinas, lecz czuła się tak, jakby coś w niej umarło. Leslie nie zadzwonił przez następne trzy tygodnie. I ona także do niego nie dzwoniła. On nie chciał wywierać presji, ona próbowała sama uporać się z tą sprawą i wiedziała, że najlepszy sposób to nie rozmawiać z nim nigdy więcej. Nie chciała słyszeć jego głosu, bo wiedziała, że kiedy go usłyszy, nie zdoła stłumić miłości.

Z nikim o tym nie rozmawiała aż do wyjazdu do Los Angeles na Święto Dziękczynienia. Było to trzy tygodnie po powrocie z Wenecji. Zostawiła Sallie pod opieką Erin. Zamierzała wrócić po dwóch dniach. Elisabeth zaprosiła ją na nocleg do ich wynajętego mieszkania. A świąteczną kolację miały zjeść w towarzystwie Gabriela. Coco spotka go wtedy po raz pierwszy, jeśli nie liczyć spojrzenia, które rzuciła na niego kiedyś w Hotelu Bel-Air, kiedy to zobaczyła go razem z Florence.

Elisabeth odebrała ją z lotniska w Los Angeles i zawiozła do ich mieszkania, gdzie czekała Jane. Było to w przeddzień Święta Dziękczynienia, zamierzały na spokojnie zjeść kolację tylko we trzy. Elisabeth nie spytała o Leslie'ego, a Coco o nim nie wspomniała.

Zastanawiała się, czy zdążył na Święto Dziękczynienia do Nowego Jorku, by spędzić je z Chloe i jej matką. Nie dzwonił, więc nie miała pojęcia, czy w ogóle opuścił Wenecję. Pomyślała, że lepiej się nad tym nie zastanawiać. Niech sprawy toczą się własnym trybem, wtedy będzie łatwiej zapomnieć. Kości zostały rzuco-

ne ostatniego wieczoru jej wizyty w Wenecji, decyzja była już podjęta. On zrozumiał to z jej milczenia, ona po jego milczeniu poznała, że zrozumiał. Kochała go wciąż jeszcze i on ją kochał, ale nie miała już wątpliwości. Ta miłość nie była możliwa.

Gdy Elisabeth przywiozła Coco z lotniska, Jane wylegiwała się na kanapie. Pomachała im ręką, gdy tylko weszły. Wyglądała jak ogromna foka, z tą tylko różnicą, że zamiast płetw miała ręce i nogi. Coco uśmiechnęła się, kiedy Jane wstała z kanapy, żeby ją uściskać.

- O Jezu, jaka się zrobiłaś wielka!

Wydawało się, że brzuch Jane podwoił swoją objętość w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Jeśli to miał być komplement, to dziękuję - uśmiechnęła się Jane. - A jeśli nie, to się odwal. Spróbowałabyś pochodzić z takim ciężarem! -

Coco omal nie skrzywiła się boleśnie, kiedy to usłyszała. Pożegnała się już z myślą

o małżeństwie i dzieciach, ale słysząc te słowa, od razu pomyślała o Leslie'em. - Strach pomyśleć, jakiej wielkości będzie to dziecko za dwa miesiące. Boję się jak cholera.

Rozmawiały i śmiały się przez cały wieczór. Elisabeth

1 Jane skończyły już pracę nad filmem. W przyszłym tygodniu zamierzały na dobre wrócić do San Francisco. W czasie kolacji, kiedy butelka dobrego wina była już do połowy pusta, Jane nagle zwróciła się do Coco z pytaniem, jaki właściwie jest Leslie. Nagle uprzytomniła sobie, że Coco nie wspomniała o nim ani razu.

- Jest fajnym facetem - powiedziała Coco, zbierając się w sobie, by stawić czoło temu, co będzie dalej. Spojrzała szybko na Liz, która najwyraźniej nie powiedziała Jane ani słowa, za co Coco była jej bardzo wdzięczna.

Potrzebowała tych trzech tygodni, które minęły od jej powrotu, żeby ułożyć sobie to w głowie, zanim Jane zapyta.

- Wszystko w porządku między wami? - spytała Jane, ściągając brwi.
- Tak naprawdę to nie. Między nami nic nie jest w porządku. Rozstaliśmy się. Miałaś rację. Mielśmy kilka pomniejszych zatargów z prasą, a ostatniego wieczoru przed moim wyjazdem paparazzi urządzili na nas zasadzkę. I tak jak to przewidziałaś - ciągnęła ze stoickim spokojem - złamałam się jak scyzoryk. Byłam śmiertelnie przerażona. Wyszłam z tego z siedmioma szwami na dłoni i złamanym nadgarstkiem, i pomyślałam, że mam dość. Nie potrafię żyć w ten sposób. Więc znowu jestem samotna. Kiedy skończyła mówić, zapadła długa cisza. Czekwała na kanonadę odzywek w rodzaju: „A nie mówiłam?”, ale Jane nie powiedziała nic takiego. Pochyliła się zamiast tego i dotknęła usztywniającego opatrunku na jej ręce. Szwy były już zdjęte, rana na ręce prawie się zagoiła. Została tylko wąska blizna. Zupełnie inaczej wyglądały rany w sercu. Coco poczuła, że jej serce znowu zadrzało.
- Paparazzi złamali ci rękę? - spytała Jane z niedowierzaniem. Była zdumiona i pełna współczucia.
- Nikt nie zrobił tego umyślnie. Wysiadałam z gondoli przed hotelem Gritti. Jeden z nich złapał mnie za kostkę u nogi i pociągnął. Wpadłam z powrotem do łodzi, a kiedy próbowałam czegoś się złapać, żeby ratować się przed upadkiem, rozciąłam sobie rękę i złamałam nadgarstek. Zastawili na nas tę zasadzkę, kiedy wychodziliśmy z restauracji w bocznej uliczce. Pchali się wszyscy naraz, rzucili mnie na ścianę. Udało nam się przedrzeć do łodzi, ale paru wskoczyło do niej przed nami. Omal jej nie przewrócili. Było ich ze trzydziestu. Ścigali nas trzema łodziami motorowymi, a potem nie pozwalali wyjść na nabrzeże. Było naprawdę nieprzyjemnie.
- W czym miałam rację? Ja nic takiego ci nie mówiłam

wyjąkała Jane w osłupieniu. - Miałam wtedy na myśli zupełnie co innego. Że będą deptać ci po piętach, wtykać nos w twoje osobiste sprawy, a ty jesteś przywiązana do swojej prywatności i sądziłam, że tego nie zniesiesz. Nigdy nie pomyślałam, że tkną cię choćby palcem. Że będą cię rzucać na ścianę, przewracać, kaleczyć i łamać ci kości. A gdzie był Leslie, kiedy to się działo?

Chciała wiedzieć, czy Leslie rzucił ją wilkom na pożarcie i zbiegł. Gdyby tak było, rozprawiłaby się z nim od razu przez telefon.

- Był ze mną. Robił, co mógł. Ale oboje mogliśmy niewiele. To się działo w małej uliczce, z początku nie mogliśmy nawet dostać się do łodzi. Była ich trzydziestka, a nas tylko dwoje. To dość okropna historia.

- Mój Boże, po czymś takim ja sama złamałabym się jak scyzoryk. Zerwałaś z nim po tym zdarzeniu?

- Mniej więcej. On wie, co czuję. Nie chcę takiego życia - powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to rzeczowo.

Ale głos jej się załamał, więc Jane od razu wszystko zrozumiała, tak samo jak Liz. Coco kochała go nadal, ale podjęła decyzję o rozstaniu i zamierzała się jej trzymać, niezależnie od tego, jak bardzo będzie jej ciężko. Bo jeśli się z nim zwiąże i przyjdzie jej na stałe znosić taki koszmar, będzie cierpieła jeszcze bardziej. Ale rozstanie z Leslie'em było czymś okropnym. To najcięższa rzecz w całym jej życiu.

- Nikt by nie chciał znosić takiego koszmaru. Leslie musiał czuć się strasznie z tego powodu. - Jane wydawała się osłupiała z przerażenia po tym wszystkim, co usłyszała, i serce jej się krajało, kiedy patrzyła na Coco. Nachyliła się do niej i uścisnęła ją.

- Tak właśnie było, czuł się strasznie. Potem opiekował się mną troskliwie. Kiedy wpadłam do łodzi, wskoczył za mną, wziął mnie na rękę i przedarł się przez ten tłum. Ale

nazajutrz musiałam wymknąć się tylnym wyjściem, w czarnej peruce, pod obstawą czterech ochroniarzy.

- To straszne. Słyszałam o kilku podobnych historiach, odkąd działałam w tej branży. Ale to się nie zdarza często. Zazwyczaj tylko popychają i pstrykają ci zdjęcia przed samym nosem. Dziwię się, że Leslie nie rozszarpał jednego z drugim na strzępy.

- Bał się o mnie. Strasznie krwawiłam.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś po powrocie? - spytała Jane ze smutkiem. Popatrzyła na Liz, ale Liz nie odezwała się ani słowem.

- Byłam zbyt znękana - westchnęła Coco i spojrzała siostrze w oczy. - Bałam się tego, co powiesz. Bo ostrzegałaś mnie od początku. Miałaś rację.

- Nie, nie miałam racji - powiedziała Jane, zakłopotana. - Niepotrzebnie tyle trzaskałam dziobem. Leslie mnie za to zwymyślał, i słusznie. Liz też mnie zwymyślała. Nie wiem, co mnie wtedy ugryzło. Pomyślałam, że chcesz podskoczyć wyżej tyłka. Wydawało mi się, że on zamierza cię zaliczyć i zwinąć żagle. Zawsze, kiedy o tobie myślałam, miałam przed oczami małą dziewczynkę. A on prowadzi światowe życie, jest wielką postacią w Hollywood. Nie mogłam sobie wyobrazić ciebie u jego boku. Ale kochacie się, Coco. A ta sytuacja, która wynikła w Wenecji, nie była normalna. Jeśli pojawi się taka potrzeba, Leslie będzie wynajmował ochroniarzy. Na pewno by o tym pomyślał. Nie możesz zerwać z kimś, kogo kochasz, tylko dlatego, że jest ciężko.

Jane czuła się paskudnie po tym wszystkim, co wygadywała w swoim czasie. I nie chciała, żeby się okazało, że przyczyniła się tym do decyzji o rozstaniu, którą podjęła Coco. Zrozumiała, że Leslie traktuje jej siostrę poważnie, że ją kocha. I widziała, że Coco kocha Leslie'ego.

- Nie jestem stworzona do takich przeżyć - powiedziała Coco. - Zwariowałabym. Bałabym się wychodzić z domu. Bałabym się wypuszczać dzieci, gdybyśmy mieli dzieci. Jeśli niebezpieczeństwo wisiałoby nad nami dzień w dzień?

- Ja w takiej sytuacji szukałabym sposobu, żeby chronić dzieci. Ale nie opuściłabym Liz - powiedziała spokojnie Jane. - Kochasz go, Coco. Wiem, że tak jest. Szkoda by było się poddać.

- Taki los. Tamtej nocy któreś z nas mogło zginąć. A potem zaczęły mi się przypominać straszne historie, które tata opowiadał o swoich klientach. Nigdy nie chciałam, żeby spotkało mnie coś takiego. I dalej nie chcę. - Kiedy to mówiła, łzy spłynęły po jej policzkach. Otarła je. - Leslie nie ma wyboru. On musi godzić się na takie życie. Ale ja nie potrafię. Skończyła mówić i spojrzała na siostrę martwym wzrokiem.

- Po tym, co się stało, jestem pewna, że Leslie by nie pozwolił, żeby taka rzecz się powtórzyła. - Jane próbowała dodać jej odwagi.

Coco nie odpowiedziała. Spuściła wzrok i wpatrywała się w talerz. Wreszcie spojrzała znowu na siostrę i potrząsnęła głową.

- Za bardzo się boję - powiedziała ze smutkiem.

Jane położyła dłoń na ręce siostry. Liz była dumna z Jane. Pochwalała wszystko, co tego wieczoru Jane mówiła i robiła. Włożyła dużo starania w to, żeby przemówić jej do rozumu, i widać było efekty. Zbliżające się narodziny dziecka także zrobiły swoje. W ostatnich tygodniach Jane bardzo złagodniała.

- Czas leczy rany. - Jane nie puszczała dłoni siostry. - Kiedy Leslie wraca?

- Nie wiem. Nie rozmawiałam z nim od trzech tygodni.

Ale chyba właśnie w tych dniach, jeśli zdjęcia się nie opóźniły.

- Nie możesz pozwolić, żeby jakieś sukinsyny rządziły twoim życiem. Nie możesz im oddać wszystkiego.

Ale Coco już pozwoliła i już oddała. I czuła, że nie ma odwrotu. Nie chciała, żeby to się tak skończyło. Ale gdyby została z nim, to po ataku paparazzich bez przerwy bałaby się o życie. Leslie o tym wiedział, dlatego nie nalegał i nie próbował jej przekonywać. Kochał ją na tyle mocno, że pozwolił jej odejść, jeśli tak było dla niej lepiej.

Coco pomogła Liz posprzątać, a Jane usiadła na kanapie i włączyła telewizję.

- Co z nią zrobiłaś? - spytała Coco szeptem, kiedy były w kuchni. - Stała się... ludzka.

Liz się roześmiała.

- Myślę, że to hormony załatwiły sprawę. Dziecko przemieniło ją we współczującą istotę.

- Jestem pod wrażeniem.

Coco włożyła ostatni talerz do zmywarki i wróciła do pokoju, by usiąść na kanapie obok Jane. Nie rozmawiały już więcej o zasadzce w Wenecji, a wkrótce potem położyły się spać. Nazajutrz miały pojechać na świąteczny obiad do matki, tradycyjnie przybierający formę zbliżoną do oficjalnej uroczystości. Ale, jak powiedziała Jane z porozumiewawczym uśmiechem, tym razem ozdobą obiadu u Florence będzie jej książkę.

W Święto Dziękczynienia wszystkie wstały późno. O pierwszej pojechały samochodem do rezydencji Florence w Bel-Air. Jane miała na sobie jedyną sukienkę, w którą jeszcze mogła się wcisnąć. Sukienka była uszyta z bładoniebieskiego jedwabiu i bardzo dobrze wyglądała z jasnymi włosami Jane. Coco włożyła białą wełnianą sukienkę,

kupioną na wyjazd do Włoch, a Liz czarny żakiet ze spodniami.

Drzwi otworzyła im Florence w różowym kostiumiku Chanel, który wyglądał na niej nadzwyczaj efektownie. Gdy witały się uściskami i pocałunkami w holu przy wejściu, zbliżył się do nich przystojny młody mężczyzna w szarej klubowej marynarce i krawacie od Hermesa.

- Cześć, Gabrielu - powiedziała Coco z przyjaznym uśmiechem i podała mu rękę.

Z początku wydawał się niepewny siebie, ale kiedy usiedli w salonie, pod ogromnym portretem Florence w sukni balowej i diamentach, namalowanym już parę lat temu, wszyscy się rozluźnili i zaczęli się dobrze bawić.

Liz i Gabriel rozmawiali o filmach. Wkrótce miał zacząć nowy film i, jak twierdził, pomoc Florence w pracach nad scenariuszem była po prostu nieoceniona. Florence skończyła właśnie pisać nową książkę. A Jane była przejęta filmem, który kręciły w nowym Jorku. To przypomniało Coco dawne czasy, kiedy żył ojciec i wszyscy w domu rozmawiali o książkach, filmach, nowych klientach, starych klientach, o gwiazdach kina, które wciąż przewijały się przez ich salon, i o sławnych pisarzach. W takiej atmosferze dorastała i dobrze się w niej czuła. Przy obiedzie zaskoczyła wszystkich, gdy powiedziała, że myśli o powrocie na uczelnię.

- Na studia prawnicze? - spytała matka.

- Nie, mamó - uśmiechnęła się do niej Coco. - Chcę studiować coś zupełnie bezużytecznego, takiego jak historia sztuki. Myślę o zajęciu się konserwacją zabytków. Wydaje mi się, że jestem do tego stworzona, choć wcześniej o tym nie wiedziałam.

Ten pomysł pojawił się w jej głowie w wyniku rozmów, które prowadzili z Leslie'em przed dwoma miesiącami,

i odtąd jej nie opuszczał. Kiedy zobaczyła Wenecję i Florencję, podjęła decyzję. - Nie mogę spędzić całego życia na wyprowadzaniu psów na spacer - dodała cicho. Matka i siostra się uśmiechnęły.

- Zawsze interesowałaś się historią sztuki - zauważyła matka bez przygany.

Ku zdumieniu Coco, tym razem nikt jej nie skrytykował. Nikt jej nie mówił, jakie ma wady i jakie głupie są jej pomysły. Już poprzedniego wieczoru, kiedy rozmawiała przy stole z Jane, poczuła, że coś się zmieniło. Coco nie była pewna, czy to w niej zaszła ta zmiana, czy w nich. Każda z nich wybrała inny sposób życia. Liz i Jane oczekiwały dziecka. Matka miała romans z mężczyzną o wiele młodszym od siebie. A Coco właśnie porzuciła miłość swojego życia. Uderzyło ją nagle, że wszyscy obecni prowadzą własne życie, tylko ona jedna go nie ma. Poczowała, że tkwi w miejscu od czterech lat. Może właśnie nadszedł czas, żeby ruszyć do przodu. Najwyraźniej była już na to gotowa, nawet jeśli zrobi to bez Leslie'ego. Tak, z nim czy bez niego, potrzebowała własnego życia. Zbłąkana czarna owca powróciła na wspólne pastwisko, lecz po raz pierwszy wszyscy byli dla niej tak uprzejmi, że nikt tego nie powiedział głośno.

Przy stole Coco siedziała obok Gabriela. Rozmawiali o polityce, sztuce i literaturze, i było to bardzo ciekawe. Gabriel nie był w typie facetów, którzy jej się podobali. Trochę za bardzo nasiąkł Hollywoodem, o wiele bardziej niż Leslie, który temu stylowi nie ulegał. Gabriel był świa-towcem i trochę się popisował, ale nie był głupi i wobec jej matki nadzwyczaj troskliwy. Florence wyraźnie rozkwitała w ciepłe jego uczucie, wydawała się promienna i młoda. W przyszłym tygodniu wybierali się na wystawę sztuki do Miami, a po Bożym Narodzeniu na narty do Aspen. Obej-

rzeli wszystkie filmy i sztuki teatralne bieżącego sezonu. Zabrał ją na występy baletu i na koncert symfoniczny. W ciągu ostatniego półrocza dwa razy byli w Nowym Jorku i obejrzelili wszystkie najważniejsze sztuki grane na Broadwayu. Było to oczywiste, że ich matka świetnie się przy nim bawi, i nawet jeśli szokował je wiek Gabriela, w drodze do domu Jane i Coco zgodziły się, że nic mu nie można zarzucić.

- To trochę tak, jakbyśmy miały brata - zauważyła Coco. Jane się roześmiała. Rozmawiał z nią o dzieciach, bo sam miał dziecko, dwuletnie. Rozwiódł się przed rokiem. Twierdził, że jego małżeństwo było wielką pomyłką. Ale cieszył się, że ma dziecko, tym bardziej że z Florence nie jest to możliwe.

- Naprawdę wierzysz, że ona za niego wyjdzie? - spytała Coco z niedowierzaniem.

- Zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy, zwłaszcza w tej rodzinie - powiedziała Jane, i zabrzmiało to trochę w jej starym stylu, ale znacznie weselej. Rzeczywiście trochę złagodniała, a może nawet bardzo. - Ale jeśli mam być szczerą, to liczę na to, że do tego nie dojdzie. Na co matce w tym wieku małżeństwo? Po co robić tyle zamieszania? Jeśli przestanie im się układać, odpadnie problem rozwodu...

- Może jej to potrzebne, żeby się lepiej poczuć - powiedziała z namysłem Coco. - Ale jak ona będzie sobie radzić z dwuletnim dzieckiem?

Gabriel był do tego dziecka bardzo przywiązany.

- Tak samo, jak radziła sobie z nami - zachichotała Jane. - Wynajmie nianię.

Roześmiały się wszystkie trzy.

Rozmawiały znowu przez cały wieczór, a nazajutrz Coco wróciła do San Francisco. Namawiały ją, by została

u nich jeszcze przez weekend, ale chciała już być z powrotem w domu. Wciąż jeszcze dość marnie się czuła.

Przed samym wyjazdem Jane znowu zaczęła mówić o Leslie'em.

- Nie rezygnuj zbyt łatwo - powiedziała cicho, gdy Coco kończyła się pakować. Na podróż włożyła stary sweter i džinsy. Przez to znowu wyglądała jak dziewczynka, ale do Jane już dotarło, że nią nie jest. - Leslie jest świetnym facetem i kocha cię. Przecież to wszystko nie stało się z jego winy. On też musiał być przerażony. Na pewno nie chciał, żeby cię spotkała krzywda. To zdarzenie było koszmarem dla was obojga.

- Właśnie. Kto potrafi to znieść?

- To się już nie powtórzy, Leslie na to nie pozwoli. To był dla niego dzwonek alarmowy. Tutaj, w Los Angeles, każdy jest trochę zwariowany. Jestem naprawdę szczęśliwa, że wracamy do San Francisco. W Los Angeles życie jest ciekawsze, ale to nie miejsce dla dziecka. Każdy popisuje się, ile wlezie. Prawdziwe wartości wydają się nie na miejscu. Z dzieckiem nie odważyłabym się tu zamieszkać.

- Właśnie. A popatrz, jak łatwo przykleja się tu ludziom etykiety. Ja jestem hipiską, a ty lesbijką.

Jane roześmiała się i uścisnęła ją.

- Ty już nie jesteś hipiską. Może nawet nigdy nią nie byłaś. I cieszę się, że zamierzasz wrócić na uczelnię. Gdybyś zamieszkała razem z nim w Los Angeles, mogłabyś zapisać się na Uniwersytet Kalifornijski - powiedziała rzeczowo, ale zobaczyła popłoch w oczach Coco, więc się wycofała.

Miała nadzieję, że Coco się opamięta i nie zerwie z Leslie'em na zawsze. Gdyby tak się stało, byłoby jej żal obydwójga. I naprawdę żałowała, że Coco już wyjeżdża. Spędziły razem wspaniałe Święto Dziękczynienia, do którego Gabriel był dość przyjemnym dodatkiem. Obiecał

zresztą, że na Boże Narodzenie przyjadą z Florence do San Francisco i przywiozą ze sobą jego córeczkę. Zamierzali zatrzymać się w hotelu Ritz Carlton.

O tym wszystkim Coco rozmyślała, lecąc do San Francisco. Zostawiła furgonetkę na parkingu przy lotnisku i z przyjemnością wracała nią do Bolinas. Była wciąż jeszcze zbyt rozbita z powodu rozstania z Leslie'em, i dlatego potrzebowała trochę samotności. Musiałam mieć czas dla siebie, żeby przeżyć swój smutek. Doceniła zmianę w podejściu Jane do ich związku, ale po tym, co zaszło w Wenecji, wiedziała lepiej niż inni, że nie będzie mogła z nim zostać. Co innego być dziewczyną gwiazdora, a co innego przeżyć atak trzydziestu ludzi, którzy omal ich nie pozabijali. Nie mogła zapomnieć przerażenia, jakie przeżyła, kiedy otoczyli ich w tej bocznej uliczce, a zwłaszcza potem, kiedy spadła do łodzi.

Otworzyła sobie drzwi, weszła do środka i rozejrzała się. Wszystko tu było bezpieczne, znajome, jakby wróciła do domu lat dziecinnych. Na zewnątrz było chłodno. Położyła się na tarasie, na leżaku, zawinięta w koc. Lubiła wybrzeże zimą. Patrzyła na rozgwieżdżone niebo i przypominały jej się chwile, które spędziła tu z Leslie'em. Łza stoczyła się po jej policzku.

Wtedy zadzwonił telefon. Wyłuskała go z kieszeni. Numer się nie wyświetlił, był zastrzeżony.

- Słucham?

- Cześć - po drugiej stronie odezwał się cienki dziecięcy głosik. - Mówi Chloe Baxter. To ty, Coco?

- Tak, to ja - odpowiedziała z uśmiechem. - Jak się masz?

Nie wiedziała, czy Leslie jest z nią. Czy zdążyli zakończyć zdjęcia przed Świętem Dziękczynienia. Może to był wybieg z jego strony? Ale jeśli nawet tak, nie miało to zna-

czenia. Cieszyła się, że rozmawia z Chloe. - Jak się sprawują misie?

- W porządku. I ja też. Miałaś indyka?

- Jasne. Zjadłyśmy go z moją mamą i siostrą w Los Angeles.

- Jesteś w Los Angeles?

- Nie, jestem już na wybrzeżu. Leżę na tarasie i oglądam gwiazdy.

Gdybyś tu była, mogłybyśmy upiec pianki cukrowe.

- Mniam, mniam - powiedziała Chloe i zachichotała.

- A twój tatuś przyjechał do was na Święto Dziękczynienia? - Coco nie mogła się powstrzymać od tego pytania, choć nie chciała ciągnąć Chloe za język. Nie przypuszczała, żeby Leslie stał teraz nad swoją córeczką ani nawet wiedział o tym telefonie. Chloe była bardzo samodzielna, robiła, co chciała, a nie to, co ktoś jej podpowiadał.

- Tak - westchnęła Chloe. - Przywiózł mi z Włoch sukienkę. Śliczną. Ale dziś wieczorem odleciał do Los Angeles.

- A...

Coco nie wiedziała, co powiedzieć. Zapadła cisza, którą przerwała Chloe.

- Mówił, że bardzo za tobą tęskni.

- Ja też za nim tęsknię. Powiedział ci, żebyś do mnie zadzwoniła?

- Nie. I zgubiłam twój numer. Znalazłam go w jego komputerze, ale on o tym nie wie.

Słyszając to, Coco się uśmiechnęła. To było tak bardzo w stylu Chloe.

- Mówi, że masz go dość, bo napadli was źli ludzie i zrobili ci krzywdę.

Mówił, że tak cię popchnęli, że złamałaś nadgarstek. To musiało strasznie boleć.

- Bolało - przyznała Coco. - Było okropnie.

- Wiem, tatuś mi mówił. Powiedział, że próbował ich powstrzymać, ale bez skutku. A teraz jest mu bardzo smutno, bo nie chcesz go znać. Ja też za tobą tęsknię, Coco.

- Ja też za tobą tęsknię, Chloe. I jest mi bardzo smutno -jej oczy znowu wypełniły się łzami.

- Proszę cię, nie gniewaj się na niego - powiedziała Chloe żałośnie. - Chciałabym cię odwiedzić w czasie zimowych ferii. Na Boże Narodzenie pojedę do tatusia, do Los Angeles. A ty tam będziesz?

- Będę u mojej siostry w San Francisco. Moja siostra nie będzie mogła już wtedy podróżować z powodu zaawansowanej ciąży. Więc wszyscy spotkamy się u niej.

- Moglibyśmy do ciebie przyjechać - oznajmiła rzeczowo Chloe. - Jeśli nas zaprosisz. Odwiedzilibyśmy cię w tym domku na wybrzeżu. Bardzo bym chciała.

- Ja też. Ale teraz to się stało trochę skomplikowane. Ostatnio nie widuję twojego taty.

- A gdyby do ciebie zadzwonił? - spytała Chloe z nadzieją. - On teraz będzie mieszkał w swoim domu w Los Angeles.

- Może - odparła Coco niezobowiązująco. Lecz wzruszył ją telefon Chloe. Naprawdę tęskniła za dziewczynką.

- Mam nadzieję, że się spotkamy. Teraz muszę iść do łóżka, mama już mnie woła.

Chloe ziewnęła.

- Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś. - Coco się uśmiechnęła. Naprawdę była wdzięczna. To było prawie tak, jakby odezwał się do niej Leslie.

- Tata mówił mi, że nie może do ciebie zadzwonić, bo się na niego gniewasz. Więc sama spróbowałam...

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Kocham cię, Chloe. Przyjmij najlepsze życzenia świąteczne.

Chloe zagulgotała jak indyk, a Coco znowu się uśmiech-

nęła. Miała do czynienia z doskonałą mieszanką dorosłości i dziecinności. Chloe właśnie skończyła siedem lat.

- Wszystkiego najlepszego. Śpij dobrze.

I rozłączyły się. Coco została na tarasie. Trzymając w dłoni telefon, patrzyła w niebo, zastanawiając się, czy rozmowa z Chloe jest znakiem jakiejś zmiany w jej życiu. Chyba nie. Ale tak czy inaczej, była to przemiła rozmowa. Siedziała na tarasie jeszcze przez długi czas, myśląc o Chloe.

ROZDZIAŁ

DZIEWIĘTNASTY

Leslie nie zadzwonił do niej po przyjeździe do Los Angeles. On także, podobnie jak Coco, przeżywał traumę po tym, co się zdarzyło w Wenecji. Kochał Coco tak bardzo, że nie chciał, żeby dla niego ryzykowała.

Wiedział, jakiego doznała urazu, gdy przed laty grożono jej ojcu i przez jak długi czas miewała potem złe sny. Nie mógł od niej żądać, by się zgodziła już na zawsze wyrzec poczucia bezpieczeństwa. Ale serce nie przestawało go boleć ani na chwilę. Potrafił myśleć tylko o niej.

Coco też do niego nie zadzwoniła. Dzień w dzień wyrzucała sobie tchórzostwo. Wciąż czuła ból, a myśl, że spędzi resztę życia bez niego, była nie do zniesienia. Ale niebezpieczeństwa, które zawisły nad ich wspólnym życiem, wydawały się jeszcze gorsze. Chciała być z nim, ale pragnęła żyć normalnie. Nie w nieustającym szaleństwie, nie w horrorze, jakiego doświadczyli w Wenecji.

Zapadła więc między nimi głucha cisza. Ale też nie było nic więcej do powiedzenia. To, że się kochali, już nie wystarczało. Nie ochroniło ich to bowiem przed niebezpieczeństwami płynącymi z jego medialnej sławy. Ich drogi życiowe nie biegły w tym samym kierunku, po cóż więc

powiększać cierpienia przez niepotrzebne rozmowy. Coco wiedziała, że nie musi mu tego tłumaczyć. Podczas ostatniej rozmowy, nazajutrz po jej powrocie do domu, powiedzieli już sobie wszystko. Wiedziała, że on rozumie jej obawy. Teraz pragnęła tylko jednego - zapomnieć. Ale uczucia nie chciały wygasnąć. I liczyła się z tym, że pozostaną żywe przez długi czas. Być może na zawsze. Podobnie jak ból po stracie. Pewnego wieczoru natknęła się na Jeffa, kiedy wyrzucała śmieci. Wspomniał Lesliego - jaki to fajny facet, ani trochę nienadęty, choć jest wielkim i sławnym aktorem. Powiedział, że bardzo go polubił i wyraził nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkają. Słuchając go, Coco potakująco kiwała głową i robiła co w jej mocy, żeby się nie rozplakać. Miała za sobą zły dzień. Ale ostatnio żaden nie był lepszy. Bała się nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Bez niego będzie bardzo samotna. Bo umawiali się kiedyś, że spędzą te święta razem. Teraz on będzie z Chloe w Los Angeles, a ona spotka się z matką, siostrą i ich partnerami. Nawet dom w Bolinas wydawał jej się teraz nieskończenie smutny. Wszystko w nim wydawało się wyblakłe i zużyte. Wreszcie zdobyła się na to, żeby usunąć z garażu sprzęt do nurkowania, należący do lana. A zdjęcia Leslie'ego schowała do szuflady. Na wierzchu pozostawiła tylko jedno. Było to jego zdjęcie z Chloe. Zrobiła je tego dnia, kiedy wybudowali pierwszy zamek z piasku. Chloe wyglądała na nim prześlicznie i Coco nie potrafiła się z tym zdjęciem rozstać. Chloe już więcej nie zadzwoniła. Coco myślała o tym, żeby wybrać dla niej prezent na gwiazdkę, ale potem uznała, że to by było tak, jakby się narzucała. Musiała zapomnieć o obojgu, mimo że bardzo lubiła Chloe i kochała Leslie'ego.

W wigilię Bożego Narodzenia mijało siedem tygodni od ich ostatniej rozmowy. Starła się tych tygodni nie liczyć, ale w jej umyśle liczyły się same. Dokładnie pięćdziesiąt dni. Była na siebie zła o to, że tak dokładnie wie, ile dni minęło. Ale kiedyś, w przyszłości, nie będzie już tego pamiętać. Będzie wtedy wiedziała jedynie, ile minęło lat.

Zamierzała tego dnia przenocować u Jane. Dawny pokój gościnny na piętrze urządzone już z myślą o dziecku. Jane umieściła ją więc w mniejszym pokoiku w suterenie. Coco wiedziała, że powrót do tego domu będzie dla niej ciężkim przeżyciem. Wszystko tu przypominało jej Leslie'ego i lato, które spędzili razem.

Florence z Gabrielem i jego córeczką przyjechali do San Francisco po południu, prosto do hotelu Ritz Carlton, żeby się rozpakować. Nie zabrali ze sobą niani i Gabriel sam zajmował się dzieckiem. Florence trochę się tego bała, jak wyznała Jane. Z dzieckiem w tym wieku nie miała do czynienia już od bardzo dawna.

- A czego się spodziewałaś, mamó, kiedy się związałaś z młodym człowiekiem? - przekomarzała się z nią Jane, i właśnie się śmiały, kiedy weszła Coco.

Spędzali wigilię razem, jak zawsze, a potem jeszcze pierwszy dzień świąt. Wieczorem się rozjeżdżali. Matka z Gabrielem do Los Angeles, bo następnego dnia po świętach wylatywali na narty do Aspen. A Coco miała pojechać furgonetką na swoje wybrzeże. Ale przez całą dobę byli prawdziwą rodziną, nawet jeśli niezbyt tradycyjną. I prawdę mówiąc, z roku na rok ich rodzina coraz bardziej odbiegała od tradycyjnego wzorca. Teraz Liz i Jane spodziewały się dziecka, a matka miała narzeczonego, który mógłby być jej synem, nie mówiąc już o tym, że ona mogłaby być babcią jego córeczki.

- Teraz już zupełnie nie mieścimy się w standardach

powiedziała Jane, kiedy odprowadzała Coco do jej pokoju. -1 może nigdy się w nich nie mieściliśmy.

Spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy, bo wspomniała dawne czasy, kiedy ojciec jeszcze żył, a one były dziećmi.

- Byłam wtedy o ciebie wściekle zazdrosna - dodała całkiem spokojnie. - Ojciec miał hopla na twoim punkcie. Wiedziałam, że kiedy ty jesteś w pobliżu, nie mam u niego żadnych szans. Byłaś taka mała i taka śliczna. Nawet mama na chwilę straciła dla ciebie głowę. Miała dla nas bardzo mało czasu, za mało, żeby wystarczyło dla nas obu. Mam nadzieję, że moje dzieci nigdy nie będą skazane na takie przeżycia.

- Zawsze wydawało mi się, że to ty jesteś w naszym domu gwiazdą, a dla mnie nie ma już miejsca - wyznała Coco. Mówiła o tym swojej terapeutce już dwa lata temu, ale poczuła się o wiele lepiej, kiedy mogła powiedzieć to bezpośrednio Jane.

- Właśnie z tego powodu byłam wobec ciebie taka ostra. - W głosie Jane zabrzmiało poczucie winy. - Dla mnie samej nie było dość miejsca w naszym domu, a na dodatek zjawiał się ty. Miłości nigdy nie wystarcza dla wszystkich.

- Oboje byli tacy zajęci, tacy ważni - powiedziała z namysłem Coco. - Nie mieli czasu na rodzicielstwo.

- A my nigdy nie dostałyśmy szansy, żeby zaznać dzieciństwa.

Musiałymy być od razu gwiazdami. Ja się dałam w to wpuścić. Ty nie. Ty dałaś im do zrozumienia, że w to nie grasz. Rzuciłaś ręcznik na ring. Przez całe życie usiłowałam zrobić na nich wrażenie. A co komu z tego przyszło? Kogo obchodzi, ile filmów nakręciłam? Dziecko jest od tego wszystkiego ważniejsze - powiedziała, głaszcząc brzuch.

- To brzmi, jakbyś odnalazła swoją drogę - powiedziała

łagodnie Coco i uścisnęła ją. O sobie nie mogłaby tego powiedzieć. One miały partnerów, ona była sama. Opuściła człowieka, którego kochała. - Będziecie miały więcej dzieci? _ spytała po chwili. Bo Jane wspomniała o dzieciach w liczbie mnogiej.

- Być może - uśmiechnęła się Jane. - Zależy od tego, jak się uda za pierwszym razem. Jeśli urodzi się okropny bachor, jakim sama byłam, to będę pewnie żałowała, że nie można go odesłać tam, skąd przybył. Ale ty byłaś grzeczna i miła.

Leslie miał rację. Jane była o nią zazdrosna. I to, o czym teraz mówiły, wydawało się ostatecznym zakończeniem zastarzałej wrogości. Nie musiały więcej współzawodniczyć o uwagę matki. A ojciec już nie żył. Florence była zajęta Gabrielem o wiele bardziej niż nimi. Powiedziała już Jane, że w tym czasie, kiedy ona ma termin porodu, ona i Gabriel będą na wyspach Bahama. Przyjadą zobaczyć niemowlę, kiedy wrócą z wakacji. Ich matka pozostała taka jak zawsze, zmienił się tylko mężczyzna, i w tym wieku nie można już było liczyć na to, że ona się zmieni. Obie już dawno się z tym pogodziły.

- Tak, rozmawialiśmy z Liz o następnym dziecku - powiedziała Jane. - Następnym razem może to być moje jajeczko i nasienie anonimowego dawcy. A Liz będzie matką. Cieszę się, że teraz to ja urodzę dziecko, ale między nami mówiąc, nie lubię być taka gruba. Za dwa miesiące kończę czterdzieści lat. Być starą i jeszcze do tego grubą to za wiele szczęścia naraz. Może mam to po mamie - roześmiała się.

Ich matka mogła uchodzić za wzorzec próżności.

Jane spojrzała na Coco niepewnie i usiadła na łóżku w pokoju gościnnym. Dziecko było już tak duże, że nie mogła zbyt długo stać. I chodziła z największym trudem.

- Jest jakaś nadzieja na to, że będziesz ze mną podczas

porodu? Od dawna chciałam cię o to zapytać, ale wiem, że możesz się nie zgodzić. Będzie ze mną Liz. Ale byłoby wspaniale, gdybyś ty też była. Miała łzy w oczach, kiedy o to poprosiła. Coco, która usiadła na łóżku obok niej, przytuliła się do niej mocno.

- Bardzo chętnie - powiedziała, obejmując siostrę. Było jej przyjemnie, że Jane zależało na jej obecności. Otarła łzę z policzka i roześmiała się.

- Może to moja jedyna szansa, żeby mieć do czynienia z noworodkiem, bo zdaje się, że zostanę starą panną.

- Myślę, że to ci nie grozi w najmniejszym stopniu - uśmiechnęła się Jane.

- Pewnie nie miałaś żadnych wiadomości od Leslie'ego? - dorzuciła z wahaniem.

Coco potrząsnęła głową.

- Nie dzwonił i ja też do niego nie dzwoniłam. W Święto Dziękczynienia odezwała się do mnie Chloe, jego córeczka. Powiedziała mi, że za mną tęskni. A ja tęsknię za nim.

- No to zadzwońże do niego, na miłość boską. Nie marnuj czasu!

- Może spróbuję. Za parę dni.

Jane pomyślała, że Coco tego nie zrobi. Była zbyt przerażona, a przy tym zbyt uparta. Jane była już gotowa sama zadzwonić do Leslie'ego, ale Liz uważała, że nie powinny się wtrącać. To była sprawa między nimi dwójkiem. Mimo że Jane wyskoczyłaby ze skóry, żeby im pomóc.

Wróciły na piętro. Coco uśmiechnęła się, widząc, jak niezgrabnie Jane gramoli się w górę po schodach. Była przejęta zaproszeniem na poród. O tym, że Coco będzie obecna, Jane powiedziała Liz, gdy tylko weszły do kuchni. Liz kończyła właśnie przygotowywać kolację.

- Dzięki Bogu - powiedziała z ulgą. - Nie wiem już nawet, co mam wtedy robić. Chodziłyśmy do szkoły rodzenia, ale wszystko zapomniałam. Tyle tego było.

I uśmiechnęła się do Coco.

Coco podzielała jej obawy, lecz przede wszystkim była przejęta uderzającą zmianą w charakterze Jane. Stosunki między siostrami poprawiły się w niezwykle sposób w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Po latach mniej lub bardziej skrywanej urazy, kiedy każda z nich czuła się przez drugą zraniona i skrzywdzona, zostały przyjaciółkami. To było to, czego Coco pragnęła przez całe życie.

Usiadły przy kuchennym stole i przez chwilę rozmawiały we trójkę. Coco opowiedziała im o historii z syropem klonowym, która zdarzyła się tego ranka, kiedy przyjechał Leslie. Liz dusiła się ze śmiechu a Jane omal nie zemdląca.

- Na szczęście mnie tu nie było, bo bym cię chyba zabiła.

- Wiem. Dlatego nic ci nie powiedziałam. Wszystko pływało w tym syropie, póki Leslie nie umył podłogi.

- Przypomnij mi o tym, kiedy cię znowu poproszę, żebyś popilnowała domu.

Potem Liz i Jane weszły na piętro do siebie, żeby się przebrać, a Coco zeszła na dół, z ulgą, że nie musi patrzeć na sypialnię, którą dzieliła z Leslie'em. Zamierzały potem pokazać jej nowo urządzony pokój dziecienny, ale wiedziała, że do sypialni nawet nie zajrzy. Ból byłby zbyt wielki.

Matka przyszła punktualnie o siódmej, z Gabrielem i jego prześliczną dwuletnią córeczką, ubraną w czerwoną aksamitną sukienkę i z kokardą we włosach, w czarnych lakierkach od Mary Jane. Gabriel sam wybierał dla niej stroje. Przynieśli ze sobą składany kojec, w którym mogli ją też w razie potrzeby położyć, gdyby zrobiła się senna. Była to dziewczynka nadzwyczaj dobrze wychowana. Florence przemawiała do niej tak, jak się mówi do kogoś dorosłego. Coco znowu przypomniła sobie Chloe.

Matka miała na sobie bardzo szykowną czarną suknię

koktajlową, a Gabriel ubrany był w ciemnogrnatowy garnitur. Razem wyglądali świetnie. Coco wzięła na kolana małą Alyson i zaczęła się z nią bawić, podczas gdy Liz przygotowywała martini dla Gabriela i Florence. Wynikła zabawna sytuacja, bo oboje występowali teraz w roli rodziców Coco i Jane. Jak zawsze, kiedy matka była w pobliżu, Coco znowu poczuła się małym dzieckiem. Do niedawna czuła się tak również w obecności Jane, ale to się ostatnio zmieniło.

Jane szepnęła jej w kuchni na ucho, że Gabriel przebiera się za pana po pięćdziesiątce.

- I bardzo dobrze, inaczej wyglądałoby razem śmiesznie - odpowiedziała szeptem Coco - bo mamie wciąż się wydaje, że ma dwadzieścia pięć lat.

- Cholera - powiedziała Jane nieco głośniej. - Ten świat jest pełen wariatów.

- Nasza rodzina przoduje pod tym względem - roześmiała się Coco. - Ty wyszłaś za mąż za kobietę, a mama zakochała się w dzieciaku.

Stały we trójkę przy kuchennym stole, zaśmiewając się, kiedy Florence i Gabriel przyszli po swoje martini. Coco była zadowolona, że może zajmować się córeczką Gabriela. Alyson była urocza. Zafascynowała ją choinka, którą Liz ubrała w salonie. Jane w tym roku nie była w stanie w niczym jej pomagać. Mogła tylko leżeć na kanapie i się przyglądać.

- Nie mogę uwierzyć, że to potrwa jeszcze pięć tygodni. Czuję się, jakbym miała rodzić już dziś wieczorem. Jak tak dalej pójdzie, za parę dni po prostu się rozpekne - powiedziała, wchodząc do salonu, i padła na kanapę.

- Tylko nie zapomnij mnie przedtem wezwać - przypomniała jej Coco, włączona do ekipy porodowej. Ona także nie mogła się już doczekać.

Elisabeth przygotowała wspaniałą świąteczną kolację. Zaczęli od kawioru, potem była pieczeń i kulki z ciasta ptysiowego, zielony groszek z miętą, puree ziemniaczane, sałata i słodkie maślane bułeczki. Stół wyglądał bardzo elegancko, a na deser Liz podała tradycyjny pudding śliwkowy z rumowym sosem. Zanim usiedli do stołu, Alyson zasnęła głębokim snem w swoim kojcu. Była idealnym dzieckiem. Tej nocy miała spać z Gabrielem i Florence w ich pokoju w hotelu Ritz Carlton. Florence powiedziała, że kupiła sobie zatyczki do uszu, na wypadek, gdyby dziewczynka płakała w nocy, ale Gabriel się tylko roześmiał. Jego tolerancja dla dziwactw Florence wydawała się bezgraniczna. Nie odrywał od niej zachwyconego spojrzenia.

Gabriel i Florence wyszli około dziesiątej. Alyson spała słodko w ramionach ojca. Przed domem czekała na nich wynajęta limuzyna. Florence włożyła płowe futro, a Gabriel elegancki kaszmirowy płaszcz. Pożegnali się, dziękując za piękny wieczór. Nazajutrz byli zaproszeni na obiad. Liz i Coco posprzątały kuchnię. Na jutrzejszy obiad miał być indyk. Tego wieczoru Jane nie miała apetytu i prawie nic nie zjadła. Kolacja była wspaniała, ale dziecko zajmowało w jej brzuchu całą przestrzeń. I przez cały czas dokuczała jej zgaga.

- Donosić ciążę nie jest wcale tak łatwo, jak wam się wydaje - narzekała, rozcierając ramiona.

- W łóżku zrobię ci masaż pleców - obiecała Liz.

Była partnerką doskonałą, dlatego Coco powiedziała Jane, że miała szczęście. To, że jej siostra jest lesbijką, nigdy jej nie przeszkadzało. Coco wiedziała o tym od zawsze. Nawet w szkole nie robiła z tego tajemnicy przed koleżankami, bo nie widziała w tym nic niewłaściwego.

- Byłaś wtedy przezabawna - zachichotała Jane, wspominając tamte czasy. - Kiedyś powiedziałaś komuś, że je-

stem leserką, a kiedy cię poprawiłam, okazało się, że w twoim rozumieniu to było to samo.

Była już północ, kiedy poszły do swoich pokoi. Coco leżała w łóżku w małym pokoju gościnnym i wspominała miesiące, które spędziła w tym domu z Leslie'em. Tęskniła za nim i za Chloe. Znowu to ona była kimś, kto nie ma pary. Zastanawiała się, jak Leslie i Chloe spędzają ten wieczór. Wiedziała, że Chloe jest u niego w Los Angeles. Wyobrażała sobie, jak ubierają choinkę. Nie wiedziała, czy spotkają się z przyjaciółmi i w jakim stylu będą świętować -tradycyjnym czy nowoczesnym. Żałowała, że nie może być z nimi. Ale to nie wchodziło w grę. Jej życie stało się znowu łatwe i proste, i tym się pocieszała. Ale stało się też bezgranicznie smutne. Nazajutrz miała wracać sama do swojego domku na wybrzeżu, a Jane i Liz zostaną we dwie. Jej matka miała lecieć z Gabrielem do Los Angeles, a potem razem z nim do Aspen. A ona podjęła decyzję, która w swoim czasie wydawała jej się jedyną sensowną i teraz musiała z nią żyć. Alternatywą byłoby życie nie do zniesienia. I to, że kochała Leslie'ego nie miało znaczenia. Gdyby chciała z nim zostać, musiałyby dzielić jego los na dobre i na złe. Nie była do tego zdolna, oto dlaczego musiała tak postąpić.

Nazajutrz obudziła się pierwsza. Wstała i poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę, i zobaczyła, że Liz już zdążyła wstawić indyka do pieca. Zrobiła to około szóstej po czym wróciła do łóżka.

Coco snuła się po całym domu, czekając aż Jane i Liz się obudzą.

Dziwnie było znaleźć się tu znowu. Przypominała sobie, jak psy, Jack i Sallie, leżały w kuchni przytulone do siebie, i nawet to sprawiało, że zaczynała myśleć o Leslie'em. Nie wiedziała już sama, co robić, żeby o nim zapomnieć. Nic nie mogło tu pomóc, tylko czas.

- Wcześniej wstałaś - powiedziała Liz, kiedy o dziewiątej przyszła dopilnować indyka. Coco była na nogach już od dawna. Siedziała przy choince i Liz pomyślała, że wygląda jak opuszczone dziecko. Nic nie powiedziała, ale zgadła, o czym Coco myśli. Tęsknota za Leslie'em była wypisana na jej twarzy. Liz bardzo jej współczuła. Usiadły w kuchni i zaczęły rozmawiać o różnych sprawach. O dziesiątej wstała Jane i dołączyła do nich. Powiedziała, że już ma zgałę.
- Mówiłaś, że chcesz urodzić następne - popatrzyła znacząco na Liz.
- Cała przyjemność będzie po mojej stronie - zapewniła Liz.
- Coco zaproponowała, że przygotuje śniadanie.
- Ciebie nie powinno się nawet wpuszczać do kuchni - burknęła Jane. Coco parsknęła śmiechem.
- Masz rację. Odziedziczyłam to po mamie.
- I nie tylko. Ojciec był kiepskim kucharzem, ale mama nawet nie bardzo wiedziała, gdzie jest u nas kuchnia.
- Mam nadzieję, że Gabriel potrafi gotować - dorzuciła Coco. - Inaczej mama zamorzy nas głodem, jeśli kucharka wymówi jej w następne święta.
- Naprawdę myślisz, że to potrwa dłużej? - spytała Jane z niedowierzaniem. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Była pewna, że to przelotny romans, bo Gabriel musi się prędzej czy później opamiętać i poszukać kogoś w bardziej odpowiednim wieku. Ale nie mogła nie przyznać, że wydawał się z ich matką całkiem szczęśliwy i w najmniejszym stopniu nie przejmował się dzielącą ich różnicą wieku.
- Gdyby była mężczyzną, nie przyszłoby nam do głowy robić z tego problemu - odparła Coco. - Faceci w wieku

mamy masowo żenią się z kobietami młodszymi od Gabriela i nikogo to nie dziwi. Sześćdziesięciodwulatek ożeniony z kobietą trzydziestodwuletnią nikogo by nie zbulwersował.

- Pewnie masz raq'ę. Dziwne jest tylko to, że na razie dobrze się dogadują. On jest trochę zbyt sztywny jak na faceta w tym wieku, prawda?

- Nie umówiłabym się z nim na randkę - odparła Coco.

Roześmiały się. Gabriel robił wrażenie człowieka o wiele starszego niż Leslie, a przecież był od niego o całe dwa lata młodszy.

- My też byśmy się z nim nie umawiały - powiedziała Jane i roześmiały się jeszcze głośniej. - ale wiem, co masz na myśli. Jest taki staromodny.

Nikt w tych czasach nie nosi garnituru od rana do wieczora, tylko on.

Mama jest tym zachwycona. Wyglądał tak już wtedy, kiedy go spotkałam po raz pierwszy, na długo zanim poznał mamę. Może mieć słabość do starszych pań.

- Wszystko na to wskazuje - uśmiechnęła się Coco. - A może tylko do niej. Jest gotów nosić ją na rękach. Ale prawda jest taka, że jak długo on się jej trzyma, będziemy miały z nią lepsze życie. A ona będzie szczęśliwa.

Jane kiwnęła głową. Coco trafiła w sedno.

- A co się stanie, kiedy ona się zestarzeje? To znaczy, kiedy będzie już naprawdę bardzo stara?

- Będzie to samo, co czeka nas wszystkich - powiedziała Liz. - Każdy wierzy, że bliska osoba nie umrze i nie odejdzie. Ale w pewnym momencie to się może zdarzyć - dodała, patrząc na Jane z czułością.

- Nigdy cię nie opuszczę - szepnęła Jane. - Przysięgam.

- Nie przysięgaj. - Liz pochyliła się ku niej i pocałowała ją.

- Za to ja za chwilę opuszczę was obie - ziewnęła Coco,

wstając od stołu. - Muszę się przebrać. Mama będzie tu za niecałą godzinę.

Poszły do swoich pokojów, a potem znowu się spotkały, odświętnie ubrane, parę minut przed dwunastą.

Matka jak zawsze przyszła punktualnie co do minuty, w kostiumie od Chanel i w wysokich czarnych szpilkach z krokodylowej skóry, w płowym futrze, tym samym, w którym była poprzedniego wieczoru. Na szyi miała perły, była starannie umalowana. Gabriel nosił szare spodnie i marynarkę, a do tego krawat inny niż wczoraj, ale też od Hermesa.

Wyglądali jak na migawce z eleganckiego przyjęcia w programie *Time and country*. Coco i Liz ubrały się bardziej swobodnie. Nosiły eleganckie spodnie i bluzki, tylko Jane miała na sobie luźną, rozkloszowaną jaskrawoczerwoną suknię i miała nieszczęśliwą minę przez cały obiad. Przed obiadem wręczyli sobie prezenty, które wszystkim sprawiły radość. Coco i Jane dostały od matki to, co dostawały każdego roku: dla każdej czek. Trzeci czek, niewiele mniejszy, otrzymała Liz. Florence zawsze twierdziła, że boi się kupić nietrafiony prezent, dlatego woli, żeby same wybrały się do sklepów. Gabrielowi dała już wcześniej zegarek Cartiera, który miał na przegubie, a on podarował jej diamentową broszkę, którą wpięła w klapę kostiumu. Alyson dostała od Florence ogromną lalkę w różowej sukience, prawie tak dużą, jak ona sama.

O drugiej usiedli do stołu i skończyli obiad o czwartej. Potem przeszli do salonu, gdzie pili kawę i rozmawiali. W końcu Florence z Gabrielem i Alyson pozbierali prezenty i pojechali prosto na lotnisko. Musieli wracać do Los Angeles, bo nazajutrz lecieli do Aspen.

Coco została do szóstej, żeby pomóc Liz posprzątać, potem także się pożegnała. Zachęcały ją, żeby została na noc, ale po dwóch dniach spędzonych z rodziną zapragnęła tro-

chę samotności więc była zdecydowana wracać do domu. Zabrała Sallie, wsiadła do furgonetki i ruszyła do Bolinas. Kiedy weszła do domu, było w nim pusto i zimno. Rozpaliła ogień w kominku i wpatrywała się w płomień, siedząc na kanapie. Rozmyślała o minionych dwóch dniach. Jej życie nie było przecież najgorsze. I spędziła całkiem przyjemne święta. Niespodziewane porozumienie z Jane było wielkim szczęściem dla nich obu, choć szkoda, że to przyszło tak późno.

Położyła się wcześniej i wstała o siódmej rano. Usiadła na tarasie, by popatrzeć na wschód słońca. Zaczynał się dla niej nowy dzień i nowe życie. Myślała o tym, że przecież wcale nie jest nieszczęśliwa. Wtedy usłyszała dzwonek u furtki. Nikt tu nigdy nie używał dzwonnka. Goście na ogół podchodzili do samych drzwi domu i dopiero wtedy pukali. Miała na sobie swoją ulubioną nocną koszulę w nieco sprane serca i była przykryta kocem. Owinęła się więc w ten koc i okrążyła dom, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Jej długie kasztanowe włosy rozwiewał wiatr. Nie zdążyła się nawet uczesać. Dzień był zimny, ale niebo błękitne i czyste. Spojrzała w stronę furtki i wtedy ich zobaczyła. Za furtką stał Leslie z ręką na klamce i patrzył jej prosto w oczy. Nie był pewny, czy dobrze zrobił, że tu przyjechał. Chloe stała obok niego w jasnoniebieskim płaszczku, z rozpuszczonymi złotymi lokami i szerokim uśmiechem. Trzymała jakąś paczuszkę. Gdy tylko zobaczyła Coco, zaczęła do niej machać i nie czekając, sama otworzyła sobie furtkę.

- Koniecznie chciała cię zobaczyć - wyjaśnił Leslie, kiedy Coco pochyliła się, żeby uściskać dziewczynkę.

Podeszła do Leslie'ego boso po piasku. Miała wrażenie, że oni są wytworem jej wyobraźni.

- Ja też chciałam ją zobaczyć - powiedziała. - I chciałam zobaczyć ciebie. Tęskniłam za tobą.

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, wziął ją w ramiona i mocno objął. Nie pragnął usłyszeć nic więcej. Chciał tylko przytulać ją, zanurzając twarz we włosach, i czuć ciepło jej ciała.

- Zimno tu - poskarżyła się Chloe. - Musimy stać na dworze?

- Jasne, że nie musimy. - Coco wzięła dziewczynkę za rękę i uśmiechnęła się do Leslie'ego. Uznała, że zrobił najwłaściwszą rzecz.

Wydawało mu się, że w jej domku nic się nie zmieniło. Od razu zobaczył zdjęcie, na którym był razem z Chloe. Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Kocham cię - powiedziała do niego nad głową Chloe.

- Ja też cię kocham - odpowiedział.

- Będzie coś na śniadanie? - spytała Chloe i dopiero wtedy przypomniała sobie, że ma prezent dla Coco.

Coco usiadła na kanapie, żeby go rozpakować. W paczuszce był mały pluszowy miś. Coco uśmiechnęła się, uściskała Chloe i powiedziała, że bardzo ją lubi.

- Mogą być gofry? - spytała. - I pieczone pianki cukrowe?

- Tak! - Chloe klasnęła w ręce z radości.

Coco poszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Wciąż odwracała się, żeby spojrzeć na Leslie'ego, jakby się bała, że może zniknąć. Przeżyła bez niego ostatnie dwa miesiące i teraz nie wiedziała tak do końca, co oznacza ich wizyta. Ale była szczęśliwa, że go widzi.

Usiedli razem do śniadania. Chloe zaczęła jej opowiadać, jak spędzili święta. Ubrali choinkę i poszli na kolację do hotelu, a wczoraj wieczorem postanowili, że odwiedzą Coco. W ostatniej chwili złapali samolot do San Francisco

i zatrzymali się w hotelu, bo Leslie uznał, że jest za późno, żeby jechać do Bolinas. Powiedział, że byłoby to nieuprzejme wobec Coco, choć Chloe zupełnie się z nim nie zgadzała. W każdym razie wyruszyli wczesnym rano. Opowiadając o tym, Chloe patrzyła na nich rozpromieniona, to na jedno, to na drugie. Coco uśmiechnęła się do niej pierwsza. Potem uśmiechnął się Leslie.

- To był bardzo, bardzo dobry pomysł - powiedziała Coco.

Chloe spojrzała na ojca.

- Widzisz? Mówiłam. Wiedziałam, że się ucieszy! Uśmiechnęli się oboje jednocześnie.

Po śniadaniu Coco ubrała się i poszli na spacer po plaży. W pierwszy dzień po świętach na plaży było trochę spacerowiczów.

- Tęskniłem za tobą jak potępieniec - powiedział Leslie, gdy Chloe pobiegła zbierać muszelki.

- Ja też tęskniłam.

- Nie wiedziałem, co powiesz, gdy nagle nas zobaczysz. Sądziłem, że nie chcesz mnie znać. Ale Chloe się upierała, że chcesz.

- Zadzwoiła do mnie w Święto Dziękczynienia. To była największa przyjemność, jaka mogła mnie spotkać. Oprócz twojego telefonu.

Znowu popatrzyła na niego tak, jakby się obawiała, że śni i zaraz się obudzi.

- Coco... Jeśli chodzi o Wenecję...

Potrząsnęła głową i położyła palec na ustach. Zatrzymali się i patrzyli na siebie.

- Nie mów nic... Zrozumiałam, że nie mają dla mnie znaczenia paparazzi ani brukowce, nawet jeśli boję się ich śmiertelnie. Po prostu chcę być z tobą. Za bardzo cię kocham, żeby się z tobą rozstać.

Wiedziała o tym od razu, kiedy tylko go zobaczyła przy furtce. Przyjechał po to, żeby usłyszeć od niej te słowa, choć nie miał nadziei, że naprawdę je usłyszy. Ale ona nie miała już wątpliwości. Utkwiło jej w pamięci to, co powiedziała Jane w wigilię Bożego Narodzenia: nie powinna zbyt łatwo z niego rezygnować.

- Kocham cię. Przysięgam, że nie dopuszczę do czegoś takiego nigdy więcej. Prędeż rozszarpie ich gołymi rękami.

- Mniejsza o nich. Będziemy sobie jakoś radzić. Jeśli nas doprowadzą do szaleństwa, przeprowadzimy się. I zawsze możemy ukryć się tutaj.

Uśmiechnęła się do niego, a on ją przytulił.

- Bez ciebie umarłbym z tęsknoty - powiedział głosem schrypniętym ze wzruszenia.

- Ja też.

- Gdzie chcesz mieszkać? - Był gotów przenieść się w każde miejsce, które wskaże.

- Z tobą.

Szli nieśpiesznym krokiem w ślad za Chloe. Kiedy zerwał się ostry wiatr i poczuli, że marzną, wrócili do domu i rozpalili ogień w kominku.

Coco ugotowała obiad. Potem Leslie zabrał śmieci do wyrzucenia, bo wiadro było już pełne. Przy pojemnikach spotkał Jeffa, strażaka. Jeff uśmiechnął się do niego szeroko i klepnął go w plecy.

- Fajnie, że znowu jesteś - powiedział, podając mu rękę. - Słyszałem, że kręciłeś film w Wenecji. Brakowało mi ciebie, bo mój cholerny samochód znowu nawala. Myślę, że to skrzynia biegów.

- Wpadnę później i popatrzymy - obiecał Leslie.

- Bez ciebie było tu strasznie smutno. - Była to aluzja do Coco.

- Mnie też było smutno. Tęskniłem za tym miejscem.

Leslie wrócił do domu. Coco grała w karty z Chloe. Potem we trójkę obejrzeni film w telewizji. Po filmie Leslie poszedł do Jeffa. Zajrzeli pod maskę i Leslie poradził Jeffowi, żeby sprzedał samochód. Na kolację Coco upiekła pizzę. Położyli Chloe w sypialni, a sami zalegli na kanapie. Leżeli tak, rozmawiając o przyszłości. Przez najbliższe trzy miesiące Leslie musiał być w Los Angeles, bo trwały jeszcze prace nad filmem. Jego dom już był wolny i Leslie w nim zamieszkał.

- Przez najbliższy miesiąc nie będę mogła wyjechać, ale potem cię odwiedzę. Zobaczymy, jak to będzie. Czy zaczną na nas znowu polować. Jeśli tak, trzeba będzie pomyśleć o innym rozwiązaniu. Ale najpierw wypróbujmy to najprostsze. Bo przecież to twój dom.

Była zupełnie spokojna od chwili, gdy go ujrzała. Chodziło jej przecież o osobę, nie o miejsce. W tej kwestii Jane także miała rację. Nie opuszcza się kogoś bliskiego dlatego jedynie, że jest ciężko. Coco zawsze o tym wiedziała. Tylko bardzo się przeraziła w Wenecji i potem zagubiła we własnych lękach.

- Jak twój nadgarstek? - spytał.

Miał łzy w oczach, kiedy pokazała mu bliznę na dłoni. Pocałował tę bliznę, a ona pocałowała jego.

- Z ręką wszystko w porządku. Gorzej z sercem, bo serce miałam złamane. Ale już jest lepiej. Uleczył je twój przyjazd.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

- Chloe była mądrzejsza od nas. Upierała się, że powinienem tu przyjechać i z tobą porozmawiać. Chciałem to zrobić, ale za bardzo się bałem. Pomyślałem, że nie mam prawa już więcej narażać cię na kłopoty, ani nawet pytać, czy dasz mi szansę jeszcze raz...

- Zasługujesz na to - odparła Coco spokojnie. - Przepraszam, że tyle czasu musiało minąć, zanim to zrozumiałam.

Kiwnął głową i nie wypuszczał jej z uścisku. Nieważne, jak długo to trwało, ważne, że znowu byli razem.

- Czemu nie możesz przyjechać do mnie wcześniej niż za miesiąc?

- Z powodu dziecka Jane - odpowiedziała pogodnie. - Obiecałam jej, że będę przy porodzie. Spodziewamy się go za dwa tygodnie. Poza tym, muszę tu pozamykać swoje sprawy.

- Co będzie z twoją firmą?

- Oddam ją Erin. Muszę ją wciągnąć we wszystko. Jestem pewna, że to polubi. Nie znosi swojej pracy. Będzie mogła z tego nieźle żyć. A ja chcę wrócić na studia. Spróbuję się dostać na Uniwersytet Kalifornijski - dodała z uśmiechem.

- Historia sztuki? Kiwnęła głową.

- Tak to urządź, żebym mogła z tobą podróżować.

- Bardzo bym chciał - powiedział, uszczęśliwiony. - Ale następne dwa filmy kręcę w Los Angeles.

Znaczyło to, że przez najbliższy rok będzie mieszkał w domu. Oboje mieli nadzieję, że paparazzi nie doprowadzą ich do szaleństwa. Leslie wynajął już firmę ochroniarską, której nieoznakowany samochód miał stać przed domem przez cały czas. Nie zamierzał dopuścić do tego, żeby po raz kolejny przytrafiło mu się coś takiego jak w Wenecji. A kiedy już zamieszkają razem, sensacja szybko się znudzi.

Leżeli tak, przytuleni, przez całe cztery godziny. Potem Leslie poszedł do pokoju, gdzie spała Chloe. Przykro mu było zostawić Coco samą na kanapie, lecz ona nie chciała, żeby Chloe była sama, kiedy się obudzi.

- Mogłaby wtedy pomyśleć, że robimy te okropne rzeczy, przed którymi kiedyś nas przestrzegala - zażartowała.

- Musisz mi przypomnieć, jak się to robi. Bo chyba zapomniałem.
 - Przypomnę ci, kiedy wpadnę do ciebie do Los Angeles.
 - Kiedy to będzie? - spytał markotnie. Nie chciał już spędzać bez niej kolejnych miesięcy.
 - Może być najbliższy weekend? Chyba że wolisz przyjechać do mnie. Wszystkie kawałki układanki zaczęły trafiać na właściwe miejsca.
 - Wszystko jedno - powiedział i pocałował ją na dobranoc.
- Mieli przed sobą całe życie na uzgadnianie szczegółów.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

Przez następne cztery weekendy Coco i Leslie odwiedzali się na zmianę, spotykając się albo w Los Angeles, albo w Bolinas. Kiedy szli gdzieś na kolację, fotoreporterzy czekali na nich przed restauracją, czasem stali przy jego frontowych drzwiach, żeby robić im zdjęcia, kiedy będą wychodzili z domu. Raz jakiś fotograf deptał im po piętach w supermarkecie, ale wszystko to było niczym w porównaniu z historią, która zdarzyła im się we Włoszech, więc żadne z nich się tym nie przejmowało.

Razem poszli nawet na Uniwersytet Kalifornijski po formularze zgłoszenia. Leslie przyjechał do Bolinas jeszcze dwa razy po powrocie Chloe do Nowego Jorku. Miał właśnie przerwę między filmami. Raz, gdy przyleciał do San Francisco, poszli na kolację do Jane i Liz. Leslie był oszołomiony, gdy zobaczył, jaka gruba jest Jane. W tym czasie już niemal nie mogła się ruszać.

- Tylko się ze mnie nie śmiej - upomniała go. - To nic zabawnego.

Ciekawe, jak byś sobie radził na moim miejscu. Gdyby faceci musieli brać to na siebie, nie byłoby w ogóle dzieci. Nie wiem, czy odważę się po raz drugi.

- Następnym razem moja kolej - przypomniała tęsknym głosem Liz.

Zachwyciła się pomysłem, by urodzić dziecko pochodzące z jajeczka Jane. Rozmawiały o tym wiele razy przez ostatnie pół roku. Liz nie mogła się już doczekać. Ale przedtem musiało przyjść na świat dziecko, które było już w drodze. Jane przyznawała się przed Coco, że poród ją trochę przeraża. Przede wszystkim dlatego, że dziecko wygląda na bardzo duże. Ale pewnie bałaby się i tak.

Jane i Liz ucieszyły się ze spotkania z Leslie'em, ale zwłaszcza z tego, że Coco wydawała się znowu szczęśliwa. Przykro było patrzeć na jej smutek po powrocie z Wenecji.

Leslie opowiadał Jane o filmie, który kręcili w Wenecji. Uskarżał się na głupotę Madison, a Jane chichotała. Jej także zdarzyło się pracować z Madison Albright, więc dobrze wiedziała, z kim miał do czynienia. Teraz Madison była już w siódmym miesiącu ciąży, więc obchodzono się z nią jak z jajkiem, co znacznie przedłużało pracę, a do wszystkich scen, w których potrzebne było ujęcie całej postaci, używano dublerki. Reżyser nie mógł jej wybaczyć, że nie uprzedziła go o ciąży, kiedy zaczynali zdjęcia. Ale na filmie się to nie odbiło, choć wszystkich kosztowało dodatkowo mnóstwo czasu i sił.

Podczas ich ostatniego wspólnego weekendu w Bolinas Leslie pomagał Coco pakować rzeczy. Zamierzała wysłać je do Los Angeles pocztą kurierską. Postanowiła zatrzymać domek na wybrzeżu. Nie wiedzieli przecież, jak im się życie ułoży i gdzie w końcu wylądują. Ale szczegóły już nie miały znaczenia. Byli znowu razem i kochali się bardziej niż kiedykolwiek.

Swoją firmę Coco przekazała Erin, dzięki czemu miała dużo wolnego czasu, który mogła spędzać z Jane. Dziecko miało się urodzić w najbliższych dniach. Jane była już tak zmęczona i znudzona, że pewnego dnia Coco i Lizabrały ją do restauracji. Była to restauracja meksykańska, podawa-

no tam ostro przyprawione potrawy. Jane gdzieś usłyszała, że ostre przyprawy mogą przyspieszyć poród. Chwytała się już każdego pomysłu, który mógłby skrócić jej mękę. Lecz kiedy wyszły, zamiast bólów porodowych zaczęła jej dokuczać zgaga. Coco zabierała ją na długie spacerunki do parku Crissy Field. Wracali do domu późnym popołudniem. Pewnego razu po powrocie rozmawiały w kuchni, gdy nagle Jane spojrzała na nią czymś wyraźnie zaskoczona.

- Wszystko w porządku? - spytała Coco. Zaczynało im się już wydawać, że dziecko nigdy się nie urodzi. Florence była wtedy na wyspach Bahama. Obiecywały jej, że po porodzie natychmiast do niej zadzwonią.

- Chyba właśnie odeszły wody - powiedziała nerwowo Jane, a wokół niej pojawiła się kałuża, mniej więcej w tym samym miejscu, w którym kiedyś rozlał się syrop klonowy.

- To doskonała wiadomość - powiedziała z uśmiechem Coco. Pomogła Jane unieść się na krzesło i podłożyła ręcznik, a sama zaczęła wycierać podłogę.

- Nie mam pojęcia, z czego tak się cieszysz - burknęła Jane. - Przecież to ja muszę przejść przez to wszystko. Razem z Liz będziecie tylko widownią.

- Nie odstępimy cię ani na chwilę - pocieszyła ją Coco i pomogła wejść po schodach do łazienki. Ubrania Jane były przemoczone. - Czy mam wezwać lekarza?

- Jeszcze nie. Skurcze się jeszcze nie zaczęły. - Jane włożyła frotowy szlafrok, owinęła się ręcznikami i położyła się. - Nie wiem, jak długo każą na siebie czekać.

- Na pewno niezbyt długo. - Coco starała się, żeby zabrzmiało to przekonywająco. - Spróbuj się zdrzemnąć, zanim zacznie się na dobre. Jane skinęła głową i przymknęła oczy, a Coco zgasła światło i zaciągnęła zasłony. Zeszła na dół i przez telefon wezwała Liz, która była na zakupach. Liz, bardzo przejęta

wiadomościami z domu, mogła wrócić najwcześniej za pół godziny. Coco powiedziała, że skurcze się jeszcze nie zaczęły, więc jej zdaniem nie było pośpiechu.

- Kiedy wody odejdą, wszystko jest możliwe. - Liz wiedziała to z książek o przebiegu ciąży. - Nie spuszczaaj jej z oka. Akcja porodowa może rozpocząć się w każdej chwili.

Coco zaparzyła sobie herbatę i cicho weszła na piętro. Ku jej zaskoczeniu siostra leżała na łóżku, jęcząc z bólu. Wydawało się, że skurcz, który ją chwycił, nigdy się nie skończy. A kiedy wreszcie minął, Jane nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Kiedy to się zaczęło? - spytała Coco niespokojnie. Nie chciała, żeby Jane musiała urodzić poza szpitalem. Ale do pojawienia się dziecka chyba było jeszcze daleko.

- Chyba pięć minut temu. Ten był trzeci. Trwają naprawdę długo i są bardzo silne. I następują jedne po drugich bardzo szybko.

Po chwili miała już następny. Coco mierzyła czas. Trwał całą minutę, a potem były trzy minuty przerwy.

- Trzeba wezwać lekarza - zdecydowała.

Jane kiwnęła głową i podyktowała jej numer. Telefon odebrała pielęgniarka. Coco opowiedziała jej, jaka jest sytuacja. Pielęgniarka spytała, czy skurcze są regularne. Nie były. Po ostatnim z nich przerwa trwała pięć minut, a więc uległa wydłużeniu. Pielęgniarka wyjaśniła, że akcja porodowa może zwolnić albo się zatrzymać na jakiś czas. Ale jeśli przerwy staną się krótsze niż pięć minut, należy jechać do szpitala.

Powiedziała, że zawiadomi lekarza o rozpoczęciu akcji porodowej.

Przez następne dziesięć minut nic się nie działo. Następny skurcz zaczął się dopiero po powrocie Liz. Podbiegła do łóżka i wzięła Jane za rękę.

Drugą rękę położyła na jej brzuchu. Był twardy jak kamień.

- Naprawdę bardzo boli - jęknęła Jane.

- Wiem, kochanie - powiedziała łagodnie Liz. - Ale niedługo będzie już po wszystkim i będziemy miały naszego chłopczyka.

Coco wymknęła się z sypialni, żeby zadzwonić do Leskiego i opowiedzieć mu, co się dzieje.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Szkoda, że to jeszcze nie nasze dziecko. Coco miała tę samą myśl.

- Jak sobie radzi? - spytał z troską.

- To jest bardzo bolesne.

- Wiem. - Przeżył to już, kiedy rodziła się Chloe. Nie mógł na to patrzeć.

Ale Monica nalegała, żeby przy tym był, dla dobra Chloe.

- Przekaż Jane moje pozdrowienia.

Coco wróciła do sypialni, żeby powtórzyć to Jane. Liz próbowała pomóc Jane usiąść. Musiała chodzić do ubikacji co parę minut, a wtedy bóle stawały się jeszcze silniejsze.

Liz spojrzała na Coco z mieszaniną troski i ekscytacji w oczach. Czekwały na to przez długie miesiące, i oto się zaczęło. Ale cierpiała, widząc, jak cierpi Jane.

- Wciąż są nieregularne - powiedziała. - Ale dość częste i bardzo silne.

Myślę, że to dlatego, że wody odeszły. W książkach piszą, że po odejściu wód wszystko toczy się bardzo szybko. Może będziemy musiały zawieźć ją do

szpitala.

Trudna decyzja.

- Nigdzie się nie śpieszę - szepnęła Jane przez zaciśnięte zęby, z nieszczęśliwą miną, i oparła się o Liz. - Dajcie mi po prostu proszek przeciwbólowy.

W szpitalu mogłaby dostać znieczulenie, ale w domu nie było to możliwe. Czekwały jeszcze przez pół godziny, aż przerwy między

skurczami uległy skróceniu do czterech minut. To był już czas, żeby jechać. Liz pomogła Jane włożyć sweter i domowe pantofle. Kiedy ją prowadziły do samochodu, musiały podtrzymywać ją z obu stron. Idąc, krzyczała z bólu.

- To wygląda o wiele straszniej, niż myślałam - powiedziała Liz do Coco schrypniętym głosem, gdy dojechały na miejsce.

- Może dadzą jej to znieczulenie od razu.

- Niech mnie po prostu zastrzelą, żebym się nie męczyła.

Jane miała kolejny skurcz i oparła się na ramieniu Liz, a Coco wbiegła do szpitala po fotel na kółkach. Chwilę później posadziły ją na wózku i Jane wjechała do środka. Dyżurna pielęgniarka przywitała ją uśmiechem.

- Jak się mamy? - spytała. Przejęła wózek z ich rąk i wprowadziła go do windy. Coco i Liz weszły za nimi, rozgorączkowane.

- Mamy się marnie - odpowiedziała Jane na pytanie pielęgniarki. - Jak zdechły szczur.

- Za chwilę będzie lepiej - odparła pielęgniarka z przekonaniem.

Parę minut po przyjeździe dotarły na oddział porodowy i pielęgniarka, która prowadziła wózek, przekazała Jane położnym.

- Skurcze są co trzy minuty - powiedziała Liz, gdy zaczął się następny i Jane chwyciła ją mocno za rękę.

- No, popatrzmy, jak to wygląda - powiedziała wesoło położna. - Kiedy będziemy wiedziały, jak sprawy stoją, lekarz może przyjść w ciągu minuty.

Nie chciała tego powiedzieć przy Jane, ale wiedziała, że czasem nawet bardzo silne skurcze nie oznaczają dużego postępu porodu. Spytała, która z nich wejdzie z Jane do gabinetu. Chciały wejść obie.

- Czekamy na tatusia? - spytała położna.

- Nie, nie czekamy - odparła ze spokojem Liz. - To ja jestem tatusiem. Położna nawet nie mrugnęła okiem i wpuściła je obie na salę. Widziała już niejedną taką parę. W ostatnich latach pojawiały się coraz częściej. Rodzic to rodzic, płeć nieważna. Uśmiechnęła się do Coco i Liz i pomogła Jane się rozebrać. Ubrały ją w szpitalną koszulę i położyły na łóżku porodowym. Położna włożyła gumowe rękawiczki. Przepraszając za ból, jaki to może wywołać, rozpoczęła badanie. Skurcz rozpoczął się w samym środku tego badania. Jane chwyciła Liz za rękę. I zanim skurcz minął, zaczęła krzyczeć. Trwało to dość długo. Położna znowu przeproszała.

- Przykro mi, wiem, że to bolesne. Ale musimy wiedzieć, jaka jest sytuacja. To drugi etap porodu, rozwarcie na pięć centymetrów. Teraz zawiadomię lekarzkę i anestezjologa, który da pani znieczulenie.

- Czy będzie bardzo bolało? - spytała żałośnie Jane, spoglądając to na położną, to na Liz, to na Coco. Jeszcze nie przyszła do siebie po ataku bólu, wywołanym przez badanie. Nikt jej nie uprzedził, że będzie bolało aż tak okropnie. To był najgorszy ból jakiego doznała w całym swoim życiu.

- Po znieczuleniu nic już nie będzie bolało - uspokoiła ją położna. Podłączyła monitor, który oprócz wykresu skurczów porodowych pokazywał tętno dziecka. Teraz już naprawdę się zaczęło. Jane rodziła, zostało to potwierdzone oficjalnie. Liz uśmiechała się do niej i patrzyła na nią z miłością.

- Wiemy, jakiej płci jest dziecko? - spytała położna.

- To chłopczyk - powiedziała z dumą Liz, a Jane potakująco przymknęła powieki.

Wszystko to było trochę przerażające. Coco nie mogła patrzeć na cierpienie siostry, ale jednocześnie była w podniosłym nastroju i bardzo szczęśliwa. Nigdy dotąd nie widziała porodu, nawet na ekranie. Tylko kiedy bawiła się w poród jako mała dziewczynka. Ale wtedy rodziły się lalki, co było bez porównania łatwiejsze.

- Wygląda na to, że weźmie pani swojego chłopczyka na ręce jeszcze dziś wieczorem - zapewniła położna Elisabeth. - Akcja porodowa posuwa się całkiem sprawnie.

I po tych słowach gdzieś zniknęła. U Jane rozpoczął się właśnie kolejny skurcz. Ten był już bardzo silny. Położna wróciła z jakimś dokumentem, który Liz miała wypełnić, a Jane podpisać. Jane zgłosiła się do tego szpitala już dwa tygodnie temu, więc mieli jej dane w komputerze. Potrzebowali tylko zgody na wszelkie zabiegi, jakie będą ewentualnie potrzebne w toku porodu. W zasadzie Liz nie była uprawniona do podpisania zgody, ale podpisała. Jane podpisała także. Występowały więc w tym dokumencie jako para.

Położna wróciła przed następnym skurczem i przyprowadziła anestezjologa. Lekarz wyjaśnił, na czym polega znieczulenie zewnątrzoponowe, podczas gdy położna znowu sprawdziła postęp porodu, a Jane rozplakała się z bólu.

- To jest okropne - powiedziała do Liz prawie bez tchu. - Nie dam rady.

- Dasz radę - odparła Liz ze spokojem, patrząc jej w oczy.

- Rozwarcie na sześć centymetrów - zameldowała położna anestezjologowi, który wydawał się zaniepokojony.

- To idzie bardzo szybko, obawiam się, że z zewnątrz-oponówką możemy nie zdążyć - powiedział.

Jane zaszlochała.

- Musi pan spróbować. Bez tego nie wytrzymam. Spojrzał na pielęgniarkę i kiwnął głową.

- Spróbujemy, może nam się uda.

Poprosił ją, by przewróciła się na bok i wypięła pupę. Ale właśnie miała skurcz, więc nie mogła tego zrobić. Czowała się, jakby w jej ciele wszystko rozregulowało się i wymknęło spod kontroli, a inni ludzie obchodzili się z nią bez litości i żądali rzeczy niemożliwych. Były to najgorsze chwile w jej życiu.

Wreszcie anestezjologowi udało się wkuć igłę i przez rurkę zaczął płynąć środek znieczulający. Następny skurcz dopadł ją jak powracająca fala, a zaraz potem jeszcze jeden, bo lek jeszcze nie zaczął działać. Anestezjolog wyjaśnił, że rozwarcie jest już zbyt duże, by odczuła efekt znieczulenia. Zaraz potem skurcze nagle ustały. Nic się nie działo przez pięć minut, które dla Jane były wytchnieniem.

- Znieczulenie może spowolnić przebieg porodu - rzekł lekarz.

Ale równie nagle jak ustały, skurcze powróciły. Jane twierdziła, że są gorsze od tych wcześniejszych. Trwały przez kolejnych dziesięć minut, po czym położna znowu sprawdziła rozwarcie, a Jane wrzasnęła z bólu tak głośno, że wszyscy się przestraszyli.

- Proszę tego nie robić! To boli!

A potem już tylko leżała, szlochając.

- Zwiększymy dawkę znieczulenia i zobaczymy, czy to coś pomoże - powiedział anestezjolog.

- Dziesiątka - powiedziała położna. - Wzywam lekarzkę.

- Słyszałaś? - szepnęła Liz do ucha Jane. - Rozwarcie na dziesięć centymetrów. To znaczy, że możesz przeć. Już niedługo będzie po wszystkim.

Jane kiwnęła głową z nieobecny spojrzeniem. Monitor pokazał kolejny skurcz, ale tym razem nic nie bolało. Znieczulenie zaczęło działać. Byli na sali porodowej dopiero od godziny, ale Jane się wydawało, że minęły wieki.

Lekarka weszła na salę po pięciu minutach. Z uśmiechem przywitała się z Jane i Liz, która przedstawiła Coco.

- Więc mamy tu spotkanie rodzinne - powiedziała lekarka wesoło.

Przyłożyła ucho do brzucha Jane. - Przy następnym skurczu proszę zacząć przeć. Za chwilę pojawi się chłopczyk.

- Teraz nie czuję skurczów. - Jane wydawała się rozluźniona. Oczy miała nieco szkliste.

Liz i Coco wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Możemy zmniejszyć dopływ leku, tak żeby pani je poczuła, to pomoże przeć - powiedział anestezjolog, co znowu przeraziło Jane.

- Nie, proszę tego nie robić!

Coco była wstrząśnięta, bo miała wrażenie, że siostra traci rozeznanie sytuacji.

- Radzi sobie znakomicie - uśmiechnął się do niej anestezjolog. Po czym wyszedł, bo musiał przeprowadzić znieczulenie na innej sali, ale obiecał, że zaraz wróci. Pielęgniarka założyła Jane maskę tlenową i wyjaśniła, że tego wieczoru mają bardzo dużo porodów.

Monitor pokazał następny skurcz. Długie nogi Jane umieszczono w czymś w rodzaju strzemion. Miała przeć. Na pomoc przyszła jeszcze jedna położna. U każdego jej boku stała więc położna, a w nogach lekarka obserwowała, czy widać już główkę dziecka. Liz pochylała się nad twarzą Jane. Wszyscy zachęcali Jane, by oddychała głęboko i parła. Ale jak dotąd, nic się nie działo.

Jane parła przez godzinę, bez żadnego efektu, przynajmniej tak wydawało się Coco. Wszyscy byli pochłonięci obserwowaniem porodu. Do zatłoczonego pomieszczenia weszła jeszcze jedna położna z plastikowym łóżeczkiem dla noworodka.

- Już nie mogę - powiedziała Jane, wyczerpana. - Nie

mogę już przeć. Proszę znaleźć jakiś sposób, żeby wyjąć dziecko.

- Nie trzeba - zawołała pogodnie lekarka, która stała przy nogach Jane. - To pani zadanie. Musi nam pani pomagać.

Kazała Jane przeć jeszcze mocniej. Liz miała podtrzymywać ramiona Jane, a położna napierała na jej stopy. Wtedy wrócił anestezjolog.

Lekarka poprosiła go, by zmniejszył dopływ leku. Jane znowu zaczęła błagać, by nie zmniejszał. Parła już od dwóch godzin i nic się nie zmieniło. Lekarka twierdziła, że widzi włoski na główce dziecka. Lecz nic więcej jak dotąd nie dało się zobaczyć.

Nacięto więc krocze i lekarka użyła kleszczy. Mineła następna godzina.

Jane znowu wrzeszczała, Coco stała po jednej jej stronie, a Liz po drugiej.

Jane parła i parła, aż oświadczyła, że umiera. Wydała z siebie najbardziej przeraźliwy wrzask ze wszystkich dotychczasowych. Coco wiedziała, że ten wrzask zapamięta do końca życia. I wtedy główka dziecka zaczęła powoli wychodzić. Ukazała się malutka twarzyczka. Szeroko otwarte

oczy patrzyły w sufit. Liz i Coco rozplakały się ze wzruszenia. Jane

spojrzała na główkę swojego synka i zaczęła przeć tak mocno, że jej twarz spurpurowiała z wysiłku. Ukazały się ramionka i wreszcie nóżki. W

pokoju rozległ się płacz. Ale tym razem to nie Jane płakała. To płakał jej synek. Odcięto pępowinę, zawinięto noworodka w kocyk i położono na

brzuchu Jane, która przez łzy szczęścia i cierpienia patrzyła na Liz. Jeszcze nigdy w życiu nie wykonała tak ciężkiego zadania i miała

nadzieję, że do końca życia nie będzie musiała zrobić nic równie

trudnego.

- Jest śliczny - orzekły położne. Zabrały noworodka do mycia i ważenia. Tymczasem pojawiło się łożysko i lekarka zszyła krocze.

- Cztery kilogramy i dziewięćdziesiąt dwa dekagramy - powiedziała z dumą położna, oddając Jane jej dziecko. - Urodziła pani dziecko prawie pięciokilowe.

Trzy godziny trwały skurcze parte. I teraz było już jasne, dlaczego.

Dziecko było wyjątkowo duże. Coco przyglądała mu się z zachwytem.

Jane przystawiła je do piersi. Ssało spokojnie, patrząc na matkę wielkimi błękitnymi oczami. Miało piękne rączki i długie nogi, co było u nich rodzinne. Liz przytuliła się do Jane i pocałowała ją. Przemawiała do dziecka, które zdawało się słuchać i uczyć się ich głosów.

Coco została z nimi przez następną godzinę, póki nie przewieziono Jane do zwykłego szpitalnego pokoju. Była bardzo zmęczona. Liz zamierzała zostać na noc w szpitalu, więc Coco poszła do domu, wciąż jeszcze przejęta tym, co widziała. Zanim odeszła, ucałowała Liz i Jane, składając im gratulacje, a Liz zadzwoniła do matki Jane, żeby powiedzieć jej, że Bernard Buzz Barrington II właśnie zdecydował się przyjść na świat. Wszyscy byli szczęśliwi.

Kiedy Coco dotarła do domu, zadzwoniła do Leslie'ego i opowiedziała mu o porodzie. I o tym, jak strasznie Jane się umordowała. I jak bardzo wszyscy byli w końcu szczęśliwi.

- Nasze będzie następne - powiedział Leslie. - Przekaż Jane i Liz moje gratulacje.

Obiecał, że przyjedzie w najbliższy weekend, żeby zobaczyć dziecko, i wróci do Los Angeles już razem z Coco.

Dziecko urodziło się dwa dni przed terminem. Minęło równe osiem miesięcy od ich pierwszego spotkania. Znali się prawie tyle czasu, ile trwała ciąża Jane.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY PIERWSZY

Zgodnie z zapowiedzią, Leslie przyjechał w sobotę. Jane wróciła już ze szpitala do domu. Była osłabiona, obolała i szczęśliwa. Obie z Liz bez przerwy zajmowały się dzieckiem. Niania, którą przyjęły do pracy, uczyła je wszystkiego, co należało umieć, żeby dbać o niemowlę. Jane karmiła piersią. Teraz Coco mogła już wyjechać.

Na pożegnalnej kolacji u Liz i Jane Leslie wziął dziecko na ręce. Miał taką minę, jakby mu się to bardzo podobało. Coco ze wzruszeniem pożegnała się z siostrą. Teraz, po narodzinach dziecka, czuła się jeszcze bliżej z nią związana.

Nazajutrz lecieli do Los Angeles. Przed wyjazdem Leslie umieścił w wazonach mnóstwo kwiatów. Dom był nieskazitelnie czysty i wyglądał wspaniale. Przygotował dla Coco dwie puste szafy. Kiedy przyjechali z lotniska, przed domem nie czekał żaden fotograf. Agencja ochroniarska stale obserwowała dom.

Przygotował nawet kolację.

- Jak to możliwe, że spotkało mnie tyle szczęścia? - spytała i pocałowała go.

- To ja miałem dużo szczęścia - powiedział, patrząc na nią z zachwytem. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że

będą razem. Przeszli w Weneqi ciężką próbę, potem oboje przeżyli dwa miesiące cierpień. Ale teraz nie mieli już żadnych wątpliwości. Należeli do siebie.

Tego wieczoru zadzwonili do Chloe, żeby powiedzieć jej, że już zamieszkają razem. Chloe była uszczęśliwiona i nie mogła się doczekać, kiedy ich odwiedzi.

- Teraz będziecie mieli dziecko? - spytała z naciskiem Coco się zdziwiła, że nie jest tym zaniepokojona, tak jak

Jane, kiedy ona sama miała się urodzić.

- Jeszcze nie teraz - odparł z powagą Leslie. Choć miał nadzieję, że wkrótce.

- Pobierzecie się? - spytała, i z tonu odgadł, że się uśmiecha.

- Jeszcze nic nie postanowiliśmy w tej sprawie, ale obiecuję, że jeśli do tego dojdzie, zaprosimy cię.

- Chcę być družką.

- Rolę masz zaklepaną. Teraz do obsady potrzebujemy jeszcze panny młodej i pana młodego.

- Przecież to wy, tatusiu. Ty i Coco - powiedziała, chichocząc. - Jakiś ty śmieszny.

- Ty też jesteś śmieszna. I za to cię kochamy.

Kiedy się rozłączyli, zwrócił się do Coco, która słuchała ich rozmowy.

- Co do ślubu, chyba ma rację, prawda? Jestem poważnym człowiekiem, nie liczę na to, że będę żył z tobą w grzechu. To byłoby z twojej strony bezczelność. I po co dostarczać żeru tabletkom. „Wielki gwiazdor kina żyje na kocią łapę z panią od psów”. To byłoby zbyt szokujące.

- Już nie jestem panią od psów. Nie musisz się o to martwić - odparła, rzucając się na łóżko z beztroskim uśmiechem. Znowu czuła się jak Kopciuszek w pałacu. Teraz nawet jeszcze bardziej niż dawniej. Szklany bucik idealnie pasował na jej nogę.

- No i co z tego? Nawet jeśli nie jesteś panią od psów, muszę dbać o swoją reputację. Co o tym sądzisz? Moim zdaniem warto, choćby po to, żeby zrobić przyjemność Chloe, która chce być dziewczyną. Uważam, że to zupełnie wystarczający powód. Ale oczywiście jest jeszcze inny, ten, że cię kocham jak wariat i zanim znowu ode mnie uciekniesz, chciałbym założyć ci te małżeńskie więzy. Wyjdiesz za mnie, Coco?

Zsunął się z łóżka i uklęknął przed nią, patrząc jej głęboko w oczy.

Wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpłakać ze wzruszenia. Ona także była wzruszona do łez.

- Tak, wyjdę za ciebie - powiedziała cicho. Ich wspólne życie miało się właśnie zacząć. Kopciuszek zostanie w pałacu na zawsze. Odnalazł swojego pięknego księcia. - Ożenisz się ze mną? - spytała z czułością.

- Z największą przyjemnością - uśmiechnął się i wskoczył do łóżka.

To była pierwsza noc w jej nowym domu, który zamierzała dzielić z nim na dobre i złe, albo póki paparazzi nie wykurzą ich pod inny adres.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY DRUGI

Jane i Liz spędziły całe przedpołudnie na doglądaniu dekoracji z kwiatów. Firma cateringowa zainstalowała się w kuchni już poprzedniego dnia wieczorem. Dom wyglądał niezwykle, był pełen róż, wplecionych między gałązki strzyżonych krzewów w donicach. Jane wydała ostatnie polecenia robotnikom, nakarmiła dziecko, a potem wróciła i zarządziła jeszcze jakieś zmiany w dekoracjach. Około szóstej po południu spodziewały się mniej więcej setki ludzi. Chciała, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Kazała niani ozdobić białymi wstążkami girlandy, które kwiaciarz rozpiął nad schodami. Niemowlę miało już cztery miesiące, ale tak urosło, że wyglądało, jakby miało co najmniej rok. W domu wciąż trwał rozpraszający uwagę rozgardiasz. O czwartej Liz i Jane weszły na piętro, żeby się przebrać, a niania położyła niemowlę do łóżeczka. Było bardzo spokojne i opiekowała się nim z przyjemnością. O Jane i Liz mawiała, że to najlepsze małżeństwo ze wszystkich, u jakich do tej pory pracowała. Jane wciąż jeszcze nie wróciła do zawodowych obowiązków. A Liz zamierzała poddać się sztucznemu zapłodnieniu już w lipcu, do czego miało zostać wykorzystane jajeczko Jane. Jane właśnie skończyła

czterdzieści lat, lecz testy hormonalne wykazywały, że aktywność jajników utrzymuje się na wystarczającym poziomie. A Liz marzyła o tym, żeby urodzić dziecko Jane. Buzz cudownie odmienił ich życie. I miały nadzieję, że jako druga urodzi się dziewczynka.

- Może powinniśmy pojechać do Kanady, żeby tam wziąć ślub - powiedziała Liz, kiedy się przebierały.

- Zrobiłabym to, gdyby ci na tym zależało. Ale i tak czuję się z tobą związana więzami nie gorszymi niż małżeńskie, i to od wielu lat - uśmiechnęła się Jane.

- Ja też się tak czuję - odparła Liz, dopinając na jej plecach suwak sukienki. Była to sukienka koktajlowa z blado-niebieskiej jedwabnej satyny. Liz miała na sobie podobną, lecz szarą. Zatrzaszczyły się o każdy najdrobniejszy szczegół i były bardzo zadowolone z rezultatów. A kiedy uroczystość się zaczęła, nabrały pewności, że ten dom jest najodpowiedniejszym miejscem.

O wpół do szóstej zeszły na dół, żeby powitać matkę i Gabriela. Nie zaskoczył ich widok Florence w jedwabnej sukni w kolorze szampana, bardzo jasnej, prawie białej. Jane założyła się nawet z Liz, że matka włoży coś w tym stylu - że zjawi się w bieli na ślubie swojej córki. To było takie do niej podobne. I całkowicie przewidywalne.

- Nie ośmieli się. - Liz miała inne zdanie. - Nie zrobi tego przez wzgląd na Coco.

- Stawiam dziesięć dolarów, że to zrobi - odparła Jane z całkowitą pewnością i gdy Florence ukazała się w drzwiach, spojrzała na Liz z triumfującym uśmiechem. - Jesteś mi winna dziesięć dolców.

Roześmiały się obie, po czym przywitały się z Gabrielem. Miał na sobie bardzo odpowiedni ciemnogrnatowy garnitur. Trzymał na rękach Alyson. Niedawno świętowali z Florence drugą rocznicę ich znajomości. W lipcu wybie-

rali się do Paryża i na południe Francji. Zamierzali zatrzymać się w Hotel du Cap. Florence wyczarterowała na dwa tygodnie jacht, którym mieli popłynąć na Sycylię do przyjaciół. Gabriel od roku nie zrobił żadnego filmu, bo wciąż podróżował z Florence. Liz powiedziała, że za każdym razem, kiedy ją widzi, wydaje się jeszcze szczęśliwsza niż wcześniej.

Zmilczała, że nigdy nie widziała jej tak szczęśliwej z ojcem Jane.

Widocznie Gabriel był dla niej odpowiednim partnerem. On także wydawał się zadowolony. Ich wspólne życie wyglądało jak niekończące się wakacje. Niedawno na dobre przeprowadził się do niej.

Rodzice Leslie'ego, którzy przyjechali z Anglii, rozmawiali z Jane i Liz.

Do szóstej trzydzieści przyszli już wszyscy zaproszeni goście. Coco czekała w suterenie, więc Leslie jej nie widział, kiedy pojawił się w towarzystwie Chloe, która w różowej organdyńskiej sukience do samej ziemi wyglądała jak mała księżniczka. Rozpromieniła się, kiedy usłyszała to od Liz. Chciała pobawić się z niemowlęciem, ale Jane obawiała się, że jeśli Buzzowi się uleje, Chloe zniszczy sobie sukienkę, namówiła więc dziewczynkę, żeby odłożyć zabawę na później.

Muzyka zaczęła grać o szóstej trzydzieści. Dał się też słyszeć warkot helikoptera. Ulicę przed domem patrolowała policja. Co parę minut przejeżdżali gliniarze na motocyklach. Naprzeciwko wychylał się z okna fotograf z teleobiektywem. Ale gliniarze nie zwracali na niego uwagi.

Wszyscy goście znajdowali się wewnątrz. Z zewnątrz i tak nic nie można było zobaczyć.

Na znak dany przez mistrza ceremonii Coco weszła po schodach z suterenu na parter i przez jadalnię do salonu. Wyglądała poważnie i uroczyście w białej sukni, która układała się miękko i ciągnęła za nią po posadzce długim trenem. Idąc wzdłuż tłumu gości zebranych w salonie, nie

widziała nikogo oprócz Leslie'ego na tle okna, z Chloe u boku. Nikogo oprócz niego nie pragnęła zobaczyć. Na helikopter, latający nad domem, nie zwróciła uwagi. Wiedziała, skąd się wziął i przypuszczała, że niejedyn taki helikopter usłyszy jeszcze w przyszłości.

Na oczach wszystkich zebranych złożyli przysięgę małżeńską, a Florence się rozpląkała. Coco trzymała pod rękę Gabriela, który zastępował jej ojca, i z wrażenia lekko przycisnęła jego ramię, gdy mówiła „Tak”. Potem Leslie pocałował Coco i tak zaczęło się ich małżeństwo.

Był to piękny ślub, właśnie taki, jaki Coco zawsze chciała mieć. Obecna była cała jej rodzina i wszyscy przyjaciele obojga. Z Los Angeles przybyli koledzy Leslie'ego. Jego rodzina przyleciała z Anglii. Był też Jeff z Bolinas i jego narzeczona, oboje dumni z zaproszenia. Pomysł, by ślub odbył się u Jane, pozwolił umknąć wścibstwa prasy. Tu, za zamkniętymi drzwiami, w domu siostry, było najbezpieczniej.

W podróż poślubną wybierali się wyczarterowanym samolotem w sobie tylko znanym kierunku. Zabierali Chloe. Coco bardzo chciała, żeby Chloe pojechała z nimi. A Leslie miał nadzieję, że wkrótce będzie miała małego braciszka albo siostrzyczkę.

W jadalni urządzono parkiet do tańca. Wieczór był ciepły, więc goście wylegli do ogrodu. Sprzęt nagłaśniający ustawiono na płycie z pleksi, którą przykryty został basen. Było to najlepsze przyjęcie sezonu.

O północy podano tort weselny, a Coco weszła na schody, żeby z nich rzucić swój ślubny bukiet. Cel wybrała starannie i bukiet trafił prosto w ręce Florence. Nie chciała, by matka miała kłopot ze złapaniem go.

Florence pochwyciła bukiet i przycisnęła go do serca, a Gabriel uśmiechnął się do niej. Wiedział, o czym Florence myśli, i pragnął tego samego. Zatańczyli ze sobą ostatni taniec po odjeździe pana

młodego z panną młodą, potem Gabriel ją pocałował. Tańce przeniosły się do dyskoteki urządzonej przy basenie. Jane i Liz tańczyły sambę w towarzystwie przyjaciół Leslie'ego z Los Angeles.

Leslie, Coco i Chloe odjechali wynajętą limuzyną. Policjanci nie dopuszczali do nich tłumu gapiów, w górze wciąż krążył helikopter. Przed limuzyną jechało dwóch policjantów na motocyklach, eskortując pojazd do samego lotniska. Między Leslie'em i Coco siedziała Chloe. Coco uśmiechała się, a Leslie wydawał się najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

- Daliśmy radę - szepnęła Coco, rzucając mu triumfujące spojrzenie. Paparazzi ich nie dopadli. Nikt nie był poszkodowany, nikt nie został ranny. Media nie dosięgły ani ich, ani Chloe. Niebezpieczeństwo minęło. I byli razem. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak zaplanował Leslie.

- Więc teraz chyba już to zrobicie? - spytała Chloe Leslie'ego.

- Co takiego? - spytał z roztargnieniem, zapatrzony w Coco.

- Tę okropną rzecz.

- Chloe! - Już miał ją upomnieć, ale dokończył z uśmiechem: - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- No przecież chyba pamiętasz. Mama mówiła mi, że...

- Zapomnij o tym - uciął.

- Okej - uśmiechnęła się do Coco. - Kocham was i tak. Kochała ich oboje, ojca i Coco, która była dla niej najlepszą przyjaciółką.

- My też cię kochamy - powiedzieli jednocześnie i pocałowali się nad głową dziewczynki. Coco uśmiechnęła się do Leslie'ego. Wszystko się w końcu ułożyło. Okazało się, że to on miał rację: jeden dzień na jeden raz.